



TAJEMNICA DOMU UKLEJÓW

ANETA
JADOWSKA

sqn
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

**TAJEMNICA
DOMU
UKLEJÓW**



Książka zaprojektowana i wydrukowana w Polsce



TAJEMNICA DOMU UKLEJÓW



ANETA
JADOWSKA

KRAKÓW 2024

Tajemnica domu Uklejów

Copyright © by Aneta Jadowska 2024

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2024

Redakcja – Joanna Mika

Korekta – Jagoda Kubieszka, Julia Młodzińska

Opracowanie typograficzne i skład – Joanna Pelc

Okładka – Magdalena Babińska / Dedodesign.pl

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści.

Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2024

ISBN mobi: 9788383305448

ISBN epub: 9788383305455



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Grzegorz Krzymianowski, Natalia Patorska, Katarzyna Kotynia

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Julia Siuda, Zuzanna Pieczyńska

Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Paulina Gawęda, Barbara Chęcińska, Małgorzata Folwarska, Marta Ziębińska, Kamila Piotrowska

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Marcin Mendelski, Jan Maślanka, Anna Rasiewicz

Administracja: Klaudia Sater, Monika Czekaj, Małgorzata Pokrywka

Finanse: Karolina Żak

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędzia

www.wsqn.pl

www.sqnstore.pl

www.labotiga.pl

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

SPIS TREŚCI

Strony tytułowe

Strona redakcyjna

Dedykacja

1. Trup na dobry początek
2. Lula – kobieta, która zmienia wszystko
3. PKP, czyli permanentne katusze piekielne
4. Kruczki prawne
5. Miłość od pierwszego skrzyknięcia
6. To może poczekać do rana
7. Dwadzieścia siedem minut sam na sam z nieboszczykiem
8. Nocne ekscesy dzielnicowego Boberka
9. Podejrzliwość od pierwszego wejrzenia i inne gwałtowne emocje
10. Wielka Niedźwiedzica
11. Pułapka z kawą i rogalikami/text>
12. Ustka i wsparcie z za grobu
13. Fąfel i oferta remontowo-towarzyska
14. Niespodzianka w drodze na konfrontację
15. Huragan Gracje
16. Gracje w Ustce
17. Szybki rzut oka i komplikacje
18. Co w trawie piszczy
19. Kluczem jest klucz
20. Igła w stosie drzazg
21. Kura z chowu klatkowego
22. Szukajcie, a znajdziecie
23. Reputacja i inne przekleństwa
24. Odpukać w niemalowane
25. Kobieta na skraju załamania nerwowego
26. Walkiria śledcza
27. Co dwa psy, to nie jeden
28. Najgorsza najlepsza rzecz, jaka mogła się zdarzyć
29. Niech to zostanie między nam
30. Ach, ten potencjał miejsca zbrodni!
31. Stukot młotków i klawiszy

32. Straszewicz mówi ludzkim głosem
 33. Wielkie otwarcie schodów
 34. Piętro zamrożone w czasie
 35. Poszukiwania i przydasie
 36. Frustracje i objawienia dzielnicowego Boberka
 37. Furie sprzątające
 38. Harówka, wino i zwodniczy blask księżyca
 39. A może jeszcze klopsiki?
 40. Błyskawice i objawienie
 41. Nie jesteś tu sama. Niestety
 42. Nie zadzieraj z Niną Rawicz!
- Epilog
Poślowie

Reklamy

*Rafałowi,
na zawsze, choć zbyt krótko*

TRUP NA DOBRY POCZĄTEK

Dom najprawdopodobniej był nawiedzony. Do niedawna Nina nie wierzyła w takie rzeczy, nawet by jej to nie przyszło do głowy... zanim trafiła w to miejsce. Trzeba przyznać, że okoliczności przyrody i sam budynek wzięły sobie za punkt honoru, by nawrócić ją na wiarę w nawiedzone domiszcza.

Próbowała ignorować wicher za oknem, przez który okoliczne drzewa i cała bryła domu wydawały się trzeszczeć w posadach. Usiłowała zasnąć. Była potwornie zmęczona po jednym z najtrudniejszych dni w swoim życiu.

Nawet zresztą zasnęła. Potem jednak coś ją obudziło, a teraz spłoszony sen nie chciał wrócić. Trzymał się, biedaczek, z daleka, wystraszony okolicznościami. Za to wyobraźnia galopowała, podsuwając coraz to absurdalniejsze wyjaśnienia szmerów, skrzypnięć i stuknięć.

Nina leżała w ciemności, owinięta kołdrą jak kokonem, i liczyła owce, te jednak z jakiegoś powodu szybko zmieniły się w koty. A liczenie kotów brykających w wysokiej trawie na nikogo jeszcze nie sprowadziło senności.

Próbowała nie nasłuchiwać dźwięków wydawanych przez dom, ale trudno było je ignorować. Skrzypienia, trzeszczenia, pomrukiwania... Stare legary wydawały się prowadzić pogawędkę ze schodami i z podłogami, futryny okien pracowały w ścianach, a rynny zgrzytały o dach, poruszane podmuchami wiatru.

Choć piec chodził od ładnych paru godzin, rozgrzanie starego, wielkiego domu nie było łatwe. Do tego nadciągał front. Wiatr hulał, gwiazd i księżycy nie było widać zza gęstych chmur, a wilgoć wydawała się tylko czekać na znak, że już czas przypuścić atak.

Niezły sposób, by sprawdzić szczelność dachu, o której zapewniał prawnik Luli...

Mogła się założyć, stawiając na to swój złamany w dzieciństwie obojczyk, że nim wszędzie słońce, rozlegną się grzmoty. Jakby ten dom potrzebował burzy, by wystraszyć ją jeszcze bardziej.

- Efekciarz - mruknęła, wciskając głowę pod poduszkę, którą zaraz odrzuciła, nie mogąc oddychać.

Prawie wyskoczyła ze skóry, gdy nagle coś łupnęło o szybę. Gałęzie, niczym rozcapierzone palce, uderzały w okno. Wiatr wył w kominie jak dusze czyścicowe. Mimo całej kakofonii Nina słyszała też bicie własnego serca. Paradoksalnie, wbrew tym wszystkim hałasom, dom był... za cichy. Brakowało jej normalnych dźwięków miasta, do których przywykła. Gdyby słyszała samochody, syreny karetek, postukiwanie śmieciarek czy monotonne buczenie latarni ulicznych, czułaby się bezpieczniej. Ale w okolicy był tylko las, żadnych latarni, żadnych sąsiadów czy ruchu ulicznego, do domu prowadziła bowiem droga szutrowa. Budynek i otaczające go gęsto drzewa tonęły w ciemności, której nie przebijał nawet księżyc, ukryty za gęstymi, burzowymi chmurami.

Pojawiło się za to mnóstwo nowych dźwięków. Czy to puszczyk? Chyba tak. Nigdy wcześniej nie słyszała puszczyka. Poza tym miała szczerą nadzieję, że ten dziwny piskliwy chichot wydaje lis, a nie żadne piekielne stworzenie, które czyha na jej duszę.

- To tylko wiatr, stary budynek i nadmiar wyobraźni - wyszeptała, jakby w obawie, że duchy poznają jej opinię.

I wtedy nagle rozległo się coś, czego nie dało się wytłumaczyć skrzypieniem starych legarów, drzew za oknem czy porozsychanych schodów:

– Kurwa mać! – Przyciszone, ale bardzo wyraźne.

Poprzedził je odgłos uderzenia, a potem posypało się więcej przekleństw i rozbrzmiało ciche sapanie, coraz głośniejsze, jakby ten, kto je wydawał, zbliżał się do schodów na piętro, gdzie na łóżku siedziała kompletnie spanikowana Nina.

Ktoś był w domu. W domu, w którym poza nią nie powinno być nikogo, bo tylko ona miała klucze...

Ciaśniej owinęła się kołdrą i wstała. Skradała się cicho w kudłatych skarpetkach, omijając ledwie widoczne w ciemności meble i własną rozbebeszoną walizkę.

Gdy przed kilkoma godzinami wywaliło korki, nie chciała dzwonić do prawnika z pytaniem, gdzie znajdzie skrzynkę. Uznała, że zlokalizuje ją sama, w świetle dnia, a tymczasem po prostu się położy. Teraz tego żałowała. Latarka została w torbie, a ta – na parterze, Nina miała tylko aplikację latarki w komórce. Ale jeśli ją włączy, czy zdoła dość szybko zadzwonić na numer alarmowy, który wybrała już z listy kontaktów?

Ciemność dawała jej przewagę zaskoczenia. Czy ten, który tarabanił się po schodach, wiedział, że tu jest, i szedł właśnie po nią? Jeszcze wczoraj – tak jak przez ostatnie, plus minus, dziesięć lat – dom stał pusty. Czy to przypadek, że ledwie się wprowadziła, miała niezapowiedzianą nocną wizytę?

Może ktoś wiedział, że w opuszczonym domu w lesie nocuje dziś samotna dziewczyna, której nikt tu nie zna? Obejrzała w życiu wystarczająco dużo dokumentów kryminalnych, by wiedzieć, że jest w grupie wysokiego ryzyka – klasyczna ofiara seryjnego zabójcy czy napaści na tle seksualnym.

Przeszła przez sypialnię i ostrożnie wychyliła się na korytarz. Miała widok na schody. Na parterze ewidentnie znajdowało się jakieś ruchliwe źródło światła. Dobiały też stamtąd odgłosy przekleństw i rabanu, jakby ktoś czegoś szukał, rozbijał się między meblami... Stopnie zaskrzypiały głośno pod czyimś ciężarem.

Nina zignorowała myśl, że najrozsądniej byłoby się zamknąć w łazience i zadzwonić po policję. To był jej dom, do jasnej cholery! Ruszyła naprzód. Ręce jej się trzęsły, ale ścisnęła w nich komórkę, zastanawiając się: latarka czy numer alarmowy? Zastraszenie i zaskoczenie, zdecydowała. Nie widziała twarzy zbliżającego się osobnika, bo snop światła latarki skierował w dół, na zakurzone stopnie i dolną część swojej masywnej sylwetki.

Wciąż ciasno owinięta kołdrą, przystanęła niczym wielka kwiecista Buka, wychyliła się nad balustradą. Zaświeciła włamywaczowi latarką prosto w oczy i wrzasnęła:

– Co, do cholery, robisz w moim domu?!

Facet zamarł w pół kroku. Nina trzęsła się pod kołdrą, ale napędzała ją zimna determinacja.

– Policja jest już w drodze! Radziłabym wypierdalać w podskokach i nigdy więcej się tu nie pojawiać! – zawołała.

Nie był wystarczająco rozsądny, by jej posłuchać. Nagle ocknął się z szoku (albo dotarło do niego, że wrzeszczy na niego młoda kobieta okutana w kołdrę) i ruszył w jej stronę. Złe intencje miał wypisane na twarzy, więc Nina zrobiła jedyne, co jej przyszło do głowy.

Rzuciła się w stronę intruza z wrzaskiem, niczym obłąkana harpia. Na przemian przytrzymywała powiewającą kołdrę i wymachiwała rękami, niczym małe zwierzę, które próbuje dodać sobie wzrostu w oczach drapieżnika, i nawet na chwilę nie przestawała się wydzierać.

Facet zamarł. A potem cofnął się, odruchowo, próbując zwiększyć dystans między sobą a stworzeniem z piekła rodem, które

wykonywało złowrogie podskoki (w wyniku zsuwania się skarpet i potykania o kołdrę – o tym jednak nie musiał wiedzieć). Szedł tyłem, po omacku. Upuścił latarkę, a ta potoczyła się w dół schodów. Cofał się, aż napotkał opór balustrady. Nina chciała krzyknąć, żeby trzymał się bliżej ściany, ale ugryzła się w język. Nie była tu specjalistką od BHP, tylko samotną, wystraszoną kobietą, uwięzioną z napastnikiem w ciemnym domu. Jeśli dom zechce jej pomóc...

W tej samej sekundzie, w której to pomyślała, usłyszała głośny trzask. Balustrada oderwała się, a schody zaczęły się aktywnie dezintegrować! Nagle stały się ruchome w kompletnie nieoczekiwany i niewłaściwy sposób, a entropia układała z nich coś zupełnie nowego... na przykład stos pogrzebowy.

Facet wrzasnął, próbował się złapać barierki, ale ona leciała w przepaść z impetem, pociągając za sobą jego i deski stopni. Nina obserwowała, jak spada, niczym w zwolnionym tempie, wymachując ramionami i krzycząc coś bez sensu, i mimo woli pomyślała o Kojocie Wilusiu. Odruchowo zerknęła w górę, jakby z sufitu na intruza miał jeszcze spaść fortepian.

Na szczęście dom nie miał instrumentu na stanie. Kiedy opadły kurz i ostatnia drzazga, znów zrobiło się cicho. Ekstremalnie cicho. Nina słyszała jedynie swój przyspieszony oddech. Z rumowiska, na którym leżał włamywacz, nie dobiegał nawet pojedynczy dźwięk.

Niedobrze.

Nina zamarła na szczycie schodów, które teraz kończyły się raptem dwa stopnie poniżej tego, na którym stała. Potem, poniżej półpiętra, znów się zaczynały, ale tam, gdzie chwilę temu były drewniane deski z piękną toczoną balustradą, teraz ziała ciemność. Kobieta wycofała się ostrożnie ze schodów-pułapki. Kolana ugięły się pod Niną i nagle siedziała na podłodze korytarza. Zaświeciła komórką w pustkę i w rozbłysku światła zobaczyła czerwień.

Mnóstwo czerwieni. I coś wystającego z szyi faceta, który włamał się do jej domu w środku nocy.

– Żyjesz?! – zawołała. Gardło jej się ścisnęło, przez co kołdrzasta buka zyskała drżący głos wiewiórki z kreskówki.

Ręka trzymająca komórkę też drżała, więc facet na dole to pojawiał się, to znikał w tańczącej po rumowisku plamie światła.

Odpowiedziała jej cisza. Ani pół sapania, przekleństwa czy urywanego oddechu. Mężczyzna był nieruchomy w sposób, który wyobraźnia Niny zidentyfikowała bezbłędnie.

Miała trupa w domu.

Musiała coś zrobić... Coś. Mózg chwilowo jej się zawiesił. Zęby dzwoniły o siebie, z zimna lub szoku. A potem między zwojami przeskoczył impuls elektryczny i znów kontaktowała. Wyłączyła latarkę w komórce i wybrała numer alarmowy. Przez kilkanaście sekund czekała na połączenie, mając nadzieję, że dwie kreski zasięgu i dwie kreski baterii wystarczą. I gdy wreszcie po drugiej stronie usłyszała spokojny głos dyspozytorki, powiedziała:

– Dobry wieczór, nazywam się Nina Rawicz, jestem w starym domu Uklejów, w lesie, zaraz przy osadzie Zapadłe. – Nie była pewna, czy jej rozmówczyni zna tę okolicę, więc dodała: – Trzy kilometry od Ustki, powiat słupski...

– Czy coś się stało, Nino? – zapytała dyspozytorka, spokojna jak saper, któremu ręka nigdy nie zadrży, gdy przecina odpowiednie kabelki bomby.

Coś w jej głosie budziło zaufanie Niny. Jakby znały się od lat i mogła jej się ze wszystkiego zwierzyć. Jakby tamta potrafiła na odległość rozwiązać wszystkie jej aktualne problemy.

Dziewczyna odetchnęła więc głęboko i wyrzuciła z siebie:

– Ktoś się włamał do mojego domu. A teraz nie żyje. Tak sądzę. Jest nieruchomy. I stracił dużo krwi. Myślę, że się na coś nadział.

Niekoniecznie na pal, ale całkiem skutecznie, bo nawet nie jęknie.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

- Czy możesz mi powiedzieć coś więcej o tej osobie? Czy możesz sprawdzić, czy oddycha?

- Nie mogę, ugrzęzłam na piętrze, on jest na parterze.

- Jesteś uwięziona? Czy jesteś związana?

- Nie, ale nie mogę zejść na parter. Schody się zawaliły. Mój prawnik mówił, że są stare i koniecznie muszę znaleźć fachowca i nie dotykać balustrady. Włamywacz o tym nie wiedział i się o nią oparł. - Nie wspomniała, że miała w tym swój mały udział.

- Rozumiem. Zawaliły się schody, a on na nich był. Czy ty też na nich byłaś? Czy jesteś ranna?

- Nie, wszystko okej. Wystraszyłam się, poza tym czuję się nieswojo w ciemności i w towarzystwie trupa, ale to nic, z czym nie poradzą sobie herbata, relanium i kilka miesięcy terapii - zapewniła Nina, wciąż dygocząc w środku.

- Rozumiem - odparła operatorka i brzmiała, jakby faktycznie tak było. To dobrze, bo Nina nadal nie rozumiała nic a nic. - Czy jesteś bezpieczna? Czy włamywacz przyszedł sam?

- O Boże, mam nadzieję! - zawołała dziewczyna i zaczęła się trząść na samą myśl, że gdzieś tam czai się wspólnik draba.

Czy nie wszedłby, słysząc rumor? A może tu jest i się czai? Czy trafiła do jednej z tych wiosek z angielskich seriali, gdzie trup ściele się gęsto, a młode dziewczęta padają jak muchy?

Wiedziała, że to wszystko jest za piękne, by mogło być prawdziwe. Dostaje w spadku dom, a chwilę potem kończy jak martwa dziedziczka. Jakiś policjant będzie kręcił węża nad jej zwłokami, zastanawiając się, kim jest ta dziewczyna znikąd. Zacznie szukać jej krewnych, by poinformować ich o jej zgonie, i oczywiście ich znajdzie, bo nie zmieniła nazwiska. Tym sposobem matka i ojciec

dowiedzą się, gdzie jest. Nina była absolutnie pewna, że wybraliby jej do trumny najkoszmarniejszą kieckę. Coś nietwarzowego, w stylu lat osiemdziesiątych, tylko dlatego, że wiedzieliby, jak bardzo byłaby wściekła na samą myśl.

– Jeśli mnie zabiją, proszę nie szukać mojej rodziny, nie mam żadnej, jestem sierotą – skłamała w desperacji.

Kobieta milczała jakiś ułamek sekundy dłużej, niż przewiduje skrypt telefonu alarmowego, a potem powiedziała pokrzepiającym, opanowanym tonem:

– Wysyłam do ciebie pomoc, nikt cię nie zabije, Nino. Potencjalny napastnik nie dostanie się do ciebie na piętro, prawda?

– Prawda – odetchnęła z ulgą – przecież nie przyniesie ze sobą drabiny. Chyba że przyniesie broń palną, wtedy nie będzie musiał podchodzić bliżej...

– Nino, wszystko będzie dobrze, komisariat w Ustce dostał już zgłoszenie, pomoc jest w drodze.

– Niedługo tu będą? – upewniła się Nina.

– Bardzo niedługo. Czy chcesz, żebym została z tobą na linii? – zapytała ciepło dyspozytorka.

Nina się zawahała.

– Nie. Nie trzeba, dziękuję – powiedziała w końcu. – Duchy dotrzymają mi towarzystwa.

– Słucham? Możesz powtórzyć?

– Nie, nic, nadmiar wyobraźni – przyznała dziewczyna i westchnęła. – Nic mi nie jest. Wystraszyłam się tylko. Poczekam na policję.

Brzmiała dość przekonująco i sama niemal uwierzyła, że to nawet dobrze, że schody się zawaliły, a ona jest uwięziona poza zasięgiem rąk potencjalnych współników włamywacza. Przesunęła się do ściany i przywarła do niej plecami, po czym usiadła, podciągnęła

kolana pod brodę i owinęła się szczelnie kołdrą. Czy powinna zadzwonić jeszcze raz i poprosić, by patrol przywiózł ze sobą drabinę, czy to raczej oczywiste? Przecież wspominała o zawalonych schodach, prawda?

Była taka zmęczona! Teraz pewnie zasnęłaby w mig, gdyby tylko przyłożyła głowę do poduszki. Zamiast tego oparła czoło o kolana i czekała na policję.

Niezły początek, nie ma co. Jakies sześć godzin temu dostała klucze do tego domu, a już trafił jej się trup, prawdziwy gratis od losu! Powinna iść rano do kolektury i wysłać totka. Jeśli to fart – trafi szóstkę, jeśli pech – nawet jedyński nie uświadczy. Bo potrafiła zobaczyć obie strony tej sytuacji.

I pomyśleć, że jeszcze godzinę temu uważała, że najgorsze, co ją spotka tego dnia, to atrakcje zapewniane przez Polskie Koleje Państwowe oraz wizyty w dworcowych toaletach.

LULA – KOBIETA, KTÓRA ZMIENIA WSZYSTKO

Ostatni tydzień był dla Niny jak zły sen. Powinna być przygotowana na najgorsze – od ponad siedmiu lat, czyli odkąd znała Lulę, wiedziała, że to nastąpi. Dostały ten czas, i tak dłuższy, niż przewidywali lekarze, ponieważ Lula miała dostęp do doskonałej opieki medycznej, ale cierpiała przecież na nieuleczalną chorobę. Postępującą i nieustępliwą. Dlatego potrzebowała opiekunki i dlatego zatrudniła Ninę. Dziewczyna wiedziała o tym, ale nadal nie mogła się pogodzić ze stratą. Emocjonalnie nie potrafiła przetrwać i przyjąć tego nowego elementu rzeczywistości, jakim był permanentny brak Luli.

Nie czuła spokoju czy łagodnej rezygnacji po zderzeniu z okrutnym losem. Nie czuła nic. Jakby coś jednocześnie wyrwało jej dywan spod nóg i uderzyło ją w głowę. Była ogłuszona. Działała jak automat. Pomagała synom Luli w przygotowaniach pogrzebowych, odsuwając w czasie przyswojenie faktów.

Lula zawczasu poczyniła stosowne kroki. Wybrała strój do trumny, celebransa pogrzebowego, muzykę, nawet zdjęcie do klepsydry. Nina miała kilka stron szczegółowych notatek i pilnowała, by wszystko odbyło się dokładnie tak, jak chciała jej pracodawczyni, przyjaciółka i de facto najbliższa osoba. Układała kwiaty, sprzątała, pakowała rzeczy osobiste, w tym liczne opakowania leków, by nie wpadły w ręce wnuków Luli. Kilka razy przyłapała chłopców, jak zakradają się do sypialni babci, by przytulać się do jej poduszki.

Najmłodszy, Simon, wślizgnął się do garderoby, po czym zasnął, zwinięty w kłębek na swetrach pachnących lawendą.

Nina działała mechanicznie, skoncentrowana na tym, by wszystko przebiegało tak, jak powinno. Zaprogramowana w taki sposób, by ułatwić życie otaczającym ją osobom, zwłaszcza synom Luli. A także wnukom, które właściwie nie pamiętały Luli sprzed choroby. Dla nich babcia po prostu była chora, potrzebowała laski, a potem wózka inwalidzkiego, ale przecież skoro tak było do tej pory, to będzie tak już zawsze. Koncepcja śmierci nie przyjęła się zbyt dobrze w kilkuletnich głowach.

Później były pogrzeb i stypa. Ostatnie pożegnanie i ostatnie przyjęcie Luli. Kochała przyjęcia i była w ich wyprawianiu naprawdę dobra. Zaplanowała menu i zażyczyła sobie, by na tę okazję wyciągnięto z kredensu pamiątkowe kryształowe kieliszki – niech wszyscy wzniosą toast za życie, które wiodła, a smutny koniec niech nie przysłoni nikomu dekad radości. Nawet śmierć nie zdołała złamać jej ducha.

A potem wszystko się dla Niny skończyło. Po pogrzebie obudziła się nad ranem, zapłakana i przerażona. Nie tylko dlatego, że nie było już Luli, ale też dlatego, że nie zostało jej zupełnie nic. I nie miała dokąd pójść.

*

Siedem lat temu przyjechała do Niemiec, mając jedynie walizkę tanich ubrań oraz plecak z laptopem i książkami, by podjąć zatrudnienie w domu spokojnej starości. Studia polonistyczne nie rokowały najlepiej na rynku pracy, więc przewidująco zrobiła kurs opiekunki osób starszych. To dzięki niemu przeszła rekrutację i dostała bilet w jedną stronę do Berlina.

W domu spokojnej starości przepracowała ledwie kilka tygodni. Miała szczęście. Któregoś dnia, gdy towarzyszyła jednej z podopiecznych podczas wizyty w przychodni i czytała w poczekalni Wichrowe wzgórza, dosiadła się do niej kobieta koło sześćdziesiątki, o oczach barwy błękitu i uśmiechu, który rozjaśniał je niczym małe gwiazdki.

- Jesteś Polką? - zapytała po niemiecku.

Nina przytaknęła. Uczyła się tego języka w liceum, potem miała dwa lata lektoratu na studiach, zdobyła nawet certyfikat, który bardzo jej pomógł podczas rekrutacji, mimo to na miejscu wszyscy mówili za szybko i zbyt niewyraźnie. Z komunikowaniem się szło jej jeszcze gorzej. Pani Martha, podopieczna, na którą teraz czekała, zapytała ją pierwszego dnia pracy, czy jest troszkę opóźniona. Co prawda z sympatią, ale jednak.

Dlatego teraz Nina odetchnęła, gdy nieznajoma powiedziała najczystszą polszczyzną:

- Doskonale! Całkiem mi zwarto-szczelinowe zardzewieją, jak będę w kółko szwargotać po niemiecku. Mam na imię Lula, a ty?

Pół godziny później Lula wiedziała o Ninie prawie wszystko. Miała ten dar zadawania celnych pytań i uważnego słuchania odpowiedzi. Przerwały rozmowę tylko na chwilę, gdy Nina musiała przewieźć panią Marthę z pracowni RTG do pracowni USG, a potem gdy pielęgniarzka przyszła po Lulę, by pobrać jej krew. Za każdym razem po tych krótkich przerwach wracały na tę samą ławkę, do tej samej rozmowy.

Coś między nimi kliknęło. Nina czuła się, jakby znała Lulę od lat. Jakby rozciągała się między nimi złota nić. Jakby spotkały się w poprzednim wcieleniu. Nie wierzyła w takie rzeczy, ale w wypadku tej starszej kobiety o przeszywającym spojrzeniu to było jedyne racjonalne wytłumaczenie. Nie wiedziała jeszcze, że to jeden z

darów Luli – potrafiła z łatwością nawiązać kontakt z każdym, nieważne, czy była to młoda Polka, starszy Senegalczyk, pracownik budowy, czy profesor uniwersytecki. Patrzyła na drugiego człowieka z żywotnym zainteresowaniem, jakby całą uwagę skupiała właśnie na tej osobie.

Lula była przekonana, że to los maczał palce w ich spotkaniu. Doszło do niego akurat kilka miesięcy po tym, jak zdiagnozowano u niej stwardnienie rozsiane. Akurat w momencie, gdy synowie zaczęli wspominać, że potrzebuje dodatkowego wsparcia. Nie byli na tyle szaleni, by zaproponować jej dom opieki, ale Lula wiedziała, że coś kombinują. Oczami wyobraźni widziała już jakąś siostrę Ratched, w wykrochmalonym fartuchu i w czepku na ufryzowanych lokach, która budzi ją o piątej rano na kąpiel i mierzenie temperatury.

Lula rozumiała, że traci sprawność i że z czasem będzie potrzebowała coraz więcej wsparcia. Chciała to załatwić na swoich zasadach. Jak zresztą wszystko. I ta młoda emigrantka z Polski, o wielkich sarnich oczach, reagująca nerwowo, gdy gdzieś na korytarzu trzasnęły drzwi, była dokładnie tą osobą, której Lula potrzebowała. Zdecydowała o tym podczas pierwszych piętnastu minut znajomości. Rzadko myliło ją początkowe wrażenie i ufała swojej intuicji.

Kolejny tydzień zajęło jej przekonanie Niny, że praca dla prywatnej osoby wcale nie jest mniej bezpieczna od pracy w instytucji. Potem musiała pomóc się dziewczynie uwolnić od jej aktualnych zobowiązań zawodowych. A na koniec powiadomić synów, że Nina wprowadza się do ich rodzinnego domu, gdzie będzie jej towarzyszką i opiekunką. Tak jak to miała w zwyczaju – Lula zlokalizowała problem, a potem znalazła rozwiązanie i wszyscy byli zadowoleni.

Nina nie mogła wówczas przewidzieć, że ta półgodzinna rozmowa odmieni jej życie. Że zapewni nie tylko pracę, ale też rodzinę i ciepło, którego dotąd właściwie nie знаła. Że przez siedem lat będą z Lulą nierozłączne. I że oprócz konsekwencji postępującej degeneracji nerwów, ich dni będą wypełniać także przygody, radości i czerpanie z życia pełnymi garściami. Była szczęśliwa przez tych siedem lat. Szczęśliwa jak nigdy wcześniej.

Dlatego tak bardzo zabolęła ją, gdy to wszystko dobiegło końca. Dlatego płakała w poduszkę, nie tylko za Lulą, ale i za swoim życiem tu, w tym wielkim domu, z ludźmi, do których się przywiązała.

Nie bała się głodu. Lula upierała się płacić jej trzykrotnie więcej, niż wynosiła pensja w domu spokojnej starości, a do tego dziewczyna nie wydawała prawie nic, skoro nie musiała wynajmować mieszkania ani nie płaciła za jedzenie czy rachunki. Przez siedem lat uzbierało się sporo, nie martwiła się więc tym, czy zdoła przeżyć do znalezienia kolejnej posady. Ale bała się zmian. I tego, że, jak siedem lat temu, znów będzie dziewczyną znikąd.

Poprosi jednego z synów Luli o referencje. Olgierd lub Thomas na pewno się zgodzą. Hansa, najstarszego, nie śmiałyby zaczepiać w tej sprawie. Był poważny jak zawał serca i zarządzał rodzinną korporacją Weissbergów. „Chłopcy”, jak Lula nazywała swoich młodszych synów, wydawali się dużo bardziej przystępni. Musiała z nimi porozmawiać. Także o tym, czy może zostać jeszcze kilka dni, nim znajdzie sobie nowe lokum. Wynajęcie mieszkania w Berlinie nie było łatwe.

Zbierała się do tej rozmowy przez cały dzień po pogrzebie, odkładając jeszcze o chwilę bolesne pożegnanie z wnukami przyjaciółki. Otto, Fiona i Flora urodzili się już po tym, kiedy Nina zamieszkała z Lulą, Klaus i Anthon mieli wtedy trzy i dwa lata. Bolało ją serce na samą myśl, że znikną z jej życia.

A następnego dnia, jeszcze przed śniadaniem, usłyszała pukanie do drzwi swojego pokoju.

W progu stał Olgierd. Ach, pomyślała Nina, czyli mój czas się skończył. Było jej głupio, że sama nie wpadła na to, że przekracza granice gościnności. Powinna przenieść się do hotelu od razu po pogrzebie.

– Nina, możemy porozmawiać? – zapytał.

Lula zadbała, by jej synowie znali jej ojczysty język. Olgierd mówił więc po polsku naprawdę dobrze, choć z akcentem. – Oczywiście – zapewniła. I zanim cokolwiek powiedział, dodała: – Przepraszam, dziś się wyprowadzę.

– Czemu miałybyś się wyprowadzić? – zapytał zaskoczony. A potem, jakby sam sobie odpowiadając na pytanie, pokiwał głową. – Możesz poczekać jeszcze trochę? Dziś po południu będzie odczytanie testamentu Luli. Powinnaś tam być.

– Ja? Po co?

– Mama zawsze ma plan, my tylko gramy w jej orkiestrze – odparł i uśmiechnął się blado, gdy zrozumiał, że powinien użyć czasu przeszłego. – Mama miała plan – poprawił się ciszej.

– Oczywiście, że będę, jeśli tego chcecie. Czy... – zawahała się. Nie chciała go stawiać w niezręcznej pozycji, ale musiała wiedzieć, więc dokończyła: – czy mogę zostać jeszcze jedną noc? Zanim znajdę sobie coś innego?

Olgierd przez chwilę patrzył na nią jasnymi oczami, takimi samymi jak oczy jego matki, a potem powiedział miękko:

– Nina, możesz zostać, jak długo potrzebujesz. Jesteś rodziną.

Dziewczyna zamrugnęła, próbując powstrzymać łzy.

– To miłe z twojej strony – przyznała.

– Zobaczysz po południu – dodał niejasno i poklepał ją po ramieniu.

Wszedł, zostawiając ją z niezadanymi pytaniami, na które nie zamierzał odpowiadać. Matka wszystko zaplanowała, nie chciał jej psuć zabawy.

Jeszcze przysłałaby go opieprzyć we śnie.

*

Wszystko wyglądało jak scena z filmu. Wyobraźnia Niny gnała niczym spłoszony rumak i gdyby do biblioteki wkroczył nagle Poirot, zakręcił węża i zapytał: „Pewnie zastanawiacie się państwo, czemu was tu zgromadziłem?”, nie byłaby zaskoczona. Pasowałby tu bardziej niż ona.

Cała rodzina Weissbergów zgromadziła się w bibliotece. Trzej synowie Luli – przystojni, w garniturach od włoskich krawców – ich atrakcyjne żony w doskonale skrojonych sukienkach, pasujących do wymogów żałoby, oraz gromadka dzieci między drugim a dziesiątym rokiem życia, cierpliwie czekali na spóźniającego się prawnika.

Wśród osób spoza kręgu krewnych oprócz Niny byli jeszcze gospodyni, kucharka, wiekowy kierowca oraz ogrodnik, pięćdziesięcioparoletni Litwin. Wszyscy pracowali dla rodziny dłużej niż Nina i jeśli czekała ich wariacja rozwiązania tajemnicy w stylu „zrobił to kamerdyner”, każde z nich pasowało do tej roli lepiej niż ona.

Gospodyni, Anita, uściśnęła kolano Niny i zapytała głosem pełnym troski:

– Wszystko w porządku, kluseczko?

Nina przytaknęła zawstydzona. Zamyśliła się i musiała przybrać dziwny wyraz twarzy. Na szczęście dla niej uwagę wszystkich skupił na sobie prawnik, który właśnie wszedł do biblioteki. Brakowało mu węża Poirota, wyglądał raczej jak świerszcz w szarym garniturze. Dotruchtał do biurka, przeprasząc za prawie piętnastominutowe

opóźnienie, i zaczął wyjmować z harmonijkowej teczki dokumenty oraz kolorowe koperty.

Nina słuchała prawnika jednym uchem. Jej wzrok uleciał w stronę półek z książkami, odruchowo odczytywała tytuły na grzbietach. Zastanawiała się, czy zgłosić się do pośrednictwa pracy, uderzyć bezpośrednio do domu spokojnej starości, który już raz ją zatrudnił, czy to czas, by wracać do Polski i szukać tam czegoś innego. Była jeszcze jedna opcja, ale tę odrzuciła prawie od razu. Musiała zachować rozsądek, nie czas na budowanie zamków na piasku. Z zamyślenia wyrwało ją odczytane na głos jej własne imię i zdanie, którego nie spodziewała się usłyszeć.

- Przepraszam? - zapytała zaskoczona.

Prawnik pokiwał głową i powtórzył ostatni akapit. Wynikało z niego, bez najmniejszych wątpliwości, że Lula zapisała jej swój dom. Nie, nie rezydencję pod Berlinem, ale swój dom rodzinny, który odziedziczyła po matce i ojcu. Prawnik podał dziewczynie grubą kremową kopertę z jej imieniem wypisanym zamaszystym pismem Luli, jej ulubionym fiołkowym atramentem.

- To list od pani Urszuli, ona najlepiej wszystko wyjaśni - powiedział. Nina nigdy nie słyszała, by ktokolwiek nazywał Lulę jej imieniem „urzędowym”, jak sama to określała.

Dostała więc dom. I zamiary na prawnika w Słupsku, który miał wprowadzić ją w szczegóły. Siedziała jak ogłuszona, ściskając w dłoniach list od Luli. Była prawie pewna, że za chwilę któryś z braci Weissbergów zgłosi zastrzeżenie. Przecież majątek matki powinien trafić do nich. Rozejrzała się, spodziewając się potępiających spojrzeń. Zarzutów, że zaprzyjaźniła się z umierającą kobietą i naciągnęła ją na spadek. Ale w oczach otaczających ją osób nie widziała złości. Raczej współczucie.

- To niemożliwe - szepnęła.

- Jeśli chodzi o mamę, niemożliwe nie istnieje - powiedział Olgierd i uśmiechnął się szeroko. - Powiedziała, że ty docenisz jego potencjał. Dla nas to nic, dla ciebie coś, co może zmienić życie, tak mówiła.

Tego wieczoru Nina spakowała walizkę i plecak. Nie przybyło jej zbyt wiele rzeczy przez tych siedem lat. List od Luli wsunęła pod okładkę dziennika. Nie mogła się zdobyć na to, by go przeczytać.

PKP, CZYLI PERMANENTNE KATUSZE PIEKIELNE

Cóż, mogło być gorzej. Mogła być żołnierzem napoleońskim, który uczestniczy w oblężeniu Moskwy, gdy właśnie zaczyna padać śnieg. Albo zaginionym członkiem ekspedycji na biegun północny, który zgubił kompas i źle skręcił, więc z każdą chwilą oddala się od celu, za to jest coraz bliżej Kanady. Nie była pewna, czy ma to sens, ale też nie miała zasięgu w komórce, by sprawdzić, czy zabłąkany ekspedytor miał szansę dotrzeć do Kanady. Może na Alaskę? Albo (by nie trzymać się zimnych metafor w chwili, kiedy tkwiła w przegrzanym i dusznym przedziale rzekomo pierwszej klasy) mogła być rozbitkiem z „Latającego Holendra”, który kołysze się na falach oceanu w łupince szalupy ratunkowej, wypatrując na horyzoncie lądu, choć globus w tym miejscu jest niebieściutki jak niezapominajki.

Nina nie miała problemu, by wyobrazić sobie los gorszy niż ten, który właśnie przypadł jej w udziale. Za to z każdą chwilą trudniej jej było sobie wyobrazić, że zdąży na czas na spotkanie z prawnikiem w Słupsku, choć wedle rozkładu jazdy miała kilkugodzinny zapas. Ten jednak kurczył się z każdą minutą nieoczekiwanego postoju w szczerym polu.

Osiem godzin. Niby niewiele. Dniówka na etacie, a nie podróż na Syberię w ramach zsyłki. Sprawdziła dokładnie połączenia w

aplikacji i upewniła się, że ma dość czasu na przesiadkę w Poznaniu (pięćdziesiąt minut!). Powinna dotrzeć do Słupska o czternastej trzydzieści, a że była ostrożna, umówiła się z prawnikiem na szesnastą, tak na wszelki wypadek. Będzie zmęczona, pewnie niezbyt świeża, i głodna, więc przyda się zahaczyć o jakąś restaurację, gdzie nie tylko zje, ale i doprowadzi się do ładu w cywilizowanej toalecie. Może nawet zrobić makijaż i zmieni podróżną bluzę na blezer, jeśli ten nie okaże się przesadnie wymięty.

Po stronie niemieckiej wszystko szło właściwie. O piątej Nina wsiadła w taksówkę, która odwiozła ją na berliński dworzec, przed szóstą siedziała już w pociągu i jechała dziarsko do Poznania. Nawet udało jej się zdrzemnąć, a później przeczytała ponad dwieście stron powieści, zjadła śniadanie i wypila poranną kawę.

Po przekroczeniu granicy klątwa PKP uderzyła w nią z całą mocą. Nagle pociąg zatrzymał się w szczerym polu. Bez wyjaśnień, bez powodu innego niż „bo mógł”. Konduktor przemykał do swojego przedziału, byle tylko nie musieć nikomu niczego tłumaczyć. Machnął jedynie ręką, gdy Nina zapytała, czy długo postoją. Nie postali długo. Po jakichś piętnastu minutach pociąg ruszył, ale już wolniej, jakby ciągnął za sobą ciężar ludzkich oczekiwań. A potem znów stanął i sapał sobie na torach, otoczony nieco zbrązowiałą po zimie zielenią nieużytków, jakby nabierał woli życia. Wreszcie znów ruszył, lecz woli ruchu nie starczyło mu nawet na godzinę. Zatrzymał się ponownie, tym razem w jakiejś zaniedbanej miejscinie, i tym razem tkwił tak przez trzydzieści trzy minuty.

Nina wiedziała, że właśnie tyle, bo raz po raz zerknęła na zegarek. Jęknęła, gdy minęła godzina, o której powinna już być na stacji Poznań Główny. Na szczęście wciąż miała spory zapas czasu, więc nie martwiła się, czy zdąży na przesiadkę. Lecz gdy już prawie, prawie była na miejscu (chwilę wcześniej minęli Świebodzin i przez

głośniki zapowiedziano Zbąszynek, czyli ostatni przystanek przed Poznaniem Głównym), nagle wszystko zamarło. Światło zgasło, pociąg stanął, umilkło wszystko, tylko głośne „kurwa mać!” w idealnej synchronizacji wyrwało się z gardeł pasażerów.

I tak stali, przed Zbąszyńkiem, dobre czterdzieści minut. Konduktor przemknął przez skład tylko raz, mamrocząc coś o trakcji, a potem taktycznie się przyczał, nie chcąc się narażać na niekoniecznie ciepłe słowa pasażerów.

Klimatyzacja również przestała działać, więc z każdą chwilą atmosfera w pełnych przedziałach i na zatłoczonych korytarzach robiła się cięższa. A że pociąg był „na nowe czasy”, jedynym sposobem, by zaczerpnąć świeżego powietrza, byłoby wybicie szyb. Na to nikt się jeszcze nie zdecydował. Nina studiowała godziny odjazdu i przesiadek z rosnącą desperacją. Pochwaliła się za przezorność, a potem zganiła za naiwność. Potrzebne dane zanotowała w dzienniku, co było rozsądne, bo jej komórka zgubiła zasięg gdzieś za Świebodzinem, a z wi-fi, tak zachwalanym na plakatach rozwieszonych na dworcu i w pociągu, nie udało się jej połączyć. Tyle że szczegółowe notatki nie dawały jej gwarancji, że punktualnie stawi się na spotkanie.

Jej bilet przesiadkowy, z Poznania Głównego do Słupska, stracił ważność, zanim jeszcze dotarła na dworzec. Pociąg odjechał bez niej, nad wyraz punktualny. Odstała swoje do kasy i kupiła bilet na pociąg do Gdańska, a z niego na pociąg do Słupska. Wciąż miała szansę – ba!, jeśli wszystko przebiegnie planowo i jej skład ruszy zgodnie z rozkładem, będzie w Słupsku szybciej niż pociąg z Poznania. Była optymistką. Nie wiedziała, że optymiści w starciu z PKP płacą największe frycowe.

Nie wydarzyło się nic specjalnego. Żadna klęska żywiołowa, samobójca na torach, atak terrorystyczny czy plaga egipska – nie,

żadna z tych rzeczy nie była winna temu, że dotarli do Gdańska Głównego z czterdziestotrzynastominutowym opóźnieniem. Dwadzieścia dwie minuty po tym, jak pociąg do Słupska odjechał w swoją dal. Nawet już nie pytała konduktora o przyczynę opóźnienia. Wiedziała, że usłyszy to, co zwykle się słyszało w takich chwilach – siła wyższa. Najwyraźniej była ona patronką podróżujących PKP, obok świętego Judy, patrona spraw beznadziejnych. Takich jak pomysł, że można dotrzeć do celu na czas.

Nina dotarła do kasy, odstała dwadzieścia siedem minut w kolejce, ściskając bilet na pociąg, który turlał się gdzieś bez niej. A potem tłumaczyła kasjerce, że naprawdę nie ma jej w pociągu, skoro tu stoi, i nie, nie spóźniła się przez własne gapiostwo, ale stała się niewolnicą losu oraz pociągu z Poznania Głównego. Machnęła ręką nawet na zwrot za niewykorzystany bilet (gdy dotarło do niej, że kasjerka prędzej zje własny kapelusz, niż jej to ułatwi).

– Ja po prostu chcę dojechać do Słupska – powtarzała niestrudzenie.

Wedle aplikacji w telefonie ciągle miała szansę zdążyć, jeśli tylko w ciągu siedmiu minut kupi bilet i wsiądzie do pociągu.

– Na ten już pani nie zdąży, odjechał – powiedziała kobieta po drugiej stronie okienka. Nie wyglądała na sługę szatana czy zło wcielone, ale Nina w tym momencie nie założyłaby się nawet o wymiętoloną podróżną kanapkę, że nie jest żadnym z nich albo obydwoma naraz.

– Ale jak: odjechał? Przecież rozkład... – Dziewczyna wymachiwała bezradnie telefonem, na którego ekranie otwarta aplikacja dla podróżnych obiecywała jej dojazd na czas.

– No co ja pani mogę powiedzieć? Błąd mają – oświadczyła kasjerka.

- Dobrze, poproszę bilet do Słupska na pierwszy możliwy pociąg – poprosiła zdesperowana Nina.

- Może być Bachus, z przesiadką w Gdyni Głównej – zaproponowała wspaniałomyślnie kobieta, a Nina poczuła, że zaczyna jej drgać powieka. PKP zeżarło jej plan, a marginesem zakąsiło.

- Ile czasu na przesiadkę? – zapytała ostrożnie.

- Dwanaście minut, zdąży pani – zapewniła kobieta i nie zdołała powstrzymać uśmiechu, który dźgnął Ninę jak rozpalony pogrzebacz prosto w serce.

- A bez przesiadek? – zapytała z nadzieją.

- Może być regionalny, czternasta pięćdziesiąt cztery, o siedemnastej siedemnaście na miejscu.

- Niech będzie – powiedziała dziewczyna z rezygnacją.

- Normalny czy ulgowy? – zapytała kasjerka, stukając w ekran gumką ołówka.

- Normalny – odparła Nina, której niewiele brakowało do trzydziestki.

- A to dobrze, że regionalny, taniej wychodzi.

Nina schowała bilet do dziennika, a ten wpakowała do torby. Do odjazdu pociągu miała ciut ponad godzinę. Straciła już cały optymizm, a i z naiwności dziecka niewiele zostało, nie odważyła się więc wyjść z bagażami poza teren dworca. Jeszcze regio poczułoby się urażone, że nie czeka ze wzrokiem wbitym w tory. W kiosku kupiła sobie kawę i hot doga, po czym zadzwoniła do prawnika z wyjaśnieniem, że na skutek nieoczekiwanych opóźnień PKP nieprędko dotrze do Słupska.

- Proszę się nie martwić, siedzę w biurze przynajmniej do dziewiętnastej – zapewnił.

- Powinnam być przed osiemnastą – odparła niepewnie.

Mruknął coś, ale nie dosłyszała. Został jej tylko posmak zwątpienia.

Regio było o czasie i nie zaliczyło żadnych nieprzewidzianych opóźnień. Było też dziarskim, małym pociągiem, który nie rozpędzał się przesadnie, ponieważ co chwilę musiał się zatrzymywać na kolejnych stacjach. Ponad dwudziestu. Nina zapisywała w dzienniku co ciekawsze nazwy, by czas mijał jej szybciej. Gościcino Wejherowskie. Luzino. Bożepole Wielkie. Pogorzelice. Głuszyno Pomorskie. Strzyżyno Słupskie (tu wreszcie poczuła, że jest prawie na miejscu!). Aż wreszcie w Jezierzycach Słupskich usłyszała wyczekiwany komunikat:

– Następna stacja: Słupsk.

Dotarła. Gdy skład zatrzymał się na dworcu, miała ochotę klaskać, jak pasażerowie samolotu po lądowaniu poprzedzonym turbulencjami. Ten dzień był jedną wielką turbulencją.

Nie wyczuwała słupskiej ziemi, choć głównie dlatego, że była zbyt zmęczona. Minęło dwanaście godzin, odkąd wyjechała z domu, i marzyła o herbacie, ciepłym posiłku oraz odpoczynku.

Złapała taksówkę, a ta zawiozła ją pod adres kancelarii, mieszczącej się w ładnej, odnowionej kamienicy. Zadzwoiła domofonem, modląc się, by to był koniec przeprawy.

Nie wiedziała, że ta dopiero się zaczyna.

KRUCZKI PRAWNE

Prawnik Luli nie wyglądał na prawnika. W brązowym swetrze z zamszowymi łatami na łokciach i drewnianymi guzikami, koszuli w kratkę i sztruksowych spodniach kojarzył się Ninie raczej z nauczycielem łaciny albo antykwariuszem. Nawet nazywał się jak nauczyciel łaciny – Albert Pilch.

Musiał być koło sześćdziesiątki, na jego ciemnej brodzie połyskiwały srebrne pasma, a głowa lśniła łysiną. Zerkał na Ninę zza okularów w masywnych oprawkach i pochrząkiwał cicho, jakby coś ścisnęło mu gardło.

Wprowadził dziewczynę do biura i zapytał, czy chce się czegoś napić. Sekretarka ponoć skończyła pracę godzinę wcześniej – co znaczyło, że są w kancelarii sami i w pierwszym momencie Nina nie czuła się z tym komfortowo. Potem jednak przyjrzała się mężczyźnie i doszła do wniosku, że on i Lula mogli być spokrewnieni, przez co z miejsca nabrała do niego sympatii. Zapytała o to. Zaśmiał się.

– Ma pani dobre oko. Nasze matki były kuzynkami, a babki siostrami, czyli dzieliliśmy pradziadków – odpowiedział. Nina odruchowo narysowała sobie w głowie drzewo genealogiczne. – Cieszę się, że tak szybko udało się pani przyjechać – dodał.

– Proszę mi wierzyć, nic w tym przyjeździe nie było szybkiego – mruknęła Nina.

– Nie pomyślałem, że nie ma pani prawa jazdy – przyznał zafrasowany.

- Och, mam, po prostu nie mam samochodu - odpowiedziała i uśmiechnęła się na widok jego zmieszanej miny. Jakby każda dobiegająca trzydziestki kobieta w jego życiu posiadała przynajmniej jedno auto. - Ostatnie siedem lat pracowałam dla Luli. Mieszkałam z nią. Zatrudniała kierowcę, poza tym korzystaliśmy z berlińskiej komunikacji miejskiej - wyjaśniła.

- No tak, no tak. - Pokiwał głową i zajął się zalewaniem torebek z herbatą.

Coś w jego postawie sprawiło, że Ninie rozdzwoniły się dzwonki alarmowe. Zorientowała się, że Albert Pilch obawia się przebiegu rozmowy. Miał jej do zakomunikowania coś nieprzyjemnego albo coś, co mogła tak odebrać. Owszem, Lula w testamencie zapisała jej dom. Ale na pewno istniały powody, dla których rodzina nie musiała go jej oddawać. Niekoniecznie ta najbliższa rodzina. Synowie Luli nie byli nim zainteresowani, ale czyż sama nie odkryła chwilę wcześniej, że prawnik jest jej kuzynem?

Nina odruchowo wyprostowała się na krześle, jakby gotowała się na cios. Nie pokaże, jak bardzo ją to rozczaruje ani jak duże nadzieje sobie robiła. Przejechała szmat drogi po figę z makiem, bywa. Przynajmniej zrobiła najtrudniejszy krok - opuściła ukochany berliński dom Luli i była otwarta na nowy początek.

Tymczasem Albert Pilch postawił przed Niną filiżankę czarnej herbaty z pływającym po powierzchni plasterkiem cytryny, jak prosiła, po czym ze swoim kubkiem (dużo mniej formalnym od jej porcelanowej czarki) usiadł za biurkiem i z westchnieniem zaczął przekładać zadrukowane kartki leżące na blacie.

Może winę ponosiła długa i mordercza podróż, może napięcie było za duże, a może po prostu dała o sobie znać osobowość Niny, bo dziewczyna ze stuknięciem odstawiła filiżankę na talerzyk i powiedziała:

– Krótko i bez zasłony dymnej, jeśli mogę prosić.

Mecenas spojrział na nią z wyraźną dezorientacją, więc wyjaśniła:

– Zastanawia się pan, jak mi powiedzieć, że jednak nic z tego i mimo zapisu w testamencie dom nie jest mój, a ja jestem panu winna honorarium za zmarnowane godziny pana pracy. Coś pokręciłam?

Zaśmiał się szczerze. Postukał palcem w papiery i powiedział:

– Dom bez wątplenia należy do pani, bez wątplenia istnieje, a moje honorarium dawno zostało już opłacone.

– Ale jest jakiś problem – zauważyła.

– No jest – przyznał niechętnie. – Próbowałem wyperswadować Luli ten zapis, ale się uparła. Na jej usprawiedliwienie powiem tyle, że nie widziała tego domu od... – zastanowił się – dobrych dziesięciu lat. Jakieś piętnaście lat temu w budynku przeprowadzono gruntowny remont, naprawiono dach, wstawiono nowe okna, zdaje się też, że wymieniono część instalacji. Jednak nie wszystkie. To bardzo stary dom. I przez lata mieszkał tam tylko pan Uklej, ojciec Luli. Nie chcę mówić źle o zmarłych... ale ten dom był dla niego za duży, a on nie przejmował się za bardzo sprawami doczesnymi... Zmarł ponad dekadę temu i dom przypadł Luli, ale nie bywała tu, nawet przed chorobą, nie ciągnęło jej na stare śmieci. Co prawda opłacała kogoś, kto zaglądał tam regularnie, dbał o podstawy, ale rozumie pani, przez dziesięć lat nikt tam nie mieszkał. A to nie pozostaje bez wpływu na budynek.

– Czyli to ruina? – zapytała, a jej głos zadrżał.

Miała spore środki, ale obejrzała wystarczająco dużo programów telewizyjnych o renowacjach starych domów, by wiedzieć, że nie stać jej na takie przedsięwzięcie.

– Nie powiedziałbym, że ruina – prawnik ostrożnie dobierał słowa – wymaga jednak sporo... miłości. I pewnych nakładów. Choć tu

Lula zadbała o podstawowe kwestie i spadek zawiera też niewielki fundusz remontowy. Problemem jest coś innego... Widzi pani, to nie jest dom w mieście. Dom Uklejów, jak zawsze nazywano w rodzinie tę posiadłość, mieści się w lesie. Nieopodal Ustki, koło osady Zapadłe, w sołectwie Przewłoka... Pani to nic nie mówi, ale to nie jest dom dla samotnej młodej kobiety! Bez samochodu! Bez opieki! A jeszcze Lula dosyć lekkomyślnie umieściła w testamencie zapis o tym, że nie może go pani sprzedać przez przynajmniej rok, i to rok, w którym pani ma tam mieszkać! Nie twierdzę, że to jest nawiedzone miejsce, ale też nie ma żadnych dowodów, że nawiedzone nie jest! – Tu już Alberta Pilcha poniosły emocje i żywo gestykulował.

Nina patrzyła na niego uważnie, przyswajając to, co powiedział. Spodziewała się kłopotów, rozczarowania i zawiedzionych nadziei. Ale nie czegoś takiego.

– Czyli jedynymi problemami, jaki może pan wskazać, są moja płeć, mój wiek, stan cywilny i potencjalna obecność duchów? – upewniła się.

Albert Pilch miał dość przyzwoitości, by się zarumienić.

– Ja... przepraszam, to mogło tak zabrzmieć, ale myślę, że pani zrozumie lepiej, co miałem na myśli, kiedy zobaczy pani posiadłość. Czy chce pani to zrobić jeszcze dziś, czy odwieźć panią do hotelu, a do Zapadłego podjedziemy rano?

– Nie mam rezerwacji w żadnym hotelu. Jeśli dom istnieje i nie pobiegł w dzikie ostępy na kurzej łapce, chciałabym go zobaczyć i już w nim zostać... – A widząc, że znów zrobił minę troskliwego wujka, którego siostrzenica zaciąga się samowolnie na statek piracki, dodała: – Rozumiem, że dom może być nieco... cóż, zapuszczony, ale przeżyję odrobinę kurzu i ziąb. Jutro podjadę do

Ustki i kupię wszystko, czego mi zabraknie, a teraz, po całym dniu, po prostu marzę o łóżku.

Prawnik wypuścił głośno powietrze.

– Jest pani dokładnie taka, jak opowiadała Lula. W domu czekają na panią świeża pościel, ręczniki i inne rzeczy, które poleciła zakupić. Wiedziała oczywiście, że będzie pani chciała od razu zakwaterować się w nowym lokum, ja powątpiewałem. Mam widać zbyt wysokie mniemanie o zdrowym rozsądku młodych kobiet – oświadczył, a w jego oczach zalśniły iskierki humoru. – Dobrze więc, nie ma na co czekać, bo i tak już się ściemniło. Zawiozę panią do pani nowego domu i wszystko wytłumaczę po drodze. Ja się zajmę sprawami formalnymi, wpisem do ksiąg wieczystych i podatkami. Jeśli sobie pani tego życzy, służę pomocą z przepisaniem umów na media, mam wszelkie dyspozycje, po wpisie do ksiąg wieczystych nie będzie problemu z meldunkiem i całą resztą.

Wstał zza biurka.

– To co? Ruszamy?

Nina zerwała się z krzesła.

– Natychmiast! Zanim to wszystko okaże się snem!

– Kto wie, czy gdy zobaczy pani dom, nie uzna pani, że to koszmar, a Lula była bardzo złośliwą staruszką – zauważył prawnik.

– Lula była złośliwa, to bez dwóch zdań, obraziłaby się, gdybym zaprzeczyła, ale serce miała ze złota – oświadczyła Nina lojalnie.

*

Albert Pilch złapał walizkę Niny i zniósł ją do swojego samochodu. Dziewczyna szła za nim, uginając się pod ciężarem plecaka i torby. Lula miała nosa, pomyślał. Były takie same. Gdyby nie znał jej sytuacji rodzinnej, mógłby uznać Ninę Rawicz za córkę kuzynki. Doskonale pamiętał Lulę z czasów jej młodości. Ten sam ogień w

oczach, ten sam temperament. Lula też by się obruszyła za komentarz o samotnej młodej kobiecie, choć przecież taka była prawda. Nadal nie czuł się najlepiej z myślą, że ma ją zostawić samiuteńką w tym domu, ale potrafił rozpoznać, kiedy sprawa jest z góry przegrana.

MIŁOŚĆ OD PIERWSZEGO SKRZYPNIĘCIA

Nina ze wszystkich sił starała się nie zasnąć. Dyskretnie szczypała się w przedramię, usztywniała plecy, by nie zapaść się w nieznośnie komfortowym podgrzewanym siedzeniu volvo Alberta Pilcha, ale walka z każdą chwilą wydawała się bardziej bezcelowa. Płynąca z radia melodia jakiegoś starego pościelowego szlagieru nie pomagała. Ciepłko z fotela przenikało w głąb kości i roztopiało zimne węzły, z których istnienia Nina nie zdawała sobie sprawy. Cholera jasna, mogłaby w tym fotelu spędzić kolejny rok i nie znalazłaby zbyt wiele powodów do narzekania...

- Wszystko w porządku? - zapytał prawnik zatroskanym tonem, który dużo lepiej pasowałby do nauczyciela łaciny niż do rekina palestry.

- Długi dzień - przyznała i usiadła prosto, odrywając plecy od podgrzewanej powierzchni.

- Chcę, aby pani wiedziała, że jeśli postanowi nie zostawać tam przez kolejny rok, zrozumiem i zrobię, co w mojej mocy, by wszystko dobrze się ułożyło od strony prawnej. Rozmawiałem z Thomasem. Żaden z synów Luli nie zamierza kwestionować testamentu tylko dlatego, że wykaże się pani rozsądkiem. Zgadzą się też, że Lula mogła nie mieć wszystkich kluczowych informacji, bo gdyby miała, pewnie nie podjęłaby takiej decyzji.

Nina nie odpowiedziała. Powieki wciąż jej ciążyły, ale stan błogości szybko ustąpił, gdy przypomniała sobie, w jakich

warunkach zdarzało jej się mieszkać, zanim wreszcie ukończyła osiemnaście lat i uciekła od rodziny najpierw pod dach pani Joli, a potem w obskurne objęcia akademika, który na tle tego, co znała, wydał jej się rajem. Nie zamierzała opowiadać prawnikowi o cyklach, wedle których żyli jej rodzice – krótkie zrywy normalności, a potem nieuchronne upadki, nawroty i ciągi ojca, a zaraz po nich solidarne kryzysy matki. Doskonale pamiętała wyprowadzki w środku nocy, byle tylko uniknąć płacenia czynszu. I coraz gorsze mieszkania socjalne. Od czasu do czasu jakimś cudem wychodzili na prostą. Nie, nie wierzyła w cuda, ale wołała nie wiedzieć, skąd rodzice nagle mieli forszę na wynajęcie mieszkania i zapłacenie rachunków, czy nawet odpalenie jej dwudziestu złotych kieszonkowego. Dość wcześnie odkryła, że to nigdy nie trwa wiecznie. Nie było takich pieniędzy, których jej ojciec nie dałby rady przepuścić, przy wydatnej pomocy matki. Miała trzynaście lat, gdy zaczęła odliczać. Tylko pięć, nim będzie mogła zniknąć, a oni stracą możliwość, by ją zatrzymać. Nie żeby wierzyła, że faktycznie zechcą to zrobić. Podejrzewała, że po cichu też odliczają do tego momentu. Gdy wreszcie skończyła osiemnaście lat, miała tak mało własnych rzeczy, że spakowała się w jedną niebieską torbę z Ikei, którą dostała od nauczycielki polskiego. Razem z torbą dostała też zmieniającą życie ofertę – przez ostatni rok liceum mieszkała u pani Jolanty, a ta oddała jej do użytku pokój syna, który wyjechał na studia. Nina nigdy nie zapomniała tamtego szoku – oto ktoś nie tylko przejmował się nią na tyle, by zauważyć, że coś jest grubo nie w porządku w rodzinnym domu, ale też by aktywnie pomóc jej się stamtąd wyrwać. Ten rok z panią Jolą był najspokojniejszym rokiem w dotychczasowym życiu Niny. Mogła się uczyć, czytać, pisać. Nie musiała się chować przed awanturami. Nigdy nie chodziła głodna. A kiedy przyszedł czas matur, pani Jola kupiła jej czarną sukienkę i

dopasowaną marynarkę. W normalnym sklepie, nie z ciuchami na wagę.

– Przydadzą ci się potem na egzaminy – powiedziała, jakby było oczywiste, że dziewczyna pójdzie na studia.

I dopilnowała, by tak właśnie się stało. Pomogła się Ninie przygotować, złożyć papiery i uciszała złośliwy głos z tyłu głowy dziewczyny, który mówił, że to się nie może udać, że się nie nadaje, że robiąc sobie nadzieje, jest idiotką, bo każda osoba spotkana na ulicy ma wyższe kwalifikacje niż ona. Głos, który, jak Nina musiała po cichu przyznać, brzmiał podejrzanie podobnie do głosu jej matki.

Pani Jolanta w nią wierzyła. Ale też wyposażyła ją w praktyczne umiejętności, dzięki którym rozpoczęcie studiów znalazło się w jej zasięgu. Na przykład pomogła jej złożyć wniosek o akademik i podanie o stypendium socjalne.

Na pierwszym roku polonistyki było ciężko. Nina miała za dużo nauki, by móc wcisnąć pracę dorywczą, ale pani Jolanta dbała, by nie chodziła głodna. Wpadała do akademika ze słoikami i dyskretnie podrzucała jej do puszki na herbatę choć kilkadziesiąt złotych.

– Od drugiego roku będzie ci już łatwiej, bo dostaniesz stypendium naukowe – mówiła, jakby to było oczywiste. I najdziwniejsze, że tak właśnie się stało.

A potem nagle umarła. Jednego dnia była, drugiego zniknęła na zawsze. Nie chorowała, nie uskarżała się na nic. Po prostu naczynko krwionośne w jej mózgu pękło i skończyło życie najwspanialszej osoby w życiu Niny. Dziewczyna nie mogła się pozbierać. Prawie zaważyła semestr. A potem przypomniała sobie, że to ostatnie, czego by chciała pani Jolanta, więc wzięła się w garść i skończyła studia z najlepszą lokatą na roku. Równocześnie zrobiła kurs dla opiekunek osób starszych. I wyjechała do Niemiec za pracą.

Otrząsnęła się ze wspomnień. Tak, jakikolwiek okaże się dom, który zapisała jej Lula, z całą pewnością nie będzie najgorszym lokum, w jakim miałyby zamieszkać.

– Wszystko w porządku? – powtórzył prawnik, zaniepokojony nie na żarty. Nina uświadomiła sobie, że po policzkach spływają jej łzy.

– Tak, przepraszam, myślałam o Luli – skłamała.

Nie była gotowa na konfrontację z myślą, że wisi jej nad głową jakaś klątwa i każda osoba, która okazuje jej choć odrobinę ciepła, wchodząc w buty zastępczej matki, kończy martwa prędzej niż później.

Lula i Jolanta polubiłyby się. Obie zobaczyły w Ninie coś, czego sama w sobie nigdy nie widziała. Tylko szacunek żywiony do obu kobiet nie pozwalał jej się kłócić z ich oceną jej osoby.

Minęli Przewłokę, a potem znak przy wjeździe do Zapadłego. Mecenas skręcił w gęsto zadrzewioną drogę i nagle jeszcze bardziej zaniepokoił się losem samotnej dziewczyny w środku lasu. Oczywiście „środek lasu” brzmiał dużo bardziej dramatycznie, niż wskazywała rzeczywistość. Nie ujechali nawet kilometra, nim znaleźli się na miejscu, więc trudno było mówić o głuszy. Ale dom otaczały drzewa, więc specjalnie nie przesadził. Zwłaszcza że latarnie skończyły się dużo wcześniej.

Zaglądał tu w ostatnich dniach, przywiózł rzeczy z listy sporządzonej przez Lulę. Zawsze za dnia. Już wtedy dom zrobił na nim wrażenie nieco przygnębiającego, jeśli nie nawiedzonego. Teraz, gdy patrzył na masywną, jasną bryłę budynku i nagie, ciemne gałęzie drzew, które otaczały ją jak czarna koronka, odruchowo się skulił. To był po prostu zły pomysł!

– Możemy wrócić rano – zaproponował.

– W życiu – odparła dziewczyna i wyskoczyła z auta.

Z westchnieniem wyszedł za nią. Nie wyjął od razu bagażu, dając jej szansę na zmianę zdania.

Młoda kobieta stała przed domem, zadzierając głowę, z wyrazem bezbrzeżnego oszołomienia na twarzy.

– Sama pani widzi – powiedział łagodnie.

Nina zasłoniła twarz dłońmi, potarła policzki, a potem poklepała się po nich, wcale nie delikatnie, jakby upewniała się, że nie śpi.

– Jezu, ona oszalała, całkowicie oszalała – mruzczała do siebie, szczypiąc się w policzki niczym wiktoriańska panna pracująca na rumieńce.

– Lula na pewno chciała dobrze, po prostu nie była świadoma... – bronił kuzynki Albert.

Nina pokręciła głową.

– Nie rozumie pan... Spodziewałam się domku. Malutkiego, wiejskiego domku. A to... – machnęła dłonią w stronę jasnej bryły – to jest cholerna rezydencja! Jak ona mogła mi to zapisać? Jak jej synowie mogli się o to nie kłócić? Przecież to miejsce jest warte fortunę!

Albert wiedział dokładnie, ile dom jest wart, bo na zlecenie Luli regularnie sprowadzał rzeczoznawcę i robił wycenę, by ubezpieczyć nieruchomość na kolejny rok, ale przeczuwał, że jeśli rzuci kwotę, wcale nie pomoże Ninie, która zdawała się właśnie przeżywać załamanie nerwowe.

– Wejdziemy do środka? – zaproponował.

Pokiwała głową, niezdolna wykrztusić choć słowo.

Klucz gładko przekręcił się w zamku, a gdy Albert pchnął drzwi, rozległo się głośne skrzypienie zawiasów.

Nina pogładziła dłonią masywne skrzydło.

– Ty też witaj – szepnęła. Gdyby nie obecność prawnika, który był jak skrzyżowanie nauczyciela z troskliwym misiem i kwoką, pewnie

by się rozplakała. Jeszcze zdąży.

Na razie miała dom do zapoznania. Własny dom!

TO MOŻE POCZEKAĆ DO RANA

Prawnik wszedł pierwszy, jakby musiał się upewnić, że nic się na Ninę nie czai w ciemności. Jedyne, co się bez wątpienia czaiło, to wzruszenie, więc dziewczyna rozglądała się w milczeniu, pewna, że jeśli spróbuje cokolwiek powiedzieć, głos, który wydostanie się ze ściśniętego gardła, będzie krępująco piskliwy. Zaglądała więc po prostu do kolejnych pomieszczeń.

Korytarz biegł w poprzek domu jak kręgosłup, na tyle szeroki, że nawet gdyby ustawiła na obu ścianach regały z książkami, mogłaby się między nimi obrócić w sukni balowej. Nie żeby planowała takie ekscesy, ale dobrze wiedzieć. Po prawej stronie był duży pokój, coś jak skrzyżowanie jadalni i bawialni, z długim drewnianym stołem dla dwunastu osób i krzesłami o wysokich, rzeźbionych oparciach, oraz kanapą, szezlongiem i fotelem uszakiem ustawionymi w kształt litery U wokół niskiego, okrągłego stolika. W miejscu, gdzie można byłoby się spodziewać kominka, stało pianino – w jego politurze blask żarówek z kryształowego żyrandola wiszącego nad stołem wyciągał miodowe, prawie złote refleksy. Na ścianach wisiało kilka obrazów – krajobraz nadmorski i morski pejzaż z pirackim okrętem. Może zresztą nie był piracki, a za ciemną barwę żagli odpowiadał stary werniks, ale tak się Ninie skojarzył. Oba okna zaciągnięto ciężkimi kotarami. Pokój wyglądał jak idealna scenografia sztuki Czechowa, nie było tam nawet żadnego telewizora czy radia,

żadnego śladu PRL-owskiej myśli architektonicznej, jakby przedwojenne wnętrze zostało zatopione w bursztynie.

Nina przeszła do pokoju po drugiej stronie korytarza. Za przeszklonymi drzwiami kieszeniowymi efekt zatrzymania w czasie był nawet silniejszy. Wszystkie meble przesunięto pod ścianę i przykryto białymi prześcieradłami. Zwinięty dywan stał w kącie. W żyrandolu pod sufitem brakowało kilku żarówek, a dwie, niezbyt silne, ledwie rozpraszały mrok. Pokój był jeszcze większy od jadalnio-bawialni. Mogłaby tu urządzać wieczorek z tańcami, wprowadzający do towarzystwa okoliczne panny na wydaniu. Dom podkarmił jej wyobraźnię w dziwny sposób i nagle zobaczyła to pomieszczenie w świetle świec, z młodymi kobietami w malowniczych grupkach, w kolorowych, wiosennych sukniach pierwszego sezonu w ich życiu.

Przeszła przez całą długość pokoju do zamkniętych drzwi. Za nimi nastrój gwałtownie się zmieniał. Wzdłuż obu ścian ciągnęły się ciemne drewniane regały na książki, pod oknem – z zaciągniętymi roletami – stało masywne drewniane biurko i równie masywny fotel, a zaraz przy drzwiach długa, ale wąska skórzana kanapa. Jako jedyna wyglądała na często używaną – wygniecenia i wytarcia widać było nawet w niezbyt intensywnym świetle pojedynczej żarówki za bordowym abażurem. Przez oparcie przewieszono gruby koc, a poduszka sprawiała wrażenie takiej do spania, nie dekoracyjnej.

– Pan Uklej miał w zwyczaju tu sypiać – przyznał prawnik. – Dom był dla niego za duży, korzystał z tego pokoju, kuchni i łazienki, góra była właściwie zamknięta i nieogrzewana. Kaloryfery w całym domu są już odpowietrzone, ale trochę potrwa, nim pomieszczenia się nagrzeją.

Podszedł do ściany i nacisnął klamkę drzwi tak zgrabnie wpasowanych w stolarkę regałów i boazerii, że Nina ich nie

zauważyła. Wyszli na korytarz, dokładnie po przeciwnej stronie domu.

– Jest taki... wielki – wyszeptała.

– Nie aż tak, jak się pani wydaje – zapewnił prawnik. – To przez wysokość pomieszczeń, była nietypowa, nawet gdy dom budowano, sto dwadzieścia sześć lat temu. Okna też są wyższe niż normalnie, podczas wymiany trzeba było zamawiać nowe na wymiar. Spory koszt, którego pani na szczęście uniknęła.

Nina uświadomiła sobie, że bronił domu, jakby sądził, że jej się nie podoba.

– Dom jest wspaniały – zapewniła. – Po prostu jestem sama jedna i w wykorzystaniu przestrzeni pewnie będę niewiele lepsza od ojca Luli.

– Och, na pewno coś pani wymyśli. – Uśmiechnął się z ulgą. – Nic tak nie wypełnia przestrzeni jak dzieci.

Nina ugryzła się w język, zanim wypaliła, że musiałyby chyba założyć sierociniec i przygarnąć ich setkę, by wypełniły tę przestrzeń. Nie zamierzała też wyjaśniać Albertowi Pilchowi, że wcale nie rwie się do rodzenia i nie jest pewna, czy jakiegokolwiek dzieci są jej pisane, bo jeśli nie dojdzie do dziwnego zwiastowania albo nie okaże się jedyną w historii ludzkości osobą wiatropylną, to z potomstwa nici.

Prawnikiem tymczasem włączał kolejne lampy i prowadził ją do, jak sam to nazwał, najnowocześniejszej części domu. Okazało się, że to wcale nie jest zaleta. Kuchnia odstawała wizualnie od reszty pomieszczeń – szafki zdawały się pochodzić ze schyłkowego PRL-u, za sprawą błyszczącego forniru na płytach pilśniowych i fałszywego, samoprzylepnego marmuru na blatach. Ale pomieszczenie było spore, z dużym oknem i znaczną przestrzenią roboczą. Poza tym nie żeby Nina była mistrzynią gotowania, ale mimo to z ulgą odkryła, że

kuchenka jest sprawna. A zatem nie będzie zdana na zupki z paczki zalewane wodą z czajnika.

Albert Pilch pchnął niewielkie drzwi, tak niskie, że nawet ona musiała się odrobinę schylić. Pokazał jej piec gazowy służący do ogrzewania domu („na podwórku wkopany jest solidny zbiornik, pełny, nie musi się pani nim martwić przez kilka miesięcy”), bojler, jakieś przełączniki, rury i kable, przy których kompletnie się zgubiła i nie zapamiętała, do czego służą. Za to wśród licznych skrzynek, pudeł i betów stojących w kątach, rozpoznała zestaw do produkcji wina, a na regale w kącie piętrzyło się kilkadziesiąt słoików – niewykluczone, że większość starsza od Niny.

Wrócili do kuchni.

– Tu jest część rzeczy z listy, którą sporządziła Lula – powiedział Pilch, wskazując na plastikową skrzynkę na blacie.

Nina wypatrzyła puszkę ze swoją ulubioną herbatą i poczuła gułę rosnącą w gardle.

– Reszta jest na górze – ciągnął prawnik. Kiwnął w stronę kolejnych niewielkich drzwi i dodał: – Tam jest garaż. Nie wiem, czy auto w ogóle da się uruchomić, ale jest twoje, jak wszystko inne. Tylko ostrożnie, w garażu łatwo o wypadek.

– Uprzedzę o tym dzieci, nim zaczną biegać po kątach – zapewniła.

– Dzieci?

Nina pokręciła głową, bo gdyby zaczęła wyjaśniać cały żart z wiktoriańskim sierocińcem, prawnik jeszcze bardziej zacząłby wątpić w jej poczytalność.

Nagle coś sobie uświadomiła.

– Czy tu w ogóle są łazienki? – zapytała. O ile mogła sobie wyobrazić życie bez wielu wygod, o tyle wizja korzystania z nocników i sławojki w żaden sposób nie wydała jej się pociągająca.

- Och, nawet kilka. - Znow poprowadził ją na korytarz. Drzwi były częściowo schowane pod schodami. - Kiedyś to była otwarta przestrzeń, ale gdy pojawiła się potrzeba zainstalowania sanitariatów, dziadek Luli wpadł na pomysł wykorzystania jej w słusznym celu. To zapewne jedyne pomieszczenie, które nie ma powyżej trzech i pół metra wysokości.

Łazienka okazała się spora, choć rzeczywiście niezbyt wysoka. Nina mogła dotknąć sufitu bez stawania na palcach. Ale była tam toaleta, wanna na nóżkach, umywalka i wciśnięta w róg pralka. Design kafelków sugerował, że ostatni remont tego pomieszczenia przeprowadzono gdzieś na początku wieku, góra piętnaście lat temu. Całkiem nieźle.

Albert stanął u stóp schodów i spojrzał na nie z wyraźną obawą.

- Góra wygląda dużo gorzej? - zgađła Nina.

- Niezupełnie... ale muszę panią ostrzec. Schody... no... wymagają więcej niż kilku śrub i odrobiny kleju. Powinny zostać wymienione razem z dachem i oknami, ale Uklej nie chciał o tym słyszeć. Był upartym człowiekiem o ograniczonej cierpliwości do, jak to nazywał, wybebeszania mu domu. Remont trwał jego zdaniem za długo i gdyby to zależało tylko od niego, ciągle byłyby tu stare, jednoszybowe okna zaklejone farbą tak, że nie dało się ich otworzyć. - Prychnął z niesmakiem. - Luli zależało na modernizacji, ale wiedziała, które bitwy wybierać. Piec, okna i dach były najważniejsze. Schody mniej. Tylko... no, chwieją się. I koniecznie trzeba wzmocnić balustradę. Lepiej chodzić przy ścianie, bo łatwo o wypadek.

Nina słuchała słów prawnika, ale zmęczenie i przytłoczenie nadmiarem nowości zaczynało z nią wygrywać. Pilch tymczasem kiwał słupkiem balustrady, pokazując, jak bardzo jest niestabilna.

- Przy ścianie, nie ufać balustradzie - powtórzyła i ziewnęła.

- Może ja przyniosę pani bagaże i na dziś skończymy? Miała pani koszmarne długi i męczący dzień – zaproponował empatycznie.

- Brzmi wspaniale – przyznała. Marzyła tylko o tym, by się umyć i położyć do łóżka.

Prawnik dziarsko ruszył do auta i po chwili zjawił się z powrotem, niosąc walizkę i plecak Niny.

Odprowadziła go do wyjścia i zapaliła światło na ganku, patrząc, jak odjeżdża. Ważyła w dłoni ciężki pęk kluczy, który jej wcisnął na pożegnanie. Nadal nie mogła w to uwierzyć.

Klepnęła wyłącznik światła przy drzwiach wejściowych, coś głośno pyknęło i nagle zalała ją ciemność. Zgasły wszystkie światła w domu. Musiało wysadzić korki! Popatrzyła z wyrzutem na lampę, potem na włącznik, bo nie miała pewności, która z tych rzeczy jest winna zwarcia. Skrzynka z bezpiecznikami była... cholera, nie wiedziała. Możliwe, że w graciarni, tam gdzie piec, zawory, przetwory i tona gratów, choć wcale niekoniecznie.

Jeśli zadzwoni do prawnika, by o to zapytać, ten wróci przekonany, że jest, jak sądził początkowo, kruchym dziewczęciem wymagającym stałej opieki. Miała wrażenie, że tylko resztki rozsądku dzieliły go od owinięcia jej kocem i zabrania z dala od tego „straszego domu, w środku lasu, zupełnie nie dla panienek”, który to dom miał się z miejsca stać bezpieczniejszy, gdy tylko zapełni go dziećmi. Ciekawy tok myślenia. W kwestii stróżowania Nina raczej skłaniałaby się ku psom, ale może nie doceniała umiejętności obronnych niemowląt i przedszkolaków.

Przez chwilę stała w ciemności, zastanawiając się, co właściwie powinna zrobić.

- To może poczekać do rana – powiedziała do siebie.

Wcale się nie paliła do buszowania po ciemku w kanciapie zawalonej gratami. Latarka w komórce miała swoje ograniczenia, a

tam przydałby się reflektor typu scenicznego. Niewykluczone, że ciemność dodatkowo podsycała jej wyobraźnię, bo nagle pomyślała, że jeśli gdzieś w tym domu są szczury, to właśnie tam. Może już nawet opanowały otwieranie słoików. Przed oczami stanęły jej wielkie, umięśnione bestie, odkręcające weki, bo wódka łatwiej wchodziła im pod kiszonka.

- Opanuj się, bo zaraz napędzisz sobie takiego stracha, że wybierzesz nocowanie w lesie. A będzie padać! - ostrzegła samą siebie. O dziwo, zdołała się uwolnić od obrazu szczurów z ogórkami.

Przyświecając sobie komórką, wróciła do jadalni, gdzie prawnik zostawił jej bagaże. Zarzuciła sobie na ramię ciężki plecak, a z walizki wyjęła tylko kosmetyczkę i piżamę. Nie potrzebowała niczego więcej, poza tym wolała przetestować te zdradliwe schody bez dodatkowego obciążenia. Zgodnie z sugestią trzymała się ściany i nawet nie zbliżyła się do balustrady. Schody wydały jej się całkiem solidne. Nic się nie trzęsło ani nie ugięło, nie trzeszczało w niepokojący sposób, doszła więc do wniosku, że prawnik przesadzał. Albo może pan Uklej dokonał jakichś napraw, których Pilch nie był świadomy?

Latarka w komórcie dawała niewiele światła, do tego bateria była na ostatnich nogach, ale na szczęście Nina miała w plecaku powerbank. Bo była pewna, że jeśli wywaliło korki, to w gniazdkach też nie ma prądu.

Na górze panował nieprzyjemny ziąb. Pewnie, jak mówił Pilch, minie chwila, nim kaloryfery się rozgrzeją. Nieprędko będzie tu można chodzić boso, jak lubiła.

Rozejrzała się pobieżnie. Pomieszczenia na górze musiały być mniejsze, bo zauważyła znacznie więcej drzwi niż na parterze. Otworzyła te najbliższe schodów i odkryła kolejną łazienkę, a te bardziej po lewej prowadziły do pokoju z łóżkiem. Na

patchworkowej narzucie leżały schludnie poskładane pakunki: nowa pościel, komplet poszewek w romantyczne kwiaty, puchaty koc przewiązany wstążką oraz komplet ręczników w kolorze szarym, we wszystkich chyba rozmiarach, od wielkiego kąpielowego po maluszka do twarzy.

Prawnik wspominał o jakiejś liście i Nina aż zaczęła się zastanawiać, czy Lula napisała na niej „ręcznik”, a on, nie wiedząc, jakiego ręcznika może potrzebować młoda kobieta, kupił wszystkie, jakie znalazł. A może dawna pracodawczyni była precyzyjna i przewidziała wszelkie jej ręcznikowe potrzeby? To, że chorując, szykując testament i porządkując swoje sprawy przed rychłym zgonem, znalazła w ogóle czas, by pomyśleć o takich drobiazgach, było dla niej takie typowe... Luli nigdy nic nie umykało, do tego miała nadzwyczajny dar planowania. W innych rękach mógłby doprowadzić do podbicia wszechświata, ale Lula wykorzystywała go zwykle do robienia najdoskonalszych prezentów gwiazdkowych i urodzinowych.

Nina złapała się na tym, że siedzi na łóżku i gładzi ręczniki, myśląc o przyjaciółce, w gardle rośnie jej klucha, a oczy szczypią od łez. Jeszcze tego dziś brakowało, by się rozkleiła z powodu ręczników! Choć, nie mogła zaprzeczyć, bardzo ładnych i bez wątplenia dobrej jakości.

Była zbyt zmęczona na kąpiel, zaliczyła więc tylko toaletę, umyła ręce, ochlapała twarz wodą i wyszorowała zęby. Wszystko inne musiało poczekać na światło i nową energię, bo Nina ciągnęła już na resztkach swoich baterii, nie mniej niż jej komórka.

Już w piżamie, szybko oblekła świeżą pościel i wpakowała się do łóżka. Jęknęła z rozkoszą. Jej kręgosłup, który wciąż pamiętał wszystkie te godziny na niewygodnych fotelach w pociągach i w poczekalniach dworcowych, dekompresował się teraz, gdy wreszcie

mogła wyciągnąć się na płasko. Czasami naprawdę niewiele brakowało jej do szczęścia. Ustawiała na stoliku nocnym butelkę z resztką wody i w ostatniej chwili przypomniała sobie o powerbanku. Wyciągnęła go z plecaka i podłączyła telefon, a przy okazji zamknęła aplikację latarki. Już miała układać się do snu, gdy ekran rozjarzył się w ciemności i zobaczyła migające intensywnie powiadomienia – przy ikonce komunikatora wyświetlała się jakaś absurdalna liczba.

Gracje w natarciu, pomyślała i kliknęła w ikonę, wyświetlając ukochaną grupę wsparcia. Zdawała przyjaciółkom relacje podczas podróży, mimo to przez ostatnie trzy godziny Agata i Zuza zostawiły jej kilkadziesiąt wiadomości. Omiotła wzrokiem ostatnie: „Żyjesz?” „Dotarłaś?” „Czy prawnik jest mordercą? Daj znak życia albo ruszamy z planem odbicia cię z jego łap! Chyba że to przystojniak i wcale nie potrzebujesz ratunku – wtedy daj znać, żebyśmy nie wparowały, gdy będziecie w negliżu!”

Roześmiała się. Daj dwóm pisarkom czas i niedobór informacji, a wykluje im się spisek, morderstwo i romans. Odpisała krótko: „Żyję, jest okej. Prawnika już w drodze do domu, ja w łóżku. Rano wam wszystko opowiem, padam na twarz”.

Przez chwilę na ekranie podrygiwały trzy kropeczki, a potem pojawiła się emotka uniesionego kciuka od Agaty. Zuza po chwili dorzuciła:

– Śpij, śpij, ale wciąż nie powiedziałaś: CZY PRAWNIK JEST PRZYSTOJNY?

Nina parsknęła śmiechem i odpisała:

– Nie pasowałby do żadnej z twoich powieści, chyba że napiszesz romans o wykładowcy łaciny.

Zuza odpowiedziała uśmiechem, a potem dopisała:

– Każdy ma potencjał na herosa romansu, gdy zmrużysz oczy.

Agata dorzuciła:

- Albo imperatyw narracyjny nie ma litości.

Wariatki. Uwielbiała je.

- Mój imperatyw narracyjny milczy. Dobranoc.

Mimo obcych dźwięków, skrzypienia starych desek i szumu wiatru w kominie zasnęła. Dopiero po północy coś wyrwało ją ze snu i choć się starała, nie mogła do niego wrócić. Leżała w ciemności, zbyt zmęczona by zrobić cokolwiek innego, zbyt pobudzona, by zasnąć. Jej wyobraźnia miała używanie, a dźwięki burzy i odgłosy starego domu układały się w gotycką symfonię, sprawiając, że nie mogła zmrużyć oka. A potem fantazja przerodziła się w całkiem realny odgłos kroków. Ktoś był w domu!

DWADZIEŚCIA SIEDEM MINUT SAM NA SAM Z NIEBOSZCZYKIEM

Nina nie zamierzała panikować. Gdyby włamywacz miał współnika, ten już by się ujawnił, więc albo nieszczęsny intruz przyszedł sam, albo jego towarzysz zwiął. Może usłyszał, że Nina dzwoni po policję. Tak, to było logiczne. Nic jej więc nie grozi, nie licząc grawitacji, jako że siedziała tuż nad przepaścią. Czemu zatem się trzęsła, owinięta w ciasny kokon kołdry?

Szok. Jestem w szoku, pomyślała rozsądnie. Dom jest stary i niedogrzany. Duchy nie istnieją, a natrętne poczucie czyjejś obecności jest grą mojej wyobraźni.

Zawsze miała ją nieco rozbuchaną. Co było przydatne, kiedy wymyślała fabuły, ale okazało się kłopotliwe, kiedy w starym domu pośrodku lasu siedziała w towarzystwie trupa, czekając na przyjazd policji.

Do Ustki były raptem trzy czy cztery kilometry, jednak mijały kolejne minuty, a nikt się nie zjawiał. W pewnym momencie przypomniała sobie, że zamknęła drzwi wejściowe na zamek, więc nawet jeśli ktoś przyjedzie, nie będzie mógł wejść, a ona nie zdoła go wpuścić, siedząc tu na górze...

Rany, gdyby to była fabuła, wymyśliłaby coś znacznie bardziej schludnego, dającego bohaterce szersze pole manewru. Porządna heroina nie czekałaby na schodach, zawinięta w kołdrę jak burrito,

aż pojawi się policja i wybawi ją z problemu. Byłaby w znacznie mniejszym stopniu burritem, a w znacznie większym heroiną. Nina oparła czoło na kolanach, godząc się ze swoim losem. Żadna z niej heroina.

W ciemności nie widziała wyraźnie twarzy nieboszczyka leżącego w rumowisku, ale była pewna, że wbija w nią wzrok – nieruchomy, martwy i upiorny. Głośno przełknęła ślinę. Dom, jeszcze chwilę temu wypełniony milionem odgłosów, skrzypnięć i szelestów, teraz jak na złość postanowił zamilknąć.

Nie mogąc tego znieść, kliknęła ikonkę chatu.

– Jesteście? – zapytała.

Było po północy, Agata i Zuza na pewno spały... A jednak nie. Szybko pojawił się symbol trzech kropek – znak, że któraś jej odpisuje – po czym wyświetliła się wiadomość od Agaty:

– Na stanowisku, co tam?

Zuza zaraz dorzuciła:

– Ciężko zasnąć w nowym domu?

Nina prawie popłakała się z ulgi. I zaczęła pisać najszybciej, jak umiała, palce ślizgały się po ekranie:

– Ktoś się włamał do domu, a teraz nie żyje. Jestem unieruchomiona na zawalonych schodach. A mniej niż dziesięć metrów ode mnie leży trup. I jestem pewna, że patrzy się na mnie, swoimi trupimi oczami. Niezłe powitanie w nowym domu, w nowym mieście. Kto jest najbardziej pechową dziewczyną na świecie? Powinnam wiedzieć, że to, co wyrabiało PKP, to były ZNAKI!

Wysłała wiadomość.

– PKP i znaki? Musiałoby działać zgodnie z planem wszechświata, a to przekracza jego możliwości – odpisała Zuza.

- Czy ty przegapiłaś, że ona ma tam trupa? - zapytała uprzejmie Agata.

- Nie, wiedziałam, że ty się nim zajmiesz, ja tylko prostuję błędy i wypaczenia, bo jeszcze jej się utrwali, że PKP ma jakiekolwiek połączenie z siłami wyższymi.

- Ty mówisz serio z tym trupem? - zapytała Agata. - Kto to jest? Zrobił ci krzywdę?

- Serio, serio. Nic mi nie zrobił, ale myślę, że chciał. Nie włamał się tu, by pożyczyć szklanekę cukru.

- Zadzwońska na policję? - dociekała przyjaciółka.

- Od razu. Teraz na nich czekam. Powinni już być, ale nikogo nie ma. I nie zdołam im otworzyć. Chujnia z grzybnią, powiadam wam.

- Jeśli myślisz, że twój dzień był chujowy, pomyśl o dniu trupa leżącego u twych stóp - rzuciła filozoficznie Zuzka.

- Zuzka, rozkręcasz mrok, przykręć, inaczej Nina za chwilę zejdzie na zawał - wklepała szybko Agata.

- Okoliczności usprawiedliwiają mrok. I wiesz, że jak przykręcę, to do zera i zaraz mi się wahadło wychyli w stronę romansu, a nie chcemy myśleć o trupie u jej stóp w sposób romantyczny. Prawda? Nawet jeśli był przystojny. A był?

- Żadnego trupiego romantyzmu! - zaprotestowała Nina. - To ja już wolę mrok. Pasuje. Siedzę po ciemku z trupem i czekam na policję. Kiedy Zuzka ma upuszczać mroku, jak nie teraz?

- Fakt - przyznała Agata. - Co się stało? Pobiłaś gnoja włamywacza? Ogłuszyłaś patelnię? Załatwiłaś ciosem karate? Podziel się, zainspiruj koleżanki.

- Nic z tych rzeczy. Owinięta kołdrą, odstawiłam Bukę, ale nie zszedł na zawał, więc nie moja wina. Schody go załatwiły. To mogłam być ja, tam na dole - napisała Nina i znów zaczęła się trząść pod kołdrą.

- Na szczęście nie jesteś. A facet sam jest sobie winien. Powinien wiedzieć, że nie należy się zakradać do samotnych kobiet. Wiadomo, że każda z nas jest dzika i niebezpieczna – napisała Zuza.

Nina prychnęła pod nosem.

- No Bestia z Ustki, normalnie.

Wydawało jej się, że coś usłyszała, więc wychyliła głowę ponad zwoje kołdry. Przez chwilę miała nadzieję, że to odgłos silnika, ale nie, na to dźwięk był za cichy. Wyraźnie słyszała jednak coś jakby klakson, a potem odgłos zbliżających się kroków! Chwilę potem w przeszkleniu drzwi wejściowych rozbłysło pojedyncze światło. Latarka?

- Chyba przybyła kawaleria – napisała szybko. Zerknęła na zegarek. Na numer alarmowy dzwoniła dwadzieścia siedem minut temu. No nie spieszyli się!

- Zdaj raport, gdy już cię uwolnią od trupa i sprowadzą na dół – napisała Zuza.

- Pamiętaj, że każde doświadczenie jest researchem! Zapamiętaj żargon! – dorzuciła Agata.

Światło nadal tańczyło w szkle, jego plama rosła, jakby ktoś zbliżał się do drzwi.

- Ratunku! Policja?! Ratunku! – zawołała Nina najgłośniej, jak mogła. Nawet nie przyszło jej do głowy, że to może być wspólnik leżącego na podłodze typka. Usłyszała szarpnięcie za klamkę, a potem zgrzyt zawiasów.

NOCNE EKSCESY DZIELNICOWEGO BOBERKA

Dzielnicowy Szymon Boberek od wielu godzin był po służbie i robił ze swojego wolnego czasu jak najlepszy pożytek. Posprzątał mieszkanie, nastawił pranie i ugotował sobie znakomitą kolację. Musiał nieskromnie przyznać w duchu: robił postępy!

Od kilku miesięcy rozwijał swoje umiejętności kulinarne, realizując strona po stronie przepisy Jamiego Olivera, z książki kucharskiej, którą pod choinkę podarowała mu siostra. Omijał tylko te z owocami morza czy składnikami, których nie znał i wcale nie chciał poznać, zwłaszcza gdy nie był pewien, czy nie są owocami morza. Na przykład zawsze mu się myliły karczochy, kalmary i kapary.

Do kolacji odpalił sobie odcinek *Z Archiwum X*, bo robił sentymentalny rewatch i dobił już do piątego sezonu. Z odcinka zrobiły się dwa, a może i trzy, choć na trzecim już drzemał, pozwijany na kanapie przed telewizorem jak wielki spinacz. I być może dospałby w tej niewygodnej pozycji do rana (co jak nic przypłaciłby potem bólem kręgosłupa, bo jako mężczyzna po trzydziestce nie miał już elastyczności nastolatka), gdyby nie telefon. Dzielnicowy przez chwilę mrugał zdezorientowany, wyłaniając się powoli z ciepłych objęć snu. Na ekranie leciał właśnie ten dziwny, czarno-biały i całkowicie pojechany odcinek i przez chwilę myślał, że to może stąd dochodził natarczywy dźwięk dzwonka, ale potem

komórka znów się rozdzwoniła, a wibracje sprawiły, że podrygiwała natarczywie na szklanym stoliku.

– Boberek – powiedział, gdy wybrał zieloną ikonkę.

– Obudziłam cię, kochanieńki? – rozpoznał głos dyspozytorki. Kobiety, która znała go od pieluch, bo od liceum przyjaźniła się z jego matką.

– Mniej więcej. Coś się stało? – zapytał, siadając sztywno na kanapie. Nawet po dwunastu latach w policji telefon w środku nocy kojarzył mu się w pierwszym momencie ze złymi nowinami od członka rodziny, nie sprawą służbową, zwłaszcza że dzwoniła do niego ciocia Mariola (jak nazywał dyspozytorkę po godzinach pracy).

– Mamy tu dziwne zgłoszenie. Wysłałabym patrol, ale zmagają się właśnie z ludzką głupotą. Jakiś nastoletni idiota pomylił biegi i na wstecznym wjechał do kanału. Nietrzeźwy, jak się domyślasz. Nie był w aucie sam i trwają poszukiwania pasażerki. Nie wygląda to dobrze, powiem ci, i pewnie będą jej szukać do rana. Ale mam wezwanie z twoich okolic. I szczerze, to może być głupi żart, mimo to wolałabym sprawdzić.

– Co to za wezwanie? – zapytał.

– Dzwoniła młoda kobieta, Nina Rawicz. Twierdzi, że przebywa w starym domu Uklejów, koło Zapadłego, i ktoś się tam włamał. A teraz nie żyje. Za to ona jest uwięziona i potrzebuje odsieczy. – Ton Marioli wyrażał sporą dozę sceptycyzmu, który Szymon Boberek rozumiał całkiem dobrze.

– Ten dom od lat stoi pusty – powiedział.

– No stoi pusty, więc skąd by się tam wzięła dziewczyna?

– Ale jeśli jednak tam jest, to może i trup jest prawdziwy – zauważył dzielnicowy.

– No i sam widzisz, lepiej sprawdzić – przyznała ciocia Mariola.

- Dobra, będę tam za siedem minut. Jeśli to żart, przynajmniej rozprostuję kości i dotlenię głowę przed snem - zdecydował.

- Pewnie żart, choć trochę wcześniej na turystów, no ale wiesz, jak jest. Nie odwiedzisz ludzi od bycia idiotami. Nawet mandaty tu nie pomogą. W razie potrzeby dzwoń, pošę wsparcie. Choć wolałabym nie odciągać patrolu bez powodu, póki jeszcze jest szansa, że wyłowią pasażerkę żywą. - Rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź.

Dzielnicowy wstał, otrząsnął się z resztek snu i minutę później już był w drodze. Okna w części domu należącej do rodziców były już ciemne, podobnie jak te w drugim wydzielonym mieszkanku, które zajmowała jego młodsza siostra.

Szymon pożałował swojej decyzji sprzed trzech lat, by oddać auto siostrze, a samemu przesiąść się na rower. Zrobił to dla zdrowia, by walczyć z cholesterolem i nadwagą. Wtedy właśnie awansował na dzielnicowego, a jego rewir obejmował sporo podusteckich wiosek, doszedł więc do wniosku, że na rowerze dotrze wszędzie, bez martwienia się o przydział paliwa na patrole. Poza tym wychodził z założenia, że dzielnicowy na rowerze wydaje się przystępniejszy dla obywatela niż taki odizolowany w puszce auta.

Teraz, zimną marcową nocą, kiedy zanosilo się na burzę, doceniłby tę puszkową izolację. Wyjechał ze wsi i skręcił w drogę przed zjazdem na Przetokę. Nie był tu od kilku miesięcy, ale latem zdarzało mu się tędy biegać, kiedy trenował do maratonu. Błogosławił decyzję o zakupie niemiłosiernie drogiej, ale profesjonalnej i szokująco wydajnej latarki czołówki, bo bez niej widziałby tyle co nic na leśnej drodze, która nigdy nie doczekała się oświetlenia. Niecały kilometr i był na miejscu.

Z ciemności wyłaniała się masywna bryła domu Uklejów. Mimo wymiany dachu i okien niewiele się zmienił od czasów, kiedy

dzielnicowy był szczeniakiem i z kolegami biegali tu, by podkraść jabłka z sadu. Były słodkie, dojrzałe i warte tego, by dostać bure, gdyby stary Poldek Uklej dopadł ich, szabrujących na jego posesji. Minęła już dekada, odkąd Poldek przestał być zagrożeniem dla jakiegokolwiek szczeniaka na szabrach. A odkąd zmarł, dom stał pusty. Córka wyjechała gdzieś na Zachód i słuch po niej zaginął.

Dzielnicowy odstawił rower i rozglądał się, szukając śladów życia. Wszystkie okna były ciemne, żadnego auta pod domem. Dla porządku postanowił sprawdzić drzwi i obejść budynek, ale z każdą sekundą nabierał przekonania, że to tylko żart. Pewnie jednego z gnojków, które latem chodzą na szaber do sadu.

Nagle usłyszał coś, co postawiło mu włoski na karku i kazało zwątpić w teorię o szczenięcej psocie. Gdzieś w środku rozległ się wrzask, donośny i nieco histeryczny, mimo to dzielnicowy zdołał rozróżnić słowa „ratunku” i „policja”. Wbiegł na ganek i szarpnął za klamkę. Nie spodziewał się, że ustąpi, tymczasem dom stanął przed nim otworem. Mężczyzna omiół wewnątrz światłem czołówki, szukając źródła wrzasku.

Dotarło do niego, co widzi, z małym opóźnieniem. Źródłem dźwięków był wielki, biały tłumok z kołdry, siedzący parę metrów nad ziemią, w miejscu, w którym do niedawna były schody. Te leżały piętro niżej, poskładane jak harmonijka, stercząca w sufit drzazgami balustrady.

– Pan jest z policji? – padło ze zwojów kołdry.

– Dzielnicowy Szymon Boberek. A pani?

– Nina Rawicz – odpowiedziała i wychyliła ostrożnie głowę ze swojego kokonu. – Nie ma pan munduru – dodała z wyrzutem. – Ma pan chociaż jakąś legitymację? Żebym była pewna, że jest pan z policji, a nie jest współnikiem tego tu.

Dzielnicowy posłusznie pomachał legitymacją w stronę młodej kobiety.

– Z tej odległości to mogłaby być nawet legitymacja pływacka, nic nie dojrzę. Zostaje mi chyba tylko panu zaufać – powiedziała zrezygnowana.

– Może pani zejść i przyjrzeć się jej z bliska.

– Och, o niczym więcej nie marzę, ale bez pomocy się nie uda – odparła i wysunęła rękę spod kołdry, by wykonać zamaszysty gest nad pobojowiskiem u jej stóp.

Dzielnicowy zmitygował się w duchu, patrząc na to, co pozostało ze schodów. A gdy podszedł kilka kroków i obejrzał rumowisko dokładniej, zrozumiał, że nie tylko fragment zgłoszenia o uwięzionej dziewczynie jest zgodny z prawdą, ale i informacja o trupie.

Czołówka wyłuskiwała ciało z mroku stopniowo, kończyła po kończyźnie, jakby nie mogła od razu objąć snopem światła całości... Nie, to ja, pomyślał dzielnicowy. To ja niekoniecznie chciałem zobaczyć całość.

Pochylił się nad zwłokami i dotknął szyi w poszukiwaniu pulsu. Ani śladu, za to na palcach poczuł ciepłą lepkość. Ostra drzazga przeszywała gardło nieboszczyka, a szara bluza była przesiąknięta krwią.

– Cholera – wyrwało się Szymonowi, gdy przesunął światło na twarz nieboszczyka.

– Zna go pan?! – zawołała z góry dziewczyna.

– Nie znam. A pani?

– Pierwszy raz typka widzę – zapewniła. – Nie mam znajomości wśród włamywaczy.

– Hm – mruknął tylko, a z kokonu kołdry wynurzyła się czujna i bardzo potargana głowa.

- Nawet pan nie idzie tą drogą - rzuciła hardo. - Sam się tu wyłożył i jeszcze mi schody rozwalił. Nawet go nie tknęłam, cały czas byłam tu, na piętrze. Inaczej leżałabym w tym rumowisku razem z nim.

- Skąd się pani tu wzięła?

- To mój dom - odparła miękko, jakby sama nie całkiem w to wierzyła.

Dzielnicowemu od razu zapaliła się lampka alarmowa.

- Tak? A od kiedy? - zapytał podejrzliwie.

- Od paru godzin. Z grubsza. Klucze dostałam o osiemnastej czterdzieści siedem.

- I już pani trafiła na trupa?

- Najwyraźniej. Lokalna gościnność przybrała nieoczekiwane oblicze - burknęła. A po chwili dodała: - Nie wie pan może, gdzie w tym domu są korki?

- Pojęcia nie mam - przyznał - zresztą lepiej niczego nie dotykać, póki nie zjawią się technicy.

Dziewczyna z rezygnacją skinęła głową.

Wybrał numer do dyspozytorki.

- No co tam, kochanieńki, przebiegłeś się na marne? - zapytała Mariola.

- Patrzę właśnie na trupa, więc nie powiem, że na marne - odrzekł spokojnie.

- Coś podejrzanego?

- Wypadek, chyba że niekoniecznie. Trzeba wyjaśnić.

- Czyli patrol może w spokoju dalej szukać dziewczyny w kanale. Zróbmy tak: ja zadzwonię do prokuratora i wysłucham tyrady o siedmiu godzinach snu dla zdrowia ciała i ducha. Ty w tym czasie ściągnij Garstkę. Przysłać też karetkę?

- Temu już nie potrzebna. - Uniósł głowę i zawołał do dziewczyny na piętrze: - Czy jest pani ranna?! Potrzebuje pani karetki?!

- Nie! Ale straż pożarna by się przydała, żeby mnie stąd ściągnąć!
- odpowiedziała Nina, znów trzęsąc się pod kołdrą.

- Straż jest w porcie? - zapytał dyspozytorkę.

- A jakże. Ale czy nie masz po sąsiedzku Roberta Janty? Ściągnę ci załogę, jak szybko się da, ale z Jantą może pójść sprawniej - powiedziała ciocia Mariola i zakończyła połączenie, tradycyjnie bez słowa pożegnania.

Nie ma sensu zwlekać z nieuniknionym, pomyślał dzielnicowy, wybierając numer Marka Garstki. Sierżant odebrał po drugim dzwonku. Powiadomienie sierżanta sztabowego Straszewicza wziął na siebie.

Dzielnicowy wybrał więc numer do Roberta, który faktycznie mieszkał po sąsiedzku, w Przewłoce. Dwadzieścia lat temu on i jego młodszy brat razem z Szymonem Boberkiem szabrowali jabłka Uklejów, ale dziś obaj stali po właściwej stronie prawa i porządku. Janta, oprócz tego, że był strażakiem, miał uprawnienia ratownicze, co mogło się przydać. Mimo odległości dzielącej go od dziewczyny dzielnicowy słyszał podzwanie jej zębów. Szok jak nic.

Na szczęście dla dzielnicowego Boberka Robert Janta nie spał, z racji swojego zawodu był zresztą przyzwyczajony do telefonów w środku nocy. Dzielnicowy szybko wyjaśnił mu sytuację i usłyszał wymarzone:

- Będę za kilka minut.

Zakończył połączenie w błogim poczuciu, że wszystko ma pod kontrolą, a machina sprawiedliwości ruszyła.

- Te korki to wywaliło razem ze schodami? - zagadnął kobietę, by odwrócić jej uwagę od okoliczności. Zadzierał głowę, by światło

czołówki jej nie oślepiało, ale też by nie skupiało się więcej na makabrycznych szczegółach na dole.

- Wcześniej, gdy zgasiałam światło na ganku - odparła. - Powinnam zadzwonić do prawnika, ale zaraz by tu przyjechał i zaczął mi kwokować.

Boberek nadstawił uszu.

- Chce pani dzwonić po prawnika? - zapytał z zainteresowaniem.

- Teraz? Po nocy? No co pan, zawału by dostał i miałabym go na sumieniu. Jest nawet miły, gdy akurat nie odpala mu się tryb nadopiekuńczego wujka.

Dzielnicowy kiwnął głową, jakby zrozumiał, co właśnie powiedziała. W jasnym snopie światła jej twarz wychylająca się z fałdów kołdry była blada prawie jak biała powłoczka. Nastroszone ciemne włosy i stercząca nad czołem grzywka upodobniały ją do naelektryzowanego kota. Wydawała się młoda, nawet bardzo. I wystraszona, choć starała się trzymać rezon.

- A skąd pani przyjechała? - zagadnął, by zająć jej myśli czymś innym niż towarzystwo trupa.

Słuchał jej odpowiedzi i zastanawiał się, czy mówi prawdę. Bo czy mogła mieć aż takiego pecha, by w środku pierwszej nocy w nowym domu ktoś nie tylko się do niej włamał, ale i z miejsca zmarł? Czy naprawdę nie знаła tego faceta? Czyżby miał do czynienia z jedną z tych historii o namiętności i gniewie, z której tylko jedna strona uchodzi z życiem?

Kiedy był dzieciakiem, chodziły słuchy, że dom Uklejów jest nawiedzony. Dzielnicowy Szymon Boberek nie wierzył w to wtedy ani teraz, ale dziś byłby skłonny uwierzyć, że posiadłość ktoś obłożył klątwą. Tylko tak dało się uzasadnić pecha nowej właścicielki!

PODEJRZLIWOŚĆ OD PIERWSZEGO WEJRZENIA I INNE GWAŁTOWNE EMOCJE

Powiedzieć, że Nina Rawicz i sierżant sztabowy Eugeniusz Straszewicz nie zapawali do siebie sympatią, to nic nie powiedzieć. Dziewczyna nie czuła się nawet winna z powodu ferowania pochopnych wyroków, bo jej własna antypatia była głównie odbiciem jego podejrzliwej niechęci, którą z jakiegoś powodu zaczął okazywać na dzień dobry.

Ledwie wszedł, omiół wzrokiem rumowisko, trupa i dziewczynę, wciąż skuloną na górze schodów, a odpalił mu się tryb drapieżnika. Obrzucił uważnym spojrzeniem zwłoki, po czym całą uwagę skupił na Ninie. A ona nagle przestała doceniać zasilany akumulatorkiem reflektor, który wraz z drabiną przyniósł strażak.

Jantę akurat polubiła od razu, bo pierwsze, co chciał zrobić, to sprowadzić ją na dół i upewnić się, że nie ma żadnych obrażeń, ale dzielnicowy Boberek powstrzymał go, mówiąc mu cicho coś, czego Nina nie usłyszała. Strażak stanął więc tylko w bezpiecznej odległości od zwłok, po czym zaczął zagadywać Ninę tym ciepłym, aksamitnym głosem. Powinien nim czytać historyjki medytacyjne, których czasami słuchała przed snem.

Nawet teraz uspokajał ją, zadając zupełnie niezwiązane z trupem pytania. Polubiłaby go, nawet gdyby nie wniósł tu światła, nie

martwił się, czy nie jest jej zbyt zimno i nie kręci jej się w głowie, no i nie był takim przystojniakiem. (Zuza na pewno uznałaby go za atrakcyjnego. W prawie każdym mężczyźnie potrafiła znaleźć element romansowo atrakcyjny, ale w niektórych przypadkach, jak mawiała, życie pozwala jej wyobraźni nie spocąć się z wysiłku). Mimo totalnego chaosu Janta emanował spokojem. Nina czuła się przy nim bezpiecznie, nawet gdy opowiadał jej o swoim psie, który na pewno będzie miał mu za złe, że zamiast wybiegać się przed snem i zebrać „zapachową gazetę” z okolicy, siedzi teraz w samochodzie.

Następny pojawił się Marek Garstka, sierżant o aparycji rozczochranego niedźwiedzia, z rudą brodą zahaczającą o kołnierz polarowej bluzy. Rozejrzył się uważnie, pomruczał coś pod nosem, a potem, gdy Robert zapytał, czy może już sprowadzić Ninę na dół, zdecydowanie pokręcił głową.

Jak stwierdził, procedury wymagały, by uwiecznić obraz sytuacji na fotografii, zanim wprowadzi się konkretne zmiany, czyli chociażby przemieszczenie się Niny. I nie, nie wystarczy cyknięcie kilku fotek komórką. Wkrótce miał się zjawić technik kryminalistyczny, który „wszystko udokumentuje”.

Nie mówili głośno, że ją podejrzewają i wolą zabezpieczyć tyły procesowe, ale Nina nie była w ciemną bitą i wystarczająco długo przyjaźniła się z Agatą, doświadczoną autorką poczytnych kryminałów, by prawidłowo odczytać te pochrząkiwania, marsowe czoła i przestępowanie z nogi na nogę. Szybko też zrozumiała, że ani dzielnicowy, ani sierżant nie zamierzają się wychylać i podejmować decyzji. Czekali na jakąś szycę. Może prokuratora?

A potem, po kolejnej półgodzinie, zjawił się on. Wąsacz z innej epoki, wysoki, z włosami szpakowatymi na skroniach i nieco rzednącymi na czubku głowy, o ostrych rysach i masywnym nosie.

Miał nastroszone brwi, a gęste i rozparte na jego twarzy wąsiska przywodziły na myśl wiewiórcze ogony. Wszedł do domu jak do siebie, rozejrzał się drapieźnie, z dłońmi wciąż wciśniętymi w kieszenie skórzanej kurtki, i Nina już wiedziała, że to przed nim trzęśli portkami pozostali. To on był samcem alfa ich stadka.

Od zawsze miała problem z samcami alfa. Drażnili ją. W innych okolicznościach powściągnęłaby emocje, ale słysząc Straszewicza, nie umiała się opanować.

- Ależ panienka nawywijała - oświadczył, obrzucając trupa spojrzeniem. - Nie lepiej było się rozstać kulturalnie i bez awantur, trzeba było od razu zabijać?

- Czy pana do reszty popierdoliło? - wypaliła, patrząc na niego z góry. - Facet mi się włamuje do domu, potem pada ofiarą grawitacji, kiedy próbuje mnie dorwać, a pan tu jakieś głodne kawałki o odrzuconym kochanku pociska?!

- Grawitacja go załatwiła? Pani nie miała z tym nic wspólnego? Nic a nic? - drwił.

- Gdybym, kiedy zawaliły się te nieszczęsne schody, była bliżej niż trzy metry od niego, sama leżałabym tam na dole, niewykluczone, że również martwa.

- Albo ledwie draśnięta, za to zdołałaby pani zatamować mu krwotok, co?

Kanalia, nie wiedział, kiedy się zamknąć!

- Może gdybym nie musiała czekać całe pół godziny, aż racycie przyjąć zgłoszenie, i może gdybyście przysłali od razu pogotowie, a nie jednego dzielnicowego, faktycznie dałoby się go uratować. Ja w każdym razie nie zamierzałam ryzykować życia skakaniem tam tylko po to, by sprawdzić, co dokładnie sobie przebił podczas upadku.

- Skąd się pani tu właściwie wzięła? - zapytał obcesowo Straszewicz.

- Rodzice zawsze twierdzili, że z miłości, choć wołałabym opcję z kapustą – odparowała.

Cały jej strach i stres tej nocy przeobraziły się w niemożliwą do opanowania złość.

- Ma pani niezły temperamencik, co? Zmarły też panią tak wkurzył? – zapytał policjant tonem niewiniątka.

- Och, on mnie tylko wystraszył. Wkurzył mnie dopiero pan – odwarknęła, zaplatając ramiona na piersi, co było nie lada sztuką, zważywszy na to, że wciąż była okutana kołdrą.

Popatrzył na nią, mrużąc oczy.

- Nie ma pani czasem rodziny w okolicy? Jakiejś kuzynki, równie niezdolnej jak pani?

- Czyli nie ja jedna tak reaguję na pana uroczą osobowość? A to ciekawe!

Pokiwał głową i coś sobie zanotował w wyjętym z kieszeni kajeciku.

- No dobrze, pani godność?

- Z grubsza nienaruszona – odpowiedziała i ku swojemu zaskoczeniu zachichotała z własnego żartu.

- Ona jest w szoku, panowie. Nic, co powie w tym stanie, do niczego się wam potem nie przyda – zaprotestował strażak.

Nagle odezwał się sierżant Garstka, dotąd milczący:

- Powinniśmy ją zawieść do pensjonatu. I tak nie może tu zostać przez najbliższy dzień czy dwa.

- Do twojej matki? – zapytał Straszewicz, wyraźnie zaskoczony.

- Masz lepszy pomysł? – Garstka wzruszył ramionami.

Straszewicz lepszego pomysłu nie miał. Nie miał też na razie powodu, by Ninę aresztować. Gdyby posłuchali Janty, który uparcie odmieniał słowo „szok pourazowy” przez wszystkie przypadki, pewnie skończyłaby w szpitalu, a wtedy, Straszewicz był tego

pewien, mieliby do niej utrudniony dostęp na dłuższy czas. Odwrócił się do dziewczyny plecami i nachylony do Garstki, zapytał, przyciszając głos:

– A jeśli ta mała jest morderczynią?

– Nie będzie pierwsza, nie? Mama i Madzia przynajmniej wiedzą, co robić, gdyby zaczęła się zachowywać podejrzanie.

– Taaa, ich naturalną reakcją na podejrzaną zachowanie jest wsadzenie nosa w nie swoje sprawy. Są jak jamniki. Małe, zawzięte i nieustępliwe.

– Ale jeśli coś wykopią, powiedzą nam o tym. Przynajmniej mnie – zauważył Garstka.

– Niech będzie. Ale miej na nią oko.

Marek kiwnął głową i z komórką w dłoni wyszedł przed dom. Musiał zadzwonić do bratanicy i był właściwie pewien, że o tej porze ją obudzi. Wątpił, by miała mu coś miłego do powiedzenia przez pierwsze minuty konwersacji, i wolał, by Straszewicz nic z tego nie usłyszał. Doskonale wiedział, z kim skojarzyła się Nina sierżantowi sztabowemu.

*

Robert Janta nie interweniował, gdy Straszewicz przyszedł zły jak osa i czepliwy jak rzep. Domyślał się, że telefon dzielnicowego wyrwał go ze snu i sierżant przyjechał tu bez kawy. Ale widział, że Nina jest bliska kryzysu. Spalała nerwową energię jak mały koksownik. Do tego ciągle siedziała na krawędzi zarwanych schodów i jeśli nagle straciłaby równowagę, wylądowałaby na rumowisku, tak że nawet kołdra nie zdołałaby jej uchronić przed obiciem czy połamaniem kości. A kiedy Straszewicz wdał się w słowną przepychankę z młodą kobietą, Robert uznał, że miarka się przebrała.

- Macie minutę na obcykanie jej w tej pozycji, bo zaraz ją sprowadzę na dół i nikt nie będzie miał tu nic do gadania – oświadczył stanowczo.

O dziwo, to zmobilizowało policjantów do działania. Nagle nie musieli już czekać na technika z aparatem, każdy wyciągnął komórkę i strzelił kilka fotek Ninie i schodom, a gdy skończyli, Robert oparł drabinę w miejscu, które uznał za bezpieczne, i zapytał:

- Dasz radę sama zejść?

- Nie wiem – przyznała dziewczyna.

- Mogę tam do ciebie wejść i ci pomóc.

- Już nie będę mogła tu wrócić przez jakiś czas, prawda? – zapytała, nagle przytomniejsza.

- Zawiozę panią do pensjonatu – powiedział Garstka.

- W takim razie muszę zabrać rzeczy – oświadczyła. Wstała, wciąż opatulona kołdrą, i zniknęła im z pola widzenia.

- Idź po nią, żeby nic tam nie kombinowała – polecił Straszewicz dzielnicowemu.

- Ja? – Boberek popatrzył na drabinę, po czym przeniósł wzrok na przełożonego. – Jeszcze nie zwariowałem. Ja tu grzecznie drabinę potrzymam, a Robert się wdrapie, to jego specjalność.

Strażak prychnął pod nosem, ale uznał, że to nawet dobry plan. Wspiął się po szczeblach na piętro i na korytarzu zastał Ninę, która pozbyła się już kołdry na rzecz flanelowego szlafroka zarzuconego na równie flanelową piżamę. Bez kokonu w kwiatki wydała mu się dziwnie mała. Wpychała właśnie kosmetyczkę do plecaka. Przez ramię miała przewieszoną torbę.

- Nie ruszę się bez komputera i notatek – oświadczyła, jakby zakładając, że będzie protestował przeciwko zabraniu przez nią bagażu.

- Daj, zniosę ci to. Jeśli nie masz wprawy w schodzeniu po drabinie, lepiej, żebyś szła bez obciążenia.

- Umiejętności schodzenia po drabinie akurat nie mam w CV - oświadczyła i po chwili wahania podała mu plecak. - Jeśli skręcę kark, oddasz to jednej z moich przyjaciółek, Agacie lub Zuzannie, któraś na pewno się zgłosi po moje rzeczy, zrozumiano?

- Nie skręcisz karku - zapewnił.

- Tego nie wiesz. Nikt nie postawiłby złotówki, że pierwszej nocy w nowym domu zaliczę kombo w postaci włamania, trupa i chamskiego policjanta o jakże znaczącym nazwisku. Skręcenie karku pasowałoby tu jak ulał.

- Bo wykraczesz - ostrzegł. - To jak samospelniająca się przepowiednia. Będzie dobrze, to nawet nie jest bardzo wysoka drabina. Na testach sprawnościowych wspinałem się na dużo wyższe. Dasz sobie radę.

Westchnęła ciężko i podeszła bliżej przepaści.

- Lepiej ją trzymaj, kiedy zacznę schodzić - powiedziała.

- Taki właśnie mam zamiar.

Wychyliła się za krawędź i zawołała do stojącego przy drabinie dzielnicowego Boberka:

- Pan też ją tam trzyma, dobrze?! Jak zacznie się kiwać, zbzikuję do reszty!

- Jeszcze bardziej? - rzucił Straszewicz.

- Pan się nawet do drabiny nie zbliża, bo będę kopać - burknęła.

Bardzo powoli, szczebel po szczeblu, schodziła na parter.

- Nie spadniesz, nie spadniesz - szeptała do siebie, zaciskając oczy. Nie mogła patrzeć w dół. Od dziecka miała lęk wysokości. Umiarkowany co prawda, bo nie bała się wysokości jako takiej, mogła bez strachu przebywać na latarni morskiej czy tarasach widokowych, teraz jednak czuła najczystsze przerażenie. Może

zresztą nie była to fobia, tylko rozsądek? Bo kto przy zdrowych zmysłach nie bałby się schodzić po takiej dygoczącej pod ciężarem ciała drabinie?

Cóż, najwyraźniej strażacy są kompletnie szaleni, pomyślała, gdy – stojąc już bezpiecznie na ziemi – przyglądała się, jak Robert, obciążony jej wielkim plecakiem i torbą, prawie zbiega na dół, nie tracąc nawet sekundy na rozważania o grawitacji.

WIELKA NIEDŹWIEDZICA

Marek Garstka zrobił na Ninie dobre wrażenie. O niebo lepsze niż ten cały Straszewicz, któremu chętnie zaserwowałyby kawę ze środkiem przeczyszczającym. Posiedziałyby sobie na tronie, przemyślał swoje zachowanie i może odzyskał jasność myśli. Rozsądek szybko by mu podpowiedział, że Nina Rawicz jest niewinną ofiarą okoliczności i nie ma z martwym typem nic wspólnego. Poza tym, że raczył umrzeć w jej domu.

Marek Garstka zapakował Ninę, jej plecak i walizkę do samochodu, wyregulował dyszę ogrzewania, by ciepły strumień leciał prosto na dziewczynę w piżamie i szlafroku (kurtki nie zdołała wciągnąć na puszyste rękawy tego drugiego), i przez całą drogę mówił do niej z tą łagodną cierpliwością, z jaką przemawia się do dzieci i zwierząt. Wy tłumaczył jej, że dzisiejszą noc i zapewne kilka kolejnych dni spędzi w pensjonacie Wielka Niedźwiedzica.

- Prowadzą go moja mama i bratanica, więc złego słowa nie powiedzą, kiedy przywiozę cię w środku nocy - powiedział i uśmiechnął się tak, że Nina wiedziała od razu: są jedną z tych zżytych rodzin, o których marzyła jako dziecko. Wyobrażała sobie, że któregoś dnia ktoś taki do niej przyjdzie, powie, że bocian się pomylił, i od dziś będzie mieszkała z nim.

- Wiedzą, czemu potrzebuję noclegu w środku nocy? - zapytała cicho.

- Wiedzą, że ktoś się do pani włamał, ale ani słowa o trupie. Widzi pani, moja bratanica ma pewne... niebezpieczne ciagoty. Lubi zagadki kryminalne i jeśli tylko uznaje jakąś sprawę za tajemniczą, natychmiast postanawia ją rozwiązać. Więc lepiej nie wspominać jej o nieboszczyku, bo odpali jej się instynkt beagle'a na tropie zwierzyny.

- Ciekawe po kim może mieć takie ciagoty - zażartowała Nina.

- Trafiony zatopiony. Jej tata też był policjantem - przyznał Garstka, zajeżdżając pod uroczy pensjonat zaraz przy porcie.

Nad drzwiami zaświeciło się światło, a po chwili w progu pojawiła się drobna, wyraźnie zaspana dziewczyna w obszernym fiołkowym szlafroku z kapturem naciągniętym na głowę. Kaptur był udekorowany misiowymi uszkami. Nina kupiłaby taki bez wahania.

Marek Garstka wyskoczył z auta, wyjął walizkę z bagażnika i wbiegł po stopniach. Pochylił się i cmoknął bratanicę w czoło. Ta uśmiechnęła miękko, wzięła od niego bagaż Niny i powiedziała:

- Ja się nią zajmę, ty leć, nim Straszewicz pożre dzielnicowego czy techników.

- On nie jest taki straszny - zaprotestował Marek lojalnie.

- Jasne, jasne - mruknęła Nina zza jego pleców, a dziewczyna z misiowymi uszami parsknęła śmiechem.

- Widzisz? - zwróciła się do stryja. - Nie tylko ja od razu się na nim poznałam!

- Albo on na was - odpowiedział Marek i uchylił się przed kuksańcem bratanicy, po czym wrócił do auta.

- Magda Garstka - przedstawiła się dziewczyna i wyciągnęła rękę na powitanie.

- Nina Rawicz. Dzięki, że zerwałaś się z łóżka po godzinach, żeby mnie przyjąć.

- Dla nas to nie pierwszozna, życie czasem się komplikuje poza tradycyjnymi godzinami urzędowania – zapewniła.

Weszły do środka. Pomieszczenie tonęło w mroku, rozjaśniane tylko malutką lampką na kontuarze recepcji i poświatą z kinkietu przy schodach prowadzących na piętro. Garstka sięgnęła za ladę i z szafeczki wyciągnęła klucz. Złapała za walizkę Niny, ignorując jej protesty, i przez ciemną jadalnię poprowadziła ją do schodów. W pensjonacie panowała całkowita cisza, gruba wykładzina na stopniach tłumiła nawet ich kroki.

Znalazły się w długim, wąskim korytarzu. Po obu stronach ciągnęły się rzędy drzwi, Garstka wybrała te mniej więcej w połowie.

Otworzyła je i podała Ninie klucz.

- Meldunek odłożymy do rana. Dziś zrobiłabym błąd nawet we własnym nazwisku, a co dopiero w czyimś. No i rano mogę niewiele pamiętać z tego spotkania, proszę, nie miej mi za złe, działałam na autopilocie. Śniadania podajemy między siódmą a dziesiątą. – I nim Nina zdążyła jej podziękować, Magda oddaliła się, szurając papciami i głośno ziewając.

Nina zamknęła drzwi i dwa razy przekręciła klucz w zamku. Zazdrościła Magdzie, która za dziesięć minut pewnie będzie już spała snem sprawiedliwej. W żyłach Niny wciąż krążyła adrenalina i czysta, nerwowa energia. Dziewczyna była jednocześnie wykończona i nabuzowana – fatalne połączenie. Obeszła pokój, sprawdziła, czy okna są zamknięte... Jaki jest życiowy przydział bandziorów na jedną młodą kobietę w ciągu nocy? Miała nadzieję, że swój właśnie wyczerpała.

Ściągnęła narzutę, ale zamiast położyć się spać, wygrzebała z plecaka ładowarkę i podłączyła komórkę, a potem laptop. Przez chwilę myślała nad otwarciem pliku z powieścią, nad którą pracowała, a potem spojrzała na sprawę realistycznie – kompletnie

nie była zdolna do koncentracji potrzebnej przy pisaniu, jej mózg biegał w kółko jak nakręcany króliczek.

Udostępniła sobie wi-fi z komórki i odpaliła Messenger. Było już późno, dochodziła druga, ale szczęście znów jej dopisało. Albo przyjaciółki miały poważniejsze problemy ze snem, niż sobie uświadamiała. Przy obu nazwiskach świeciły się zielone kropczki, a ledwie wyświetliła im się taka sama przy jej nazwisku, natychmiast zaczęły pisać:

- I co? Jaki finał? – zapytała Agata.

- Szybko poszło, zabrali włamywacza? – dopytywała Zuza.

Nina westchnęła i napisała:

- A gdzie! Jestem w pensjonacie Wielka Niedźwiedzica. Nie pozwolili mi zostać w domu, mają się zjechać technicy. A wcześniej pojawił się policjant o wiele mówiącym nazwisku Straszewicz, wkurzył mnie nawet bardziej niż włamywacz. Najwyraźniej jestem jego główną podejrzaną.

Jej palce uderzały w klawiaturę z impetem, aż głośne klikanie rozchodziło się po ciemnym pokoju.

- Podejrzaną? Ma tupet! – napisała Zuza.

- Chyba z nim nie rozmawiałaś bez prawnika? – dopytywała Agata.

- Skąd niby miałam wziąć prawnika o północy? Nie zabrałam przecież typa do łóżka. Nie urwałam się z jednej z książek Zuzy!

- Moich bohaterek nikt nie zaskoczyłby bez prawnika – przyznała Zuza. – Przynajmniej żadnej z serii gangsterskiej.

Nina znów westchnęła.

- Moje szare życie nie dorównuje tym standardom.

Złapała się na tym, że się uśmiecha do ekranu. Kochała te wariatki. Były dowodem na to, że więzi z internetu ani trochę nie ustępowały tym z realu. Nie mogłaby być z nimi bliżej, gdyby mieszkały po sąsiedzku i codziennie spotykały się w warzywniaku. –

Dobra, dobra, rano do niego zadzwoń. Jeśli sam nie ogarnia prawa kryminalnego, niech ci kogoś poleci. I żadnego gadania z tym całym Straszewiczem w cztery oczy – zarządziła Agata.

– Słowo daję, napluję mu do kawy, zanim zacznę się obciążać – zapewniła Nina.

– No, popieram.

– Nie no, plucie do kawy to zbrodnia przeciwko ludzkości, już za samo to mogą cię aresztować – wstukała Zuza.

– Dobra, towarzystwo, spać – zarządziła Agata. – Jutro czeka nas intensywny dzień.

– O, was też czeka przesłuchanie? – zażartowała Nina.

– Żeby tylko! – napisała Zuza. – Mam zoom z Krzysiem Zdzisiem. Będzie niegrzeczna rozmowa o deadline'ach.

Agata wrzuciła uśmiechniętą emotkę i zapytała:

– Znów go zawstydzisz peniuarem?

– Tylko jeśli nie przedłuży mi terminu oddania każdej z książek. Ciągłe nie ogarnia, że choć powieści są dwie i piszę je pod dwoma nazwiskami, to wciąż mam tylko jeden zestaw rąk i jedną głowę, a i doba mi się nie podwaja. Dwie premiery na targi w maju to karkołomny pomysł.

– Nie możesz go winić za to, że próbuje.

– Och, mogę, mogę – zapewniła Zuza.

– Coś mi się wydaje, że koleś jutro nie spotka Liliany Mist, ale zderzy się na czołówkę z Reginaldą Lux – zażartowała Nina.

Zuza miała dwa literackie alter ego. Jako Liliana pisała romanse historyczne o słodkich dziewczątkach, rzucających rozgorączkowane spojrzenia zakochanym bez pamięci kawalerom. Jako Regina Lux pisała romanse pikantne, jak nazywał je dział marketingu. Sama Zuza mówiła wprost – to były gangsterskie pornosy dla napalonych licealistek i ich matek.

- Gorzej: pogada sobie z Zuzanną Lewicką, mrocznym uosobieniem cynizmu. Nie podniesie się.

- Nawet ty nie jesteś tak okrutna – zauważyła Agata.

- Na jego miejscu bym się nie zakładała – odpisała Zuza.

Pożegnały się, a Nina zamknęła laptop i odłożyła go na szafkę nocną. Kilka minut później już spała. Śniły jej się schody prowadzące w nicość.

PUŁAPKA Z KAWĄ I ROGALIKAMI

Przespała budzik, a drzemkę musiała wyłączyć na autopilocie, inaczej komórka na pewno nie pozwoliłaby jej dospać do dziesiątej dwadzieścia siedem. Nina czuła się wypoczęta, mimo to jeszcze przez dłuższą chwilę leżała w pościeli, pozwalając, by jej mózg pływał w ciepłutkiej, gęstej zupie snów. Nie pamiętała, gdzie jest, skąd się tu wzięła ani co się stało poprzedniej nocy. Jej ciało było zregenerowane, materac wygodny, a pościel lekka i ciepła, więc chwilowo nie potrzebowała do szczęścia niczego więcej.

Pęcherz obudził się pierwszy. A gdy w drodze do toalety obila sobie łydkę o krawędź ramy łóżka, łaskawa kurtyna amnezji rozplynęła się w niebycie i pamięć uderzyła Ninę jak młot, prosto między oczy. Dziewczyna załatwiła się, a potem weszła pod prysznic, by zmyć z siebie resztki ciepłej błogości zapomnienia.

Teraz, gdy już pamiętała, co się stało, wiedziała, że czeka ją ciężki dzień. Czy faktycznie powinna zadzwonić po prawnika? Czy nie wzbudzi jeszcze większych podejrzeń, gdy zjawi się w komisariacie w jego towarzystwie? Jeżeli pójdzie tam bez wsparcia, Agata będzie ją zadręczać do końca świata i o jeden dzień dłużej.

Tyle że jeśli zadzwoni do Alberta Pilcha, będzie musiała mu wytłumaczyć, co się stało, a sama nie była tego do końca pewna. Które ze wspomnień dotyczących ostatniej nocy były prawdziwe, a które stanowiły kombinację jej nadaktywnej wyobraźni, ciemności jak z horroru i atmosfery panującej w domu? Czułaby się lepiej,

gdyby mogła się przyjrzeć miejscu tragedii w świetle dnia. Tylko pojęcia nie miała, jak się tam dostać bez auta. Powinna przy pierwszej okazji pomyśleć o kupnie samochodu. Albo nawet sprowadzić kogoś, kto rzuci okiem na poloneza w garażu, bo jak słyszała, te starocie były nie do zdarcia i nawet jeśli będzie musiała zapłacić za wymianę wszystkich gumowych wężyków czy akumulatora, wyjdzie taniej niż kupno nowego wozu. Zresztą nie pogardziłaby nawet rowerem! Bo wątpiła, że między Ustką a Zapadłem kursuje jakikolwiek autobus.

Ubrała się, dziękując bóstwom opiekuńczym, że Marek Garstka pozwolił jej zabrać walizkę, zanim Straszewicz uznałby, że to naruszanie miejsca przestępstwa, więc na kolejne dni muszą jej wystarczyć flanelowy szlafrok i piżama.

Dotarło do niej, że przespała śniadanie, a w brzuchu burczało jej nieznośnie. Poprzedniego dnia była zbyt zmęczona, by przygotować sobie kolację, więc poza kanapkami zabranymi na drogę, przez cały dzień właściwie niewiele jadła. Cóż, teraz była gotowa to nadrobić. A jeśli miała rozmawiać z przedstawicielem organów ścigania, potrzebowała kawy. Dużo, mocnej i słodkiej, inaczej rzuci się sierżantowi sztabowemu do gardła jak nabuzowana strachem chihuahua.

Przepakowała plecak tak, żeby nie dźwigać całego majdanu, ale po chwili wahania włożyła do niego laptop. Może jakimś cudem uda jej się dziś popracować.

Zeszła na parter. Faktycznie, było już po śniadaniu, stoły uprzątnięto, a w powietrzu unosił się zapach cytrynowego środka do odkażania. Rozejrzała się, szukając Magdy czy kogoś z obsługi. Nie chciała wyjść z pensjonatu bez zameldowania się i uiszczenia opłaty za pokój. Jeszcze tego brakowało, by pomyśleli, że się wymyka niepostrzeżenie.

- Nina, dobrze pamiętam? - usłyszała głos tuż za swoimi plecami.

Podskoczyła nerwowo, odruchowo kładąc dłoń na mostku, jakby przytrzymała wyskakujące z piersi serce.

- Tak, Nina... Chciałam załatwić formalności, zanim pójde zapolować na jakieś śniadanie i kawę - odparła, gdy miała już pewność, że głos jej nie zdrzy. Nawet nie zdawała sobie sprawy, jakim jest kłębkiem nerwów!

- Już cię melduję, a potem możemy przejść do kuchni, odłożyłam dla ciebie co nieco. Kawa też się znajdzie. Śniadanie jest wliczone w cenę, a ty miałaś dobry powód, by zasnąć.

Nina skinęła głową i wyciągnęła portfel. Przeszły do kontuaru. Magda podała jej kartę meldunkową, a sama wybudziła komputer i zaczęła coś zaznaczać w arkuszu kalkulacyjnym.

- Na ile nocy chciałybyś zostać? - zapytała.

Nina sapnęła z frustracją.

- Gdyby to ode mnie zależało, już byłabym w drodze do domu, ale nie wiem, kiedy pozwolą mi wrócić. Dwie?

- Zawsze możemy przedłużyć, jeśli zajdzie potrzeba. Przed sezonem to nie taki problem, większość pokoi stoi pusta, dopiero w kwietniu zaczyna się ruch, a od maja szukanie pokoju z partyzanta to już gra hazardowa - powiedziała Magda.

Stukała w klawisze, dopytując, czy faktura, czy paragon, a Nina wypełniała formularz. I zawisa długopisem nad adresem zameldowania. Od wczoraj miała dom, ale nie dopełniła jeszcze obowiązku meldunkowego, będzie się musiała rozejrzeć, gdzie właściwie może to zrobić. Przez ostatnie osiem lat meldunku nie miała, a wcześniej tylko z rzadka.

- Jakiś problem? - zapytała Magda.

- Po prostu chwilowa dziura w pamięci - odparła Nina.

Wyciągnęła notatnik, gdzie na ostatniej stronie miała zanotowane dwa adresy – biura Alberta Pilcha i domu w Zapadłem. Wpisała ten ostatni.

Wypełniony formularz podała Garstce. Zapłaciła kartą za dwa noclegi. I przyjęła zaproszenie na kawę i rogaliki, bo wyczuła, że niegrzecznie byłoby odmówić dziewczynie, która zerwała się w środku nocy, by jej dać pokój. Zresztą umierała z głodu.

Nie wiedziała, że to pułapka.

*

Kiedy zauważyła go przy kuchennym stole, było za późno na odwrót. Zwłaszcza że Magda szła za nią i odcinała jej drogę ucieczki.

Ktoś mniej podejrzliwy mógłby pomyśleć, że to przypadek. Ot, Marek Garstka odwiedził pensjonat matki, bo uwielbia jej wypieki – na talerzyku przed sobą ma przecież stosik kruchych rogalików, a obok cały dzbanek kawy. Nic podejrzanego, po prostu zapracowany mężczyzna wpada na drugie śniadanie do rodziny. Nawet odwiesił polarową bluzę na oparcie krzesła, więc siedzi, w tej kraciastej flaneli i z brodą kładącą się na kołnierzyku, niczym pogodny drwal.

Nina nie była tak naiwna, by wierzyć w przypadki. Nawet jeśli Marek Garstka miał w zwyczaju odwiedzać matkę, dziś był tu ze względu na wydarzenia minionej nocy. Nie była pewna, czy chciał mieć na nią oko, czy szykował się do przepytania jej w pozornie neutralnych okolicznościach, czy też po głowie chodziło mu coś jeszcze innego, ale nie był tu dla słodkich wypieków ani dla matki, która z zaangażowaniem wałkowała właśnie ciasto na makaron lub pierogi i jako jedyna zupełnie nie zwracała uwagi na Ninę.

Bo Marek zerkał. Intensywnie, spod nastroszonych brwi. Z tą cierpliwą łagodnością, na którą może nabrałby się ktoś nieco mniej podejrzliwy od Niny Rawicz.

- Dzień dobry - powiedział i uśmiechnął się życzliwie, unosząc dzbanek. - Napije się pani?

Magda wyminęła Ninę i sięgnęła do szafki po białą filiżankę z niebieskim szlaczkiem. Podała ją gościowi. Nina westchnęła cicho, ale nalała sobie kawy, wsypała dwie czubate łyżeczki cukru, choć normalnie wystarczała jej jedna płaska, a potem dołała odrobinę mleka, wierzyła bowiem, że dzięki temu za kilka lat nie nabawi się wrzodów.

Nie usiadła. Popijała kawę, stojąc naprzeciwko Marka Garstki, i czekała. Jeśli zakładał, że milczenie sprawi, że poczuje się niekomfortowo i zapragnie je zagadać, był w błędzie. Nina potrafiła milczeć jak mało kto. Ba, to milczenie było dla niej stanem naturalnym i prowadzenie uprzejmych rozmów o niczym kosztowało ją niemało wysiłku. Zwykle martwiła się, że jeśli nie zacznie rzucać jakichś banałów o pogodzie, wyjdzie na osobę niesympatyczną i aspołeczną, ale tym razem nie zamierzała walczyć ze swoją naturą.

Piła kawę małymi, spokojnymi łyżkami i wpatrywała się w policjanta tak długo, aż to on westchnął i poruszył się niespokojnie na krześle.

- Dobrze pani spała? - zapytał w końcu.

- Nieźle, biorąc pod uwagę okoliczności.

Pokiwał głową i sięgnął po rogalika. W dwóch kęsach wepchnął go sobie do ust i starannie przeżuwał. Nina przysłoniła twarz kubkiem, by nie zobaczył mimowolnego uśmiešku. Jego dyskomfort potraktowała jak małe zwycięstwo.

- Wracam właśnie z prosektorium - powiedział po chwili, strzepując okruszki ciastka z brody.

Nina uprzejmie kiwnęła głową. Nie zamierzała mu niczego ułatwiać.

- Jest pani pewna, że nie znała tego człowieka? - zapytał w końcu.

- Oczywiście, że jestem pewna. Skąd miałabym go znać? Wczoraj po osiemnastej zjawiłam się w okolicy po raz pierwszy. Może lepiej popytać miejscowych, czy go rozpoznają?

- No w tym właśnie problem. Nie był miejscowy. Pomyślałem, że może przyjechał za panią - zarzucił wędkę Marek Garstka.

- Za mną? Z Niemiec? Niby po co? Nikt nawet nie wiedziałby, gdzie mnie szukać.

- Pani pracodawca też nie?

- Moja pracodawczyni nie żyje. Dlatego tu jestem. Zapisała mi swój dom rodzinny.

- Interesujące! Nie byliście panie spokrewnione?

Nina prawie przewróciła oczami.

- W genetycznym sensie nie. W każdym innym bez wątpienia - odpowiedziała spokojnie.

Garstka wgrzył się w kolejne ciastko, jakby musiał dobrze przemyśleć następne pytanie.

- Wie pani, śmieszna sprawa - powiedział w końcu. - Nie miał przy sobie żadnych dokumentów.

- Nie wiem, czy włamywacze często zabierają ze sobą portfel na akcję - rzuciła lekko.

- No tak, oczywiście. Tylko widzi pani, nie było śladu włamania. Albo drzwi wejściowe były otwarte, kiedy przyszedł, albo miał klucz.

- Popatrzyl na nią czujnie.

- Zamknęłam je, idąc spać. Dziękuję za ostrzeżenie. Wymienię zamki, gdy tylko będzie to możliwe. Ciężko powiedzieć, kto może mieć klucze do domu... Komu mógł je dać pan Uklej albo kto mógł wejść w ich posiadanie przez ostatnią dekadę. - Wciąż była spokojna, choć w głowie roilo jej się od pytań.

- A pani? - zapytał wprost.

- Co ja?

- Od kiedy pani miała klucze?

- Od wczoraj. Tuż po osiemnastej wręczył mi je prawnik mojej pracodawczyni, cóż, obecnie poniekąd mój prawnik. Zaraz po tym, jak przywiózł mnie do domu ze Słupska i oprowadził po odziedziczonej nieruchomości, a tuż przed tym, jak odjechał do siebie.

- I nigdy wcześniej pani tam nie była? Nie odwiedzała domu?

- Nie zdarzyło się. Moja pracodawczyni poważnie chorowała, podróże były dla niej bardzo męczące. Z tego co wiem, ostatni raz wybrała się do Zapadłego po śmierci swojego ojca, na pogrzeb. Nikt z jej rodziny też nie odwiedzał domu przez ostatnie dziesięć lat.

Marek pokiwał głową, jakby potwierdziła coś, o czym już słyszał.

- Czy ktoś z miejscowych doglądał domu? - zapytał.

- Nie wiem, być może. Należałoby spytać Alberta Pilcha, to prawnik, o którym wspomniałam. Jest spokrewniony z Uklejami, może wiedzieć takie rzeczy.

- Byłoby dobrze, gdyby faktycznie zajrzał do komisariatu i odpowiedział na kilka pytań.

- Bez wątpienia jego numer znajdziecie na stronie internetowej jego kancelarii.

We wzroku Garstki dostrzegła coś na kształt rozczarowania, ale nie zamierzała mu niczego ułatwiać. Miała dość czasu w nocy i pod prysznicem, by przeanalizować sytuację, i dobrze wiedziała, jak wygodne byłoby dla miejscowej policji zrzucić wszystko na przyjezdną, dziewczynę znikąd.

- Wie pani, że był uzbrojony? - zapytał nagle Marek, a Nina poczuła, że krew odpływa jej z twarzy.

- Nie wiedziałam. Tym bardziej doceniam fatalny stan schodów. Gdyby nie on, może to nad moim trupem pochylałby się teraz medyk

sądowy, a pan i Straszewicz zastanawialibyście się, kim jestem i czemu nikt nie wie, skąd się wzięłam w Zapadłem – powiedziała ciszej, w obawie, że zadrzy jej głos.

– Co pani zamierza? – zapytał, pozornie bez związku z tematem rozmowy.

– Cóż, rozejrzę się po okolicy, spróbuję poznać miasteczko i nie zrażać się złym wrażeniem, jakie na mnie zrobiło – odpowiedziała wymijająco.

– Nie zamierza pani wyjeżdżać? – upewnił się.

– Czy to jest ten moment, kiedy mówi mi pan, że mam nie opuszczać miasta do odwołania?

– Pani Nino! Naprawdę nie musimy się spierać – zaprotestował.

– A spieramy się? Myślałam, że jesteśmy całkiem zgodni. Pan nie chce, żebym wyjeżdżała, a ja nie planuję opuszczać tych okolic.

Garstka patrzył na nią z wyrzutem, jakby skopała mu szczeniaczka i odebrała pozostałe rogaliki. Nina poczuła się odrobinę winna, więc odstawiła kubek i powiedziała łagodniejszym już tonem:

– Panie sierżancie, wyjaśnijmy sobie jedno. To stare domiszcze w lesie jest moim domem. Jedynym, jaki mam. Nie planuję wyjeżdżać, bo nie miałabym gdzie. Moje dotychczasowe życie się skończyło wraz ze śmiercią Luli Uklej-Weissberg i spróbuję zbudować sobie nowe, właśnie tu, bo tego chciała dla mnie Lula, zapisując mi tę posiadłość. Uważała, że będzie mi tu dobrze, że polubię okolicę i tutejszych mieszkańców. Chcę wierzyć, że tak właśnie się stanie. Mój pobyt w Ustce nie zaczął się najlepiej, ale nie zamierzam z niego rezygnować ze względu na jednego trupa, zrujnowane schody czy wywalone korki.

Garstka wciąż wbijał w nią to swoje wyraziste spojrzenie smutnego labradora. Wreszcie powiedział:

– Miejmy nadzieję, że to ostatni trup.

- Co proszę?

- Powiedziała pani: „na jednego trupa”. To sugeruje, że może ich być więcej.

Parsknęła.

- Pierwszego też nie miałam w planach. Kto wie, co Ustka i Zapadłe mają w planach dla mnie.

Usłyszała cichy śmiech. Magda Garstka przełożyła kilka rogalików z blachy na talerzyk i podała go Ninie.

- Proszę, zasłużyłaś co najmniej na tyle. Jako „przeszczep ustecki” przepraszam, że okolica powitała cię tak niefortunnie. Jeśli to pomoże, ja też zaczęłam życie w Ustce od trupa, ale wszystko się dobrze ułożyło i zaaklimatyzowałam się znakomicie – powiedziała.

Nina przez chwilę nie była pewna, czy uwierzyć w tego powitalnego trupa, ale zerknęła na wuja dziewczyny. O tak, trup jak nic był prawdziwy i bez wątpienia wiązała się z tym historia, której Marek Garstka nie wspominał najlepiej.

- Jeśli mogę coś doradzić... Nie taki straszny Straszewicz, jak go malują, więcej szczeka, niż gryzie. Dojdzie do sedna tej sprawy, więc jeśli jesteś niewinna, okaże się bardziej twoim sprzymierzeńcem niż wrogiem – dodała Magda.

Nina jakoś w to wątpiała. Jeśli możliwe jest, że czasami dostajemy ostrej reakcji alergicznej na jakąś osobę, Straszewicz od pierwszej chwili w towarzystwie Niny był na krawędzi wstrząsu anafilaktycznego. Sam zresztą działał na nią podobnie. A cudownego remedium jakoś nie umiała sobie wyobrazić.

Odstawiła talerzyk z rogalikami. Nagle zupełnie straciła apetyt.

USTKA I WSPARCIE ZZA GROBU

Kiedy była zdenerwowana, chodziła albo biegała. W każdym razie nie mogła usiedzieć. Ostatnie wydarzenia zaaferowały ją tak bardzo, że nie bardzo zwracała uwagę na otoczenie: urodę portu, ulic przyportowych, twarze mijanych osób czy nawet to, jak zimny był ten marcowy poranek. Maszerowała przed siebie w rozpiętej kurtce i bez szalika.

Dopiero zderzenie z chłopcem, góra siedmioletnim, który szedł rakiem i odliczał głośno od dziesięciu do zera, wyrwało ją z zamyślenia. A może to klepnięcie tyłkiem o chodnik zdołało ją, dosłownie, ściągnąć na ziemię? Chłopiec zagapił się na nią spłoszony. Jego matka pojawiła się obok prawie natychmiast i wyciągnęła rękę do Niny, by pomóc jej wstać.

– Wszystko dobrze? – zapytała z troską.

Nina zaśmiała się pod nosem.

– Tak się kończy chodzenie z głową w chmurach. Zamyśliłam się – przyznała.

– Trzeba patrzeć pod nogi – zauważył rezolutnie chłopiec, w którym nieśmiałość walczyła z odwagą.

– Masz rację, zapomniałam o tym! – odparła Nina. – Znacie może jakieś miejsce, gdzie mogłabym się napić dobrej kawy i zjeść małe co nieco? Nie jadłam śniadania, pewnie dlatego wiatr mnie przewrócił.

– Mrugnęła do chłopca.

– To ja, nie wiatr! – zaprotestował.

- Wiatr ci troszeczkę pomagał, wiał mi akurat w oczy!

Kobieta odetchnęła z ulgą. Może spodziewała się, że Nina zarzuci ją czy dziecko pretensjami. Pokierowała ją do kawiarni i zgarnęła swojego łobuza, łapiąc go za kołnierz kurtki, zanim wystartował sprintem.

Nina potarła twarz. Nie lubiła tego u siebie. Starła się być uważna, absorbować miejsca, ludzi, wrażenia. Kilka lat temu przeczytała, że pisarz nieustannie gromadzi materiał do następnej powieści, starała się więc gromadzić go jak najwięcej. To, że wciąż czekała na odpowiedź od wydawnictw, do których wysłała swój debiut, nie sprawiało, że była w mniejszym stopniu pisarką. Nawet jeśli z tym tytułem się nie uda, pisała właśnie kolejny. A w głowie miała jeszcze jeden. Nie zamierzała rezygnować z marzenia. Lecz żeby je zrealizować, musiała czasem skupić się na tu i teraz.

Dlatego w drodze do kawiarni rozglądała się uważnie i starała się złapać atmosferę Ustki, miasteczka, o którym słyszała to i owo od Luli.

Czasami, zwłaszcza pod koniec życia, gdy skurcze i drżenia praktycznie przykuwały przyjaciółkę do łóżka, wpadała w melancholijny nastrój i opowiadała Ninie o dzieciństwie i młodości w Ustce. Właściwie Nina nie przypominała sobie, by Lula kiedykolwiek mówiła o Zapadłem czy nawet o domu. Mówiła o porcie, o domkach w kratę, o ostrogach wchodzących w morze, po których z koleżankami skakała jako dziewczynka. I o pierwszej randce, gdy chłopak namówił ją, by weszli na spiętrzone głązy, zalewane co rusz falami. I o zamieszaniu, które wybuchło, gdy chłopak się poślizgnął i wpadł do wody. Uderzył się w skroń tak niefortunnie, że na chwilę stracił przytomność. Utopiłby się, gdyby czternastoletnia Lula nie wskoczyła do wody i nie odholowała go do brzegu. Czowała się potem taka dumna! Może dlatego, że gdy

opowiadała o tym wszystkim Ninie, jej ciało zawodziło ją na każdym kroku.

Nina nie umiała pływać. Nie chodziła na basen, nie mieszkała nad wodą. Ale teraz pomyślała, że chciałyby się nauczyć. Może małe wyzwanie na trzydziestkę? Na wypadek gdyby do tego czasu nie udało się jej wydać powieści. Już i tak przesunęła nacisk z „wydania” na „podpisanie umowy”, bo dzięki Gracjom wiedziała, jak długi bywa proces wydawniczy, a do jej trzydziestych urodzin zostało zaledwie jedenaście miesięcy.

Podobało jej się, że trafiła tu wczesną wiosną, przed najazdem turystów. Lato nad morzem kojarzyło jej się z tłokiem i chaosem. Przez jedne wakacje pracowała w smażalni ryb w Mielnie i długo potem utrzymywała, że nie lubi morza. Lula powtarzała, że to wina Mielna, a Nina kiwała głową, wątpiła jednak, by gdzie indziej było inaczej.

Teraz, stojąc na samym końcu ostrogi i opierając się o wysoki murek, wbijała wzrok w nieskończoną połąć błękitów, szarości i zieleni. Wiatr mierzwił jej włosy i zostawiał na skórze słoną mgiełkę z rozbitych o kamienie kropli, a ona poczuła, że być może się myliła, a Lula miała rację – jak zwykle.

Nagle zaczęła płakać. Szloch wyrwał się z jej piersi, a do oczu napłynęły łzy. Była całkiem sama na smaganej wiatrem ostrodze, więc nawet nie pomyślała, by poszukać chusteczki czy starać się tłumić przepełniające ją uczucia. Nie była pewna, czemu płacze. Czy to dlatego, że jest w Ustce, o której tyle słyszała od Luli? Czy dlatego, że dotarła tu dopiero po stracie przyjaciółki? Czy też, ponieważ czuła, że Lula opiekuje się nią nawet po śmierci? A może stres ostatniej doby musiał wreszcie znaleźć ujście?

A może oplakiwała Lulę, po raz pierwszy z głębi serca? W domu Weissbergów, otoczona przez jej synów, wnuków, pracowników,

czuła, że musi się powściągać. Nawet jeśli Lula obdarzyła ją szczerym uczuciem, dla wszystkich pozostałych Nina była po prostu opiekunką – pielęgniarką, pokojówką i damą do towarzystwa w jednym. Była pracownicą. Nie wypadało jej się publicznie rozklejać.

Czuła, że jej obowiązkiem jest pomóc rodzinie przejść ten trudny okres po śmierci możliwie jak najbardziej komfortowo. Posprzątała więc pokój Luli, spakowała leki i sprzęt medyczny, bo wiedziała, że bliskim ich widok sprawiałby ból. A potem trwała w stanie zawieszenia.

Teraz zaś była tutaj. Sama i wreszcie wolna, by wyrażać emocje bez skrępowania.

Poczuła się lepiej, kiedy łez zabrakło, a serce stało się lżejsze. Jakby swoją rozpacz złożyła w ofierze Bałtykowi. Wiatr zabrał jej ciężar daleko w morze.

– Miałaś rację, Lula, Bałtyk naprawdę jest najlepszy – powiedziała, a zimny podmuch porwał jej słowa.

Wracała na ląd z rękami w kieszeniach i postawionym wysoko kołnierzem kurtki. Uszy miała całkiem lodowate, a nos czerwony. Jeszcze chwila i zaczną zamarzać jej gile.

Znalazła kawiarnię – nie tę, o której wspomniała matka chłopca, ale nie była wybredna. Zamówiła na wynos największą kawę (drugą już dzisiaj, ale co tam!), z syropem piernikowym i bitą śmietaną. Grzejąc sobie dłonie o kubek, zeszła z deptaka na plażę. Stopy jej się zapadały – gdyby było cieplej, z radością zdjęłaby buty, a tak nad krawędzią cholewki nasypie jej się do środka piachu. Trudno.

Człapała lekko nachyloną plażą w kierunku morza, aż dotarła do piasku na tyle mokrego, że chodzenie stało się łatwiejsze. Szła tą krawędzią, gdzie ziemia i woda się stykają, i odskakiwała, jeśli nadchodząca fala była wyższa i mogła jej zamoczyć buty.

Wciąż wiało i było rześko, ale słonecznie. A na Ninę spłynął spokój. Czowała się jak dziecko, które wracając ze szkoły, kopie kamyczek i nie ma zmartwień większych niż to, gdzie ten kamyczek wylądował. Wrażenie tyleż ulotne, co złudne.

Policja, technicy i prokurator pewnie kręcili się właśnie po jej domu, a ją podejrzewano o zabójstwo typa, który włamał się do niej uzbrojony. Ale w tym momencie była małym okruszkiem we wszechświecie, paproszkiem w skali miliardów ziarenek piasku plaży i nieskończonej niebieskości morza.

– A więc to dlatego ludzie cię kochają – powiedziała głośno. – Jesteś cwany, Bałtyku, każdy zapłaci fortunę za wakacje nad morzem, jeśli w cenę jest wliczone zabieranie kamieni z serca.

Fale prawie zmoczyły jej stopy, a ich szum brzmiał jak śmiech.

*

Wiało. Miało to swoje zalety – morze wyglądało tak malowniczo, że każda zrobiona teraz fotka mogła z powodzeniem trafić na pocztówkę, a plaża była właściwie pusta. Było jednak zimno i chyba zbierało się na deszcz, Nina uznała więc, że pora wracać do pensjonatu. Powoli przestawała czuć twarz.

Tyle że miała coś jeszcze do zrobienia i podejrzewała, że może niedługo potrzebować potęgi Bałtyku, jego nadzwyczajnej mocy zabierania ciężaru z serca. Usiadła na stopniu prowadzącym na promenadę i wyciągnęła z plecaka dziennik, a z kieszonki pod jego okładką wysunęła niewielką kopertę. Była blad różowa, w kolorze kwiatów wiśni, z grubego papieru, przyjemnie ciężka. Na wierzchu widniało tylko imię Niny. To pochyłe pismo rozpoznałaby wszędzie.

Planowała przeczytać list pierwszej nocy w nowym domu, ale przez zmęczenie i brak prądu, a potem konkretny rozpraszacz w postaci włamywacza, zapomniała. Wiozła go ze sobą z Berlina. W

większej kopercie, którą dostała w czasie odczytania testamentu, znajdowała się notatka z zamiarami na Alberta Pilcha i informacją, że wszystko wyjaśni jej list z różowej koperty. Jakby taki mały, słodki drobiazg mógł pomieścić odpowiedzi na wszystkie kłębiące się Ninie w głowie pytania.

Ostrożnie, by nie zniszczyć koperty, podważyła papier paznokciem. Wyciągnęła złożoną na czworo kartkę z różowej papeterii. Wzięła kilka głębokich oddechów i zaczęła czytać.

Kochana Nino,

w ostatnich latach nie było dnia, bym nie dziękowała losowi, że postanowiłam zagadać do spłoszonej dziewczyny, która czytała polską powieść na korytarzu szpitala. Bo myślę, że to właśnie los nas ze sobą zetknął. Ty potrzebowałeś kotwicy i portu, ja potrzebowałam pomocy. Ale nie tylko.

Miałam dobre życie, mam wspaniałą rodzinę. Do szczęścia brakowało mi tylko jednego – córki. Wiesz, że kocham swoich synów, synowe i wnuki, ale miałam w sercu miejsce dla kogoś jeszcze. Wakat, można powiedzieć. Teraz wiem, że czekał na Ciebie. Myślę, że i Ty miałas w sercu wakat, który starałam się wypełnić najlepiej, jak mogłam.

Wiedzialiśmy, że to nie może trwać wiecznie. Choroba jest bezlitosna i postępuje szybciej, niż miałam nadzieję, że będzie postępować. Trudno. Nie zamierzam płakać za latami, których nie dostałyśmy, wolę cieszyć się tymi, które dane było nam przeżyć.

Pewnie się zastanawiasz, czemu nie wspomniałam Ci o spadku. To oczywiste – protestowałabyś, próbowałabyś mi wyperswadować ten pomysł, zrobiłabyś z tego problem. To nie jest problem. Dawno już omówiłam sprawę z synami, zgadzają się ze mną w zupełności. Dla nich ten dom niewiele znaczy, nie

ma wartości emocjonalnej. Dla mnie miał. I myślę, że może mieć dla Ciebie.

Nie chcę, żeby porwało Cię teraz życie, nowa praca, nowe obowiązki. Nie chcę, byś zepchnęła w najdalszy kąt pamięci marzenia, którymi się ze mną podzieliłaś. Masz talent. I myślę, że jedyne, czego potrzebujesz, by mógł rozkwitnąć, to „własny pokój”. Pamiętasz, czytałyśmy razem esej Virginii i pomyślałam: tyle lat minęło, a to jedno się nie zmienia. Przywilejem jest własna przestrzeń i bezpieczeństwo finansowe, dzięki którym można się skupić na pisaniu. Więc już masz przestrzeń. I trochę pieniędzy. Powinno starczyć na rok, jeśli inflacja nie zacznie hulać.

Nie dożyję sześćdziesiątych siódmych urodzin. Kwiecień tuż-tuż, ale po ostatniej wizycie kontrolnej wiem, że zostały mi najwyżej dwa tygodnie. Jestem już zmęczona. Nawet ten list piszę na raty. Jeśli chcesz sprawić starej i chorej kobiecie prezent (to nie manipulacja, gdy naprawdę jestem stara i chora!), napisz powieść, o której mi opowiadałaś. Będzie jeszcze lepsza niż ta, którą czytałam. Jestem pewna. I proszę o dedykację. Może być nieznośnie sentymentalna i ckliwa. Niech to po mnie zostanie.

Wykorzystaj swój przywilej, kochanie, i daj z siebie wszystko. Nie mogłabym być z Ciebie bardziej dumna, nawet gdybyś była moją rodzoną córką.

Twoja Lula

– Och, Lula – jęknęła Nina.

Znów płakała. Brzydko. Zanosila się głośnym szlochem, ciekło jej z nosa, a twarz puchła bardziej z każdą minutą. Magia Bałtyku miała widać swoje ograniczenia, bo Nina wcale nie czuła się lepiej.

Wygrzebała z plecaka chusteczki i próbowała się doprowadzić do porządku.

Nagle poczuła mokry dotyk na karku i ciepłe dmuchnięcie w ucho. Odwróciła się gwałtownie i stanęła oko w oko (jej zapuchnięte i czerwone, jego czekoladowobrązowe) z najśłodszym psem, jakiego w życiu widziała. Wyglądał jak krzyżówka brązowego labradora, z długowłosym seterem, za to uszy miał wyraźnie spanielowate, z kędziorkami u nasady. Pies patrzył na nią zatroskany, jakby wiedział, że jest smutna. Polizał ją po twarzy, zanim zdążyła się odsunąć. Zapiszczał cichutko i znów wystawił język do pocałunków, ale Nina złapała go za pysk i pogładziła za uszami.

– Już dobrze, starczy całusów – powiedziała. – Już mi lepiej, dziękuję.

Pies nie wyglądał na przekonanego. Kręcił ogonem i przestępował z łapy na łapę, wciąż popiskując.

Gładziła go po głowie i uszach i w pewnej chwili uśmiechnęła się do siebie. Gdzie nie wystarczyła magia Bałtyku, tam psia magia radziła sobie bardzo dobrze.

– Czyj ty jesteś, pieseczku? – zapytała słodkim głosem, zarezerwowanym do konwersowania z dziećmi i zwierzętami. W gęstej, pofalowanej sierści na karku wymacała obrozę, a na niej plakietkę, ale zanim zdążyła przeczytać napis, pies zaczął się kręcić i poszczekiwać. Nina usłyszała donośne:

– Fąfel! Fąfel! Gdzie jesteś, łachudro?!

Co dziwne... rozpoznała ten głos!

FAFEL I OFERTA REMONTOWO-TOWARZYSKA

Pies bez wątpienia słyszał nawoływania, ale pisnął tylko i ani myślał zostawiać Niny. Patrzył na nią czekoladowymi oczyskami pełnymi nieskończonej miłości, jakby miała kieszenie wypełnione kiełbaskami. Przysunął się do niej bliżej i teraz opierał się całym ciałem o jej bok, a łapę położył na jej kolanie. Nigdy nie widziała psa, który zachowywałby się w ten sposób. Powinna zawołać jego właściciela, który szedł wzdłuż linii brzegowej i wymachiwał smyczą, jakby liczył, że w jednej sekundzie na jej końcu zmaterializuje się jego pupil. Powinna. Ale psiak patrzył na nią tak słodko, a jego ciepło przenikało przez rękaw jej kurtki, jakby ją przytulał.

– Wpadniemy w tarapaty, Faflu. Nie dość, że jestem podejrzana o zabójstwo, to jeszcze dojdzie mi do kartoteki uprowadzenie psa – powiedziała cicho, gładząc jego mięciutkie ucho.

Psiak zaskomlał, ale się nie ruszył.

Tymczasem mężczyzna się zbliżał. Musiał ich zauważyć, siedzących na stopniu, bo gładko zmienił kierunek marszu i teraz przecinał plażę, idąc prosto w ich stronę.

Nie przyjrzała mu się dokładnie ostatniej nocy, czy raczej – była przekonana, że stery przejęła jej fantazja, bo we wspomnieniach niebezpiecznie przypominał rycerza, z drabiną zamiast białego konia. Teraz, w świetle dnia, cóż, nie wyglądał ani odrobinę gorzej. W wytartych džinsach, kraciastej kurtce podbitej białym kożuszkiem

widocznym na kołnierzu i z ciemnymi włosami kręcącymi się nad czołem prezentował się... kusząco. Jeśli był miodową pułapką, Nina odkrywała w sobie dawno zapomniane misiowe geny i nagle zaschło jej w gardle.

- Będziemy mieć kłopoty - szepnęła do ucha Fałlowi, który wciąż trzymał łapę na jej nodze.

Przymknęła powieki i wzięła głęboki oddech. Miała wystarczająco dużo kłopotów, nie zamierzała szukać kolejnych. Zuza na pewno wypunktowałaby ją za grzeszne fantazje o strażakach, ale jak nic dorzuciłaby, że niektóre zawody po prostu emanują seksapilem („Czy widziałaś kiedyś rozbierane kalendarze listonoszy? Albo nauczycieli?”). Agata zracjonalizowałaby to po swojemu - wizja faceta, który wchodzi po ciebie do płonącego budynku, by wynieść cię na rękach, po prostu działa na wyobraźnię. Reakcja Niny była wręcz typowa. Zwłaszcza że na własnej skórze doświadczyła strażackiego chwytu.

Plus, do cholery, była kobietą! A on był wysoki, długonogi, umięśniony, pięknie zbudowany. I jeszcze to, jak szedł, taki wyluzowany, z uśmiechem czającym się w kącikach ust...

Staął przed Niną i zapytał miękko:

- Czy ten kawaler ci się naprzykrza?

Musiała minąć chwila, nim odurzony jego urokiem mózg Niny zaczął na powrót funkcjonować. By się uporać z nadmiarem emocji, sięgnęła po sarkazm:

- Przyszedł prosić o azyl. W wielu kręgach nazwanie psa Fałlem podpada pod znęcanie się. Rozważam właśnie jego aplikację.

Mężczyzna się zaśmiał, a w jego prawym policzku pojawił się dołeczek. No bez przesady! Jeszcze chwilę i naprawdę zaczniesz kapać miodem!

- Normalnie bym się zgodził. Fąfel to imię, które wymaga solidnego kręgosłupa. Inne psy bywają okrutne. Ale raz, że ten tu gałgan nosił je dzielnie przez prawie pięć lat, zanim go wzięłem, więc nie wypadało mu mieszać w tożsamości. A dwa, że jego poprzednia właścicielka miała upodobanie do imion idealnych dla pudli. Można powiedzieć, że i tak nie skończył z najgorszym.

Nina pokiwała głową i oderwała wzrok od strażaka w obawie, że mężczyzna zauważy jej maślane oczy. Spojrzała na Fąfla, który wciąż opierał się o jej bok i nie ruszył łapy z jej kolana.

- Nigdy nie widziałam psa, który robi coś takiego – powiedziała.

- Jest wyszkolonym psem opiekuńczym. Jego pierwsza właścicielka chorowała na epilepsję, potrafił wyczuć nadchodzący atak. Nie masz epilepsji? – upewnił się.

Pokręciła głową.

- Musiał wyczuć coś, co skojarzył ze stresem dla organizmu. Skoro wszyscy się zgadzają, że psy potrafią wyczuć strach, czemu miałyby się do niego ograniczyć? Smutek czy ból też mogą mieć dla nich swoisty zapach.

Nina podświadomie zmięła w dłoni list od Luli.

- Och, Fąflu – szepnęła i oparła czoło o mądry psi łeb. – Często cię diagnozuje? – dodała, by nie musieć odpowiadać Robertowi na pytania, które mógłby zadać.

- Zawsze gdy oglądam mecz reprezentacji paca mnie łapką pocieszająco i kładzie pysk na mojej piersi. Empatyczna bestia, choć nie zawsze usłuchana – dodał z wyrzutem, klepiąc smyczą o udo.

Fąfel mruknął coś urażony i znów pacnął Ninę w kolano, jakby przypominał, że ma swoje priorytety i jest tu na służbie.

- Dziękuję za ratunek dziś w nocy – powiedziała nagle Nina. – W tym zamęcie nawet ci nie podziękowałam. To wszystko było... intensywne.

- No raczej! Wkroczyłaś na lokalną scenę z przytupem. Nim tydzień dobiegnie końca, będzie o tobie mówić cała okolica.

- A da się to mówienie powstrzymać? - zapytała z wątlą nadzieją.

- Zapomnij. Urok życia na prowincji. Trudno o światłowód, ale obieg informacji mamy bez zarzutu. Nieczęsto zdarzają się tu mordy, trupy i inne ekscesy tej kategorii.

- Wypadki - powiedziała z naciskiem. - Skoro machina plotkarska jest nie do powstrzymania, lepiej zadbać o precyzję informacji. Zdarzył się wypadek. Schody były w fatalnym stanie, włamywacz stanął w złym miejscu, oparł się o balustradę i nagle wszystko runęło pod jego ciężarem. Mój prawnik ostrzegwał mnie, że schody są do remontu, ten koleś tylko tego dowiódł.

- Może trzeba było ściągnąć fachowca, zanim się zawaliły? To mogłaś być ty, ze skręconym karkiem, czy nabita na palik balustrady.

- Celna uwaga, choć nie wiem, czy znalazłabym kogoś, kto zająłby się tym między osiemnastą trzydzieści a północą.

Mężczyzna popatrzył na nią pytająco.

- Odziedziczyłam dom niecały tydzień temu. Wczoraj po osiemnastej trzydzieści dostałam klucze i zobaczyłam go na oczy po raz pierwszy. Najwyraźniej muszę go zaakceptować z całym dobrodziejstwem inwentarza. Kornikami, widmem remontu i trupem.

- Na trupa nic nie poradzę, od tego masz ekipę złożoną z dzielnicowego, Garstki i Straszewicza. Ale gdybyś szukała ekipy remontowej, polecam się. - Wyciągnął z kieszeni portfel, a z niego wizytówkę.

Patrzyła na kartonik ze skrzyżowanymi młotkiem i śrubokrętem oraz nazwą firmy: Bracia Janta - Usługi Remontowe.

- Myślałam, że jesteś strażakiem.

- Pracuję w systemie zmianowym, mam sporo wolnego czasu. A mój brat uczy niemieckiego w liceum i twierdzi, że wyburzenie ścian i tłuczenie kafelków to niezbędny mu wentyl bezpieczeństwa. Program „Demolka na rzecz równowagi psychicznej”.

Nina westchnęła.

- Potrzebuję schodów. Kiedy moglibyście zacząć? – zapytała cicho.

Wyjął komórkę i przez kilkanaście sekund przeglądał kalendarz.

- No w sumie... choćby dziś. Sezon nam się zaczyna za dwa tygodnie i wtedy nie wcisnę już nic większego, ale teraz damy radę. Pytanie tylko, jak poważna jest to robota: czy trzeba wymienić kilka spróchniałych desek i wsporników, czy problem jest grubszy, bo na przykład korniki zeżarły ci belki w murach szachulcowych i trzeba będzie je rozebrać i postawić od nowa. Musiałbym się przyjrzeć i ocenić, czy to robota na weekend, czy na tydzień lub dwa. Kiedy pozwolą ci wejść do domu?

Wzruszyła ramionami.

- Nikt się ze mną nie kontaktował. Nawet nie wiem, jak to wygląda za dnia: czy to moja wyobraźnia, czy naprawdę jest tam pobojuwisko jak po wybuchu bomby.

- No pięknie nie było – przyznał Robert. – Mam numer do dzielnicowego, możesz go podpytać, kiedy skończą.

Niby logiczne, przyznała w duchu. Ale miała wrażenie, że o wiele łatwiej spławić kogoś przez telefon.

- A może byśmy tam podjechali? – podsunęła. – Może technicy już dawno skończyli, tylko nikt nie pamiętał, by do mnie zadzwonić? Masz samochód?

Kiwnął głową, zadowolony ze zmiany, którą w niej zauważył. Jakby coś uniosło ciemny welon smutku, gdy skupiła myśli na konkretnej sprawie.

Nawet Fąfel wyczuł, że jest z nią lepiej niż wtedy, kiedy ją znalazł. Zdjął łapę z jej uda, dumny z tego, jak bardzo pomógł tej miłej pani.

*

W nocy wydawało jej się, że jechali dużo dłużej. Teraz ledwie mrugnęła, a już byli przy skrzyżowaniu i wiedziała, że zaraz skręcą w leśną drogę. Jej komórka się rozdzwoniła. Nie знаła numeru, który się wyświetlał. Wyglądał na stacjonarny, z kierunkowym 59. Normalnie uznałaby, że to telemarketer i odrzuciłaby połączenie, ale to nie była normalna sytuacja.

Odebrała. I niemal natychmiast tego pożałowała, gdy rozpoznała głos w słuchawce.

– Gdzie się pani podziewa? Bo nie w pensjonacie, to na pewno! – warczał Straszewicz.

– Przegapiłam fakt, że mam areszt domowy? – odpowiedziała ostro.

– Miała pani nie opuszczać miasta!

– A przeszukał już pan całe, że ma pewność, że je opuściłam?

– Gdzie pani jest?

– Zapoznaję się z urokami okolicy – odparła wymijająco.

– Jeśli choć zbliży się pani do miejsca zbrodni, słowo daję, oskarżę panią o mataczenie – zagroził.

Robert musiał to usłyszeć, bo zjechał na pobocze i wyłączył silnik.

– To nie była żadna zbrodnia! – odparowała wściekła. – Poza tym nie może mi pan zakazać poruszania się po okolicy. I wciąż nie ma pan podstaw, by mnie aresztować!

– Czyżby? Jest pani osobą znikąd, nikt tu pani nie zna, nikt za panią nie poświadczy, nie przekona mnie o pani kryształowym charakterze. Może to wcale nie był włamywacz? Może przyjechaliście tu razem? Może nie chciała się pani dzielić

spadkiem? O ile w ogóle to jest pani dom. Może się tam pani włamała, wiedząc, że nikt tam nie mieszka i nie zagląda? Bo w księgach wieczystych nie ma o pani żadnej wzmianki.

– Dobrze, wyjaśnijmy to sobie raz na zawsze. Sprowadzę mojego prawnika, a on panu wszystko napisze drukowanymi literami, by dotarło. O której godzinie możemy zajrzeć na komisariat na oficjalną audiencję? Bo mam serdecznie dosyć tych oszczerstw!

Nawet nie zauważyła, że Fąfel sięga z tylnego siedzenia i kładzie łapę na jej ramieniu.

– Piętnasta. Proszę się nie spóźnić, bo będę musiał panią doprowadzić na to przesłuchanie.

– Po wszystkim będę się domagać przeprosin – warknęła i się rozłączyła.

Ścisnęła komórkę tak mocno, że Robert ostrożnie wyłuskał ją z jej dłoni i pogładził jej pobielełe palce.

– Już dobrze. To jego robota. Wkurzać wszystkich tak, by w amoku wyśpiewali mu swoje grzechy. Od ciebie nic nie usłyszy, ale musi próbować – powiedział.

– Nawet włamywacza nie chciałam zdzielić w głowę tak mocno jak jego – odparła Nina, gdy już zdołała rozluźnić szczękę.

– O tym akurat nie musisz mu wspominać. Jeszcze ci zacnie wmawiać, że faktycznie zdzieliłaś włamywacza w głowę – zauważył.

– Słuszna uwaga. – Odetchnęła głęboko.

– Czyli co, jedziemy do Zapadłego? – Uniósł brew.

– Lepiej nie – odparła.

– Możemy z tego wybrnąć na około, dosłownie – powiedział. – Zrobimy rundkę dookoła domu i wrócimy do Ustki, bez łamania bezpośredniego zakazu Straszewicza.

– Podoba mi się, jak działa twój umysł – przyznała – ale to chyba nie wystarczy, żeby ocenić stan schodów pod kątem remontu?

- Weźmiemy się do tego, gdy tylko dostaniesz zielone światło. Teraz to raczej dla sportu, ot, drobny akt obywatelskiego nieposłuszeństwa. Poza tym nie podoba mi się, jak ci rozkazywał – dodał poważnie.

Nina się roześmiała.

- Jedźmy. Jeszcze nie widziałam tego domu w świetle dnia!

*

Nie zatrzymali się. Przed domem stało kilka samochodów i radiowóz, a Nina wolała nie rzucić się w oczy, więc osunęła się na siedzeniu furgonetki. Z odległości dwudziestu metrów dom wyglądał na duży, wręcz majestatyczny. Z charakterem. Potrafiła się nim zachwycić, nawet jeśli dostała go w pakiecie z trupem.

Ścieżka, która prowadziła do budynku, biegła dalej, otaczała go szerokim łukiem, a potem znikwała w miejscu, gdzie las gęstniał. Ujechali nie więcej niż kilometr, kiedy Robert gwałtownie zahamował.

- Co się stało? – zapytała.

- Zostań w samochodzie – poprosił, wysiadając.

Dopiero teraz zauważyła ledwie widoczny za gałęziami jodły zderzak i tylną klapę czarnego auta. Sprawiało wrażenie, jakby ktoś stracił panowanie nad kierownicą i zjechał na pobocze.

Robert obszedł samochód i zajrzał na siedzenie kierowcy. Od razu wiedziała, że nikogo tam nie znalazł, bo wyprostował się, wyraźnie rozluźniony. Wrócił do samochodu i wyciągnął telefon z kieszeni.

- Dzielnicowy powinien rzucić na to okiem. Pozostawianie auta w środku lasu to śmiecenie – powiedział.

Ninę tknęło nagłe przeczucie.

- Hej, a może kierowca zostawił je tutaj przekonany, że za godzinę czy dwie po nie wróci?

- I co? Porwali go kosmici?
- Może spadł ze schodów – podsunęła ostrożnie.
- O cholera...

Wybrał numer Szymona Boberka i Nina usłyszała sygnał oczekiwania na połączenie.

- Lepiej mu nie mów, że jestem tu z tobą – powiedziała. – Może wyciągnąć głupie wnioski.

- Że jesteśmy parą? – Uśmiechnął się, unosząc brew.

- Albo że wiedziałam, że mój domniemany kochanek zostawił tu auto.

Uśmiech na ustach Roberta natychmiast zbladł.

- Boberek, sprawa jest – zaczął, gdy dzielnicowy wreszcie odebrał.

NIESPODZIANKA W DRODZE NA KONFRONTACJĘ

Nina poprosiła Roberta, by wysadził ją koło pensjonatu. Obiecała, że będzie z nim w kontakcie w kwestii remontu i zadzwoni, gdy tylko dostanie zielone światło od policji.

– Zadzwonź nawet, jeśli nie dostaniesz. Możemy gdzieś wyskoczyć na kolację, póki jeszcze jesteś w okolicy – zaproponował.

– Chciałeś powiedzieć: „zanim cię aresztują”?

– Raczej: „zanim wyjedziesz, mając serdecznie dość małomiasteczkowych gliniarzy ciskających ci w twarz obelgami”, ale to byłoby za długie, by rzucić w ramach lekkiego podrywu – odpowiedział.

– Podrywasz mnie?

– W sumie jeszcze nie wiem. Rozważam. – Uśmiechnął się rozbawiony. – Fąfel cię akceptuje, to niezły początek, ale wiesz, muszę uważać. Przebojowe damy z metropolii tylko czekają, by złamać serce dobremu chłopakowi z małego miasteczka.

– Mama cię ostrzegała? Czy oglądałeś za dużo „prawdziwych historii”? – zapytała.

– Sama widzisz, ostrzeżenia są wszędzie.

– Może cię uspokoi fakt, że nigdzie się nie wybieram. Zostaję w tej okolicy przynajmniej przez rok.

– Brzmi zachęcająco – przyznał. – Daje Fąflowi pole do popisu.

– A jaki on ma w tym interes?

– Proste: rozkocha cię w sobie do nieprzytomności i odechce ci się jakichkolwiek wyjazdów. A ja tylko na tym skorzystam.

– Jesteś... Sama nie wiem, jak to ująć. – Pokręciła głową, nawet się nie siląc na próbę stłumienia uśmiechu.

– Bezcelny? – zapytał z udawaną troską.

– Nie aż tak. Raczej... zaskakująco bezpośredni. I zabawny.

– Wezmę, co mi dają. Jeśli chciałabyś zjeść posiłek z bezpośrednim i zabawnym strażakiem, zadzwoń.

– Właściwie czemu ja? – zapytała.

– To ty masz moją wizytówkę, mnie zostaje czekać na telefon. – Mrugnął. – Poza tym dawno nikt się za mną nie uganiał, nie miałbym nic przeciwko.

– Nie wiem, czy jestem dobra w uganianiu się za kimkolwiek.

– Możesz na mnie poćwiczyć. Za tydzień czy dwa omówimy wyniki. Mogę nawet przygotować ankietę satysfakcji klienta.

– Zastanowię się – odparła, otwierając drzwi. Dopiero teraz zorientowała się, że stoją tuż przed pensjonatem.

– Uznaję to za dobry znak – powiedział Robert, a Fąfel zaszczekał na pożegnanie.

Jak on to robi?, dumiała, wchodząc do Wielkiej Niedźwiedzicy. Jeszcze chwilę temu myślała o trupie, Straszewiczu i o tym, jak powiedzieć o wszystkim prawnikowi tak, by zechciał przyjechać do Ustki, a teraz zastanawiała się, czy ma w walizce cokolwiek, co nadawałoby się na randkę... Absurdalne! Pokręciła głową, ale uśmiechnęła się, gdy usłyszała dźwięk klaksonu. Robert zatrąbił jej na pożegnanie, po czym odjechał w siną dal.

Nabrała ochoty na kolejną kawę. Tak, kawa z pewnością pomoże jej zapanować nad bałaganem w głowie. Może Magda pozwoli jej skorzystać z ekspresu? Zerknęła na zegarek – minęła właśnie

trzynasta, miała dwie godziny do umówionego spotkania na komisariacie. Pal łycho kawę, musiała przecież zadzwonić do prawnika!

*

Albert Pilch słuchał w milczeniu opowieści Niny Rawicz i pocierał kciukiem zmarszczkę między brwiami, która pogłębiała się z każdą sekundą. Czy możliwe, że młoda kobieta w niespełna dobę zdołała się wplątać w taką historię? Oczywiście, że możliwe, upomniał się. Nie przypadkiem Lula pokochała tę dziewczynę od pierwszego spotkania.

– Będę o piętnastej – zapewnił. – Zabiorę ze sobą wszystkie dokumenty i wyjaśnimy sprawę miejscowej policji. Przynajmniej w kwestii domu.

– I schodów?

– Oczywiście, wspomnę o kondycji schodów. Natomiast nie wiem, czy będę mógł wiele pomóc w sprawie... – zawahał się.

– Trupa i oskarżeń o morderstwo? – podsunęła.

– Tak właśnie. Prawo karne nie jest moją specjalizacją. Ale mogę kogoś polecić.

– Miejmy nadzieję, że Straszewicz poprzestanie na podejrzeniach – odparła Nina spokojnie. – Jeśli oszaleje do reszty, skorzystam z polecajki. Na razie chciałabym wyjaśnić mu kwestie własności. Może wtedy trochę ochłonie. O ile nie dojdzie do wniosku, że przed zamordowaniem włamywacza, licząc na spadek, zabiłam Lulę: biedną, umierającą, intelektualnie i emocjonalnie niedomagającą kobietę.

Albert wybuchnął śmiechem, zupełnie nieprofesjonalnie, ale nie mógł się powstrzymać.

- Rozszarpałaby go na kawałki, gdyby usłyszała, że tak o niej mówi
- powiedział cicho.

- Prawda? Zapłaciłabym majątek, żeby zobaczyć, jak go bierze w obroty.

- Też mi jej brakuje. - Jego głos zabrzmiał miękko. Prawnik odchrząknął i już oficjalnym tonem dodał: - Będę kwadrans przed piętnastą. Wyjaśnimy wszystko raz-dwa. Wniosek do Wydziału Ksiąg Wieczystych jest już złożony, po prostu formalności zajmują kilka tygodni. Ale mam kompletną dokumentację procesu spadkowego i akt własności, a także kopię testamentu i oficjalnych dyrektyw Luli. Papiery są bez zarzutu.

Nina pożegnała się z Pilchem, myśląc, że czułaby się lepiej, gdyby to jej reputacja była bez zarzutu. Przypomniało jej się, co dziś rano powiedział Robert - ludzie już gadają, a będą gadać jeszcze więcej. Wiedziała, jak ciężko się żyje, gdy sąsiedzi podejrzewają cię o najgorsze. Dobre pierwsze wrażenie robi się tylko raz.

To oznaczało, że od dzisiejszego spotkania w komisariacie zależy więcej, niż sądziła. Chodziło o jej być i nie być w tym mieście. Jeśli chce tu zostać, musi oczyścić swoje imię.

*

Panikowała. Za godzinę miała się stawić w komisariacie, a ciągle tkwiła w pokoju w bieliźnie i gapiała się na zawartość walizki, rozwłóczoną po całej podłodze.

Czuła, że powinna się odpowiednio zaprezentować, ale jej garderoba, cóż, składała się z rzeczy codziennych i wygodnych. Przez ostatnie lata w zasadzie nie potrzebowała eleganckich ciuchów, a jeśli szły z Lulą do teatru czy galerii, przyjaciółka pożyczała jej jedną ze swoich czarnych sukienek - zanim schudła,

nosiła dokładnie ten sam rozmiar co Nina. Taka czarna sukienka bardzo by się teraz Ninie przydała.

Zamiast niej miała kilka par dżinsów, w tym ogrodniczki, a nawet kombinezon dżinsowy z podwijanymi nogawkami i rękawami. Do tego spodnie cargo z nadmiarem kieszeni, bluzy z kapturem, dres, dwie piżamy, legginsy i obszerny sweter. Cudownie, w areszcie byłoby jej bardzo wygodnie... Musiała zrobić zakupy, to na pewno, ale nie teraz. Zostało jej czterdzieści minut, a nawet nie wiedziała, jak daleko jest do komisariatu!

Sięgnęła po wąskie czarne dżinsy. Pasowałyby do nich koszula... oczywiście, koszule były tam, gdzie sukienki – w szafie Luli! Czarny T-shirt? Nie, jeszcze ją wezmą za czarny charakter. A więc szary T-shirt. I rozpinany sweter, granatowy, z marynarskimi, mosiężnymi guzikami. No, lepiej nie będzie, oceniła. Ubrała się szybko i w worku z bielizną, pośród absurdalnie kolorowych skarpetek, zaczęła szukać zwykłych, czarnych.

Nagle usłyszała pukanie do drzwi. Zamarła. Czy możliwe, że Straszewicz naprawdę przysłał policjantów, by ją doprowadzili na przesłuchanie? Zamorduje go, po prostu zamorduje!

Dopadła do drzwi i otworzyła je z impetem. I gniewne słowa zamarły jej na ustach.

– Co wy tu robicie? – zapytała. Głos jej drżał, a oczy wypełniły się łzami.

– No przecież nie zostawimy cię Straszewiczowi na pożarcie – oświadczyła Agata z zadowoloną miną.

– Z jedną mógłby sobie poradzić, ale w komplecie Gracje są niepokonane – dodała Zuza, uśmiechając się szeroko.

Nina, nie mogąc wykrztusić słowa, ścisnęła przyjaciółki najmocniej, jak umiała. Nie spodziewała się ich. Jak mogłaby? Nigdy wcześniej nie widziały się na żywo. Pisały, gadały na zoomach, ale

ona była w Berlinie, Agata w Warszawie, a Zuza w Bydgoszczy. A teraz...

- Nie płacz, zaraz ci powieki spuchną, a ten złośliwy gliniarz uzna to za przejaw poczucia winy - powiedziała Zuza.

- Musiałby wierzyć, że mam sumienie - wykrztusiła Nina. - My, morderczynie znikąd, nie miewamy takowego, wiadomo.

- Damy sobie z nim radę - zapewniła Agata, poklepując ją po plecach.

W tym momencie zadzwonił budzik, który Nina ustawiła zaraz po wejściu do pensjonatu.

- Jezu, muszę iść na przesłuchanie - wyjaśniła.

- A prawnik? - zapytała podejrzliwie Agata.

- Spotkam się z nim na miejscu - zapewniła Nina.

Zuza wzięła się pod boki.

- Spotkamy. Idziemy z tobą.

I zanim Nina zdążyła cokolwiek powiedzieć, Agata zakomenderowała:

- Nie dyskutuj, tylko znajdź adres w GPS-ie. Podjedziemy moim autem.

Nina złapała torebkę, upewniła się, że ma dokumenty i portfel, a do bocznej kieszonki wrzuciła komórkę.

Zuza ściągnęła z siebie grafitowy blezer i podała Ninie.

- Zamieńmy się. To ty masz wyglądać jak żyleta, ja mogę jak majtek z „Latającego Holendra”.

Nina parsknęła śmiechem, ale szybko przyjęła blezer i oddała sweter przyjaciółce. Okej, była gotowa na starcie ze Straszewiczem.

HURAGAN GRACJE

Pięć minut. Tyle im zajęło dojechanie na miejsce i zaparkowanie. Akurat starczyło, by opowiedziała im, jak właściwie zmusiła Straszewicza do przesłuchania i spotkania z prawnikiem, bo dosyć miała jego kalumnii. Nie wspomniała, czemu aż tak drażniło ją to natarczywe podkreślanie braku powiązań z Ustką. Przyjaciółki sporo wiedziały o jej przeszłości, ale niektóre rzeczy wolała zachować dla siebie.

Albert Pilch czekał na nią przed komisariatem. Jeśli podczas ostatniego spotkania wyglądał jak nauczyciel łaciny, teraz kojarzył się raczej z wykładowcą w katedrze prawa – elegancki ciemnoszary garnitur, błękitna koszula, jedwabny krawat, wełniany płaszcz i pasujący do krawata granatowy szalik w złoty rzucik sprawiały, że prezentował się nad wyraz elegancko. Coś zmieniło się w jego postawie i wyrazie twarzy, jakby zapodział gdzieś całe swoje ciepło i troskę, które okazywał poprzedniego wieczoru. Nina aż się zgarbiła, interpretując ten lód w jego oczach jako złość na nią – w końcu ledwie się odwrócił, wpadła w tarapaty, fundując mu dodatkową robotę. Pilch jednak nachylił się do niej, uściśnął jej ramię i powiedział cicho:

– Pokażemy mu, gdzie raki zimują.

Doszła więc do wniosku, że jest zły na Straszewicza, a z tym mogła żyć. Agata i Zuza przedstawiły mu się, a on wydawał się zaskoczony ich zainteresowaniem.

- Jest potencjał - mruknęła Zuza na tyle cicho, że nie mógł jej usłyszeć.

Nina stłumiła śmiech.

O czternastej pięćdziesiąt wkroczyli na komisariat. Albert Pilch przedstawił ich dyżurnemu, a potem, nie pytając o drogę, po prostu poprowadził kobiety na piętro. A zatem musiał tu bywać. Zaskoczyli Straszewicza, który siedział przy zawalonym papierami biurku i dojadał kanapkę. Obrzucił Pilcha szybkim spojrzeniem i skinął mu głową, a potem zerknął na Ninę oraz stojące za nią Agatę i Zuzę.

- Panie się rozmnożyły przez noc? - zapytał uprzejmie.

- Może przejdźmy do rzeczy, panie sierżancie, zamiast marnować czas na złośliwostki niskich lotów - upomniał go surowo prawnik.

- O, czyżby pani Rawicz miała ochotę wyjawić nam nazwisko ofiary? Bardzo by nam to pomogło. - Straszewicz nie przejął się reprimendą.

- Mam za was odwalić całą robotę? Może powinnam go była obszukać po tym, jak zabił się na moich schodach? - odcięła się Nina.

- Gdyby miał przy sobie dowód tożsamości, już byśmy ją znali - odpowiedział Straszewicz.

- A zbadał pan odfitki linii papilarnych? - zapytała uprzejmie Agata. - Może to nie było jego pierwsze włamanie.

- A pani? Kim właściwie jest? - zapytał sierżant podejrzliwie, słysząc, że używa żargonu poprawnie. - Też prawniczka?

W wysokiej, postawnej kobiecie było coś znajomego. Próbował sobie przypomnieć, gdzie mógł ją widzieć, ale pamięć nie podsuwała mu żadnych skojarzeń. Była raczej przystojna niż ładna, miała wyraziste rysy, proste czarne włosy do ramion i zielone oczy, które wydawały się go prześwieślać.

- A brońcie bogowie, gorzej. Pisarka. Agata Bunc, mógł pan słyszeć. - Uśmiechnęła się jak głodny rekin.

O tak, po minie Straszewicza Nina wywnioskowała, że słyszał. Nic dziwnego. Agata była popularna, nagradzana i miała na koncie ponad dwadzieścia kryminałów.

- Co pani tu właściwie robi? - zapytał spokojnie, Nina dostrzegła jednak cień niepokoju w jego oczach.

- Doszły mnie słuchy, że potrzebuje pan, by ktoś poświadczył za Ninę Rawicz, więc stawiałam się natychmiast. Specjalnie w tym celu przyjechałam z Warszawy - dodała z naciskiem.

- A pani? - Zwrócił się do Zuzy.

Ta rzuciła mu spojrzenie tak lodowate, że lekko się wzdrygnął. Równie dobrze mogła liczyć sobie dwadzieścia, jak i trzydzieści lat. Śliczna jak laleczka niebieskooka blondynka, minę miała tak zaciętą i mało przyjazną, że gdyby ktoś faktycznie wykorzystał jej podobiznę do stworzenia lalki, byłyby jak te wiktoriańskie, rodem z horrorów.

Uniosła brew, doskonale świadoma wrażenia, jakie robi na sierżancie sztabowym, i powiedziała:

- Zuzanna Lewicka. Mnie pan może nie czytał, ale proszę mi wierzyć, z nas dwóch to ja mogę narobić panu kłopotów, jeśli tylko zauważę, że w jakikolwiek sposób przekracza pan swoje uprawnienia czy szykanuje moją przyjaciółkę, Ninę Rawicz. Która, co mogło panu umknąć, jest ofiarą przestępstwa, powtórnie przez pana zwiktymizowaną. Czy takie standardy zawodowe panują w tym komisariacie? Bo na tę chwilę nie jestem nimi szczególnie zachwycona. - Jej głos ciął jak bicz.

Tak już było z Zuzą - mrok na sto procent albo wcale.

Straszewicz zmarszczył brwi.

- Czy pani mi grozi? - zapytał.

- Ależ skąd. To byłoby karalne. Ja tylko informuję, że jestem tu, by obserwować i wyciągać konsekwencje, jeśli to będzie konieczne. Skargi piszę równie dobrze jak sceny erotyczne - odpowiedziała i uśmiechnęła się do niego w taki sposób, że lekko się wzdrygnął.

- Panie sierżancie sztabowy, ewidentnie zaczął pan tę sprawę na złą nóżkę, ale jeszcze nie jest za późno, by wszystko wyprostować - zarzuciła wędkę Agata. - Możemy gdzieś usiąść i spokojnie porozmawiać, zanim sytuacja zacznie eskalować, a Zuzanna rozpęta piekło w mediach? Nadużycia władzy są tak nośnym tematem, że łatwo o pożar, którego potem nie ugasiśmy w trzy minuty.

- Mam wszystkie dokumenty, które rozwieją pana wątpliwości w kwestii pani Niny - dodał Albert Pilch, uśmiechając się dobrotliwie, jakby czekał, aż policjant skapitułuje.

Sierżant sztabowy Eugeniusz Straszewicz westchnął ciężko, dopił kawę, porzucił ostatni kęs kanapki i wstał zza biurka.

- Zostałem przeklęty, bez dwóch zdań - wymamrotał.

- Mówił pan coś? - zainteresowała się Agata.

- Nie, nic, zupełnie nic. Domyślam się, że nie mam co prosić o odrobinę przestrzeni, bym mógł z panią Niną i mecenasem Pilchem porozmawiać na osobności?

- Może pan zapomnieć - rzuciła Agata.

- Po pana trupie - dodała Zuza mściwie.

Westchnął, a mokre od kawy wąsy zadrgały mu nerwowo. Przyglądził je i powiedział:

- Zapraszam do pokoju konferencyjnego, tam się zmieścimy. I wbrew temu, co się paniom wydaje, ja bardzo bym chciał wyjaśnić to całe zamieszanie raz a dobrze.

Nina czuła się szczerze wstrząśnięta tym, jaki obrót przyjęła ta rozmowa. Najwyraźniej Straszewicz umiał prawidłowo ocenić sytuację i jeśli wcześniej sądził, że poradzi sobie z jedną Gracją, to

teraz już wiedział, że cała ich trójka go powali, a prawnik zada ostateczny cios.

*

Rozmowa w niewielkiej sali konferencyjnej przebiegała już w dużo bardziej formalny sposób. Zanim zaczęli, Straszewicz wyjął z kieszeni dyktafon i uprzedził, że będzie nagrywana. Czyli jednak potrafi poskromić złośliwość, pomyślała Zuza.

Zaczął Albert Pilch. Zgrabnie zaprezentował kwestię własności domu, w którym doszło do włamania i wypadku. Przedłożył sierżantowi sztabowemu niezbędne dokumenty, a ponadto wyjaśnił, że może w imieniu pierwotnej klientki, to jest Urszuli Uklej-Weissberg, zapewnić o uczciwości Niny Rawicz, która przez ostatnie osiem lat była legalnie zatrudniona w Niemczech. Odprowadzała podatki i mieszkała w rezydencji Weissbergów, którzy to Weissbergowie z przyjemnością wystawią Ninie Rawicz referencje, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Przedstawił także kolejność wydarzeń, od śmierci klientki, przez odczytanie testamentu, kontakt Niny z jego kancelarią, a wreszcie jej przyjazd poprzedniego dnia o godzinie osiemnastej i przybycie do odziedziczonego domu o godzinie osiemnastej czterdzieści trzy. Wspomniał też, z wyraźnym naciskiem, że jako wykonawca polskiej części testamentu oraz krewny Urszuli Uklej-Weissberg bywał w posiadłości w Zapadłem i faktycznie, stan klatki schodowej pozostawiał wiele do życzenia. Planowano jej remont w trybie niezwłocznym, niestety na przeszkodzie stało pogorszenie stanu zdrowia klientki.

Straszewicz nie przerywał, notował to i owo, ale głównie słuchał. Wszystko to Nina mogła mu powiedzieć sama, ale najwyraźniej jej zeznania nie byłyby równie przekonujące.

- No dobrze - odezwał się po chwili i westchnął z rezygnacją - proszę mi przedstawić swoją wersję wydarzeń.

- Nie mam „swojej wersji wydarzeń”, ale mogę panu powiedzieć, co się zdarzyło - stwierdziła stanowczo.

Machnął długopisem. Najwyraźniej znaczyło to: proszę mówić.

Więc opowiedziała. Zaczęła od wybicia korków, bo wydawało jej się to istotną informacją w kontekście wypadku.

- Powinna pani zadzwonić od razu - wtrącił się Albert Pilch - przecież to musiało być przerażające!

- Nie jakoś bardzo - zapewniła. - Przynajmniej do momentu, kiedy dotarło do mnie, że w domu jest ktoś poza mną.

Zreferowała kolejne wydarzenia. Gdy skończyła, zapadła cisza.

- Czyli podsumowując - odezwał się wreszcie Straszewicz - twierdzi pani, że włamywacz wchodził po schodach nieostrożnie i doznał wypadku? - Jego wąsy drgały.

Nina nie była pewna, czy jest zdenerwowany, czy tłumi wesołość.

- Włamywacz nie tylko wtargnął do mojego domu, ale też doprowadził do poważnych zniszczeń. Gdyby żył, pozwałabym go o odszkodowanie za straty.

- Zapłacił już chyba wystarczająco? - zauważył Straszewicz, znów unosząc brew jak kudłatą gąsienicę.

- Wolałabym, by trafił do więzienia. Może tak by się stało, gdybym nieprzyzwoicie długo nie czekała na interwencję służb po tym, jak wezwałam pomoc.

- Tak, to był bardzo niekorzystny splot okoliczności - zauważył nerwowo Straszewicz. Odruchowo zerknął na Agatę i Zużę, które pokiwały głowami z dezaprobatą, na znak, że i ten szczegół sprawy jest im znany.

- Widać to była noc niekorzystnych splotów okoliczności. Dla mnie, dla włamywacza i dla usteckiej policji - powiedziała Nina

nieco złośliwie.

– I przysięga pani, że nigdy tego człowieka nie widziała? Że po prostu włamał się do jej domu w środku nocy? – zapytał Straszewicz z wyraźnym zmęczeniem w głosie.

– Nawet bym go nie rozpoznała na ulicy, panie sierzancie – zapewniła Nina solennie. – Nie widziałam po ciemku jego twarzy, kiedy żył, a potem... wolałam się nie przyglądać.

Straszewicz wyciągnął z teczki fotografię i przesunął ją po blacie w stronę Niny. Przyjrzała się uważnie denatowi, próbując nie zwracać uwagi na krew i drzazgi wystające mu z szyi.

– Nigdy wcześniej go nie widziałam – powtórzyła.

I Straszewicz był skłonny w to uwierzyć. Za nic by się do tego nie przyznał, ale kiedy dotarł na miejsce zdarzenia, był tak zły i marudny, że nawet nie zastanowił się, jak właściwie ta drobna, zakutana w kołdrę dziewczyna miałaby sobie poradzić z facetem, którego trup leżał w ruinie schodów. Gość miał prawie metr dziewięćdziesiąt i ważył grubo ponad sto kilo. Bebechy mówiły sierżantowi sztabowemu, że sprawa ma drugie dno, więc przyczepił się do sarnookiej panienki znikąd, bo wydało mu się mało prawdopodobne, że po prostu miała pecha.

– Skoro Nina dopiero wczoraj przyjechała w te strony, nie jest bardziej prawdopodobne, że zdoła go zidentyfikować ktoś miejscowy? – zapytała Agata.

– Niestety, nic na to nie wskazuje. A odfitki linii papilarnych sprawdziliśmy. Nie ma ich w systemie – odparł sierżant sztabowy.

Zuza przysunęła sobie zdjęcie i przyglądała mu się przez chwilę.

– Czy ma pan zdjęcie całego tatuażu na jego szyi? – zapytała cicho.

Straszewicz nie krył zaskoczenia.

– Zna pani tego człowieka?

- Nie znam. Ale ten tatuaż wygląda znajomo... - Zaczerwieniła się lekko.

Straszewicz nie dopytywał, tylko przekopał fotografie z miejsca zbrodni, aż dotarł do zdjęć szyi denata i reszty jego tatuaży: na dłoniach, ramionach i plecach. Podał zdjęcia Zuzannie, a ona przyglądała im się dłuższą chwilę. Odłożyła na bok fotkę pleców, ale te przedstawiające szyję i dłonie zostawiła przed sobą. Nabrała powietrza i powiedziała:

- Powinien pan wysłać jego odfitki palców do Europolu. Ten tatuaż wygląda jak oznaczenie rangi w mafijnej hierarchii. Widziałam takie u aresztowanych członków bałkańskiego gangu zajmującego się handlem ludźmi i przemytem.

Straszewicz patrzył na nią, jakby wyrosły jej rogi i skrzydła jednocześnie.

- Mogę zapytać, skąd ma pani takie informacje?

- Jestem pisarką - odpowiedziała wymijająco. A gdy dotarło do niej, że policjant czeka na rozwinięcie, westchnęła i dodała: - Napisałam kilka książek o mafii. Poważnie podchodzę do researchu. Mam zaprzyjaźniony kontakt w Europolu, jeśli jest pan zainteresowany.

- Mamy łącznika, dziękuję, poradzimy sobie - odparł, wciąż nieco oszołomiony.

- Czy wszystko jest już jasne? Czy możemy jeszcze jakoś pomóc w śledztwie, panie sierżancie sztabowy? - zapytał prawnik, składając dłonie w piramidkę.

- Na razie to wszystko - odrzekł sucho Straszewicz. - Przy czym prośba, by nie opuszczała pani okolicy, jest nadal aktualna - zaznaczył.

- Nigdzie się nie wybieram. Mieszkam tu. A właśnie, kiedy będę mogła wrócić do domu? Albo choć zajrzeć tam z fachowcem, który

ma mi naprawić schody?

– Nie zasypia pani gruszek w popiele – zauważył sierżant sztabowy.

– Czy komisariat ustecki pokrywa koszty moich noclegów w pensjonacie? Bo jeśli nie, wolałabym jak najszybciej się stamtąd wymeldować.

– Jutro po południu powinno być po wszystkim – zapewnił.

– Na to liczę – powiedział prawnik z uśmiechem.

Wstali od stołu. W progu sali konferencyjnej Agata odwróciła się i powiedziała do Straszewicza:

– Nie tylko Nina nigdzie nie wyjeżdża. Mam wrażenie, że jeszcze na siebie wpadniemy – i mrugnęła.

Wyszli z budynku niezatrzymywani przez nikogo.

– Nie musiałaś mu grozić na koniec – zauważyła Nina rozbawiona.

– Nie musiałam – zgodziła się Agata.

– Dziękuję za pomoc, mecenasie Pilch.

Mężczyzna uklonił się Ninie szarmancko.

– Zawsze do usług. I na przyszłość proszę nie zwlekać z telefonem, jeśli pojawią się jakiegokolwiek kłopoty. Swoją drogą, korki są w pomieszczeniu koło kuchni, tam, gdzie piec gazowy, na ścianie po lewej stronie od wejścia – przypomniał.

Uklonił się Gracjom i ruszył do samochodu. Kobiety stały chwilę na chodniku, patrząc, jak odjeżdża, a w końcu Zuza powiedziała:

– Widzicie, jak to dobrze, że piszę pod pseudonimem? Straszewicz będzie teraz szukał książki o bałkańskiej mafii pióra Zuzanny Lewickiej i może nigdy nie odkryje, że informacji o tatuażach szukała Regina Lux.

– Trochę się boję, co by się stało z jego głową, gdyby w ramach kwerendy przeczytał *Kochanicę mafiosa* – przyznała Nina.

- Mało kto jest na to gotowy - zauważyła Agata. - Może jego żona, ale on? Za miękki w gaciach.

GRACJE W USTCE

Ustka jedno potrafiła bezbłędnie: zrobić doskonałe pierwsze wrażenie. Ze swoją uroczą architekturą portową, dość tradycyjną, by stworzyć klimat, ale i nutą nowoczesności – przez co nie trąciła skansenem – idealnie nadawała się na okładkę folderów turystycznych. Pogoda dopisywała, jakby rozpogodziło się na specjalne zamówienie Gracji, a wiatr pachniał tak, jak tylko potrafi pachnieć wiatr po burzy. Turystów w mieście nadal było niewiele, a bulwar i ulice pozostawały przyjemnie niezatłoczone.

– No można się zakochać – przyznała Agata, rozglądając się dookoła.

– Poczekaj, aż pójdziesz na plażę, a Bałtyk wydmucha ci z głowy wszystkie zmartwienia. Serce robi się tak lekkie, że zaczynasz panikować, bo już całkiem przyzwyczyłaś się do ciężaru swoich demonów i nerwicy – powiedziała Nina.

– O, to jest terapia, której chętnie spróbuję – stwierdziła Zuza, ciaśniej oplątując wokół szyi długi szalik, którego końce szarpał wiatr.

Z kolei Agata ziewnęła przeciągle i zwróciła się do Niny:

– Znasz tu już jakąś przyzwoitą kawiarnię? Burczy mi w brzuchu i zabiłabym za kawę.

– Och, kofeina, potrzebuję – jęknęła Zuza. – Chciałam się przespać w aucie, ale Agata nie potrafi prowadzić bez śpiewania. Gdybym wiedziała, wybrałabym pociąg.

- Nie polecam. Połączenie z Bydgoszczy pewnie byłoby równie skuteczne jak to z Berlina. - Nina aż się wzdrygnęła. - I tak, mam zamiary na kawiarnię, choć jeszcze nie przetestowałam jej na własnym żołądku. Jestem tu od niespełna doby, a wydarzyło się tyle, że nadal nie zjadłam tu porządnego posiłku.

- To może restauracja? Pizza czy makaron dobrze robią na morale - zaproponowała Zuza.

- Podobnie jak sernik - zauważyła Nina.

- Z tym nie będę dyskutować.

- Prowadź - zażądała Agata. - Teraz i ja potrzebuję sernika.

Ninie uciekła nazwa ulicy, ale wskazówki zapamiętała dość dokładnie i wkrótce trafiły do kawiarni.

- Och, to miejsce wspaniale nadaje się do pisania! - oświadczyła zadowolona Agata.

- Wiesz, że normalni ludzie nie oceniają lokalu w ten sposób? - zapytała Zuza, metodycznie odwijając szalik.

- Sama przyznaj! - naciskała przyjaciółka.

- No przecież, ten stolik w rogu jest mój! - orzekła i zaśmiała się, widząc minę Agaty. - Przepadło, nazwę go George i będziemy razem bardzo szczęśliwi. Może dzięki niemu dotrzymam obu nierealnych deadline'ów Krzysia Zdzisia.

- Nie przedłużył ci żadnego? - zapytała zmartwiona Nina.

- Nie udało się zzoomować z drogi, miałam za słaby zasięg. Na spokojnie pogadam z nim jutro rano, przełożyłam spotkanie online, by poznał smak retardacji. Będzie musiał wybrać między uwodzicielskim księciem a złym chłopcem z mafii, bo się przed majowymi targami nie rozdwoję.

- Padłaś ofiarą własnego sukcesu - zauważyła Agata.

- Sukcesów Reginy i Liliany. Zuzanna Lewicka nadal jest przegrywem, którego kariera literacka szezła w powijakach. - Zuza

skrzywiła się, jakby musiała przełknąć gorzką pigułkę. – Dobra, kawa, albo zaraz zacznę się nad sobą użalać, ocierając oczy forszą zarobioną przez te dwie bździągwy.

– Nazywasz swoje alter ego bździągwy? – zapytała przytomnie Nina.

– Tylko jeśli się pokłócimy – odparła Zuza i mrugnęła zawadiacko.

Podeszły do kontuaru złożyć zamówienie. Trzy głodne Gracje nie były dobre w wybieraniu po jednej rzeczy, więc zamówiły po kawałku każdego ciasta, jakie zobaczyły za szybą lodówki, a do tego po największej kawie.

Gdy czekały już przy stoliku, aż kelnerka zrzuci na nie bombę cukrowo-kofeinową, Nina, bawiąc się serwetką, westchnęła i powiedziała:

– W ogóle... dziękuję wam. Rzuciłyście wszystko i przyjechałyście do Ustki, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie.

– Och, kochana, przecież potrzebowałaś wsparcia. Nie mogliśmy cię tu zostawić na pastwę Straszewicza, podejrzanych typów i melancholii.

– Tak czy siak... nie spodziewałam się. – Zamilkła, nie mogąc wykrztusić nic więcej.

– A powinnaś. Nie po to ma się przyjaciółki, żeby samotnie się mierzyć z ponurymi wśczechami i trupami. Poza tym myślisz, że co, całe to morze inspiracji zachowasz dla siebie? – rzuciła Zuza.

Nina parsknęła śmiechem.

– Nie wiem, czy właśnie to Lula miała na myśli, kiedy stwierdziła, że w tym domu będę pisać – zauważyła.

– Inspiracja nie wybiera, życie samo dostarcza inspiracji – zauważyła sentencjonalnie Agata. – Tylko pamiętaj, czasami granica między researchem a prokrastynacją jest płynna i ulotna.

– Czy to szpilka pod adresem Zuzy i jej dwóch deadline'ów?

- Hej, ja planowałam wyjazd, byłam nawet spakowana! Przecież od jutra miałam mieć to moje obowiązkowe deadline'owe „pisarskie odosobnienie”, klepnęłam rezerwację i w ogóle. Ale w sumie wolę być w Ustce niż tam... Brutalizm architektoniczny mi się przejadł – wyjaśniła Zuza.

- Nigdy nie rozumiałam, czemu na wyjazd pisarski wybierałaś najbrzydszy, najpodlejszy hotel w robotniczej dzielnicy Bytomia – zwróciła uwagę Agata.

- Właśnie dlatego. Jakby było ładnie, kusiłoby mnie, żeby wyjść i podziwiać. A gdy z okna jak okiem sięgnąć tylko kominy i hałdy, siedzisz na dupie i piszesz. No ale, jak mówię, przejadło mi się. Może Ustka będzie łaskawsza.

Zuza pomogła kelnerce, która właśnie podeszła z zamówieniem.

- Ja w niedzielę odesłałam książkę wydawcy, więc zasłużyłam na urlop. Równie dobrze mogę być tutaj. Wyjazd mi naprawdę dobrze zrobi – powiedziała Agata.

- Więc nie miej wyrzutów sumienia, nie odrywasz nas od roboty, Ninka – podjęła Zuza. - Ja swoją przywiozłam ze sobą, a Agata jest wolną najmitką między powieściami. Poza tym nie przesadzałaś: wąsacz ewidentnie czaił się na ciebie, by zakuć w dyby.

- Prawda?! - wykrzyknęła Nina. - Nie przywidziało mi się, był agresywny, nie?!

Obie przytaknęły.

- Myślicie, że po dzisiejszym przesłuchaniu przestanie mnie podejrzewać? - zapytała.

- Zależy, jak szybko mu się sprawy powyjaśnią - stwierdziła Agata - bo w tym momencie zwyczajnie jesteś łatwym celem.

- Nie wiem, czy będzie mu się chciało prowadzić skomplikowane śledztwo - zgodziła się Zuza. - Do emerytury ma raczej bliżej niż

dalej, a jeśli sprawa okaże się skomplikowana, niewykluczone, że odpuści i pójdzie po linii najmniejszego oporu.

- Przecież nie zaprosi nas do śledztwa – zauważyła przytomnie Nina.

- Przecież nie potrzebujemy zaproszenia – odbiła Agata.

Zuza upiła łyk kawy.

- Nie podoba mi się, że koleś zjawił się u ciebie, ledwie się wprowadziłaś.

- Może wcale nie wiedział, że ktoś tam mieszka? – podsunęła Nina bez przekonania.

- I co? Przyszedł do pustego domu pożyczyć szklanekę cukru? Obawiam się, kochana, że musimy założyć najgorsze.

Zuza, wiotka, eteryczna blondynka rodem z ekranizacji powieści Jane Austen, dźgała sernik widelczykiem z morderczą determinacją.

- Czyli? – zapytała Nina. W gardle jej lekko zaschło, więc wzięła łyk kawy.

- Gwałt, morderstwo, handel ludźmi? – wyliczyła Zuza z pełnymi ustami.

- Zuza, przykręć mrok, bo będę miała koszmary – poprosiła Nina.

- Trochę racji ma – zauważyła Agata. – To, co dla Straszewicza czyni cię podejrzaną, dla mordercy czy porywacza jest zaletą. Samotna dziewczyna, bez znajomości w nowym mieście. Gdybyś zniknęła, nikt by nawet nie zauważył. Po kilku dniach najwyżej prawnik by się zdziwił, że się nie odzywasz, ale kto wie, może uznałby, że wystraszył cię wielki, stary dom w środku lasu i nawet nie zgłosiłby na policję twojego zniknięcia. Pojawiłaś się z całym dobytkiem upchniętym w jedną walizkę, co dowodzi, że jesteś mobilna i nie zapuszczasz korzeni.

- Ale ja chcę zapuścić korzenie – powiedziała cicho Nina.

- I zapuścisz. Poza tym wcale nie jesteś sama. Masz nas. Co trzy Gracje, to nie jedna - powiedziała Agata, unosząc filiżankę. Przyjaciółki stuknęły o nią swoimi w ramach toastu.

- Możliwe, że najgorsze za nami. Włamywacz jest martwy. Jeśli go zidentyfikują i okaże się, że to typ z kartoteką, a pewnie tak będzie, bo ten tatuaż wyglądał na amatorską, więzienną robotę, Straszewicz powinien szybko zamknąć sprawę - powiedziała Zuza pocieszająco.

- Ciekawe, czy sprawdzą samochód. - Nina nagle sobie o nim przypomniała. Straszewicz nawet nie wspomniał o aucie, może dzielnicowy jeszcze się tym nie zajął? Może pilnował jej domu i ekipy techników?

- Jaki samochód? - zainteresowała się Agata. - Nic nie mówiłaś o samochodzie.

Więc opowiedziała im o przedpołudniowej wyprawie z Robertem do domu, która okazała się fiaskiem, przynajmniej w zakresie oceny szkód, ale była całkiem owocna pod względem postępów w śledztwie.

- Pamiętasz numery rejestracyjne? - zapytała Agata. - Mam znajomego policjanta, który by mi to szybko sprawdził.

Nina zaprzeczyła. Nawet nie przyszło jej do głowy, by je zanotować.

- Czy coś stoi na przeszkodzie, byśmy się wybrały na małą wizję lokalną? - Zuza zagryzła propozycję tortem kawowym.

- Właściwie, kto nam zabroni? - odpowiedziała pytaniem Agata.

- Straszewicz groził mi, że zamknie mnie za mataczenie, jeśli pojawię się w domu - przypomniała Nina.

- Ale to było, zanim wszystko sobie wyjaśniliście. Poza tym przecież nie z nim będziesz gadać, a z technikami na miejscu: nie dostałaś oficjalnej informacji, kiedy kończą robotę. Może już skończyli, ale zapomnieli cię powiadomić? A może chcesz ich

zapytać, na kiedy możesz umówić fachowca do oceny zniszczeń? Przecież trzeba zrobić dokumentację dla ubezpieczyciela – argumentowała Agata.

– Mecenasa Pilcha na pewno dopilnował opłacania składek, więc będziesz musiała zgłosić szkodę, by dostać ubezpieczenie – zauważyła przytomnie Zuza. – A szkodę trzeba udokumentować.

– No i postanowione. – Agata klasnęła w dłonie. Miała ochotę uważnie przyjrzeć się domowi. Może uda jej się pociągnąć techników za język? Potrafiła rozmawiać z mundurowymi, napisała dwadzieścia kryminałów, biegle mówiła ich językiem.

Nie wspomniała o tym Ninie ani Zuzie, ale miała przeczucie. Instynkt podpowiadał jej, że to jeszcze nie koniec, że w powietrzu wisi grubsza afera. Rzadko kiedy fabuły pisane przez życie bywały schludne, a przypadek faktycznie zasługiwał na swoje miano.

SZYBKI RZUT OKA I KOMPLIKACJE

Jedno trzeba było przyznać Agacie: kiedy się na coś zdecydowała, była nieugięta i realizowała cel – małymi kroczkami, wielkimi skokami, jak tylko się dało. Łatwe poddawanie się, a tym bardziej siedzenie z założonymi rękami i czekanie, aż strzeli ją wena, z pewnością nie leżało w jej naturze. Zapakowała więc pozostałe dwie Gracje do samochodu – Ninę na siedzenie pasażera, żeby wskazywała jej drogę, gdyby GPS się pogubił – i ruszyła w stronę Zapadłego.

Zuza siedziała z tyłu, głośno stukając paznokciami w ekran komórki. Pisała maila i po samym rytmie uderzeń łatwo można się było domyślić, że nie jest to miła, pogodna wiadomość. W drodze z Bydgoszczy do Ustki Agata nasłuchiwała się narzekań na wydawcę, który cisnął przyjaciółkę i zachowywał się, jakby była AI, która wypłuwa tekst w godzinę. Tymczasem Zuza nie pisała szybko – pisała dużo, a to nie było to samo. Czuła się coraz bardziej zmęczona i być może zbliżał się moment, kiedy, jeśli nie przestaną jej traktować jak znoszącą złote jaja kurę z chowu klatkowego, podejmie niekoniecznie opłacalne, za to narzucające się decyzje. Presja presją, przede wszystkim jednak Zuza niekoniecznie czuła się spełniona i wiedziała, że jeśli obecna sytuacja potrwa dłużej, zacznie gorzknieć, a dotychczasowe rozdzielenie Zuzanny Lewickiej na nią samą oraz dwa twórcze alter ego skończy się wypaleniem całej trójki.

Agata obserwowała to z boku, mogła doradzać, jeśli została o to poproszona, ale po prawdzie, mimo lat doświadczenia i niewątpliwego sukcesu, była czasami równie zielona jak pozostałe Gracje. Rynek się zmieniał. A nawet jeśli akurat trwał w ulotnej ciągłości, pozostawał nieprzewidywalny. Dokładnie ta sama rzecz raz działała, by za chwilę okazać się niewypałem. Czynniki x wciąż był nieuchwytny, a algorytm sukcesu, niczym nierozwiązywalny wzór na tablicy wydziału matematyki, czekał na kolejne cudowne dziecko czy łut szczęścia, by odkryć swoją tymczasową (niestety) formułę.

Nie bardzo wobec tego wiedziała, jak pomóc młodszym koleżankom. Nina pozwoliła jej przeczytać swoją powieść, ale pozostała nieufna wobec pochwał. Dla Agaty był to dowód, że Nina już jest pisarką, skoro nosi w sobie oswojonego i zadomowionego wewnętrznego krytyka – czy impostora, jak zwykli go nazywać. Zgodziła się, by Agata pokazała maszynopis swojemu redaktorowi, ale bez większych nadziei, a trwającą od kilku miesięcy ciszę uznała za wyrok. Agata wiedziała, że w branży wydawniczej nic nie dzieje się z dnia na dzień, mimo to miała ochotę złamać dane Ninie słowo, dać sobie spokój z bezstronnością, zadzwonić do Piotra i powiedzieć: „Bierzecie to? Bylibyście głupcami, nie biorąc!”.

Westchnęła. Żadna z nich nie wybrała sobie łatwego kawałka chleba. Jednocześnie żadna nie rzuciłaby pisania dla jakiejś zdroworozsądkowej, przewidywalnej kariery z prostą ścieżką awansu, widełkami i medianą zarobków czy wolnymi weekendami.

Zapewne nie do końca poczytalne, były w swym szaleństwie podobne i kompatybilne. Może dlatego tak szybko się zaprzyjaźniły, najpierw komunikując się na internetowym forum dla pisarzy, a potem w bardziej prywatnej przestrzeni komunikatorów, wideorozmów, pogawędek telefonicznych i listów. Kto jeszcze

pisywał listy? Takie prawdziwe, na papeterii! Ich szajby wyrastały z jednego pnia.

Pokręciła głową i skupiła się na widokach za oknem. Starła się żyć w większym stopniu w otaczającym ją świecie i w nieco mniejszym we własnej głowie. Zalecenie terapeuty, z którym nawet nie było sensu dyskutować. Więcej czasu spędzała w hipotetycznych miastach prawie identycznych z prawdziwymi niż w ich realnych odpowiednikach. Gdyby nie Gracje, całymi dniami nie odzywałaby się do nikogo. Wypuściła głośno powietrze i znów skupiła się na trasie.

*

Musiała przyznać, że Ustka i okolice wybitnie się jej podobały. A jeśli robiły na niej takie dobre wrażenie na początku marca, kiedy natura nie miała specjalnie ochoty wdzięczyc się do turystów, to jak bardzo spodobałoby jej się tu w maju? Albo we wrześniu? A ledwie wyjechały z miasteczka, pomyślała: och, a w październiku? Kochała jesień, a ta ulica, z drzewami wzdłuż pobocza, aż się prosiła o złotą polską, z szeleszczącymi liśćmi w każdym odcieniu żółci, pomarańczu i czerwieni. Nawet perspektywa spędzenia tu lata niespecjalnie ją mierzila, bo dom Niny leżał poza wakacyjnym okiem cyklonu – na tyle blisko, by wyskakiwanie po zakupy czy na kawę nie przypominało wyprawy na koniec świata, a równocześnie na tyle daleko, by cieszyć się ciszą i spokojem, kiedy ma się ochotę. Albo deadline.

Miała osobiste powody, by wyjechać z Warszawy. Teraz czuła pokusę, by zostać tu dłużej, kilka tygodni, może miesięcy. Ile jeszcze potrwa całe to zamieszanie, przez które marzyła, by ukryć się przed światem...?

Nina coś powiedziała, ale Agata była zbyt zamyślona, by rozróżnić słowa. Na szczęście zaraz potem nawigacja powiedziała jej, że powinna skręcić, zjechała więc czym prędzej w szutrową drogę biegnącą między drzewami. Kolejny kilometr trochę kołysało, ale Agata podejrzewała, że nawet w środku zimy droga jest przejezdna.

- To tu - powiedziała Nina.

Agata zwolniła, ale nie zatrzymała się od razu. Przed domem wciąż stały radiowóz i szara furgonetka, zapewne należąca do techników ze Słupska.

- Może sprawdzimy, czy to auto wciąż tam jest? - zaproponowała.

Nina powiedziała jej, jak ma jechać, omijając dom. Przez chwilę samochód wolno toczył się leśną drogą, a Nina rozglądała się, szukając miejsca, w którym razem z Robertem widziała porzucony pojazd.

- Stój! - zawołała dziewczyna i Agata od razu dała po hamulcach. - To było tutaj, widzicie te połamane gałęzie?! Pewnie musieli go wyciągać na holu!

- Chyba że faktycznie należał do denata, a ten miał przy sobie kluczyki - zauważyła Zuza z tylnego siedzenia.

Wysiadły i rozejrzały się po krzakach. Dopiero teraz Nina zauważyła, że zza gołych wczesną wiosną gałęzi przeziara jej dom. Włamywacz mógł więc tu zaparkować, a potem iść na przełaj przez zarośla, by trafić na tyły budynku. Mógłby wyłamać zamek i wejść drzwiami od podwórza, ale oszedł posiadłość i wszedł od frontu - drzwi wciąż były otwarte, kiedy zjawił się dzielnicowy.

To nasunęło Ninie jedną myśl.

- Myślę, że skądś miał klucz do domu, do głównych drzwi - powiedziała.

Agata była skłonna się z nią zgodzić.

- Racja. Do tylnych miał przecież bliżej.

Brnęły przez chaszczę, szukając potencjalnych śladów. Nie mogły być pewne, że policjanci, zanim odholowali samochód, zawracali sobie głowę przeczesywaniem terenu.

Jakieś dwadzieścia metrów od domu Zuza znalazła papierek po gumie do żucia i paragon z kiosku, oba zwinięte w kuleczki. Jakby wypadły komuś z kieszeni, kiedy coś z niej wyciągał. Po nocnej ulewie były zbyt przemoczone, by cokolwiek dało się odczytać.

– Cholera wie, jak długo tu leżą – zauważyła Agata. – Wracajmy do auta. Teraz wygląda, jakbyśmy się tu zakradały, a to nie jest właściwy przekaz.

*

Agata zaparkowała, blokując samochód dzielnicowego. Jeśli gość zechce wyjechać, będzie musiał ładnie poprosić, a od tego już krok do wymiany informacji.

Kiedy wchodziły po schodach, Nina podświadomie położyła rękę na wysokości żołądka, który teraz zaczął się skręcać i ścisnąć.

Zuza wsunęła jej rękę pod ramię.

– Trupa już na pewno zabrali – powiedziała cicho i pocieszająco poklepała przyjaciółkę po przedramieniu.

Oczywiście, miała rację. Prawdopodobieństwo, że nieboszczyk wciąż leży nabity na pal tralki balustrady, w zasadzie nie istniało. Sam lęk był irracjonalny.

Drzwi wejściowe okazały się otwarte. Na drugim końcu korytarza zobaczyły dwóch mężczyzn kucających w białych strojach ochronnych oraz stojącego obok i oświetlającego rumowisko reflektorem dzielnicowego Boberka.

Czyli nie znaleźli skrzynki z korkami!, pomyślała Nina nie bez satysfakcji.

- Dzień dobry! - zawołała. - Widzę, że panowie wciąż sobie radzą bez prądu. Dowiedziałam się od mojego prawnika, gdzie jest skrzynka z bezpiecznikami, i chętnie panów oświecę.

Dzielnicowy prawie upuścił ciężki halogen. Technicy unieśli głowy z zainteresowaniem.

- Pani Nino, czy pani powinna tu przebywać? - zapytał z wahaniem policjant.

- Sierżant sztabowy Straszewicz twierdził, że już kończycie. Chciałam się upewnić, czy mogę na jutro umawiać fachowca do naprawy schodów.

- Kończymy, ale to proces - powiedział jeden z kucających mężczyzn, przeciągając ostatnie słowo, jakby je sylabizował.

- Żadna z nas nie śmiałyby pospieszać artystów i naukowców - rzuciła pochlebstwem Agata.

Mężczyzna w białym kombinezonie, z połyskującą, gładko ogoloną głową i kudłatą siwo-rudą brodą, wyprostował się gwałtownie, ściągnął okulary ochronne i zapytał:

- Pani Agata Bunc? Czy ja mam już omamy? Mogę mieć, nawdychałem się kurzu i chemikaliów...

Najstarsza z Gracji rozplynęła się w uśmiechu. Znała ten ton, to nerwowe napięcie i z trudem poskramiany entuzjazm. Fan. Owszem, była popularna w kręgach policyjnych, odzywali się do niej funkcjonariusze z różnych miast, ale to, że właśnie trafił jej się wielbiciel ze słupskiej komendy, uznała za cudowne zrządzenie losu.

- Żadnych omamów, to ja - odparła ciepło.

Nina doskonale wyczuła moment. Musiała dać Agacie odrobinę przestrzeni. Podeszła więc do dzielnicowego i powiedziała:

- Panie Szymonie, mogę się tak do pana zwracać? Przecież nie ma sensu, żeby pan tak stał i im przyświecał, szkoda pana wysiłku, zresztą przy tej robocie dobre światło jest im po prostu niezbędne.

Rozumiem, że nie chce pan, bym tu czegokolwiek dotykała, ale przecież sam może pan włączyć korki, ja tylko pokażę, gdzie są.

Boberek zamrugał, jakby zderzył się z szybko pędzącym króliczkiem.

– Ja nie wiem... – zawahał się. Bo światło faktycznie by się przydało... ale procedury!

Nina uniosła ręce i powiedziała:

– Niczego nie dotykam! Ale przecież panowie za chwilę nic nie będą widzieć.

– Szymek, nie pierdol, niech stanie się jasność – mruknął drugi z techników, wciąż skulony na zgiętych kolanach i świecący małą latareczką na podłogę i deski.

Nina wyminęła dzielnicowego, pozwalając, by instynkt łowcy popchnął go jej śladem, po czym, starannie omijając fragmenty spróchniałej balustrady, przeszła do kuchni.

Tu było ciemniej niż w pomieszczeniach od frontu – tuż za oknem gęsto rosły wysokie drzewa. Nie od razu znalazła ukryte drzwi, ale gdy je w końcu pchnęła, wylała się zza nich atramentowa ciemność.

– Potrzebna latarka – powiedziała.

Dzielnicowy stanął na wysokości zadania i dzierżąc reflektor, wszedł do pomieszczenia gospodarczego jako pierwszy. Prawie natychmiast potknął się o skrzynkę z butelkami na wino. Nina złapała go za ramię, zanim się przewrócił. Wymamrotał podziękowanie i omiótł klitkę snopem światła.

– Podobno są po lewej stronie – poinformowała.

I były, zakamuflowane drewnianą szafką przypominającą przedwojenną apteczkę, choć jeśli miała kiedyś czerwony krzyż na drzwiczkach, farba dawno się złuszczyła.

Przez chwilę przyglądali się wiekowemu bezpiecznikom, szukając źródła awarii. W końcu dzielnicowy coś ponaciskał, pomełdał,

pociągnął w dół wajchę i światło na chwilę rozbłysło, by z głośnym pyknięciem zgasnąć ponownie. Nina wychyliła głowę do kuchni i zawołała:

– Zuza, kliknij włącznik lampy na ganku!

– Zrobione! – odkrzyknęła po chwili przyjaciółka.

– Proszę spróbować jeszcze raz, myślę, że to ona zrobiła zwarcie – wyjaśniła dzielnicowemu Nina, a ten w skupieniu powtórzył procedurę. Tym razem światłość stała się już na trwałe.

Nina odetchnęła z ulgą. Gdyby przed naprawieniem schodów musiała jeszcze czekać na termin u elektryka, żeby wymienił jej całą instalację, pewnie nie sprowadziłaby się tu do jesieni.

Wyszła do kuchni, a dzielnicowy podążył za nią.

– Czy złamiemy wszelkie procedury świata, jeśli zaparzemy herbatę? – zapytała go lekkim tonem.

– Kuchnia już była procedowana – powiedział tylko.

– Czyli możemy – orzekła i aż zaklaskała w dłonie. – Lula zadbała, by była tu moja ulubiona herbata, napije się pan?

– Nie wiem, czy to właściwe – stwierdził ostrożnie.

Widziała, że bije się z myślami.

– Słyszał pan, że byłam dziś w komisariacie? Z moim prawnikiem? Wszystko sobie z sierżantem sztabowym Straszewiczem wyjaśniliśmy, dostał dowody, że mówiłam prawdę i tylko prawdę. Wygląda na to, że, choć niechętnie, skreślił mnie z listy podejrzanych. Na pewno go to zabolalo, bo nie miał na tej liście nikogo poza mną, ale nawet mi go nie żal – powiedziała swobodnie.

– Naprawdę? – zapytał z nadzieją Boberek.

Przytaknęła.

– W sumie jesteśmy sąsiadami. – Uśmiechnął się szeroko. – Pani dom stoi między Zapadłem a Ustką, ja mieszkam w samym Zapadłem.

Wyciągnęła rękę do uścisku i przedstawiła się, jakby dopiero się spotkali:

– Nina Rawicz, odziedziczyłam stary dom Uklejów i próbuję sprawić, by stał się nowym domem... Niny Rawicz. Cieszę się, że mam miłych sąsiadów.

– Ulżyło mi – przyznał. – Nie mieściło mi się w głowie, że mogła być pani winna.

– Może w tych okolicznościach nie powinnam tego mówić, ale kobiety też mordują.

– Jasne, mordują. Tylko zwykle nie trzęsą się potem ze strachu, gdy spojrzą na trupa. W najgorszym razie to był wypadek, absolutnie nie morderstwo z zimną krwią. Za mało miała pani zimnej krwi.

Zaśmiała się i zaczęła szukać kubków po szafkach. Czajnik stał na palniku gazowym, a puszka z herbatą w koszyku z suchym prowiantem, który przyniósł Albert Pilch, ale kubków nie znalazła.

– Wygląda na to, że nici z herbaty – powiedziała ze smutkiem. – Muszę dokupić kilka rzeczy, w tym jakieś naczynia. Dam panu znać, kiedy będziemy mogli się napić, dobrze?

Boberek kiwnął głową z zadowoleniem. Nawet lepiej, pomyślał. Jeszcze wpadłby tu Straszewicz z niezapowiedzianą wizytą i zastał ich, jak gawędzą sobie w najlepsze.

– Czy wie pan, kiedy dokładnie panowie skończą? – zapytała Nina.

– Chciałabym zaprosić Roberta Jantę, by ocenił zakres robót remontowych.

– Myślę, że jutro będzie miała pani drogę wolną. Już byśmy skończyli, ale rzeczy... – Zamachał rękami i urwał w pół słowa. I zaraz zastrzegł: – Nic pani nie mówiłem.

Nina pokiwała głową. Nie chciała go spłoszyć naciskami, ale ciekowość aż ją zżerała.

– Czyli Robert naprawi pani schody? – zagadnął.

- Tak się wstępnie umówiliśmy. Mam nadzieję, że jest dobrym fachowcem?

- To trzecie pokolenie Jantów, które naprawia ludziom domy. Jest pani w dobrych rękach - zapewnił dzielnicowy.

Dołączyli do reszty, po czym Boberek delikatnie, acz stanowczo zasugerował, że wizyta dobiegła końca.

- Jutro zadzwonię, kiedy będziemy się zwijać - obiecał.

Nina, Zuza i Agata nie wyklócały się, by nie przeciągać struny, i jak na dobre obywatelki przystało, posłusznie ruszyły do wyjścia, opuszczając miejsce, w którym de facto nie powinno ich być.

- Panie dzielnicowy. - Nina odwróciła się do Szymona. - Jak on wszedł? Czy wyłamał zamki?

Boberek pokręcił głową.

- Miał klucz, dorobiony chałupniczo. Radziłbym wymienić wszystkie zamki, nie wiadomo, kto jeszcze może mieć tu dostęp.

- Dodaję do listy rzeczy do zrobienia - odparła.

Mruknął coś zadowolony i patrzył, jak cała trójka pakuje się do czarnej toyoty.

Czemu właściwie go przerażały? Nina w pojedynkę - wcale, choć to ona przez jakiś czas była podejrzaną w tej sprawie, ale we trzy... Gdy z nimi przebywał, czuł niepokój. Agata Bunc uśmiechnęła się do niego zza kierownicy, jakby potrafiła czytać mu w myślach, mrugnęła światłami i odjechała.

Nie potrafiła czytać w myślach, prawda...?

CO W TRAWIE PISZCZY

– Gdzie teraz? – zapytała Agata, wyjeżdżając na asfaltową drogę.

– Do pensjonatu – zarządziła Zuza z tylnego siedzenia – muszę do toalety, a wolałam nie pytać techników, czy mogę skorzystać z łazienki Niny. Zwłaszcza że ich tak ładnie urabiałaś, szkoda było rozpraszać tę magię.

Agata prychnęła.

– O! Dowiedziałaś się czegoś? – zapytała Nina z nadzieją.

– Żeby tylko czegoś. Nie tylko wyciągnęła z Mikołaja to i owo. Ona go przekabaciła na informatora! – rzuciła Zuza z podziwem.

– Od razu przekabaciła! Zaprzyjaźniliśmy się. Chętnie poznam jego żonę. Jest fanką. Umówiliśmy się na kawkę, przywiezie połowicę i jej książki do podpisu, pogadamy, kto wie, o czym. Może tylko o hodowli świnek morskich.

– Hoduje świnki morskie? – Nina zamrugwała zaskoczona.

– Raczej nie, więc pewnie pogawędzimy o czymś innym. Na przykład o wynikach testów, które dostanie lada chwila... – Agata postukiwała palcami o kierownicę w rytm tylko sobie słyszanej melodii.

– Jest naprawdę dobra, mówię ci. Musimy w spokojniejszych okolicznościach napuścić ją na Straszewicza, zanim się obejrzy, będzie się jej zwierzał. Może i on ma żonę, która czyta Bunc. – Zuza parsknęła.

- Przegadamy to w pensjonacie, mój pęcherz też już uciska ośrodkowy układ nerwowy – jęknęła Agata. – Przyda się dzbanek herbaty, może gospodyni nam go użyczy.

- W moim pokoju jest czajnik. Zresztą z Magdą i Marią ostrożnie – zaznaczyła Nina. – Są blisko spokrewnione z Markiem Garstką, lokalnym policjantem. Nie zdziwiłabym się, gdyby właśnie dlatego mnie tam ulokował.

- Żeby miały na ciebie oko? – domyśliła się Zuza.

- Tak mi się wydaje. Są takie... ożywione, zwłaszcza Magda. Może to kwestia osobowości, ale lepiej uważać. Wszystko, co usłyszą, może zostać powtórzone Garstce, a ten pewnie od razu wygada Straszewiczowi.

- Przenoszenie się do innego pensjonatu na pewno przyciągnęłoby zbyt wiele uwagi – zauważyła Agata.

- Nie ma sensu, przecież jutro powinnam móc wejść z Robertem do domu. Kiedy tylko ogarnie te schody, wracam do siebie. A wy? Kiedy musicie wyjechać? – zapytała i uświadomiła sobie, że na samą myśl jest jej smutno.

- Wracać? No co ty! Ja już odwołałam rezerwację na moje pisarskie wypiądziejewo, była bez zadatku, więc grosza nie straciłam. Nie ruszę się stąd, dopóki nie skończę co najmniej jednej powieści. Na razie zostanę w Wielkiej Niedźwiedzicy, jest całkiem spoko. Kiedy wy się wyniesiecie, poszukam czegoś długoterminowego. Może się uda wyhaczyć jakieś mieszkanie czy apartament na miesiąc lub dwa. Ustka ma dobry klimat, całkiem inny niż Bytom czy Bydgoszcz. Tam już do cna się zakałapućkałam. – Zuza zjechała po tylnym siedzeniu, zasłaniając oczy rękawami kurtki. – Czyż wiktoriańskich kobiet nie wysyłano do wód na poratowanie nerwów? – Jej głos, lekko zduszony watowanym materiałem, brzmiał, jakby była na krawędzi płaczu.

- Ej, ty naprawdę dobrze kombinujesz! - wykrzyknęła Agata z entuzjazmem. - Poratowanie nerwów u wód, śledztwo na dokładkę, przecież to idealne dwa w jednym: wypoczynek i szukanie inspiracji! Może w następnym tomie moja porucznik Zywert zapędzi się do Ustki? W sumie nigdy nie była nad morzem, to by się dobrze komponowało na okładce: latarnia morska, plamy krwi na piachu...

- Chwila, ty też zostajesz? - Nina nie wierzyła własnym uszom.

- A co mnie trzyma w Warszawie? Do maja mam luzy, zresztą zabrałam laptop, mogę pracować gdziekolwiek. Kiedy jeszcze będę miała okazję widywać się z wami na kawkę choćby codziennie, jeśli mnie najdzie ochota? Zuza, może razem sobie coś wynajmiemy? Co ty na to? - Odwróciła się i rzuciła okiem na skuloną na tylnym siedzeniu przyjaciółkę, która w zimowej kurtce wyglądała jak puchata piłeczka.

- Brzmi zbyt dobrze. Wstanę rano i się okaże, że to tylko piękny sen, a ja nadal jestem w Bydgoszczy. Albo, co gorsza, w Bytomiu - jęknęła.

Nina siedziała jak ogłuszona. Słyszała wszystkie argumenty Agaty i Zuzy, wiedziała, że są zasadne. Ale wiedziała coś jeszcze, czego nie chciały powiedzieć głośno. Zostawały tu także dla niej. Bo chciały mieć ją na oku. Martwiły się o nią. Od śmierci Luli pisały, dzwoniły, umawiały się na zoomy. Jakby się bały, że gdy spuszczą ją z oka, rozpadnie się na milion kawałków. Co mogło być prawdą. Niewykluczone, że rzeczywiście rozpadła się na ten milion kawałków, ale ich przyjaźń trzymała je w kupie. I może przytrzyma na tyle długo, aż się pozrasta i znów będzie jedną, całą Niną.

- Mam pomysł. Wysłuchajcie mnie, jest tylko trochę głupi i jedynie odrobinę szalony - powiedziała cicho. Dławiło ją w gardle, ale udawała, że to chryпка.

- Głupi i szalony? W sam raz dla mnie. - Zuza uniosła głowę. - Porwanie, morderstwo czy włamanie?

- Chwilowo coś dużo bardziej prozaicznego. Mój dom jest wielki, nie musicie niczego wynajmować, możecie zatrzymać się u mnie. Nie będziemy sobie wchodzić w paradę. Wszystkie będziemy pisać. Ostrzegam, może być poniżej standardów, do jakich przywykłyście, ale jestem otwarta na zmiany, zresztą planuję mały remont... - zawahała się, niepewna, czy powiedziała za dużo.

- Standardów? Powinnaś zobaczyć standard w wypożyczalni w Bytomiu - mruknęła Zuza. Już nie chowała się za rękawami puchówki. Z szerokim uśmiechem gapiała się w podsufitkę, jakby objawiła jej się tam świeża tajemnica fatimska. - Wchodzę w to! - zawołała.

Nina patrzyła na Agatę, wykręcając palce.

- No co? Pewnie, że wchodzę! W remont też. Kocham malować ściany, to bez porównania lepsze niż pisanie książek! Od razu widać efekty, a do tego prawie nigdy nie ma powodu, by przeżywać załamanie nerwowe i płakać w poduszkę w środku nocy.

- Naprawdę? - zapytała Nina, a głos jej się łamał.

- No raczej. Jeśli składałaś propozycję, mając nadzieję, że odmówimy, to cóż, niespodzianka! - Agata poklepała ją po kolanie.

- To będzie jak obóz pracy! - zawołała podekscytowana Zuza. - No dobra, to zabrzmiało źle... Obóz pracy, ale w tym dobrym znaczeniu! Wiecie, obóz pisarski.

Nina objęła się ciasno ramionami, bo cała się trzęsła. Nie potrafiła ująć słowami tego, co czuła.

- Kocham was - wydusiła w końcu, z głową na wszelki wypadek zwróconą na bok. Mijane za szybą domy stały się podejrzenie rozmazane.

- My ciebie też, wariatko. - Zuza poklepała ją po ramieniu.

- No przecież - dodała Agata.

Nie przyznała tego głośno, ale przeszło jej przez myśl, że przy dobrych wiatrach dwa miesiące tutaj wystarczą, by mogła wrócić do Warszawy bez lęku. Może nawet będzie już po wszystkim?

*

Gracje mogły przeżywać emocjonalne huśtawki, ale były też kobietami praktycznymi. Dlatego, zanim pojechały do Wielkiej Niedźwiedzicy, kupiły pizzę na wynos, poza tym zrobiły zapas przekąsek i napojów. Kto wie, jak się ułoży noc - może będą gadać, może będą pisać. Tak czy inaczej, były przygotowane.

W pensjonacie przywitała je cisza. Magda siedziała za kontuarem recepcji z telefonem przyklejonym do ucha i wpatrzona w laptop, więc tylko pomachała im na powitanie.

Dopiero teraz Nina odkryła, że dziewczyny ulokowano zaraz obok jej pokoju - z Agatą dzieliły ścianę, Zuza miała pokój dokładnie po przeciwnej stronie korytarza, drzwi w drzwi z pokojem Niny.

Jeszcze nie zaczął się etap wspólnego mieszkania w domu w lesie, a już czuła się trochę jak na obozie. Zwłaszcza kiedy wszystkie trzy, przebrane w dresy i piżamy, rozsiadły się w pokoju Agaty - największym i narożnym, z dwoma oknami. Rozłożyły na biurku przekąski, napoje i pudełka pizzy. Były gotowe.

- Zaczniemy może od tego, że gdyby nie nieprzewidziane okoliczności, technicy skończyliby już przed południem - powiedziała Agata, zanim wgryzła się w kawałek pizzy. Jęknęła, czując na podniebieniu smak sera. - Przegapiłam, jaka byłam głodna - wymamrotała z pełnymi ustami.

- Dobra! - Zuza przeżuwała z zaangażowaniem.

Ostatnie tygodnie siedziała w książkach tak intensywnie, że żywiła się głównie ramenem z paczki i płatkami kukurydzianymi. Nie był to

najwspanialszy czas w jej życiu, ale pocieszała się, że zawsze to lepiej, niż gdyby jechała na amfetaminie.

Nina sięgnęła po swój kawałek i zapytała:

- Nieprzewidziane okoliczności? Nie podoba mi się, jak to brzmi.

- Bo masz instynkt, moja droga. Węszysz fabułę, jak nic - powiedziała Agata. - Otóż po tym, jak już zabrali ciało do kostnicy, obfotografowali wszystko i zrobili, co tam się robi przy podejrzanym zgonie, myśleli, że to koniec, ale Mikołaj, ten sympatyczny brodac, zauważył w rumowisku coś podejrzanego. Okazało się, że pod schodami było coś w rodzaju schowka. I tam odkryli „element podejrzaný”. - Palcami jednej ręki i pizzą trzymaną w drugiej wykonała w powietrzu znak cudzysłowu.

- Cholera, powiedz, że nie znaleźli drugiego trupa - jęknęła Nina.

- Sama widzisz, masz instynkt. Może jeszcze będziesz kryminały pisać. - Agata wyszczerzyła się do niej i posłała jej całusa.

- Pewnie byłoby prościej, gdyby był trup. Nie spędziliby całego dnia na bezowocnych poszukiwaniach - dorzuciła Zuza.

- To co tam było?

- Cóż, wszystko poza trupem. Mikołaj nie podzielił się szczegółami, ale wywnioskowałyśmy, że znaleźli sporo rzeczy dowodzących, że trup istotnie się tam znajdował i bez wątpienia popełniono w tym miejscu przestępstwo. Musieli odkryć ślady krwi, bo wezwali Jacka, tego drugiego, którego spotkałyśmy w domu. Krew to jego działka.

- Poczekaj, poczekaj - Nina wymachiwała kawałkiem pizzy - chcesz powiedzieć, że tam gdzieś są zwłoki? W tym rumowisku?

- Nie no, sprawdzili, trup nie schował się im pod deskami, przecież by go znaleźli - wyjaśniła Zuza. - Podejrzewają, że był, a potem ktoś go wyniósł. I najpewniej schował. Może zakopał w lesie? Albo utopił w morzu?

- Albo wciąż jest w domu, po prostu w innym miejscu – podsunęła Agata.

Nina jęknęła.

- Ja pierdołę. Jestem przeklęta. Musiałam przejść pod drabiną, kopiąc czarnego kota.

- Bez przesady. Inspiracje same łąszą ci się do nóg. Research paraduje ci przed nosem w skąpym wdzianku – przekonywała Agata.

- Kiedy się spotkam z Mikołajem i jego żoną, spróbuję co nieco od niego wyciągnąć. Głowa do góry, kryminalistyka to cudowna nauka – dodała sentencjonalnie.

- Ja bym zadała jedno kluczowe pytanie – oświadczyła Zuza, sięgając po kolejny kawałek pizzy. – Bo widzę tu dwa scenariusze wydarzeń: mroczny i supermroczny. Czy włamywacz przyszedł po Ninę, żeby ją porwać, zabić, zgwałcić albo obrobić?

- Nie podoba mi się ten scenariusz nic a nic – przyznała Nina.

- Nie dziwię się. Ale jest jeszcze jedna możliwość i wcale nie wiem, czy lepsza... Może on wcale nie wiedział, że tam jesteś, ale przyszedł jak do siebie i do trupa?

- Myślisz, że to on tam zostawił tego domniemanego nieboszczyka? – Nina znowu jęknęła.

- No, to miałoby sens. Wiesz, może traktował ten dom jak kryjówkę? I robił tam różne rzeczy? – dywagowała Zuza.

- Zuzka, wyhamuj, zanim zobaczysz w tym domu jakieś mroczne leże seryjniaka, z trupami poutykanymi w każdym kącie – powiedziała stanowczo Agata.

- To jest możliwe. – Zuza drapieźnie wgryzła się w pizzę, jakby właśnie opętał ją duch Kuby Rozpruwacza.

- Statystycznie mniej prawdopodobne niż to, że jednak polował na Ninę.

- Nawet nie wiem, której opcji sobie życzyć. Obie są złe! - wykrzyknęła Nina.

- No najlepsze nie są. Ale spójrzmy na to z perspektywy wiarygodności fabularnej. Seryjniacy są jednak oklepani. Zarżnięta chabeta, gdyby ktoś mnie pytał - orzekła Agata.

- Tak, bo „złol krzywdzący samotną dziewczynę” to wciąż świeżynka fabularna - zaprotestowała Zuza.

- Fakt - przyznała najbardziej doświadczona Gracja.

Przez chwilę jadły w milczeniu.

- Może to w ogóle nie jest fabuła. Może komplikujemy proste rzeczy - odezwała się w końcu Nina.

- Skarbie, wszystko jest fabułą. Wiesz, czym się różni życie od fabuły? - zapytała Agata.

Nina pokręciła głową, a Zuza wykrzyknęła odpowiedź:

- Życie nie musi się trzymać kupy i być wiarygodne!

- I za to możemy wypić - zawyrokowała najstarsza z Gracji, unosząc puszkę mieszanki napoju gazowanego z ginem. Skrzywiła się, bo główną wyczuwalną nutą tego drinka był smak aluminium. - Trzeba będzie znaleźć porządne wino na przyszłe posiadówki, to coś jest paskudniejsze niż hobby seryjnych zabójców.

KLUCZEM JEST KLUCZ

To, jak paskudny okazał się napój, dotarło do nich rano. Obudziły się z ćmiącym bólem głowy i w nastrojach wybudzonych przedwcześnie niedźwiedzic.

Niewykluczone, że to nie alkohol ponosił odpowiedzialność za ich stan, ale ich własne decyzje. Po tym, jak się rozeszły do pokoi, Agata długo czytała, jak to miała w zwyczaju, kiedy akurat nie pisała książki, a Zuza i Nina odpaliły laptopy i stukały w klawiatury, aż złapał je świt.

Na swój sposób obu pomagała świadomość, że tuż za ścianą ta druga jeszcze pracuje i żadna nie jest całkiem samotna w swoim nieszczęściu.

– To może się udać – mamrotała Zuza, czując, że łapie rytm i częściej pisze, niż gapi się w migający kursor.

A co do Niny – cóż, łatwiej było jej uwierzyć w sens swojej pracy, kiedy miała obok siebie przyjaciółki, które niegdyś kierowały się tym samym marzeniem co ona. Nawet jeśli wydawcy nie przyjmą jej pierwszej książki, dostaną drugą. A potem trzecią. Dała sobie rok. Nie. To Lula dała jej rok, a Nina zamierzała go wykorzystać. Jeśli będzie żyła oszczędnie i przynajmniej część remontu sfinansuje z ubezpieczenia domu, może pieniędzy starczy na dłużej. Zamierzała z nich jednak korzystać przez maksymalnie dwa, trzy lata. Nie chciała spędzić życia na „gonieniu króliczka”. Jeśli przez trzy lata jej starania spełzną na niczym, uczciwie przyzna, że życie pisarki nie było jej

dane. Przynajmniej będzie wiedziała, że zrobiła wszystko, co mogła, by się udało.

Tej nocy myślała o tym tylko przez chwilę. Potem pisała, przekuwając stronice outline'u i odręcznych notatek w rozdział siódmy powieści. Zgasiła światło, zanim zanotowała ostatnie słowa, które cisnęły jej się na palce. Żeby nie zauroczyć, żeby jutro łatwiej było zacząć.

Rano cała trójka była niewyspana i marudna. Głowy domagały się czegoś przeciwbólowego, a ciała – kawy i solidnego nawodnienia. Gracje zeszły do jadalni późno, pół godziny przed końcem czasu przeznaczanego na śniadanie. Wszyscy goście już zjedli albo poza nimi w pensjonacie nie było żadnych wczasowiczów. Tylko przy jednym stoliku ktoś siedział – odwrócony tyłem, ale Nina zmrużyła oczy, bo w sylwetce potężnego mężczyzny dostrzegła coś znajomego. Ha! Jej mózg obudził się nagle, jakby nad głową zapaliła jej się żaróweczka.

– Dosiądziemy się do lokalnego stróża prawa? – zapytała przyjaciółki.

– Och, z rozkoszą! Przyjaźń jest magią! – odpowiedziała złośliwie Zuza, mroczny kucyponek.

– Nie będzie wiedział, co go trafiło – mruknęła Agata, nalewając sobie kawy z dzbanka do stanowczo za małej filiżanki.

Nieraz rozmawiały o tym w swoim gronie: czemu w hotelach i pensjonatach zawsze dają tylko takie niewielkie filiżanki i kubeczki, mogące pomieścić niewiele więcej niż espresso? Kto, na bogów, pija sto pięćdziesiąt mililitrów kawy i uznaje, że tak, to wystarczy, by się obudzić i zacząć dzień?

Uzbrojone w kofeinowy eliksir, dosiadły się do stolika Marka Garstki. Założyły, że kiedy je zauważy, zechce zwiać, więc musiały go

skutecznie osaczyć. Błysk w jego oczach świadczył o tym, że szybko zrozumiał niekorzystność swojego położenia.

- Można? - zapytała Nina i, zanim odpowiedział, usiadła naprzeciwko.

Agata i Zuza zajęły pozostałe miejsca.

- Już dopijam kawę i lecę do pracy - rzucił, jakby ta opcja wciąż była dla niego dostępna.

- Och, wykluczone! Jeszcze pomyślimy, że pana przepędziłyśmy! A chodzi nam o coś wprost przeciwnego. - Agata uniosła filiżankę do ust.

- Przepędziły? A skądże, po prostu... - zająknął się. Lepiej już rozumiał dziwny nastrój Straszewicza po przesłuchaniu.

- Jak się pan ma, panie Marku? Od dawna pracuje pan w policji? Czy to rodzinna tradycja, czy może indywidualna ścieżka kariery? Jak właściwie wygląda przestępczość w miejscu takim jak Ustka? - zarzuciła go pytaniami Zuza.

- Och, daj panu Markowi odpowiedzieć! Za wcześnie na serie pytań, trzeba pojedynczo - upomniała przyjaciółkę Agata i uśmiechnęła się słodko, patrząc z wyczekiwaniem.

Marek Garstka westchnął. Trzeba było zrobić sobie śniadanie w domu, pomyślał, oto kara za lenistwo.

- Dobrze, od piętnastu lat. Trudne pytanie, można powiedzieć, że zainspirował mnie brat. Przestępczość niewielka i życie miłe - wyrzucił z siebie.

- O, skoro niewielka, to nie trzeba się obawiać, że braknie środków na nasze śledztwo, prawda? - rzuciła Nina niewinnie, ale jej spojrzenie pozostało czujne.

- Środków na pewno nie braknie - jęknął Marek.

- Czy udało się już ustalić tożsamość włamywacza? - zapytała.

- Nie, pani Nino, nie udało się. Niestety nie miał przy sobie dokumentów. W aucie też ich nie znaleźliśmy - rzucił, nieznacznie zniecierpliwiony.

- Czyli ma pan potwierdzenie, że to było jego auto? - zauważyła Agata.

Marek przymknął powieki i zaczął postukiwać palcami o blat. Uznał, że jeśli będzie nimi ruszał, może te trzy harpie nie zdołają mu wbić szpilek pod paznokcie.

- Panie Marku, proszę się nie stresować, wiemy, co to dyskrecja. Nawet jeśli kiedyś o tym wszystkim napiszemy, to nieprędko, proces wydawniczy trwa rok albo i dłużej, do tego czasu to już dawno będzie zamknięta sprawa. Przecież nie wrzucimy żadnych danych wrażliwych w internet - tłumaczyła łagodnie Agata.

- Nie tego się obawiam - odpowiedział.

- A czego właściwie? - zaszarżowała Nina. - Rozumiem tajemnice i różne takie, ale przecież mój status podejrzanej stracił na aktualności. A jako ofiara włamania i potencjalnego ataku mam prawo wiedzieć, czy to był pojedynczy złoczyńca, czy członek zbrodniczego syndykatu albo mafii, który z jakiegoś powodu na mnie polował.

Marek potarł nasadę nosa. Z każdą sekundą lepiej rozumiał Straszewicza. Pół biedy, gdy wścibskim cywilem była jego bratanica, którą szczerze kochał i dla której miał ocean cierpliwości, ale teraz, kiedy w obroty wzięły go trzy wyglodniałe informacji harpie czuł się... nieswojo. Osaczony. Przytłoczony. Poluzowałby krawat, gdyby takowy nosił.

- Pani Nino - powiedział najłagodniej, jak umiał - nie mamy żadnych dowodów łączących nieboszczyka z przestępczością zorganizowaną.

- Na tę chwilę - zaznaczyła Zuza.

- Co? - zapytał.

- Na tę chwilę. Może się to szybko zmienić, jeśli przyjdzie odpowiedź z Europolu i Interpolu, prawda? Bo już wysłaliście odbitki, by sprawdzili je w swoich systemach?

- Tak, oczywiście, ale to zawsze trwa kilka dni.

- Gdyby się przeciągało, proszę dać znać, mam tam dobrego znajomego, który może przepchnąć coś, co utknęło - wspaniałomyślnie zaoferowała się Zuza.

- Oczywiście, że pani ma - mruknął.

- Coś pan mówił? - zapytała niewinnie.

- Nie, nic ważnego...

- A są już jakieś wyniki w sprawie drugiego znaleziska? - zainteresowała się Nina.

- Co pani ma na myśli? - zapytał wymijająco.

- No nie wiem... prawdopodobieństwo, że w moim domu jest drugi trup? - odpowiedziała Nina, starając się, aby jej głos brzmiał lekko i nonszalancko. - Nie wydaje się panu, że powinnam zostać o tym poinformowana?

- Oczywiście będzie pani poinformowana. W swoim czasie - zapewnił.

- Czyli jeszcze nie wiadomo, jak stara jest krew? I gdzie może być trup? - Agata nachyliła się lekko w jego stronę. Odruchowo odgiął się na krześle.

- Pani Nino... - Musiał jakoś odwrócić ich uwagę i uciec, zanim przywiążą go do tego krzesła i przejdą do tortur!

- Tak?

- Zastanawiałem się... czy mogłaby się pani skontaktować z pani prawnikiem i dowiedzieć się, kto poza panią może mieć klucze do domu? - wyrzucił z siebie.

Sam miał dziś do niego dzwonić, ale zadanie wydało mu się na tyle nieszkodliwe, że mógł je scedować na dziewczynę.

- Czyli potwierdza pan, że włamywacz miał swój klucz - zauważyła Nina.

- Znalaziono go w jego kieszeni, dorobiony - powiedział.

Nina zerknęła na zegarek. Dochodziła dziewiąta - wcześniej, ale nie skandalicznie wcześniej. Wybrała numer do prawnika. Odebrał już po drugim dzwonku.

- Pani Nino, czy ma pani jakieś kłopoty? - zapytał z wyraźną troską.

- Wszystko w porządku, po prostu policja zadała mi pytanie, na które to pan może znać odpowiedź.

- Chyba nie przesłuchują pani znowu? To podpadałoby pod szykany!

- To przyjacielska rozmowa z przyjaznym policjantem - zapewniła i posłała Markowi odrobinę złośliwy uśmiech. - Chodzi o to, że włamywacz miał klucz do domu, dorobiony. Czy wie pan o kimś takim?

Albert Pilch zastanowił się chwilę, zanim powiedział:

- Przychodzi mi do głowy jedna osoba. Zbigniew Wojaczek. Mieszkał w Zapadłem, ale szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy żyje. Na pewno żył dziesięć lat temu, bo był na pogrzebie wuja Poldka. To zresztą on znalazł go po jego śmierci. Przyjaźnili się, więc niewykluczone, że miał klucze do domu. Ale jeśli wciąż żyje, jest starcem po osiemdziesiątce, więc to na pewno nie on stoi za włamaniem.

Nina podziękowała za informację i pożegnała się, kończąc rozmowę.

- Zbigniew Wojaczek, mówi to coś panu? - zapytała Garstkę. Po jego minie domyśliła się, że owszem, mówiło.

- Sprawdzimy to - zapewnił.

Nie zamierzał wspominać, że nazwisko skojarzył przede wszystkim z Olkiem Wojaczkiem, którego w ostatnich piętnastu latach kilkakrotnie aresztował. Typek był śliski i zawsze wychodził z więzienia szybciej, niż powinien, Marek ufał, że do czasu. Tacy jak Olek w końcu lądują przed sędzią, który spogląda na ich grubą teczkę i mniej jest skory do folgowania prośbom o odroczenie czy umorzenie, w które przychodzi uzbrojony adwokat - zawsze podejrzenie kosztowny jak na cwaniaczka z osady w lesie.

Zerwał się od stolika i skinął głową na pożegnanie.

- Miło było panie widzieć - skłamał.

- Proszę mnie informować na bieżąco - powiedziała Nina. - W końcu to także kwestia mojego bezpieczeństwa - dodała, apelując do jego poczucia odpowiedzialności. Tacy jak on mieli go zwykle w nadmiarze.

Nie mówiąc już nic, Marek Garstka przeciął jadalnię i zniknął w kuchni.

- Znakomite, doprawdy znakomite - stwierdziła Zuza. - Nawet głowa przestała mnie boleć.

Zjadły śniadanie w dużo lepszych nastrojach.

*

Nadal nie miały informacji, kiedy dostaną zielone światło na wejście do domu, ale Nina zadzwoniła do Roberta i umówiła się z nim wstępnie na siedemnastą, po jego zmianie w remizie. Wszystko wskazywało na to, że cała ta afera zaraz się skończy.

Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo się myli. Ani że ktoś obserwuje dom w lesie. I tylko czeka na okazję, by się do niego dostać.

Ten ktoś nie miał klucza. Klucz zabrał ze sobą ten idiota, który dał się zabić, i to zanim odzyskał to, po co poszedł. Teraz należało to znaleźć, zanim wpadnie w niepowołane ręce.

*

Dzielnicowy Boberek wziął na siebie obowiązek dostarczenia kluczy Ninie Rawicz głównie dlatego, że Straszewicza wzdrygało na samą myśl, a Marek Garstka wydawał się dziwnie spłoszony, gdy Szymon zapytał go, czy planuje zajrzeć do pensjonatu matki. W sumie nie miał nic przeciwko, by podrzucić je Ninie po pracy. Poniekąd był przy niej prawie od początku tej awantury, więc wypadało, by właśnie on zamknął ten rozdział.

Nie zamierzał już wracać do domu Uklejów, ale przypomniał sobie, że na kuchennym stole zostawił termos. Porządny, trzymający temperaturę przez dwanaście godzin, niecieknący i poręczny. Rolls-royce wśród termosów. Szymon nie zamierzał ryzykować, że się gdzieś zapodzieje. Dlatego wracając do domu po służbie, skręcił w szutrową drogę między drzewami. Drzwi były zamknięte, klucz przekręcił się w zamku dwukrotnie, tak jak powinien, ale ledwie dzielnicowy przekroczył próg, wyczuł, że coś jest nie tak. Instynkt podpowiadał mu, że zaszła jakaś zmiana. Wszedł głębiej i już wiedział: ktoś tu był.

Jego termos co prawda wciąż stał na stole, ale w kuchni, jak i w sporej części gabinetu, panował chaos. Rzeczy walały się na podłodze, a drzwi na tyłach były szeroko otwarte. Na zamku i wokół niego widział wyraźnie ślady łomu.

Wybrał numer Marka Garstki.

- Mamy problem - powiedział. - Technicy muszą wrócić do domu Uklejów.

- Znalazłeś drugie zwłoki? - zapytał Marek spokojnie.

– Nie, ale ktoś tu czegoś szukał. Raczej nie trupa – dodał, patrząc na pojemniki wygarnięte z szafek kuchennych i książki walające się po podłodze.

Marek westchnął ciężko.

– Zadzwoń do Straszewicza. Zostaniesz na miejscu?

– Pewnie.

Schował komórkę i stanął w tylnych drzwiach. Gęsta ściana lasu podkradała się blisko budynku. Przez chwilę wydawało mu się, że między pniami mignął mu jasny kształt samochodu, ale mogło to być tylko przywidzenie.

IGŁA W STOSIE DRZAZG

Nina Rawicz była zirytowana. Ba, niebezpiecznie zbliżyła się do punktu, w którym irytacja przeobraża się we wściekłość.

Straszewicz albo nie odbierał telefonu, albo odrzucał jej połączenia. Umówili się, że da jej znać, kiedy będzie mogła odzyskać klucze. Wiedział, że jej zależy i że jest umówiona z fachowcem od napraw. Ale najwyraźniej miał to głęboko w dupie.

Było już po szesnastej, za godzinę powinna czekać na Roberta w Zapadłem! Dlatego, zgrzytając zębami, poszła do komisariatu, wkroczyła do środka jak mała chmura burzowa i stanęła przed okienkiem dyżurki, krzesząc iskry z oczu.

Siedzący w dyżurce policjant z głośnym stuknięciem odstawił kubek z kawą. Nie miała pewności, czy była to reakcja na jej minę, czy coś więcej.

– Dzień dobry, powiedzmy. Potrzebuję się zobaczyć z sierżantem sztabowym Straszewiczem – oświadczyła zdecydowanie. Zaplotła ramiona na piersi, przygotowana na kłótnię.

Policjant westchnął ciężko.

– Sierżanta sztabowego nie ma. Naprawdę – zapewnił, widząc powątpiewanie na jej twarzy.

– A sierżant Garstka? – zapytała twardo.

– Też go nie ma.

– Oczywiście. I zapewne dzielnicowy Boberek również jest bardzo zajęty. Żaden z nich nie może poświęcić chwili obywatelce, której

reputację szargali przez ostatnie dni. No klasa zachowanie, nie ma co! – wyrzuciła z siebie wściekła.

– Ale ich naprawdę nie ma! Są w terenie, coś im wypadło! – zaklinał się policjant, wyraźnie speszony.

– Chwila: są w terenie razem? Coś im wszystkim wypadło? – Podejrzliwie zmrużyła oczy.

– No tak, w sumie tak – przyznał, drapiąc się po nosie.

– Czy wypadło im może w starym domu Uklejów w Zapadłem? – zapytała wprost.

– Nie mogę powiedzieć, toczące się postępowanie, rozumie pani – wykrztusił.

– Oczywiście, że nie może pan mnie powiedzieć – zaakcentowała „mnie”. – Dziękuję i do widzenia.

– Pani Nino! – zawołał za nią. – Na pewno się z panią skontaktują w pierwszej wolnej chwili!

– Tak właśnie zrobią – powiedziała.

Trzasnęłyby drzwiami, ale te były wyposażone w spowalniacz. Bezczelność. Jako obywatelka miała prawo trzasnąć drzwiami w takiej chwili!

*

Nina wpadła do pensjonatu. Nie chciała zawracać głowy Zuzie, bo zza drzwi do jej pokoju dobiegały stłumiona muzyka i rytmiczne stukanie w klawisze – znak, że zawzięcie pracowała. Zajrzała więc do Agaty. Przyjaciółka leżała wyciągnięta na łóżku i oglądała na komputerze odcinek Castle’a.

– Myślę, że warto byłoby się nieoczekiwanie zjawić w moim domu. Coś się tam dzieje. Coś, co wyciągnęło w teren całą wielką trójkę naszych lokalnych stróżów prawa.

Agata bez ociągania wyłączyła aplikację i zamknęła laptop. Minutę później była gotowa, ubrana w kurtkę i z kluczykami w dłoni.

– Myślisz, że znaleźli drugiego trupa? – zapytała, kiedy jechały na miejsce.

– Nie wiem... Bo co innego?

Dokładnie tak, jak przypuszczała, przed jej domem znów roило się od samochodów. Był radiowóz, były dwa osobowe, była nawet furgonetka techników. Agata zaparkowała na ostatnim wolnym miejscu.

– Poczekasz w odwodzie? Jakby mnie jednak aresztowali za wejście do własnego domu, zadzwonisz po Pilcha, okej? – poprosiła Nina.

– Od tego masz przyjaciółki – zapewniła najstarsza z Gracji.

Nina wysiadła z auta i weszła na ganek. Przez uchylone drzwi widziała stojącego na drugim końcu korytarza Straszewicza. Wyciągnęła komórkę i zadzwoniła na jego numer. Zobaczyła, jak wyciąga telefon z kieszeni, zerka na ekran, a potem odrzuca połączenie. O gad parszywy!

Wkroczyła do domu bez skrpułów. Jeśli nie miał ochoty na komunikację za pomocą technologii, usłysz, co ma usłyszeć, na żywo.

– Co się tu dzieje? – zapytała ostro, biorąc się pod boki.

Straszewicz odwrócił się gwałtownie i spojrzał na nią, jakby zobaczył ducha.

– Nie powinno tu pani być – powiedział stanowczo.

– Gdyby odebrał pan telefon, nie musiałabym się fatygować – odburknęła.

Miał na tyle przyzwoitości, by wyglądać na odrobinę speszonego.

– Znaleźliście trupa? – zapytała wprost, licząc, że nawet jeśli Straszewicz wyłga się od odpowiedzi, zdoła ją wyczytać z jego twarzy.

- Żadnego trupa, skąd właściwie taki pomysł?

- Uznajmy, że z kart wywróżyłam, nie zdradzam swoich źródeł – odparowała. – Przypominam, że to jest mój dom, sierżancie sztabowy, i mam prawo wiedzieć, co się tu wydarzyło. Czemu tu jesteście?

Straszewicz przeczesał dłonią posiwiałe włosy i sapnął z frustracją.

- Jest pani nieznośnie uparta. Miała pani włamanie – powiedział w końcu.

- Czyż nie od tego zaczęła się ta przygoda?

Pokiwał głową.

- Drugie włamanie, pani Nino, jakąś godzinę temu. Co zmusza nas do postawienia całkiem nowych pytań – zawiesił głos.

- Pierwsze mogło być przypadkiem, drugie nie.

- Ano właśnie. A to, że ktoś się tu włamał niemal natychmiast po tym, jak moi ludzie opuścili to miejsce, każe mi snuć pewne przypuszczenia.

- Ktoś miał was cały czas na oku.

- Może nie cały czas, ale na to wygląda – przyznał.

Nina zauważyła proszek daktyloskopijny na klamce i wokół zamka tylnych drzwi.

- Do tych też miał klucze? – zapytała i zadrżała.

- Nie, wyłamał zamek po bożemu. – Straszewicz starał się brzmieć uspokajająco.

- Słabe pocieszenie, prawda? – zapytała nagle Agata, której znudziło się czekanie w samochodzie. A skoro nikt jej po drodze nie zatrzymał, dotarła na miejsce w samą porę, by usłyszeć kluczowe informacje.

Nina objęła się ramionami. Nagle zrobiło jej się zimno. Wiele by dała, by móc się owinać kokonem z kołdry.

– Myśli pan, że znalazł, po co przyszedł, i już nie wróci? – głos jej lekko zadrżał.

Zanim Straszewicz odpowiedział, Agata, która obrzuciła uważnym spojrzeniem bałagan pozostawiony przez włamywacza, powiedziała:

– Nie sądzę.

– O, a dlaczegoż to? – zapytał z zainteresowaniem Straszewicz.

Kobieta zatoczyła ręką po pobojuwisku w kuchni i książkach walających się po podłodze gabinetu.

– Był sfrustrowany. Nie przyszedł po coś, co schował tu wcześniej. Wie, że jest tu coś cennego, ale nie wie gdzie. Pewnie ukrył to ten od pierwszego włamania, ale nie zdradził dokładnej lokalizacji – tłumaczyła Agata pewnym tonem.

Straszewicz przewrócił oczami, ale musiał się z nią zgodzić. Doszedł do tych samych wniosków.

– I wy też nic nie znaleźliście? – zapytała Nina.

– Ciężko coś znaleźć, jeśli się nie wie, czego się szuka – zauważyła Agata.

Straszewicz w obronnym geście zaplótł ramiona na piersi i warknął:

– Mogą panie iść missmarplować gdzie indziej?

Agata syknęła, jak kotka, której ktoś nadepnął na ogon.

– Jest pan zwyczajnie bezczelny – powiedziała. – Nawet gdyby pan zsumował nasz wiek, sporo nam do panny Marple brakuje.

– A skąd ja mam to wiedzieć? Czy ja pani metrykę widziałem?!

Nina złapała Agatę za łokieć, bo ta nagle znalazła się całkiem blisko Straszewicza. Za blisko. Przytrzymując przyjaciółkę, zapytała:

– Rozumiem, że oddanie mi kluczy znów się odwleka?

– To chwilę zajmie, szukamy odcisków. Kiedy się włamywał, miał rękawiczki, może potem je zdjął.

- Doskonale, szukajcie. A potem proszę o telefon z informacją, kiedy mogę odebrać klucze. Muszę te schody pokazać fachowcowi. Im szybciej je naprawi, tym szybciej zdołam wrócić do domu.

- Czy to na pewno dobry pomysł? - zapytał retorycznie Straszewicz.

- Czy komisariat zamierza pokryć koszty, które ponoszę z tytułu pobytu w pensjonacie? Nie? Więc owszem, to znakomity pomysł - odcięła się Nina. - I, z łaski swojej, proszę odbierać telefon. Albo pana znajdę.

- Grozi mi pani? - rzucił surowo.

- Może zacznę od szukania nie pana, ale najśłabszej owcy w pańskim stadzie? A wtedy żadna tajemnica się przede mną nie uchowa. - Uśmiechnęła się złośliwie, widząc, że Straszewicz mamrocze coś pod wąsem. - Do zobaczenia, sierżancie sztabowy. Proszę nie robić nic głupiego.

*

Wsiadły do samochodu i wytrzymały całe pół minuty (akurat dość, by wyjechać na szutrową drogę), zanim parsknęły śmiechem.

- Na bogów wszelakich, będziesz go nawiedzać w koszmarach - wydyszała w końcu Agata.

- I dobrze, skoro ja źle śpiam, czemu on miałby sypiać lepiej?

- Miał trochę racji. No wiesz, powrót tam to nie jest najlepszy pomysł - przyznała po chwili starsza z Gracji.

- Wiem - odparła Nina ponuro. - Poproszę Roberta, by wymienił zamki. I trzeba będzie pomyśleć o jakimś alarmie, kiedy już tu zamieszkamy.

- Słusznie. Bo drań nie odpuści. Gdybyśmy tylko wiedziały, czego szukał...

- Znajdziemy to, czymkolwiek jest - powiedziała twardo Nina. - W przeciwieństwie do niego nie będziemy musiały się ukrywać przed policją.

Jej komórka się rozdzwoniła. Na ekranie wyświetlał się numer Roberta Janty.

- Hej, przepraszam, musimy przełożyć rekonesans remontowy - powiedziała.

- Coś się stało?

- Policja działa jeszcze wolniej, niż przypuszczałam. Potrzebują więcej czasu. Dam ci znać, gdy tylko dostanę zielone światło, okej?

- Jasne. Nie musisz czekać na klucz, możesz po prostu zadzwonić. Pogadamy. Czy wypijemy kawę. Wiesz, nie jestem tylko strażakiem fachurą. Mam też uczucia - powiedział żartobliwie.

Nina parsknęła.

- Pomyślę. Może gdy podasz mi wycenę, będę pewniejsza swoich uczuć - zażartowała.

- Twardo się pani targuje! Będzie pani zadowolona, szefowo. A jeśli nie, winę na pewno ponosił będzie mój brat. Co złego, to nie ja.

Agata patrzyła, jak Nina chowa telefon, zarumieniona i uśmiechnięta. Może z pobytu w tej Ustce wyniknie nawet więcej dobrego, niż zakładały?

KURA Z CHOWU KLATKOWEGO

Kiedy Nina i Agata dotarły do pensjonatu, Zuza była na skraju załamania nerwowego. Zajrzały do jej pokoju, bo już na korytarzu słyszały soczyste wiązanki przekleństw i odgłosy tępych uderzeń. Zuza krążyła po niewielkiej przestrzeni między łóżkiem a oknem, tłukąc pięścią w ścisną w morderczym uścisku poduszkę. Uniosła głowę, słysząc skrzypnięcie drzwi.

- Czemu on nigdy nie słucha? Nie rozumie prostych zdań? Myśli, że może mnie zmusić, żebym zrobiła, co chce?! - piekliła się.

- Krzysio Zdzisio? - domyśliła się Agata.

Zuza rzuciła poduszką o ścianę.

- Któregoś dnia go zamorduję i pójdę siedzieć jak za człowieka, a nie za kartofla, który słyszy tylko to, co chce usłyszeć. A że nie mówię nic, co mu się podoba, to sam sobie wymyśla wersję, która go zadowala.

- Na przykład, że napiszesz mu kolejnych sześć książek do końca roku? - zgadła Agata.

- Żeby do końca roku! Do końca września, przecież premiera musi być na targi w Krakowie i kolejna na święta! - wykrzyczała Zuza.

- Nie można mu odmówić rozmachu - przyznała najstarsza z Gracji.

- I urojeń - dodała Nina.

- To też. Czyli wreszcie udało się wam połączyć na zoomie? - zapytała Agata.

- A gdzie! W swojej nieudolności zamiast wysłać mi link do spotkania, wysłał link do dokumentu Google. Wewnętrznego pliku produkcji. Z planem wydawniczym. Rozumiecie? Mimo wszystkich moich tłumaczeń wstawił do planu cztery kolejne tytuły. Zadzwoiłam, wkurzona. A on co? „Och, Zuzanno, dla ciebie nie ma rzeczy nie możliwych, dasz radę!”

- Nie bierze pod uwagę, że możesz nie chcieć dać rady? - Nina uniosła brew. - Bo w ogóle nie jesteś zainteresowana wypruwaniem sobie żył?

- Oczywiście, że nie. Moim obowiązkiem jest znosić złote jajka. Bo jeśli nie, to wydawnictwo upadnie, ludzie stracą pracę i w ogóle. - Zuzannie zadrzał głos.

- Ale rozumiesz, że to nie twoja odpowiedzialność? I że jeśli opiera swój biznes na jednej autorce, to jest winny chujowego planowania? - Agata podeszła do Zuzy i otoczyła ją ramieniem.

- Czy on w ogóle ma z tobą jakąś umowę długoterminową? Zobowiązałaś się do czegoś? - zapytała Nina.

Zuza pokręciła głową.

- Skąd! Jestem zobowiązana mu oddać to, co mam na tapecie, i nic ponad to. Byłam na tyle rozsądna, by nie podpisać umowy na dziesięć kolejnych tytułów i całkowitą wyłączność.

- To może sobie gadać i kombinować do woli, ale nie jesteś jego niewolnicą - powiedziała twardo Agata.

- Wiem, że masz rację... ale tak mnie to frustruje! Kiedy mówi, że powinnam być wdzięczna, że przecież o niczym innym nie marzyłam tak bardzo jak o tym, żeby pisać i wydawać książki, więc czemu mam teraz problem właśnie z pisaniem i wysyłaniem maszynopisów do mojego wspaniałomyślnego wydawcy, który mnie stworzył i bez którego bym nie istniała! - Głos jej się załamał, a oczy wypełniły łzami.

Agata wzniosła oczy ku sufitowi.

- Zuzka, kochana, przecież to jest dymiąca kupa gówna. Manipuluje tobą w najbardziej prymitywny i żaloszny sposób.

- Wiem! Rozumiem to! Ale...

- Ale rozum i emocje nie idą w parze - szepnęła Nina.

Zuza rozkleiła się kompletnie, a pozostałe Gracje objęły ją ciasno.

- Tak bardzo tego chciałam, o niczym innym nie marzyłam, więc czemu teraz czuję się jak kura z chowu klatkowego? - jęknęła w miękką bluzę Niny.

- Bo to, co masz, wcale nie jest tym, o czym marzyłaś. Nie chciałaś przecież zostać niewolnicą Krzysia Zdzisia ani pisać rzeczy, które nie dają ci satysfakcji - tłumaczyła cierpliwie Agata.

- On żeruje na twoim marzeniu - dodała Nina. - Wierz mi, rozumiem to. To także moje marzenie, na razie niespełnione, ale gdybyś mi powiedziała, że chcesz się ze mną zamienić, nie wzięłabym Krzysia Zdzisia z całym dobrodziejstwem inwentarza, nawet gdybym dostawała do końca życia twoje tantiemy.

- Nawet procent mam chujowy! - wyszeptała Zuza.

- Co jest w tym wszystkim najbardziej absurdalne. Jeśli zdecydujesz się podpisać z nimi kolejną umowę, to ja ci wynegocjuję warunki - powiedziała twardo Agata.

- Obiecujesz...?

- Słowo. I Ninie też, kiedy się wreszcie do niej odezwą. Nie musicie popełniać tych samych błędów co ja piętnaście lat temu, możecie się uczyć na moich! - Agata poklepała przyjaciółki po plecach.

- Tak, mam - odparła rozbawiona Nina.

- O nie, na matkę się nie nadaję. Mogę być co najwyżej „spoko ciotką”.

- Pasuje ci - przyznała Zuza. Zdała sobie sprawę, że znów może oddychać. Znów jest sobą.

Zaczerpnęła powietrza. To się musi skończyć, pomyślała. Albo coś się zmieni, albo Liliana Mist i Regina Lux zginą. Alternatywą był tylko zgon Krzysia Zdzisia, ale nie uśmiechało jej się spędzić kolejnych lat za kratami. Więzienne biblioteki są straszne i, o zgrozo, nie wolno korzystać z czytników. Będzie musiała rozwiązać to inaczej.

SZUKAJCIE, A ZNAJDZIECIE

Jedzenie pizzy drugi dzień z rzędu wydało się Gracjom niezdrową przesadą, więc na kolację poszły do lokalu, który w menu miał sałatki. Żadna z nich ostatecznie tej sałatki nie zamówiła – bo też kto by zamawiał sałatkę, gdy może pastę, placki ziemniaczane czy rybę z frytkami – ale przecież liczą się intencje.

Przy jedzeniu starały się nie rozmawiać o ostatnich wydarzeniach, bo w restauracji, przy ciasno ustawionych stolikach, siedziało sporo ludzi, trzymały się więc neutralnych tematów.

Za to gdy wróciły do pensjonatu z kupionymi na później przekąskami i butelkami wina, ich umysły, niczym dobrze zsynchronizowane maszyny, natychmiast zaczęły nadawać na jednej fali.

– Nie kumam jednego – powiedziała Nina, sącząc wino ze szklaneczki do mycia zębów.

– Tylko jednego? Wypiję za to – powiedziała Zuza, unosząc swoją.
Dziś znów siedziały u Agaty.

– Co jest w tym domu takiego, że dwie osoby włamały się tam w ciągu ledwie kilku dni? Właśnie: myślę, że możemy odłożyć do szuflady z odrzuconymi hipotezami tę, że pierwszy włamywacz przyszedł po mnie – powiedziała Nina.

– Masz rację – przyznała Agata – coraz mniej wydaje mi się prawdopodobne, że to ty byłaś celem. Raczej coś w domu.

– O ile założymy, że oba włamania się łączą – zastrzegła Zuza.

- A możemy zakładać, że nie? - zdziwiła się Nina.

- Pewności nie mamy. Może pierwszy przyszedł po ciebie, a drugi przyszedł, bo usłyszał o awanturze, zarwanych schodach i odkryciu schowka? - snuła hipotezy Zuza.

- Czyli czekaj: myślisz, że drugie włamanie jest jakoś połączone z potencjalnym trupem, tym „jest gdzieś, lecz nie wiadomo gdzie?” - Agata, wyraźnie zaintrygowana, wygodniej umościła się na łóżku.

- Jezu, teraz już będę myślała o tym potencjalnym trupie jako o pszczołce Mai - jęknęła Nina.

- Może być. „Pszczółka Maja” brzmi mniej drastycznie niż „ukryty w domu trup” - zauważyła Agata.

- Może jest zakopany gdzieś w lesie? - zapytała z nadzieją Nina.

- Gdyby był, to po co by się włamywał ten drugi koleś? - Zuza upiła kolejny łyk ribery.

- Zakładasz, że jego włamanie ma związek z trupem, a to wcale nie jest powiedziane - zauważyła Nina. - Raczej obaj przyszedli po coś, co znajduje się w domu. Nie po mnie, nie po pszczołkę Maję, tylko po coś jeszcze innego. Na to wskazywałyby ślady po drugim włamaniu: wybebeszone szafki i regały.

- Szukali skarbu? - Zuza pochyliła się w jej stronę z zainteresowaniem. - Zawsze lubiłam historie ze skarbami! Może gdzieś jest mapa domu z wielkim czerwonym iksem?

- Za mało wiemy o domu, przydałoby się przepytac lokalsów i tego twojego prawnika. Może w okolicy krążą legendy o kosztownościach albo forsie trzymanej przez starego Ukleja w materacu - podsunęła Agata.

- No więc czeka nas research, rekonesans i szukanie informatorów. Nic, czego byśmy już nie robiły na potrzeby książek - zauważyła Zuza. - Trzeba też przycisnąć Garstkę albo dzielnicowego

i wyciągnąć z nich co nieco o postępach w śledztwie. Nie ma co wyważać otwartych drzwi, jeśli już do czegoś doszli.

Nina rozejrzała się po pokoju i zapytała:

– Agata, masz coś do pisania?

Gracja tylko prychnęła.

– Ja miałabym nie mieć? Trzy notesy i piórniki, na widok którego ośmiolatka dostałaby ślinotoku! – Wyciągnęła z szuflady biurka blok o żółtych kartkach w linie i notatnik w kropki. – Do wyboru, do koloru.

– Kropki poproszę, łatwiej rysuje się strzałki.

– Będą wykresy? – Zuza aż podskoczyła. – O ranyśku, jeśli narysujesz tabelkę, mogę się przesadnie podekscytować!

– Wynotujemy sobie, co mamy rozkminić, żeby nic nie umknęło. – Nina wyjęła z piórnika Agaty ołówek i zakreślacz w kolorze wściekłego różu.

– Dajesz! Rozgryziemy tę fabułę i zrobimy z niej podnózek naszego geniuszu – oświadczyła Zuza, wzniosła szklaneczkę i duszkiem wypła resztę wina.

Najstarsza z Gracji uniosła brew.

– Nie wiem, czy jej dolewać, czy uznać to za dowód, że jej starczy.

– Daj spokój! Po tym, jak mnie przeczołgał emocjonalnie Krzysio Zdzisio, zasłużyłam – zaprotestowała Zuza.

– Jeśli będziesz się upijać za każdym razem, kiedy wydawca okaże się idiotą, skończysz w szponach nałogu.

Nina dołała sobie alkoholu.

– Czy to dlatego alkoholizm wśród pisarzy zawsze miał się świetnie?

– Tak. Poza tym samo pisanie wymusza potrzebę znieczulenia – odpowiedziała Agata. – No, do dzieła!

Kwadrans później miały wynotowane następujące punkty:

1. Kim był pierwszy włamywacz? Czy trzeba szturchnąć Europol?
2. Czy w domu jest coś ukryte? Skarb? Plotki – legendy – pomówienia? Zrobić research!
3. Drugi włamywacz – czy policja coś znalazła? Czy obserwował dom? Ślady?!!!
4. Pszczółka Maja. Czy jest skarbem, czy gratisem?
5. Mikołaj – wyciągnąć, co się da, i smarować miodem (skojarzenie z pszczółką przypadkowe).
6. Dogadać z Robertem remont. I inne rzeczy.
7. Wywiad w kwestii stanu cywilnego Roberta (dopisek charakterem pisma Zuzy).
8. Przemaglować lokalsów. Nie dosłownie. Chyba że Straszewicza.

Kiedy rano spojrzały na listę, miały pewność co do dwóch rzeczy. Czekają je sporo do zrobienia. A dwie butelki wina to na trzy słabe głowy odrobinę za dużo.

Ninie, już na trzeźwo, przyszła do głowy jeszcze jedna myśl. Włamywacz numer jeden szedł na górę. Włamywacz numer dwa trzymał się dołu, bo do piętra nie miał dostępu. Czy to dlatego nic nie znalazł?

REPUTACJA I INNE PRZEKLEŃSTWA

Przez pierwsze dziesięć minut śniadania w milczeniu sączyły kawę, pozwalając kofeinie wypełnić liczne dziury w motywacji i woli życia. Żadna z Gracji nie była w formie. Z różnych powodów, choć każda winiła głównie wczorajsze wino.

Agata ze złością odrzuciła połączenie, nawet nie patrząc na ekran, kiedy jej telefon zaczął wibrować na stoliku.

– Wszystko okej? – zapytała Nina.

– Telemarketerzy – sapnęła. – Dzwonią od świtu.

Uśmiechnęła się nawet, ale uśmiech nie dotarł do oczu. Nina miała przeczucie, że przyjaciółka mija się z prawdą, mimo to postanowiła nie drażnić. Była to jedna z tych dziwnych rzeczy związanych z charakterem ich przyjaźni: ponieważ do niedawna miały kontakt wyłącznie przez internet, z jednej strony każda znała mnóstwo intymnych szczegółów na temat pozostałych, z drugiej – nie miały pojęcia o detalach oczywistych na przykład dla sąsiadki mijanej w windzie. Nina i Zuza szybko zauważyły, że o ile Agata nie ma najmniejszych oporów, by mówić o kwestiach zawodowych, o tyle starannie omija temat życia prywatnego – o tym, że ma męża, Nina dowiedziała się z Wikipedii. Szanowała prawo przyjaciółki do prywatności, więc nigdy nie dopytywała o jej sytuację osobistą, ale teraz była właściwie pewna, że to nie telemarketer wydzwaniał do niej od świtu.

– Jakie plany na dziś? – zapytała.

- To, co zwykle: podbić świat wściekłą hordą. Będę pisać, aż skończę to cholerstwo i zejdzie mi z pleców - odpowiedziała Zuza, pocierając palcami powieki.

Światło ją raziło, choć okno naprzeciw zaciągnięto gęstą firanką. Ech, gdzie ta młodość, gdy można było bezkarnie wypić butelkę wina? Choć może to nie przez nie głowa ją tak bolała, a przez Krzysia Zdzisia? Cała ta chryja kosztowała ją więcej, niż chciałyby przyznać. W nocy miała koszmary. Krzysio Zdzisio wcielał się w Annie Wilkes z Misery, a ona, przykuta do łóżka, z połamanymi nogami, tłukła w klawiaturę, bo każdego dnia musiała wymienić nowe rozdziały na jedzenie i wodę. Sen był tak realistyczny, że obudziła się spocona i przerażona, a zdrętwienie ręki w pierwszej sekundzie przytomności wzięła za kajdany. Pojebane jak kilo gwoździ i słoik ruskiego zacieru, stwierdziła, zwlekając się z łóżka.

- Ja się pokręcę po okolicy - powiedziała Agata i uśmiechnęła się drapieźnie.

- Będiesz grillować Straszewicza? - Nina się zaśmiała.

- Może. Ale świat się nie kończy na jednym wąsatym zrzędzie. Zobaczymy, czy nadal mam moc zaklinania informatorów. Tyle czasu siedzę w Zywert, że mogła mi zardzewieć - powiedziała.

- Stal chirurgiczna nie rdzewieje - zauważyła Zuza.

- Zaraz tam stal. Najwyżej podrasowane aluminium - krygowała się Agata.

- Aluminium też nie rdzewieje. - Zuza upiła łyk kawy. - A ty, Ninoczku?

- Ciągle mam nadzieję, że dziś odbiorę klucz i będę mogła wprowadzić do domu fachowca - przyznała. - Każda kolejna noc tutaj to dodatkowa forsa. I tak nie wiem, ile zajmie Jantom zbudowanie nam nowych schodów, a dopiero wtedy możemy myśleć o przeprowadzce...

- Nawet wtedy nie od razu. - Agata wgrzyła się w rogalika. - Trzeba będzie tam posprzątać i trochę odświeżyć.

- Tylko powstrzymaj ją, zanim się zapali do kładzenia kafelków i tapet - ostrzegła Zuza, sięgając po kromkę świeżego chleba. - Widziałam jej historię przeglądania na YouTube. Subskrybuje pierdyliard kanałów o renowacjach!

- Research! - zaklinała się Agata.

- Życiowy czy książkowy? Kto będzie kładł glazury, ty czy Zywert? - dopytywała Zuza.

Agata parsknęła.

- Celne!

W nocy przyszła jej do głowy jedna rzecz, potencjalnie perspektywiczna, ale nie chciała poruszać tematu, dopóki nie obejrzy domu w normalnych okolicznościach.

Wciąż jeszcze jadły, kiedy komórka Niny zawibrowała.

- Uff, skończyli! - zawołała dziewczyna z ulgą, gdy zerknęła na ekran. - Mogę podskoczyć po klucze!

- Do domu czy do komisariatu?

- Do domu, przecież nie może być za prosto. - Nina wydeła wargi.

- Podrzucę cię, nie muszę zacząć w bibliotece równo z jej otwarciem - powiedziała Agata i dopiła kawę.

- Muszę kupić auto. - Nina aż się skrzywiła na samą myśl.

Była przekonana, że padnie ofiarą przekrętu albo trafi na najgorsze używane auto w historii, w typie: Niemiec płakał z ulgi, że udało się sprzedać, bo za złomowanie zapłaciłby jak za zboże. Nie znała się na samochodach. Prawo jazdy, owszem, miała, ale tylko dlatego, że wymagano go, gdy starała się o pracę w Niemczech.

- Zajmiemy się i tym - zapewniła ją Agata i dopisała ten punkt do mentalnej listy rzeczy do zrobienia. Bardzo długiej listy.

Dopóki jakiś problem dało się rozbić na serię zadań, nie wydawał się straszny, bo zadania mogła sukcesywnie realizować. Tylko jednego punktu, wpisanego na listę prawie cztery lata temu, do dziś nie zdołała odhaczyć. O czym przypomniła jej wibrująca komórka.

Jakoś się dowiedział, że wyjechała z Warszawy, i najwyraźniej nie mógł znieść myśli, że nie wie, gdzie jest. W porównaniu z tym bałaganem kupno używanego auta wydawało się dziecinnie proste. Któregoś dnia rozbije międzynarodową grupę przestępczą, tylko dlatego, że będzie to łatwiejsze niż poradzenie sobie z tym gnojem...

*

Jeszcze zanim dojechały do Zapadłego, Nina wybrała numer Roberta.

- Hej, czy dziś ci pasuje?

- Zaczynam zmianę o trzynastej, więc jeśli może być przed południem, to jasne, pasuje - usłyszała.

- Fantastycznie. Właśnie jadę do domu, możesz dołączyć choćby za dziesięć minut.

- Kwadrans, może dłużej. Muszę wyprowadzić Fąfla.

- Weź go ze sobą. Mogę potrzebować wsparcia emocjonalnego, gdy zaczniesz robić kosztorys - zaproponowała.

- Na kosztorys za wcześnie, najpierw obgadamy plan robót. Jeśli łezka ci się w oku zakręci, zaoferuję wsparcie własnym ramieniem - powiedział.

Nina uśmiechała się jeszcze dłuższą chwilę po zakończeniu tej krótkiej rozmowy. Nagle w jej głowie pojawiła się myśl - gdyby faktycznie coś wyszło z tego ich flirtowania, przez kolejne lata na pytanie, jak się poznali, przywoływaliby historię tamtej upiornej nocy... Gdyby skończyli jako para, trup i Straszewicz na zawsze

pozostaliby częścią ich „origin story”. Nie była pewna, czy to dobrze, czy źle. Na pewno nieco dziwnie.

*

Dzielnicowy Boberek krążył przed domem w cywilnych ubraniach o zaskakującej zawartości procentowej lycry. O ścianę domu stał oparty rower. Ledwie wręczył Ninie klucz, wsiadł na swój wehikuł i popedałował w siną dal, a między gałęziami migąła neonowa zieleń jego bluzy.

– Nieźle czworogłowe – przyznała Agata i spojrzała z troską na przyjaciółkę. – Nie bardzo mi się podoba, że mam cię tu zostawić. Co, jeśli włamywacz numer dwa wróci?

– W środku dnia? Wątpliwe – uspokoiła ją Nina. – Poza tym Robert zaraz tu będzie.

– Daj znać, kiedy skończycie, przyjadę po ciebie. Serio, zadzwoń, albo dojdę do wniosku, że dopadł cię kolejny zbir.

Agata wróciła do auta, ale zanim skierowała się z powrotem na drogę, opuściła szybę, wychyliła się przez okno i zawołała:

– Nie znajdź trupa beze mnie!

– Odłożę to do czasu, aż Gracje będą w komplecie! – odkrzyknęła Nina.

Agata pomachała jej i odjechała.

A Nina wcale nie była skora, by wejść do środka. Nie ma pośpiechu, przekonywała siebie, taka ładna pogoda, można się przejść, rozejrzeć, sprawdzić, czy po policji i włamywaczu zostały jakieś ślady za domem... Tak na wszelki wypadek.

*

Nie spodziewała się spotkać tu nikogo. Chłonęła ciszę lasu otaczającego dom. Jej dom. Stare jodły i świerki sięgały wyżej niż

szczyty kominów. Cisza mogła być czystą rozkoszą, ale w pewnym momencie wydała jej się złowroga. Pod wpływem ostatnich wydarzeń wyobraźnia Niny była rozbuchana niczym dzieciak po zeżarciu paczki żelków faszeringowanych amfetaminą. Cienie się wydłużały, a każdy dźwięk wydawał się złowrogim odgłosem kroków czy dyszeniem zbója.

– Bez przesady, Nino, nawet twój pech musi się kiedyś skończyć – szepnęła do siebie. – Nie mogę się bać własnego domu, bo nie dam rady w nim zamieszkać.

Tylko serce nie chciało jej słuchać i wpadło w galopadę, gdy nagle tuż za sobą usłyszała podzwanianie metalu. Podskoczyła nerwowo i obróciła się, spodziewając się włamywacza, na tyle bezczelnego, by tym razem zjawić się w biały dzień. Tymczasem zobaczyła staruszkę na rowerze pamiętającym stan wojenny.

– Uwaga! Nie mam hamulców! – zawołała kobieta i Nina odruchowo czmychnęła z drogi. Kobieta zwolniła, a gdy była ledwie parę kroków od Niny, dziarsko zeskoczyła z pojazdu.

Była niższa od Niny, krępa i zbita. Ubrana w krótką fioletową puchówkę, dzinsy połatane na kolanach patchworkową dzianiną i neonową czapkę, taką, jakie nosiło się w lesie w sezonie polowań zamiast kamizelki odblaskowej, by nie zostać pomyłonym z dzikiem.

– Hamulce by się jednak przydały – powiedziała Nina.

– Radzę sobie bez nich od dekady, po co zawracać sobie głowę – odparła nieznajoma i machnęła ręką.

Zaciągnęła nóżkę, schyliła się i poprawiła klamerkę do prania, którą miała spiętą nogawkę na łydce, by materiał nie wkręcił się łańcuch – rzecz jasna pozbawiony osłony.

– Ty jesteś Antonina Rawicz? – zapytała podejrzliwie starsza kobieta.

– Nina wystarczy, nikt nigdy nie mówił na mnie Antonina. Chyba nie dorosłam do takiego dostojęstwa. A pani? Jesteśmy sąsiadkami?

– Możesz mi mówić Gerti. „Trudy” z mojego imienia dawno odrzuciłam. Czy sąsiadkami? Poniekąd. Mieszkam kawałek dalej, w Orzechowie. Chciałam ci się przyjrzeć.

– O proszę. Mam status lokalnej ciekawostki? – Nina nie kryła rozbawienia.

– Nie przesadzałabym. Może dziwa? Sporo się mówi o panience z miasta, która przyjechała z własnym pechem i ledwie się wprowadziła, padł pierwszy trup. Przez całą stutrzydziestoletnią historię tego domu nie było tu tyle policji, ile przez kilka ostatnich dni. – Kobieta prychnęła jak kotka, dając wyraz swojemu niezadowoleniu.

Nina wzruszyła ramionami.

– Nie moja wina, że ktoś był na tyle głupi, by się do mnie włamać i rozwalić mi schody. Zastanawiam się zresztą, po co się włamywał. Pani jest miejscowa, może krąży jakaś legenda o skarbie Uklejów czy czymś takim? Bo czegoś gałgan u mnie szukał, a po nim kolejny.

– Skarby? Dobrze! Może pirackie?! – Starsza pani parsknęła śmiechem i pokręciła głową.

– Próbuję rozgryźć, po cholere dwóch gości włamywało mi się do domu! – Nina dała upust frustracji. – Bo albo to ma jakiś sens, albo muszę uznać, że okolica jest niebezpieczniejsza niż najpodlejsza berlińska dzielnica, a miejscowi mają zamiłowanie do działań głupich i nielegalnych.

Gerti śmiała się już w głos, a potem poklepała się po zaokrąglonym brzuchu.

– Dziewczyno, idiotów znajdziesz tu mniej więcej tyle, ile wszędzie indziej, zbyt wielu. Jak żyję nie słyszałam o żadnej legendzie. A co do Ukleja, forsa nigdy się go nie trzymała, wbrew temu, co można

pomyśleć, patrząc na ten dom. Jego ojcu się wiodło w handlu, ale Poldek, jednak, nie miał midasowego dotyku. Przez większość życia był zdunem, no a z każdą dekadą zapotrzebowanie na zdunów spadało. Pod koniec życia prządl naprawdę cienko. Gdyby nawet chował w chałupie jakąś forszę, wydałby ją w ostatnich latach życia. Był zbyt dumny, żeby wyciągać rękę do córki. Więc złamanego grosza bym nie postawiła na istnienie skarbu Uklejów.

Nina kiwnęła głową.

- To już więcej, niż wiedziałam wcześniej, dziękuję.

- Może póki miejscowa głupota nie okrzepnie, lepiej, żebyś nie mieszkała tu sama? - podsunęła starsza kobieta z wyraźną troską.

- Nie będę sama - uspokoiła ją Nina.

- Dobrze, choć tyle. Luli serce by pękło, jakby ci tu ktoś zaraz na powitanie głowę rozbił.

- Znała pani Lule? - Dziewczyna poczuła nagłe ukłucie tęsknoty.

- A co miałam nie znać? Razem ześmy się chowały, do jednej klasy chodziły. Dobra przyjaciółka była, nawet jak już wyjechała, to listy pisała. Słusznie zrobiła, że ruszyła w cały świat, bo ze starym Uklejem ciężko się było dogadać. Uparte chłopisko, baran nie człowiek. Zamęczyłby ją tymi swoimi głupotami o tym, co powinna, co należy. - Pokręciła głową, jakby konflikt Luli z ojcem był świeżą sprawą, dopiero co przebrzmiała.

- Czyli nie przypomina sobie pani nic, co mogłoby zaważyć na reputacji tego domu czy przyciągnąć uwagę niewłaściwych ludzi? - zapytała ciszej Nina.

- Dziewczyno, jedyną osobą z kijową reputacją, która pojawiła się w tym domu, jesteś ty.

- Nie podoba mi się, że ludzie gadają - westchnęła Nina.

- Co mają nie gadać? Toć języków w gębach nie zapomnieli. Ale się nie martwi, pogadają, to się szybciej oswoją. Przynajmniej nie

jest nudno. A jeśli za kilka lat ktoś zapyta o plotki, wszystkie będą o tobie, chucherku z miasta, które powaliło byczka już pierwszej nocy i któremu nikt już potem nie podskakiwał. – Zaśmiała się w głos, widząc przerażoną minę Niny. – Nie dygaj, żartuję.

– Pośmieję się i ja, kiedy mnie już policja przestanie podejrzewać o zabójstwo – mruknęła.

– Dokopią się, zobaczą pełny obraz, to się odczepią – powiedziała wymijająco Gerti.

Ninie rozdzwoniły się dzwonki alarmowe.

– Pani coś wie! – zawołała podekscytowana.

– Ja? A skąd miałabym wiedzieć? Stara kobita jestem, z domu mało co wychodzę. Spróbuj napuścić na mnie psy, a zatęsknisz za włamywaczami. – Pogroziła jej palcem. I była w swojej groźbie tak przekonująca, że Nina na chwilę straciła wątek.

Starsza kobieta złożyła nóżkę roweru dziarskim kopnięciem i wskoczyła na siodełko.

Zacząła pedałowac, robiac kółka wokół Niny.

– Poczekaj, poczekaj, wiosna już prawie. Jak wybiją wszystkie cebulki, to ci szczeka opadnie! – zawołała.

– Jakie cebulki? – zapytała Nina.

– A jakie sobie tylko wymarzysz. Znajomy marynarz przywiózł z Holandii. Dwie skrzynki posadziłyśmy tu z Lulą, dobre pół wieku temu. Co roku wschodzą, już nie tamte, wiadomo, to już któreś pokolenie i skarłały, ale ciągle jak wiosną zakwitną, to myślę o Luli.

Uśmiechnęła się ciepło, a Ninie ścisnęło się serce. Teraz też będzie myślała o Luli, gdy zobaczy, że coś kwitnie za oknem.

– Bądź szczęśliwa w tym domu, Nino, niczego innego dla ciebie nie chciała! – zawołała Gerti i ruszyła przed siebie, w stronę Orzechowa.

- Wpadnie pani kiedyś na kawę, kiedy już posprzątam bałagan?! -
zawołała za nią Nina.

- Czas pokaże! Trzymaj ciasteczka na wszelki wypadek! -
odkrzyknęła starsza kobieta.

Nina jeszcze przez chwilę słyszała jej śmiech.

ODPUKAĆ W NIEMALOWANE

Kiedy kilka minut później Robert podjechał swoją furgonetką, Nina wciąż stała na drodze. Była tak zamyślona, że nie usłyszała silnika, podskoczyła dopiero, kiedy Robert trzasnął drzwiami.

– Jesteś. – Uśmiechnęła się promiennie.

– Zgodnie z obietnicą. Fąfel się dąsał, więc zagonienie go do domu zajęło mi dłużej, niż planowałem – powiedział przepraszająco.

– Nie czekałam długo. Chodź, zajrzyjmy do środka, zanim znów wydarzy się coś niespodziewanego.

Przekręciła klucz w zamku i weszła pierwsza. Bałagan nie zniknął przez noc, technicy zabrali sporo rzeczy, ale nie uprzątnęli rumowiska. Zauważyła tylko, że ktoś wykorzystał kilka desek do zabicia wejścia na tyłach domu.

– Muszę czym prędzej wymienić zamki, i pewnie całe tylne drzwi, bo włamywacz je wyważył – powiedziała, prowadząc Roberta do kuchni.

– Wymiana wkładki załatwi temat frontowych – stwierdził, po czym zatrzymał się przy tylnych drzwiach i uważnie im się przyjrzał.

– Te się ledwie trzymają zawiasów, faktycznie wymienilibym, bo ci je wyważy gang sześciolatków.

– W lokalnych zerówkach gnieździ się zorganizowany element przestępczy? – zapytała rozbawiona.

– Nie wyobrażasz sobie! Mój brat pracuje w szkole, nie mam złudzeń. Nowe pokolenie obje nas do kości, gdy już cywilizacja

upadnie i zacznie się era Mad Maxa.

– Znasz może przybliżoną datę? Bo nie wiem, czy w dłuższej perspektywie martwić się ubezpieczeniem zdrowotnym.

– Jeszcze ze dwa lata, lepiej ogarnij temat – poradził, szczerząc się w rozbajającym uśmiechu.

Nina poczuła, że zaczynają piec ją uszy. Dobrze, że miała rozpuszczone włosy, więc nie rzucały się w oczy swoją strażacką czerwienią. Nomen omen. Parsknęła cicho.

Przeszli do schodów i przez dłuższą chwilę Robert wszystko dokładnie oglądał, przedarł się nawet przez bałagan, by ostukać ścianę. Patrzyła, jak w ciężkich roboczych butach balansuje na kiwających się deskach, i aż zaschło jej w gardle, kiedy pochyłał się i dłubał w jakichś odłamkach. Wranglery wytarte na tyłku i kolanach wyglądały na nim zdecydowanie zbyt dobrze. I ta cholerna kraciasta kurtka podbita kremowym kożuszkim, bezlitośnie flanelowa, stworzona do tego, by się przytulić... Hola, hola!, ofukała się w myślach Nina. Wstrzymaj konie. To twój fachowiec! Przygaś wewnętrzną Zużę, nie wszystko musi mieć potencjał. Jest atrakcyjny, ale to nie Hallmark. Ani pornos, gdzie stolarz po paru minutach od przyjscia ma na sobie tylko pas narzędziowy.

Twarz ją paliła. Przyłożyła zmarznięte dłonie do policzków, ciesząc się, że działają jak kompres.

– Dobrze się czujesz? – dotarły do niej słowa Roberta.

– Tak, jasne, czemu pytasz? – odpowiedziała, a jej głos był nienaturalnie wysoki.

– Odplynęłaś myślami gdzieś bardzo daleko – wyjaśnił.

– Nie, nie, byłam tutaj – zapewniła i nawet nie skłamała. Była w alternatywnej osi czasu, ale wciąż tu. – Mówiłeś coś? – Przywołała się do porządku, by skupić się na jego odpowiedzi, bo wciąż wydawał się zmartwiony.

- Mam dobrą i złą wiadomość - stwierdził.

- O Jezuniu, najgorsze, co można usłyszeć od fachowca. Powiedz, proszę, że zła nie brzmi: „wszystko jest rozpiardolone”, a dobra: „ale da się naprawić”, chociaż, znów zła, „będzie to kosztowało majątek”...

- Tak źle nie jest. To znaczy nie wszystko jest rozpiardolone - zapewnił. - Ale chyba wiem, czemu schody się załamały. - Podniósł z ziemi grubą belkę i postukał w nią śrubokrętem. Drewno odpryskiwało w miękkich drzazgach. - Całkowicie spróchniała podpora.

- Całe schody są spróchniałe? - zapytała przygnębiona. Jeśli będzie musiała je wymienić, jej budżet znacznie ucierpi.

Pokręcił głową.

- Deski, stopnie i podstopnie są w niezłym stanie, da się je wykorzystać, tylko część jest do wymiany. Z balustradą gorzej, całkowicie trzeba też wymienić belki podtrzymujące po stronie ściany. Sęk w tym, że masz wadliwą hydraulikę.

- Hydraulikę, nie schody? - zgubiła się.

- Taaa. Popatrz tu. - Wskazał ukryte wcześniej pod schodami rury biegnące wzdłuż ściany. - Kiedy robili łazienkę pod schodami, ktoś, kto kładł rury, poszedł po linii najmniejszego oporu. W korytarzu pewnie puścił je pod listwą przypodłogową, albo nawet pod podłogą, ale tu poprowadził je po ścianie. Żeby było łatwiej, przykręcił je obejmami do belki nośnej schodów. I wszystko pięknie, nawet mogłoby działać, gdyby nie kilka rzeczy. Po pierwsze, nie zaizolował ich w żaden sposób, obejmmy tarły o rurki kiepskiej jakości. Po drugie, gdy korzystano ze schodów, drewno pracowało i do tarcia dochodziły przeciążenia. Porobiły się przecieki. Sporo. Możliwe, że nikt o tym nie wiedział, bo schody były w tym miejscu zabudowane, a woda przez lata wsiąkała w ścianę i belkę, aż zniszczyła ją kompletnie.

Zanim zrobię schody, muszę więc zrobić hydraulikę. I jeszcze to. – Postukał w ścianę śrubokrętem i rozległ się głuchy dźwięk. – Tu jest pusta przestrzeń, tynk odłazi. Będę musiał go skuć i zobaczyć, jak daleko sięgają zacieki. Może wystarczy nowa zaprawa, może trzeba będzie założyć dodatkowo lejki do osuszania chemicznego. Ono trwa kilka tygodni, na szczęście nie musimy wstrzymać innych prac, aż ściana będzie sucha, po prostu nie zabudujemy na razie przestrzeni pod schodami.

Nina potakiwała machinalnie, choć połowa z tego, co mówił Robert, przelatowała jej nad głową.

– Ile to będzie kosztowało? – zapytała cicho.

– Pomierzę i policzę, co trzeba, i wrócę do ciebie z orientacyjnym kosztorysem. Od razu zastrzegam, że pewne rzeczy mogą wyjść w trakcie prac, więc ostateczna kwota się może różnić od tej, którą podam.

– Jasne, rozumiem. Remont jest jak żywioł – powiedziała. Nigdy wcześniej żadnego nie przeprowadzała, ale słyszała różne historie.

– Zgłosiłaś już szkodę? – zapytał jeszcze.

– Nie, nie było jak, jeszcze chwilę temu kręcili się tu policjanci i technicy. Ale dom jest ubezpieczony – zapewniła.

– Dobrze. W każdym razie gdy już zgłosisz szkodę, przyjedzie rzeczoznawca, pogadam z nim, jeśli chcesz. I warto zrobić dokumentację fotograficzną, bo to może potrwać. Tym także mogę się zająć, wiem, na co trzeba zwrócić uwagę. Niewiele się to różni od szkód po pożarze.

Patrzył na nią uważnie, wciąż zmartwiony jej szklistymi oczami i wypiekami na twarzy. Może coś ją brało? Może to emocje? Trauma wskutek niedawnych przeżyć?

– Super, dzięki. Dam znać mecenasowi, że już można ruszyć z tematem ubezpieczenia. I dzięki za pomoc, naprawdę – powiedziała

cicho, jakby nieobecna.

– Nina, wszystko okej? Coś cię martwi? – zapytał miękko.

– To... – Zatoczyła ręką dookoła. – Dotarło do mnie, ile czasu i pieniędzy to pochłonie, zanim będę mogła się wprowadzić. Myślałam, że mam dom, a mam ruinę z przemoczonym tynkiem, spróchniałymi belkami i wadliwymi rurami. – Pociągnęła nosem.

Czemu była aż tak zdenerwowana? Przez większość życia nie miała nawet tyle... Odwróciła się do Roberta plecami, by nie widział, jak zaczyna się mazgać. Było jej wstyd, ale jednocześnie wszystkie emocje, których istnienia nawet nie przeczuwała, kipiały w niej, wypełniając klatkę piersiową tak ciasno, że nie mogła oddychać.

Roberty podszedł bliżej, ale jej nie dotknął.

– Nina, jest dobrze. To nie jest wielki problem, to niedogodność, z którą uporamy się w kilka dni, może tydzień – mówił łagodnie, jak do dziecka. – Dom ma zdrowe kości, dach w dobrym stanie i nowe okna. Masz piękne drewniane parkiety i dębowe podłogi. Masz pomieszczenia tak wysokie, że możesz wstawić meble dowolnych rozmiarów. W każdym domu, nawet nowiutkim, pod klucz, są jakieś małe problemy do rozwiązania. Ale tutaj nie widzę nic, z czym bym sobie nie poradził.

– Naprawdę? – zapytała cicho.

– Co naprawdę?

– Ma zdrowe kości?

– Poza tą jedną belką, która wdała się w niezdrową relację z hydrauliką? Tak. Wiem, że remont może przytłaczać, ale zrobimy z Mateuszem wszystko, co trzeba, żeby ten ciężar był dla ciebie jak najmniejszy. To nie nasze pierwsze rodeo. Słowo honoru.

– Głupio mi. Rozkleiłam się przez jakąś rurkę i belkę – wykrztusiła.

- Och, to normalne. Miałem klientkę, która ryczała przez glazurę. Była minimalnie w innym odcieniu, niż powinna. Tak to już jest. Nie mówimy o jakiejś nieistotnej i nieangażującej emocjonalnie bzdurce, tylko o domu. Dom z założenia jest czymś osobistym.

- Nawet jeśli dopiero się przyzwyczajam do myśli, że go mam?

- Zwłaszcza wtedy. Bo w człowieku kotłuje się wtedy jeszcze więcej emocji niż zwykle. Zaufaj mi, wszystko, co czujesz, jest normalne. Przytłaczające, ale normalne.

Odwróciła się nagle i objęła go szybko. Puściła, zanim zdążył odwzajemnić gest.

- No proszę, terapia gratis do stolarki, dziękuję. Jesteś bardzo wszechstronnym fachowcem – powiedziała, przykrywając speszzenie żartem.

- Bracia Janta dążą do jak najszerzego spektrum zadowolenia klienta. – Uśmiechnął się lekko. – Jeszcze dziś zamówię kontener na odpady, wszystko pomierzę i przygotuję kosztorys. Jeśli go klepniesz, złożę zamówienie w składzie budowlanym. Masz szczęście, ten dom jest stary, ale nigdy nie trafił na listę zabytków i nie ma nadzoru konserwatorskiego, więc nie musisz starać się o zgodę na podjęcie prac. Możemy zacząć choćby jutro, jeśli się dogadamy.

- Dogadamy się, Robert, na pewno – powiedziała miękko. Doceniała jak cholera jego reakcję na jej rozklejenie się. Nagle coś jej się przypomniało. – Czy robicie też elektrykę? – zapytała.

Pokręcił głową.

- Nie mamy uprawnień. Ale zadzwonię po znajomego, z którym pracowaliśmy przy kilku projektach.

- Super. Tamten włącznik przy drzwiach wywała wszystkie korki. No i nie jestem pewna, czy wszędzie jest uziemienie – powiedziała.

- Zajmiemy się tym – zapewnił.

Gdy podsumowali kolejność i wstępny zakres robót, wspólnie wykonali pomiary. Jeszcze nie widziała kosztorysu, ale była właściwie pewna, że go zaakceptuje. Ufała Robertowi. I z całą pewnością nie miała energii ani mocy przerobowych, by szukać kogoś innego.

– Spory dom jak dla jednej osoby. Po tym, co się stało, nie będziesz się bała mieszkać tu sama? – zapytał, kiedy przechodzili obok wielkiego salonu, w którym wciąż straszyły meble przykryte prześcieradłami.

– Och, nie będę mieszkać sama – odparła i uśmiechnęła się na myśl o Gracjach.

Robert nie odpowiedział. Nie zauważyła, że zrzędała mu mina.

KOBIETA NA SKRAJU ZAŁAMANIA NERWOWEGO

Agata była cierpliwą kobietą. Cierpliwą na tyle, by napisać ponad dwadzieścia powieści. I na tyle, by zbudować karierę literacką w kraju, w którym czytanie stanowiło hobby dla nielicznych. Raporty o stanie czytelnictwa były na alarm na długo zanim wydała pierwszą powieść i od tamtego czasu sytuacja nie uległa poprawie.

Ale były rzeczy, do których Agata Bunc nie miała cierpliwości. W ostatniej chwili powstrzymała się od rzucenia komórka o ścianę. Zniszczenie sprzętu nie rozwiąże problemów. Nawet nie poczułaby się lepiej, bo lubiła swój telefon i miała tam masę potrzebnych rzeczy.

Zrobiła więc to, co powinna zrobić dorosła, odpowiedzialna kobieta – zablokowała wydzwanający od godziny numer. Dziesięć minut później na ekranie wyświetlił się nowy. Wpisała go w Google i szybko znalazła potwierdzenie swoich podejrzeń. Też był przypisany do miejsca pracy dzwoniącego. Zablokowała go i wyciszyła dzwonek. Znudzi się. W końcu zawsze się nudził. Znajdzie inny sposób, by ją dręczyć.

Czemu musi być tak potwornie wykańczający? Czemu po prostu nie da jej spokoju? Oczywiście znała odpowiedź na te pytania, ale to nie sprawiało, że łatwiej było jej znosić szykany.

Weszła do łazienki. Umyła twarz. Trzymała zimne dłonie przy policzkach tak długo, aż przestały ją palić ze złości. Nawet nie zauważyła, że płacze, dopóki nie spojrzała w lustro. Czerwone oczy i cienie. Nie mogła tego nawet zwalić na wino czy brak snu. Nienawidziła tego, z jaką łatwością gnój przyprawiał ją o spojrzenie spanikowanego króliczka. Była twardą kobietą sukcesu. Etap zahukania miała dawno za sobą, nawet jeśli prawo nie nadążało za zmianami, które nastąpiły w jej życiu.

Przypuszczała, że on wcześniej czy później dowie się o jej wyjeździe z miasta. Zawsze się dowiadywał i zawsze reagował tak samo. Ktoś mógłby wziąć jego zachowanie za przejaw zazdrości czy tęsknoty, lecz Agata wiedziała lepiej. To była potrzeba kontroli i wściekłość, kiedy odkrywał, że nie ma jej w zasięgu ręki.

Kiedy to się skończy? Zrobiła wszystko, co mogła, by się uwolnić, ale system nie był przygotowany na takich łajdaków i manipulatorów jak on. Typ wiedział, co powiedzieć, by przeciągać sprawę w nieskończoność. Wiedział, jak się zachowywać, by zmylić sędziego, mediatora i terapeutę. Był mistrzem pierwszego, drugiego i trzeciego wrażenia.

Tyle że ona знаła go od siedemnastu lat i dawno pozbyła się złudzeń. Będzie wolna, choćby po jego trupie. Czasami niebezpiecznie zbliżała się do takiego rozwiązania. Uwalniała wyobraźnię i snuła plan doskonały. Obracała go w głowie jak klejnocik, pozwalała, by światło rozbłyskiwało na krawędziach. Potem odkładała go do specjalnej szufladki, którą zawsze trzymała zamkniętą na klucz. Sam akt kreacji tego klejnotu zsyłał na nią chwilowy spokój.

Kiedys zabraknie jej cierpliwości. Nie zmusi się do odłożenia planu do szufladki kolekcjonerskiej i zrobi coś nieodwracalnego. Wolą nie sprawdzać w praktyce, w jakim stopniu zaplecze w

postaci researchu robionego na potrzeby powieści kryminalnych umożliwia zbrodnię doskonałą. Może by jej nie złapali, ale musiałyby z tym żyć. I już zawsze pamiętać, że człowiek, którego się pozbyła, zdołał wyciągnąć z niej to, co najgorsze.

Wytarła twarz białym ręcznikiem. Spryskała skórę tonikiem nawilżającym i nałożyła porządny krem z filtrem. Dzień był chłodny i pochmurny, ale widziała kiedyś program edukacyjny o skutkach promieniowania słonecznego na skórę i nie wychodziła z domu bez dobrego filtra. Może dzięki temu wyglądała, jakby parę lat temu przekroczyła trzydziestkę zamiast czterdziestki. Lekka nadwaga też jej służyła, na zaokrąglonej twarzy prawie nie było widać zmarszczek. Agata wystarczająco często widziała swoje zdjęcia wydrukowane w morderczo doskonałej rozdzielczości, by zwracać uwagę na takie rzeczy.

Nie zrobiła makijażu. Cały pobyt w Ustce traktowała jak mały urlop od codzienności i życia, które zostawiła w Warszawie. Tam czuła, że makijaż jest niezbędną maską. Tu wydawał się nadmiarem.

Rozczesała włosy i spięła je w kucyk. Nie było źle. Nikt by się nie domyślił, że jeszcze chwilę temu ryczała w łazience z bezradnej wściekłości.

– Są rzeczy do zrobienia – powiedziała z nową energią.

Choć brzmiało to okropnie, włamanie do domu Niny było dla niej jak manna z nieba. Ona wspierała przyjaciółkę, a jej prawniczka działała, odhaczała kolejne punkty na liście, z których ostatni brzmiał: „wolność dla Agaty Bunc”.

Sama Agata mogła się w tym czasie zająć czymś mniej drastycznym od swojego życia osobistego. Na przykład trupem.

*

Zastała Marię w obszernej kuchni. Starsza pani siedziała przy stole i lepiła pierogi z mięsem, kapustą i grzybami. Zapach w powietrzu był absurdalnie apetyczny, a sądząc po rozmiarach misy z farszem, Maria planowała wykarmić małą armię. Agata chętnie by się do niej zaciągnęła, bo dobre pierogi piechotą nie chodziły. Tyle że miała zupełnie inne zadanie.

– Och, pani Mario, dobrze, że panią znalazłam! – zawołała, przyciągając uwagę gospodyni. – Mam pytanie, prośbę właściwie...

Maria uniosła głowę znad wykrojonych kółeczek z ciasta.

– Słucham, pani Agato. – Uśmiechnęła się życzliwie.

– Chodzi o ekspres do kawy, ten z jadalni... Czy mogłybyśmy go z dziewczynami używać także poza godzinami śniadania? Oczywiście gotowa jestem za to dodatkowo zapłacić, pokryć koszty kawy, będziemy go myć po sobie, by nie robić dodatkowego kłopotu...

Maria cichutko parsknęła. Oczywiście zauważyła, że jej trzy pensjonariuszki otaczają kawę kultem i choć przetrwałyby bez śniadania, to bez kawy doszłoby do szybkiej eskalacji. Doskonale dogadałyby się w tej kwestii z Magdą. Wnuczka Marii należała do tego samego kościoła.

– Oczywiście, to żaden kłopot. Na najbliższy tydzień nie mamy rezerwacji na kolejne pokoje, więc jeśli nie pojawi się nikt bez zapowiedzi, macie panie pensjonat tylko dla siebie. Co oznacza, że spokojnie możecie też korzystać z jadalni poza godzinami śniadania, gdyby to miało pomóc w pisaniu. Rozmawiałam wczoraj chwilę z panią Zuzanną – dodała, widząc zaskoczenie Agaty. – Jej książek akurat nie znam, ale pozycje Agaty Bunc czytałyśmy w naszym klubie książki nie raz, nie dwa. – Uśmiechnęła się szeroko. – Dla mnie są nieco zbyt krwawe, za to moja przyjaciółka Aniela za nimi przepada.

Przez chwilę wpatrywała się w stojącą w progu kobietę. Czuła, że pod szerokim uśmiechem i pewnością siebie kryło się coś jeszcze. Coś, co nauczyła się rozpoznawać u podopiecznych Przystani, nieoficjalnego koła samopomocy, które prowadziła od tak dawna. Lata doświadczeń – własnych i cudzych – sprawiły, że bezbłędnie potrafiła określić, kiedy kobieta potrzebuje wsparcia.

– Coś jeszcze mogę dla pani zrobić? – zapytała Maria i patrzyła z taką intensywnością, że Agacie zrobiło się odrobinę nieswojo. – Wie pani, pani Agato, w miejscu takim jak Wielka Niedźwiedzica można uciec przed wieloma zmartwieniami. Czasami można też choć część z nich rozwiązać, zanim trzeba będzie wrócić do domu.

Agata bezwiednie opadła na krzesło. Skąd...? Jak?!

– Zauważyłam, jak pani reaguje na telefony. Jeśli ktoś pani nie daje spokoju, znęca się lub po prostu zatruwa życie, są sposoby. Mój syn niejednej osobie już pomógł w takich sytuacjach – wyjaśniła Maria.

Ledwie wspomniała syna, Agata wiedziała, że to się nie może udać. Łajdak zniszczyłby poczciwego misia Marka Garstkę i nawet by się nie spocił.

– Dziękuję, poradzę sobie – zapewniła, nie chcąc wchodzić w szczegóły. – Chciałam jeszcze podpytać panią, jako ustczankę, o pewne kwestie, bo może próbuję wyważać otwarte drzwi, a dla każdego miejscowego rozwiązanie jest oczywiste.

Maria skinęła głową i uśmiechnęła się zachęcająco.

– Chodzi o Ninę. Pewnie pani słyszała, że odziedziczyła dom Uklejów. I pewnie też pani wie, że ledwie się wprowadziła, włamał się do niej jakiś idiota, który zaraz raczył się zabić na jej schodach. Co zapoczątkowało całą przepychankę z policją i mnóstwo innych kłopotów...

– Policja chyba już nie podejrzewa Niny, prawda? – Maria nawet na chwilę nie przestała lepić pierogów, ale Agata czuła, że skupia na

niej całą uwagę.

- To już wyjaśnione - zapewniła. - Tyle że wczoraj znów ktoś się tam włamał. Dwa włamania w kilka dni? No przecież to jest absurdalne.

Maria przytaknęła. Nie słyszała o drugim włamaniu, ale nie okazała zaskoczenia.

- Rozumiem, że drugi włamywacz żyje? - O drugim trupie Marek pewnie by jej powiedział.

- Uciekł, nie zostawił śladu. Chyba nawet nic nie ukradł, ale rozbebeszył półki, narobił bałaganu. I dlatego się zastanawiam, czego te łajzy mogły tam szukać? Przyszło mi do głowy, że może krążą jakieś plotki o ukrytych w domu Uklejów pieniądzach czy kosztownościach... Czasem legenda o poniemieckim skarbie działa ludziom na wyobraźnię aż do przesady.

Maria przytaknęła i przez dłuższą chwilę w milczeniu, jak perfekcyjnie naoliwiona maszyna, lepiała pierogi. Wszystkie były dokładnie takiego samego rozmiaru i kształtu i Agata patrzyła na dłonie starszej pani jak zahipnotyzowana.

- Przyznam, pani Agato - powiedziała w końcu Maria - też się nad tym zastanawiałam, odkąd syn mi powiedział o sprawie. Ale nic mi nie przychodziło do głowy. Nie bardzo wiem, skąd miałby się tam znaleźć poniemiecki skarb. Uklejowie byli kaszubską rodziną. Kiedyś całkiem majątną, ale po majątku został tylko dom. Poldek Uklej nie miał głowy do interesów, to, co zostało, roztrwonił, zresztą PRL nie był dla niego łaskawy. A po śmierci żony... cóż, pił. Zmienił się w zgryźliwego odludka, choć nie miał nawet czterdziestki. Nie wydaje mi się wobec tego, że mógłby zostawić po sobie majątek, poza tą chałupą w lesie, ale ona też chyba nie jest w najlepszym stanie.

Agata westchnęła.

- Nina rozmawia właśnie z fachowcem od remontu. Podejrzewam, że chłop będzie miał co robić do lata.

- Jak to w starych domach, zawsze jest coś do zrobienia. Ale... nie wiem, czy się panie nad tym zastanawialiście, w każdym razie jedno nie daje mi spokoju. Bo nawet gdyby krążyły plotki o skarbie w materacu, to dlaczego do włamania doszło akurat w dniu, gdy wprowadziła się Nina? Czemu nie tydzień wcześniej? Czemu nie dwa lata wcześniej? Przecież to jest bez sensu. Dom stał pusty dekadę. Skąd zainteresowanie akurat teraz, gdy pojawiła się lokatorka? - zastanawiała się głośno Maria.

- To są bardzo celne pytania - przyznała Agata.

- Szkoda, że nie znam na nie odpowiedzi.

- Dobre pytanie to już połowa sukcesu - zapewniła najstarsza z Gracji.

WALKIRIA ŚLEDCZA

Agata zostawiła samochód przy pensjonacie. Zawsze lepiej się jej myślało, kiedy chodziła, czasami rozpracowanie problemu fabularnego wymagało całych kilometrów na bieżni. Tak właśnie postanowiła myśleć o usteckim zamieszaniu – jak o fabule do rozgryzienia. Zadanie było trudniejsze niż zwykle, bo zazwyczaj zaczynała od bohaterów i ich motywacji, a tu o czarnym charakterze nie wiedziała niemal nic. Był doświadczonym przestępcą czy przypadkowym idiotą?

Właściwie miała jeden punkt zaczepienia, ale instynkt jej podpowiadał, że punkt ten będzie gwałtownie protestował, zmarszczy brwi jak kudłate miotełki i nastroszy wąs przypominający dwie lisie kity przycupnięte pod nosem.

Im dłużej jednak o tym myślała, maszerując dziarsko usteckimi uliczkami (nawet w zamyśleniu nie umykała jej uroda okolicy), tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że nie ma wyjścia. Musiała przeciągnąć Straszewicza na stronę Gracji. Nie mogło to być aż tak trudne. Miała dwadzieścia lat doświadczenia w kontaktach z policjantami, prokuratorami, technikami kryminalistyki czy urzędnikami sądowymi. I właściwie wszyscy, z nielicznymi tylko wyjątkami, lubili rozmawiać o swojej pracy. Zwykle wystarczało słowo honoru, że jeśli wykorzystata jakąkolwiek informację w książkach o porucznik Zywert, zrobi to w taki sposób, by nie dało się

zidentyfikować źródła. Chroniła swoich informatorów, a oni odwdzięczali jej się soczystymi opowieściami z krypty.

Tu ewidentnie źle zaczęli. Zanim przyjechała, Straszewicz wrogo nastawił Ninę do siebie (zresztą z wzajemnością), co nie świadczyło o nim najlepiej. Bo może i przybył na miejsce zdarzenia w środku nocy, gwałtownie wybudzony ze snu, ale powinno mu wystarczyć pięć minut rozmowy, by zrozumiał, co jest grane.

Agata nie była gotowa go skreślić. Potrafiła wyczuć bylejakość i kunktatorstwo na kilometr, a ani Straszewicz, ani Garstka nie zalatywali jej dyletanctwem. Początki znajomości, fakt, nie były najlepsze, wszystko jednak da się naprawić.

Właśnie dlatego postanowiła odwiedzić komisariat raz jeszcze, zacząć z innej strony. Może powinna przynieść coś na przełamanie lodów? Nie łąpówkę, nie popierała łąpówek, ale coś niewielkiego, ot, drobną ofiarę do złożenia na ołtarzu przyszłej współpracy.

Policjantów, z którymi rozmawiała w przeszłości, łączyły zwykle dwie rzeczy: umiłowanie kawy – najczęściej pitej „na fachowca”, czyli czarnej, bez mleka i cukru – oraz słabość do dobrych słodyczy.

Tak. Kupi sernik. Taki jak ten, który jadły niedawno z dziewczynami. Nawet Straszewicz zmięknie, gdy mu się zacznie w ustach rozplýwać niebiańska serowa słodycz. Istniało wprawdzie ryzyko, że może mieć nietolerancję laktozy, ale czy los byłby aż tak okrutny? Dobra, weźmie też kokosanki, w nich przeważnie nie ma nic z laktozą. Były co prawda, skromnym zdaniem Agaty, cukierniczą abominacją, ale przezorny zawsze ubezpieczony.

Nie pamiętała, gdzie dokładnie mieści się kawiarnia Vincent, do której zaprowadziła je Nina, ale miała dość dobrą orientację w terenie, by skojarzyć, w którą stronę powinna się kierować. Zamiast sprawdzić trasę w mapach Google, postanowiła w ramach treningu

pamięci odtworzyć ją w głowie na podstawie podświadomie zbieranych obrazów.

- O tak! - powiedziała z satysfakcją, bo rozpoznała z daleka niebiesko-biało-zieloną reklamę krówek. Jak nic zawierały laktozę, ale gdy tylko zjadła tę, którą znalazła na szafce nocnej w pensjonacie, nie miała wątpliwości - było warto się mierzyć ze skutkami ubocznymi potencjalnej nietolerancji!

Przyspieszyła i szła energicznie, aż musiała rozsunąć suwak kurtki, bo zrobiło jej się za ciepło. A gdy dotarła do uroczego szachulcowego budynku i zajrzała przez szybę do wnętrza lokalu, już wiedziała: ta runda należy do niej. Los przypomniał sobie, że Agata Bunc jest jego ulubioną córką i zasługuje na małe fory.

Dyskretnie weszła do kawiarni, tak by nie spłoszyć ofiar. Złożyła zamówienie przy ladzie, a gdy kelnerka zapytała, gdzie zamierza siedzieć, wskazała miejsce pod oknem i powiedziała półgłosem:

- Tam gdzie ci panowie.

Podeszła do stolika i przysunęła sobie krzesło, częściowo odcinając policjantom drogę ucieczki. Zresztą nie wydawali się spłoszeni. Na twarzy Marka Garstki odmalowało się rozbawienie, z kolei Straszewicz nastroszył brwi.

- Dzień dobry, właśnie o panach myślałam i oto jesteście. Jeśli to nie jest przeznaczenie, to co? - zagaiła z szerokim uśmiechem, siadając.

- Nagabywanie? - podsunął wąsacz.

Agata westchnęła i oparła dłonie na stoliku.

- Przepraszam. Ewidentnie źle to wszystko zaczęliśmy. Niepotrzebnie zniechęcił pan do siebie Ninę, my musiałyśmy zareagować adekwatnie, wszystko się wyrwało spod kontroli i odwraca uwagę od rzeczy najważniejszej. Czyli przestępców, którzy włamują się do domu mojej przyjaciółki. By rozwikłać tę zagadkę,

jestem gotowa odłożyć na bok wszelkie animozje i nawiązać z panami uczciwą relację dwustronną, opartą na szacunku i współpracy, w imię wyższego dobra.

Włożyła w tę przemowę całe serce i miała nadzieję, że nie będzie musiała się zdobywać na kolejne akty skruchy.

Marek Garstka nagle poczuł potrzebę przeczesania brody, byle ukryć uśmiech wypełzający mu na usta. Zerknął na starszego kolegę, zastanawiając się, jak zareaguje. Ledwie chwilę wcześniej rozmawiali o tym, że fatalnie to wszystko zaczęli i trzeba jakoś wyprostować sytuację.

– Pani Agato – powiedział w końcu Straszewicz – nie mam zupełnie nic przeciwko temu, żebyśmy się nawzajem szanowali i odnosili do siebie z kulturą, ale jedno pozostaje niezmiennie: jesteście panie cywilami. A cywilom nie możemy przekazywać kluczowych dla śledztwa informacji.

Agata pokiwała głową. Zignorowała ostatnie zdanie. Za to pierwsza część wypowiedzi dawała jej pole do popisu.

– Miło mi, że kwalifikuje pan nas jako cywili, a nie podejrzanę – powiedziała.

– Pani nigdy nie była podejrzaną – oburzył się lekko wąsacz.

– Ale Nina owszem, a cień podejrzeń rzucony na Ninę sięgał na tyle daleko, bym i ja się w nim znalazła. Teraz to jednak nieistotne. Panie Eugeniuszu... mogę się tak do pana zwracać?

Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, a ona znów posłała mu swój najbardziej uroczy uśmiech.

– Widzi pan, panie Eugeniuszu, cywilem byłby w tej sprawie ktoś kompletnie w nią niezaangażowany. Moja przyjaciółka przeżyła atak włamywacza. Ktoś po raz kolejny wtargnął do domu, w którym będzie mieszkać nie tylko ona, ale i my z Zuzanną. Nie mamy luksusu pozostania cywilami. To kwestia naszego bezpieczeństwa. I

jestem przekonana, że możemy sobie nawzajem pomóc. Nie docenia nas pan, nie szkodzi, nie może pan wiedzieć, na co nas stać. Ale proszę przyjąć do wiadomości jedno: to, że pośle mnie pan teraz do diabła, nie znaczy, że tam pójde i zostanę. Albo że przestanę rozgryzać tę sprawę, zadawać miliony pytań mieszkańcom Ustki i okolic, sprawdzać pod każdym kamieniem i prosić o pomoc każdego, na dowolnym szczeblu, czy to w policji, czy prokuraturze, kto mógłby mi tej pomocy udzielić. To kwestia bezpieczeństwa dziewczyny, którą traktuję jak młodszą siostrę. Więc od pana zależy tylko to, czy wykorzysta pan nasz potencjał. Czy, gdy się dowiem czegoś przydatnego, przyjdę z tym od razu do pana, czy nie.

Straszewicz słuchał i z każdą chwilą marszczył się bardziej. Gdzieś w połowie tej przemowy zaczął sapać jak lokomotywa.

– Czy pani mi się miesza do śledztwa? – zapytał wreszcie tonem pełnym pretensji.

– A w życiu. Przecież pan teraz nikogo nie śledzi. Siedzimy sobie kulturalnie, rozmawiamy przy kawie, a kelnerka już niesie porcję słodkości, które mogą nieco zmiękczyć pancerz konwenansów.

– Czekolada nie zmieni tego, że regulamin jasno zakazuje takich rzeczy – burknął Straszewicz, ale łakomym okiem zerknął w stronę kelnerki, która faktycznie zmierzała ku ich stolikowi z zastawioną tacą.

– Czekolada... dobra, ale nieco banalna, prawda? Sernik z polewą karmelową to zupełnie inny kaliber perswazji. Proszę mi zaufać. Jadłam go dwa dni temu i na samo wspomnienie ślinka mi cieknie – powiedziała Agata i zdjęła z tacy swoją filiżankę, by ułatwić pracę kelnerce. Ta sprawnie zestawiała na blat sześć talerzyków z trzema gatunkami sernika.

Garstka parsknął cicho. Agata spojrzała na niego z zainteresowaniem. Dotąd wyraźnie oddawał pole negocjacji

Straszewiczowi, ale jeśli sam był otwarty na współpracę, zamierzała skorzystać z tej niewypowiedzianej oferty.

– Widzisz, Straszewicz, jednak cię sernik nie ominie. I nawet nie musisz kłamać żonie, że to nie była twoja decyzja. Właściwie zostałeś do tego sernika zmuszony – powiedział Marek, bez skrępowania sięgając po widelczyk i jeden z talerzyków.

– Są też kokosanki, jeśli cholesterol... – zaczęła Agata, ale Straszewicz burknął:

– Niech pani nawet nie zaczyna, co się już od żony nasłuchałem, to moje. – Po czym sięgnął po porcję sernika na zimno z malinową galaretką.

Jego matka robiła taki od święta i zawsze przeżywał wówczas małą ekstazę. Czasy się zmieniły i ludzie jedli sernik nawet bez okazji, ale dla niego zawsze był to smak dzieciństwa. Zjadł dwa kęsy, powolutku, pozwalając galaretkę i puszystej masie rozpląnąć się w ustach, a potem powiedział:

– Czytałem pani książki. Dwie. Moja żona ma na półce chyba wszystkie. Jest fanka.

– To miło. Mogę podpisać egzemplarze, jeśli przyniesie je pan na nasze kolejne spotkanie – powiedziała z niewinnym uśmiechem.

Garstka prawie zakrztusił się sernikiem. Straszewicz tylko zgromił go spojrzeniem i westchnął.

– Opowiadała mi o pani co nieco. Podobno jest pani uparta jak osioł, choć to akurat widać od razu. Powiedziała mi też, że w książkach nie robi pani z policjantów idiotów, chyba że zasłużyli. I że jeśli coś panią zainteresuje, zgłębia pani temat wprost obsesyjnie...

– Bystra kobieta – przyznała Agata.

Straszewicz znów westchnął ciężko.

– Jeśli cokolwiek pani powiem, zostaje to między nami – zastrzegł.

- Nie ręczę, że nie wspomnę o tym Ninie i Zuzie. Ma nas pan w pakiecie. Ale o ich dyskrecje również nie musi się pan obawiać.

Kiwnął głową.

- Chodzi mi o wrzucanie na socjale, o wywiady, artykuły, nawiązania w książkach... przynajmniej dopóki sprawa nie zostanie definitywnie zamknięta. Nie pozwolę, by pani mi storpedowała śledztwo albo proces, rozumiano?

- Absolutnie rozsądne oczekiwanie i mogę złożyć taką obietnicę z całą solennością - zapewniła.

- I jeśli cokolwiek pani wykopie, natychmiast przyjdzie z tym pani do mnie. Żadnego śledzenia podejrzanych, obywatelskiego aresztowania czy innych głupot!

- Mogę panu obiecać, że zadzwonimy do pana, kiedy pojawi się choćby cień zagrożenia - powiedziała dobitnie.

- Nic lepszego pewnie nie dostanę. Ale mówię poważnie, pani Agato. Nie mam ochoty potem tłumaczyć dziennikarzom, czemu znana pisarka straciła w Ustce życie. Co ważniejsze, nie chcę tego tłumaczyć mojej żonie. Ona czeka na kolejny tom Zywert i byłaby zrozpaczona, gdyby miała go nie dostać.

Agata posłała mu promienny uśmiech.

- Zdradzę panu, że kolejna Zywert jest już napisana. I mogę wysłać panu żonie egzemplarz recenzencki jeszcze przed oficjalną premierą.

Straszewicz jęknął.

- Jeśli powiem żonie, że padła taka oferta, a ja ją odrzuciłem, to będę miał kanapki na obiad przez tydzień, albo i dwa.

- Wyślę jej książkę, a panu postawię obiad, kiedy żona będzie czytać i zapomni o gotowaniu - zaproponowała.

- Jest pani niebezpieczną kobietą, pani Agato.

- Dziękuję.

- To wcale nie był komplement.

- W moim wieku? Zawsze lepiej być kobietą niebezpieczną niż nudną.

- Pani mnie niepokoi - przyznał niechętnie. - Panie w tercecie niepokoją mnie nawet bardziej. Macie taką... niesubordynowaną energię, chaotyczną, nie wiadomo, czego się po paniach spodziewać.

- Obiecuję, że nie wybuchniemy panu w twarz. Gramy w tej samej drużynie.

- Och, nie przesadzajmy. My jesteśmy na boisku, panie siedzą na trybunach - zaprotestował.

- Jeśli dzięki temu będzie pan spał lepiej... - zgodziła się łagodnie.

Znów jęknął, ale tym razem nic nie odpowiedział. Jadł kąsek po kąsku sernik z malinową galaretką i zastanawiał się, czy gdyby nie jego doświadczenia z bratanicą Garstki, tym miniaturowym magnesem na kłopoty, to czy inaczej rozmawiałby teraz z Agatą Bunc. Czy gdyby nie pamiętał, jak wyglądała tamta, poobijana i nieprzytomna, w szpitalnej sali, to teraz reagowałby tak samo? Nauczył się wtedy czegoś. Jeśli takie osóbki wbijają sobie coś do głowy, to koniec, przepadło. Można było tylko minimalizować siłę uderzenia.

Położył przed Agatą teczkę. Cieniutką i skromną, ale było tam wszystko, co mieli. Europol wreszcie odesłał raport dotyczący odcisków palców włamywacza, wiedzieli już, kim był, niewiele to jednak zmieniało i pytań nadal pozostawało więcej niż odpowiedzi.

Agata szybko przeczytała dwie strony suchego raportu. Przystępne CV. Wypis z postępowań, aresztowań, odsiadki w szwedzkim i litewskim więzieniu. Czterdziestojednoletni obywatel Litwy, Maras Stankevičius, nie próżnował w życiu, ale też nie spędził chyba jednego dnia na uczciwej pracy. Był zamieszany w przemyt

narkotyków, papierosów i alkoholu, a najdłuższy wyrok, w Szwecji, odsiedział za przemyt szczeniaków z pseudohodowli.

- Jezu, nie wiedziałam, że ktoś przemyca pieski – powiedziała cicho Agata. Ruszyło ją to bardziej, niż się spodziewała.

- Policja znalazła trzydzieści cztery szczeniaki na pokładzie kutra, którym rzekomo płynął na połów śledzi. Poza sezonem. Nie jest zbyt bystry – powiedział Garstka.

Agata patrzyła na zdjęcie policyjne Stankievičiusa. Wyglądał... przerażająco. Mogła sobie wyobrazić, jak zareagowała Nina, widząc go w opuszczonym, ciemnym domu.

- Był pod wpływem – dodał Garstka, jakby czytał w jej myślach. – Na pełny raport z sekcji jeszcze czekamy, ale wstępny już jest. Solidny promil, ślady THC i czegoś jeszcze, co nie wyszło na podstawowym raporcie toksykologicznym, ale sprawdzamy dalej.

Agata przymknęła powieki. Biedna Nina, to musiało być jeszcze bardziej przerażające, niż mówiła. Gdyby nie zawaliły się te cholerne schody, czy dożyłaby do rana...?

- Nie widzę wyroków za gwałt czy handel ludźmi – powiedziała. – Zastanawialiśmy się, czy dlatego wtargnął do Niny. Wie pan, samotna dziewczyna w pustym domu.

Zaskoczył ją spokój we własnym głosie, mocnym i czystym, mimo splątanego węzła emocji, który czuła pod mostkiem.

- Grupa przestępcza, z którą był powiązany, macza palce w przemycie młodych kobiet z Europy Wschodniej na Zachód i Północ. Nie ma dowodów, że też się tym trudnił, ale nie można tego wykluczyć – przyznał Garstka.

- A ten drugi? Wiemy, czy to jego ziomek? Udało się zebrać jakieś odciski palców? – zapytała.

- Tylko częściowe. Myślę, że przez większość czasu miał rękawiczki. Sprawdzamy kilka tropów – powiedział Marek.

- Sprawdziliście wążek klucza? – zapytała nagle.
- To znaczy? – zainteresował się Straszewicz.
- Maras Stankevičius miał klucz. Skąd? Nie dostał go od Niny ani od prawnika. Pytaliście tego Wojaczka, o którym wspominał mecenas Pilch?

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

- Sprawdzamy kilka tropów – powiedział wymijająco Straszewicz.
- Znakomicie, sprawdzajcie troszkę szybciej, co? A ja się zastanowię, czemu włamali się akurat teraz.
- A kiedy mieli się włamać? – zainteresował się Straszewicz.
- Cóż, może kiedy nie było tam Niny? Przecież nie dostali klucza tego samego dnia co ona.

Znów dyskretna wymiana spojrzeń.

- Nie ma żadnej gwarancji, że oba włamania są powiązane – powiedział sucho Straszewicz.

Agata przewróciła oczami i wbiła wzrok w sierżanta sztabowego. Ten, jakby uchylając się przed ostrzem jej sarkazmu, dodał szybko:

- Pani Agato, nie możemy w tej chwili wyciągać wniosków.
- Oczywiście, oczywiście – przyznała litościwie. – A co z trupem ze schowka? – zapytała, korzystając z tego, że policjanci zrobili się rozmowni.

- Nie ma o czym mówić, żadnego trupa nie znaleziono – powiedział stanowczo Straszewicz.

- Czekamy na wyniki z laboratorium – dodał Garstka. – Ale sierżant sztabowy mówi prawdę, tam nie było trupa.

- Jeśli nie tam, to w takim razie gdzie? – zapytała Agata.

Żaden nie połknął haczyka. Postanowiła nie drażnić. Stary trup raczej nie zagrażał już Ninie.

Wyciągnęła z torebki swoje wizytówki i podała po jednej każdemu z policjantów.

- Teraz mają panowie mój numer, gdyby był potrzebny - uśmiechnęła się zachęcająco. Wyjęła komórkę i wpisała do książki adresowej nazwisko Straszewicza.

- Pana numer, panie Eugeniuszu? Od razu sobie wpiszę - rzuciła, a jemu drgnęły wąsy. Mimo to spełnił jej prośbę.

Wstukala cyfry i zapisała je w pamięci urządzenia oraz w chmurze. Tak na wszelki wypadek.

Dodała jeszcze numer Garstki i dbając, by jej ton pozostał lekki i niezobowiązujący, zadała kolejne pytanie:

- Pozwolą panowie, że strzelę fotki tym papierom i zdjęciu włamywacza?

- Proszę. - Straszewicz westchnął zrezygnowany i machnął teczką.

- Ale jeśli złamie pani naszą umowę...

- Nigdy się nie dowiemy, co by pan wtedy zrobił, bo do tego nie dojdzie - zapewniła.

Dopiero teraz zauważyła ikonkę nieodebranego połączenia. A właściwie ośmiu. I tym razem nie z warszawskich numerów.

Szybko oddzwoniła do Niny.

- Przepraszam, kochana, miałam wyciszony dzwonek, coś się stało? - zapytała, gdy tylko usłyszała głos przyjaciółki.

- Nic, fałszywy alarm. Dzwoniłam z prośbą o podwózkę, ale już sobie poradziłam.

- Chyba nie idziesz sama tą pustą drogą przez las? - zaniepokoiła się Agata.

- Spokojnie, strażak mnie podrzuca. Właśnie się bawię z jego psem. Jest ucieleśnieniem słodczy.

Agata spojrzała na swoich towarzyszy przy stoliku. Cóż, żadnego z nich nie określiłaby w ten sposób, ale okazali się całkiem użyteczni.

- Do zobaczenia w pensjonacie, będę za jakieś pół godziny - powiedziała jeszcze Nina.

– Świetnie, do zobaczenia.

Miała nowiny do przekazania. I coś czuła w kościach, że Nina również, choć niekoniecznie dotyczące śledztwa.

*

– Jest trochę przerażająca – zauważył Marek, gdy spoglądali przez okno na Agatę Bunc, idącą chodnikiem z energią kobiety, która doskonale wie, czego chce i dokąd zmierza.

– Trochę? Walkiria! Aż się dziwię, że kiedy tak kroczy, nie rozlegają się dźwięki *Marszu Imperialnego* albo Wagnera – burknął sierżant sztabowy.

– Ale jest bystra.

– Czemu baby nie zostawia śledztwa w rękach profesjonalistów? – marudził Straszewicz.

Marek parsknął śmiechem.

– Dobra, cofam to, bo brzmię jak skamielina. Nadal masz je na oku? – zapytał sierżant sztabowy.

– Na tyle, na ile to możliwe.

Cóż, lepsze to niż nic, pomyślał Straszewicz. I na pewno podsunie jej książkę z prośbą o autograf. Będzie miał prezent urodzinowy dla żony, że mucha nie siada.

CO DWA PSY, TO NIE JEDEN

Nina krążyła po ścieżce przed domem z telefonem przyklejonym do ucha. Wybrała numer Agaty po raz nie wiadomo który, ale znów odpowiedział jej tylko komunikat o abonencie poza zasięgiem. Niepokoila się. Nagrała się na pocztę głosową, choć była prawie pewna, że przyjaciółka nie ma w zwyczaju jej odsłuchiwać.

Umawiały się, że gdy skończą rekonesans w domu, zadzwoni, a Agata po nią przyjedzie. Pewnie dałaby radę wrócić pieszo, ale zajęłoby jej to dobrą godzinę. No i była ubrana dość ciepło na wędrowkę...

– Wszystko w porządku? – zapytał Robert.

– Tak, chyba... Mam nadzieję – odpowiedziała i wybrała numer drugiej przyjaciółki.

Zuza pisała, więc jak zwykle miała wyciszony telefon, ale widać wibracje wystarczyły, by ją wyrwać z transu – co samo w sobie wpędzało Ninę w poczucie winy.

– Hej, nie mogę się dodzwonić do Agaty – powiedziała na powitanie.

– Nie ma jej w pensjonacie, sprawdzałam parę minut temu, bo myślałam, że przyniosła coś do jedzenia i colę – odparła Zuza.

– Ja przyniosę, kiedy tylko wrócę do Ustki.

– Bosko. Jeśli załatwisz też coś z kofeiną, ozłocę cię. Mój mózg zaczął ignorować kawę i chce kofeiny z bąbelkami.

- Jasne. Gdyby Agata się pojawiła, daj jej znać, że dzwoniłam, okej? Może wyłączyła komórkę przez przypadek.

Schowała telefon do kieszeni kurtki.

- Potrzebujesz podwózki do miasta? - zapytał Robert, otwierając drzwi furgonetki.

- Jeśli to nie problem, chętnie - przyznała Nina.

- Żaden. Ale muszę się po drodze zatrzymać u siebie. Wypuścić psy na siku, zabrać rzeczy i drugie śniadanie do roboty. To niedaleko, więc zajmie góra kwadrans. I poznasz Dolly Parton - dodał, jakby to miało przesądzać sprawę.

Może rzeczywiście tak było.

Nina obesła furgonetkę i wskoczyła na fotel pasażera. Od razu zauważyła, jak dużo ma miejsca na nogi.

- Parkowanie takim autem musi być naprawdę upierdliwe, inaczej wszyscy jeździliby furgonetkami - powiedziała rozbawiona.

- Parkowanie może nie jest proste, ale kiedy potrzebujesz przewieźć deski, rury czy kanapę, nie zamieniłabyś go na nic innego - odpowiedział Robert i poklepał kierownicę.

- Dobra, musisz mi powiedzieć, o co chodzi z Dolly Parton - odezwała się, kiedy opuszczali podjazd.

- No nie wiem, chyba pozwolę ci samej odkryć jej urok. Pierwsze wrażenie i tak dalej.

Uśmiechał się pod nosem, jakby już się szykował na jej reakcję.

- Powiedz mi, Robercie, jesteś bardziej strażakiem, który remontuje domy, czy fachowcem od remontów, który gasi też pożary? - zapytała po chwili przyjemnie naturalnego milczenia.

- Jedno i drugie. Fachowcem jestem, odkąd pamiętam. Miałem pięć czy sześć lat, a już podawałem tacie albo dziadkowi śrubokręt i klucz nasadowy. Całe dzieciństwo spędziliśmy z bratem na budowach. Ale kiedy jako nastolatek kładłem szpachlówkę, marzyło

mi się, że zostanę strażakiem. Nie uważałem zresztą, że muszę wybierać. No i remonty będę robić dłużej niż gasić pożary, bo żeby machać pędzlem, nie trzeba zdawać wymagającego testu sprawnościowego. Mój dziadek kładł ludziom kafelki grubo po siedemdziesiątce. Gdyby nie zawał, pewnie robiłby to nadal, bo zwyczajnie lubił swoją robotę i nie myślał o emeryturze. – Na chwilę umilkł, a potem parsknął pod nosem. – Czy to było pytanie z gatunku tych, na które odpowiada się najwyżej jednym zdaniem?

– Nie, dlaczego? To ciekawe. Lula... no, moja była pracodawczyni zawsze powtarzała, że jeśli masz szczęście, znajdziesz pasję, z której się utrzymasz i dzięki której nie będziesz chciał robić sobie wolnego – powiedziała cicho.

– A ty, Nino, znalazłaś taką pasję? – zapytał.

Zaczerwieniła się i uciekła spojrzeniem w stronę okna.

– To skomplikowane – przyznała. – Przez ostatnie lata pracowałam jako opiekunka osoby starszej. Nie wiem, czy spędziłabym w tym fachu aż tyle lat, gdybym niemal od razu nie trafiła na Lulę. Była wspaniałą pracodawczynią, ale też przyjaciółką i... – zawahała się. – Była dla mnie rodziną. Nie jestem pewna, czy chciałabym pozostać w tym zawodzie.

– No nie jest to lekki kawałek chleba – przyznał Robert. – A im lepiej trafisz z klientem, tym trudniej znosisz to, że ta robota ma konkretną... metę, jak by nie patrzeć.

Nina spojrzała na niego z uwagą. Rzadko ktoś od razu rozumiał, co jest w tej pracy najtrudniejsze. Sama nie umiałaby tego tak dobrze wyjaśnić.

– Może nadszedł czas, by spróbować czegoś nowego? – powiedział lekko.

– Tak właśnie myślę... Ja... – znów się zawahała. Zazwyczaj o tym nie mówiła, wiedziały tylko Gracje i Lula, ale miała ochotę

powiedzieć to na głos i wydawało jej się, że akurat Robert może ją zrozumieć. – Napisałam jakiś czas temu powieść, rozesłałam ją do wydawców. Piszę kolejną. Lula chciała, bym wykorzystała ten dom i czas, który mi podarowała, by postawić wszystko na jedną kartę.

– Podarowała ci przywilej. Grzechem byłoby z niego nie skorzystać – odparł łagodnie, jakby wyczuł, że mówienie o tym wcale nie przychodzi jej łatwo. – Co piszesz?

– W sumie jeszcze nie jestem gotowa, by się określić. Pierwsza powieść jest obyczajówką, dosyć romantyczną. Teraz piszę coś bardziej... na pewno nie tak krwawego jak książki Agaty, ale wątek kryminalny jest na pierwszym planie. Pewnie niezbyt to mądre, bo jeśli ktoś zdecyduje się wydać debiut, może oczekiwać, że kolejne moje rzeczy będą takie same, ale... czasami historia przykleja się do człowieka i gatunek jest na drugim planie – wytłumaczyła.

– Może to jak ze sportem? Warto się sprawdzić w kilku dyscyplinach, zanim się człowiek zdecyduje na jedną. A może nie zawsze trzeba wybierać? Skoro ja mogę być strażakiem, który remontuje domy, ty możesz być autorką, która pisze różne rzeczy. Najwyżej wymyślisz sobie pseudonim dla każdego z gatunków. Tak się chyba robi, prawda?

Nina natychmiast pomyślała o Zuzie, dźwigającej na swoich barkach Lilianę Mist i Reginę Lux tak długo, że przestała być po prostu Zuzanną Lewicką.

– Zobaczymy, jak to się poukłada – powiedziała ostrożnie. – No wiesz, czy w ogóle ktokolwiek zechce wydać moją pierwszą powieść, nie mówiąc o kolejnych.

– Czemu mieliby nie chcieć? Niby mało kto czyta, ale przecież ciągle pojawiają się na rynku nowe nazwiska. Chyba nigdy nie skończy się poszukiwanie świeżych głosów.

– Coś w tym jest – przyznała.

Nie próbował jej zapewniać, że na pewno odniesie sukces, co bardzo się jej spodobało. Nie czytał książki, nie wiedział, czy Nina nie jest czasem skończoną grafomanką. A jednak znalazł szczerzy i skuteczny sposób, by podnieść ją na duchu.

Tymczasem zaparkowali przed ładnym domem w stylu skandynawskim, z dużymi przeszkleniami i klinkierową cegłą, będącym współczesną wariacją na temat domu szachulcowego. Wyglądał na całkiem nowy, nawet drzewka przy podjeździe liczyły nie więcej niż dwa, może trzy lata. Obok stały inne, podobne domy – niektóre już wykończone i zamieszkane, inne w trakcie budowy.

– Zapraszamy w skromne progi Casa de Janta – powiedział radośnie Robert, a Nina wychwyciła dumę w jego głosie.

– Wygląda fantastycznie – przyznała. – Szczególnie podoba mi się to, jak bardzo nie wymaga remontu.

Zaśmiał się.

– Jeszcze jesienią wykańczaliśmy środek. Teraz jest już z grubsza na finiszu. Chyba że Mati znowu coś wymyśli, uzna, że do szczęścia potrzebuje patio czy oranżerii, czy cholera wie, czego jeszcze. Lubi stan permanentnego chaosu, który zwykł nazywać rozwojem – powiedział, wysiadając z furgonetki.

Nina także wyskoczyła z samochodu. Robert otworzył przed nią furtkę i wpuścił na zadbany podjazd.

– Musicie się lubić, skoro nadal chcecie mieszkać razem – powiedziała. – Nie każde rodzeństwo miałoby na to ochotę.

– Zawsze trzymaliśmy się blisko. To mój mały braciszek. Czasem upierdliwy, ale w ostatecznym rozrachunku niezgorszy z niego współlokator.

– Nie korciło cię, by pomieszkać samemu? – zapytała.

Pokręcił głową.

- Jestem istotą społeczną, nie umiałbym wracać do pustego domu. Mateusz podobnie. Więc gdy po trzydziestce mieszkanie z rodzicami trąciło obciachem, kupiliśmy Casa de Janta na spółkę.

Nim Nina zdążyła jakkolwiek to skomentować, usłyszała szczekanie i przeciągłe wycie, które brzmiało...

- O cholera - wykrztusiła.

- Prawda? Od razu się kojarzy - powiedział, przekręcając klucz w zamku.

Wycie dobiegające ze środka nie słabło. I brzmiało jak psia wersja hitu *I Will Always Love You*.

- Niby mogła dostać na imię Whitney, ale... zresztą zaraz zobaczysz...

Ledwie to powiedział i nacisnął klamkę, z domu wypadła blond miotełka do kurzu, samo futro, czarne oczka, nos i niespożyta energia. Obskakiwała entuzjastycznie łydki Roberta, wydając z siebie mnóstwo radosnego sapania.

Fąfel, który wyszedł za nią, przyglądał się temu z anielską cierpliwością. A gdy Nina wyciągnęła rękę, by go pogłaskać, wtulił nos w jej dłoń.

- Mateusz uczy ją teraz Jolene - powiedział Robert, puszczając Ninę przodem.

- Żartujesz! - Roześmiała się, nie przestając głaskać Fąfla.

Blond miotełka do kurzu potruchtała do miski i wymownie trąciła ją nosem.

- Skąd. Uznał, że skoro ma wrodzony talent, nie powinna poprzestawać na małym. To jego suczka. Fąfel jest mój. I myślę, że jego szlachetny stoicyzm w kontraście do jej... osobowości stawia mnie w doskonałym świetle - dodał.

- Czy poprzednią właścicielką Fąfla nie była czasem jakaś starsza pani rozmiłowana w pudlach? - zapytała Nina z niewinną minką.

Robert westchnął ciężko.

– Masz za dobrą pamięć. Trudniej zrobić znakomite wrażenie.

Mogła mu powiedzieć, że wrażeniem martwić się nie musi, bo kosztuje ją całkiem sporo wysiłku, by się tu nie rozpląwać w zachwytach, ale milczała, udając, że całą jej uwagę pochłania domagający się pieśczoć Fąfel.

Nagle rozdzwoniła się jej komórka. Zerknęła na wyświetlacz: Agata. Odetchnęła z ulgą. Odebrała i uspokoiła przyjaciółkę.

Robert wypuścił psy na podwórko, a potem zniknął w głębi domu. Wrócił z czarną torbą, do której wpakował termos i bambusowy pojemnik na drugie śniadanie. Psy czekały już przy drzwiach tarasowych, z nosami przy szybie. Robert wpuścił je i nałożył porcyjkę smaczków do miski Dolly, a Fąflowi przypiął smycz.

– Dobra, możemy jechać – oświadczył.

– Nie będzie jej smutno samej w domu? – zapytała. – Nie możesz zabrać jej razem z Fąflem?

– Niestety, jest na wojennej ścieżce z kotem z remizy. Dwa razy spuścił jej łomot, a ona nie potrafi się pogodzić z tak ustawioną hierarchią stada. Za trzy godziny Mateusz kończy pracę i wróci do niej w podskokach. Zresztą ten pies jest taką żywiołową kulką, tylko jeśli akurat nie śpi, a śpi dobre osiemnaście godzin na dobę.

W furgonetce Fąfel ułożył się na tylnym siedzeniu tak, że sięgał głową do ramienia Niny. Oparł pysk w zagłębieniu jej szyi i sapnął z lubością.

– Zawsze chciałam mieć psa – powiedziała dziewczyna, mizijając kudłate uszy Fąfla.

– Nie miałaś, nawet jako dziecko? – zapytał Robert, wyraźnie zaskoczony, jakby każde dziecko w tym kraju po ukończeniu trzech lat dostawało przydziałowego psa.

– Nie składało się – odparła wymijająco.

- A teraz? W końcu masz wielki dom w lesie i adopcja psiaka może być świetnym pomysłem... dla ciebie i dla niego.

- Możesz mieć rację - powiedziała cicho.

Bo właściwie dlaczego nie?

NAJGORSZA NAJLEPSZA RZECZ, JAKA MOGŁA SIĘ ZDARZYĆ

Agata wpadła do pensjonatu jak burza, z torbami z jedzeniem, rozwianym włosiem i zaczerwienionymi od emocji policzkami. Pomachała młodej Garstce, która siedziała za kontuarem recepcji, i wbiegła po schodach na piętro.

Zastukała do Zuzy. Odpowiedziało jej donośne:

– Wchodź i się tłumacz!

Agata wsadziła głowę do środka.

– Z czego mam się tłumaczyć? – zapytała ostrożnie. O czymś zapomniała? Cholera, miała dostarczyć Zuzie kofeinę z bąbelkami! – Zaraz skoczę po colę, ale mam jedzenie. – Pomachała torbą z sałatkami.

Zuza siedziała po turecku na łóżku, przed laptopem na składanym stoliku. Ubrała się w szlafrok w delikatny kwiatowy wzorek, z koronkowymi falbanami przy rękawach. Znak, że pisała książkę Liliany, jakiś zwiewny romans osadzony w epoce napoleońskiej, z wiotkim, acz charakternym dziewczęciem na granicy staropanieństwa, któremu w zdobyciu partii przeszkadza niewyparzony język i skromny posąg. Obie te rzeczy nie będą wkrótce miały znaczenia dla księcia, hrabiego czy kogo jej tam Liliana przeznaczy. Ledwie spojrzy na nią w tłumie mdłych debiutantek, a zrozumie, że do szczęścia potrzebuje tylko jej. Panna i

jej rodzina szybko przymkną oko na jego nie najlepszą, choć tylko częściowo zasłużoną reputację.

Agata odetchnęła. Zuza pisząca jako Liliana była łagodniejsza i mniej skłonna do wybuchów, które prowokowała u niej Regina. Pewnie dlatego, że opisywanie balu debutantek nie wytrącało jej z równowagi tak jak dawka uderzeniowa „nieanatomicznego tarcia”, jak określała sceny erotyczne, dzięki którym książki Lux sprzedawały się jak świeże bułeczki. Jako Regina Lux Zuzka pisała zwykle w czarnym kombinezonie z lejącego się jedwabiu, wygrzebanym kiedyś w markowym outlecie, bo, jak twierdziła, wyciągał z niej sukowatą Alexis, pasującą do Reginy jak ulał.

Tym razem przez Lilianę musiało przesiąkać nieco Reginy, albo po prostu Zuzka była na Agatę wkurzona, bo z furkotem koronkowych rękawów wzięła się pod boki i zapytała groźnie:

- Co to za wyłączanie komórki? Już chciałyśmy z Niną szukać komandosów, żeby cię odbili z miejscowego aresztu.

- Miałam małe spotkanie na szczycie, opowiem później. Wystawiłam Ninę, ale chyba jej to wyszło na dobre, bo właśnie się socjalizuje ze swoim strażako-fachmanem. Więc może zasłużyłam na dyspensę? – zapytała Agata, uśmiechając się przymilnie.

- Może. – Zuza podrapała się po nosie. – Co masz do jedzenia? Głodna jestem. – Zerknęła na zegarek. – Ja pierdołę, ale późno. Siedzę zgięta od ośmiu godzin i dziwię się, że mi kiszki marsza grają.

Zamknęła pliki, uśpiła laptop i podłączyła go do ładowania. Sporo dziś napisała. Jeśli resztę tygodnia miałyby równie dobrą jak miniony dzień, zamknie tę książkę szybciej, niż ją zamknę w psychiatryku. Co bez wątpienia kiedyś nastąpi, jeśli zawiesi się gdzieś między Lilianą, Reginą a Zuzką i do reszty zapomni, kim właściwie jest.

Wstała z łóżka i prawie upadła. Nogi miała kompletnie zdrętwiałe, kręgosłup rwał jak wściekły. A pęcherz nagle przypomniał sobie o swojej ograniczonej pojemności.

- Daj mi dziesięć minut, przebiorę się w cywilne ciuchy i przypomnę sobie, że jestem żywym człowiekiem, a nie fantazją Krzysia Zdzisia – powiedziała, wykonując głęboki skłon, aż dotknęła palcami podłogi. Pogłębiła go, położyła na wykładzinie całe dłonie, a w plecach coś jej strzeliło z przynoszącym ulgę pyknięciem.

- Nastawię wodę na herbatę – zaproponowała Agata.

- Nie mogę cię wielbić bardziej, nie przeginaj – zażądała Zuza i wpadła do łazienki.

Jeszcze tydzień, myślała. Złoży tydzień na ołtarzu Lilianny i wejdzie w buty Reginy. A potem... ciągle bała się powiedzieć to głośno, ale chyba była gotowa na zmianę.

Przebrała się w swój ulubiony kremowo-błękitny sweter o strukturze mięsistych warkoczy i powycierane džinsy z gatunku tych, w których elastanu było dość, by wygodą dorównywały spodniom od piżamy. Była zmęczona, własna głowa wydawała jej się kompletnie pusta po przelaniu na klawiaturę wszystkich słów. Musiała coś zjeść i zrobić te wszystkie małe rzeczy, które na powrót osadziłyby ją we własnym ciele i we własnej głowie: przebrać się, opróżnić pęcherz, trochę porozciągać. Normalnie otworzyłaby też komunikator i napisała do dziewczyn, przegadałyby godzinę i znów poczułaby się bardziej Zuzką. Dziś jednak wystarczyło, że przeszła przez wąski korytarz do pokoju naprzeciwko.

- Okropnie się z tym czuję, ale niewykluczone, że ten włamywacz oddał mi przysługę. Gdyby nie on, siedziałabym teraz w Bytomiu i pewnie płakała w poduszkę – powiedziała parę minut później, siadając po turecku na łóżku Agaty.

- Też dziś o tym myślałam - odparła przyjaciółka, zalewając herbatę w wielkich kubkach.

Nie ustalały tego między sobą, ale najwyraźniej każda z nich wozila ze sobą prawie litrowy kubek termiczny. Można powiedzieć - część niezbędnika pisarki.

- Nina wysłała SMS, że jest już w drodze i kupi ci bąbelki - powiedziała Agata.

- Niech ją muzy błogosławią. Wprawdzie jeszcze trochę i zaczną słyszeć kolory, ale przynajmniej piszę. A ty? Długo jeszcze wytrzymasz, zanim zaczniesz coś nowego? - zapytała.

- Nie wkurzaj mnie, mam urlop! - odparła dobitnie Agata. Ale po chwili przyznała: - Albo kompletnie zaangażuję się w tę sprawę, albo zacznę kombinować, co może spotkać Zywert w Ustce.

- Trzymaj się i bądź dzielna. Jeśli potrzebujesz jakiegoś trupa, by w pełni wykorzystać wolne, tylko powiedz. Zaproszę Krzysia Zdzisia i upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu.

Rozmawiały chwilę o tym, na jakim etapie książki jest Zuza i jakie wedle jej rozpiski jest prawdopodobieństwo ukończenia powieści przed upływem deadline'u, gdy usłyszały tupanie na korytarzu. Po chwili do pokoju wpadła Nina. Gdyby była heroiną Liliany Mist, autorka bez wątpienia wspomniałaby o zarumienionych policzkach i oczach rozświetlonych uczuciem. Regina Lux zwróciłaby raczej uwagę na potargane włosy i szeroki uśmiech, zdradzający, że ktoś tu miał dziś więcej szczęścia w sprawach damsko-męskich niż Zuzanna przez ostatnie półtora roku.

- Faktycznie, fach w rękach - zażartowała Zuza. - Ma może brata?

- A żebyś wiedziała. Tylko nie wiem, czy dorasta mu do pięt, dopiero go poznam. Ma suczkę, którą nazwał Dolly Parton i która potrafi wyć I Will Always Love You - odpowiedziała Nina, szczerząc się szeroko.

Zuza z miejsca straciła nadzieję na owocną znajomość z bratem fachowca. Spotkała w życiu wielu mężczyzn, którzy kochali Dolly miłością totalną, i ani jeden nie grał w drużynie hetero. Może był to przypadek, ale Zuza ufała statystyce.

- Wolalabym Jolene – powiedziała żartem.

- Ponoć właśnie uczy ją tej piosenki – odparła Nina z powagą.

- Możemy dalej rozmawiać o psach albo zmienić temat i pogadać o moim małym tête-à-tête z miejscowymi stróżami prawa – zaproponowała Agata. – Nie mam wiele czasu, bo umówiłam się na kolację z informatorem – dodała i uniosła ręce nad głowę niczym zwycięski olimpijczyk.

- Uuuu! Agata Bunc w formie! – zawołała Nina.

- Agata Bunc na tropie! – dorzuciła Zuza, wznosząc kubek.

- Dobra, słuchajcie, co ustaliłam...

Agata streściła im rozmowę ze Straszewiczem i z Garstką, pokazała też zdjęcia akt dotyczących włamywacza numer jeden, który teraz miał już imię: Maras.

- Nadal nie wierzę, że tak po prostu z tobą rozmawiają i dają dostęp do wyników śledztwa. – Nina pokręciła głową. – Na mnie Straszewicz warczał jak lis ze wścieklizną na miskę z wodą, aż mu piana szła...

- Suma zdarzeń – wyjaśniła Agata. – Po pierwsze, mam vibe, który działa kojąco na przedstawicieli prawa, testowany na najróżniejszych egzemplarzach. Po drugie, jego żona jest fanką. To zawsze zmiękcza skorupkę, zwłaszcza jeśli policjant jest naprawdę przyzwoitym mężem.

- Po prostu jesteś kocimiętką na mundurowych. Teraz zupełnie inaczej patrzę na tego gościa, który nas zatrzymał na kontrolę za Bydgoszczą.

- Miałam trójkąt, gaśnicę z homologacją i apteczkę, jechałam zgodnie z przepisami, nie musiałam nikogo czarować – zaprotestowała Agata.

- Ale o autograf na bloczku mandatowym poprosił – przypomniała Zuza.

Agata parsknęła.

- Wiedziałam, że ten wywiad do „Stołecznego Magazynu Policyjnego” to był strzał w dziesiątkę. Chyba w żadnej grupie zawodowej moja rozpoznawalność nie jest tak wysoka.

- Kim jest twój informator? – zapytała Nina.

- Pamiętasz tego technika, Mikołaja? Dzwonił. On i jego żona chętnie by zjedli ze mną kolację. Ma już wyniki badań i obiecał mi je pokazać. – Wyszczrzyła się w uśmiechu.

- Czarownica! – skwitowała Nina.

A Zuza sprostowała:

- Wiedźma! To musi być wrodzone, nie wyuczone!

*

Kilka godzin później Agata, w czarnych džinsach, koszuli i eleganckim blezerze, szła na spotkanie. Zuza i Nina zostały w swoich pokojach. Uchyliły drzwi, korzystając z tego, że poza nimi nadal nie było w pensjonacie żadnych gości.

I pisały. Dźwięk stukania w klawisze dobiegający z sąsiedniego pokoju napędzał każdą z nich i motywował lepiej niż wszelkie „pomodoro” czy inne „immersive session” na YouTube.

Zuza wstukwała piętnaście tysięcy znaków, bijąc swój rekord dziennego urobku.

Ninie nigdy jeszcze nie pisało się tak dobrze. Była taka szczęśliwa, że dziewczyny postanowiły zostać w Ustce chwilę dłużej.

- Wielkie dzięki, Marasie Stankevičiusie - wyszeptała, patrząc w ciemne już okno pensjonatu.

Gdyby nie afera z włamywaczem, tkwiłaby teraz całkiem sama w domu w lesie. Dziewczyny siedziałyby w Warszawie i Bydgoszczy. Pewnie nie poznałaby przystojnego strażaka. Nie remontowałby jej schodów, bo te byłyby całe. Aż pewnego dnia załamałyby się pod jej ciężarem i to ona nabiłaby się na palik balustrady, niczym bohater *Pani Dalloway* - taki byłby koniec Niny Rawicz. Nikt by nie znalazł jej zwłok przez długie miesiące, nawet nie miała owczarka, który mógłby ją napocząć...

Nagle cała ta awantura wydała jej się najlepszym, co mogło ją spotkać. Cóż, może nie najlepiej świadczyło to o jej dotychczasowym życiu, ale postanowiła się skupić na pozytywach - jak na historię z trupem i dwoma włamaniami wynikło z niej wiele dobrego.

NIECH TO ZOSTANIE MIĘDZY NAMI

Nie przyznałaby się do tego głośno, ale się denerwowała. Mikołaj wprawdzie sam zaproponował spotkanie, ba, sam zaczął temat wyników badań, ale fakt, że jego żona była fanką serii o Zywert mógł mieć na to większy wpływ niż urok Agaty czy wola technika do złamania procedur.

Weszła do restauracji kilka minut przed czasem. Wypatrzyła Mikołaja – miał na sobie elegancką marynarkę, błękitną koszulę i krawat, a miejsce obok niego zajmowała fantastyczna posągowa blondynka o najśłodszym uśmiechu, który rozjaśnił jej twarz, gdy zobaczyła zmierzającą do nich Agatę. I część nerwów pisarki z miejsca się rozplynęła, bo jak tu się denerwować spotkaniem z tak uroczą osobą, która na dodatek autentycznie cieszy się na jej widok?

Mikołaj przedstawił żonę jako Julię i kobiety uściśniły sobie dłonie.

– Nie wierzyłam, kiedy mi powiedział, że panią spotkał. Byłam pewna, że znów pomylił nazwiska. Jednego razu postanowił mi sprawić Karmazynowe pożegnanie, a jakimś cudem wrócił do domu z Jesienią zapomnianych – przyznała.

– Och, Anna Kańtoch jest przecież fantastyczna.

Julia aż przyklasnęła.

– Bez wątpienia! Choć do dziś nie wiem, jak można pomylić nazwiska Bunc i Kańtoch – powiedziała rozbawiona i zerknęła na męża, który wyraźnie się zaczerwienił i wykrztusił:

- Chodziło o tytuł, rzeczownik z przymiotnikiem!

- Też nie całkiem, kochany. - Uśmiechnęła się łagodnie. - Na dobre wyszło, nie znałam tej serii, a *Karmazynowe pożegnanie* i tak zamówiłam w preorderze, więc by mi się zdublowało.

- Czyli tak miało być - Agata podsunęła Mikołajowi koło ratunkowe.

- Losu jestem igraszką - oświadczył technik kryminalistyczny i gładko zmienił temat: - Może coś wybierzmy, bo ta biedna dziewczyna czeka jak w blokach startowych, by do nas podejść i odebrać zamówienie.

Kelnerka faktycznie czekała niedaleko, smukła jak trzcinka, w małym fartuszkę opasującym talię. W czarnych cygaretkach i takimże golfie, z włosami w wysokim kucyku i zamaszystą kreską na powiece wyglądała jak młodzianka adeptka francuskiego egzystencjalizmu.

Ledwie odłożyli karty, a już stała przy ich stoliku i pytała, czy może przyjąć zamówienie. Zanotowała wszystko i odeszła niemal tanecznym krokiem.

- Na długo pani przyjechała w nasze strony? - zapytała Julia z ciekawością. - Proszę zauważyć, jak zgrabnie powstrzymuję się od pytania, czy z tej wizyty wyniknie coś szczególnego dla czytelników - dodała.

Agata parsknęła śmiechem.

- Przyjechałam prywatnie, ale kto wie, może coś z tego mojego szwendania się po Ustce wykiełkuje - przyznała.

- Czy to znak dla nas, lokalnych patriotów, by zatrzymać panią podstępem? - Julia uniosła brew.

- Pani mąż już coś knuje w tym kierunku. Przecież podsuwając mi tropy, doskonale wie, że tajemnica wciągnie mnie jeszcze bardziej i

nie spocznę, póki nie znajdę rozwiązania – gładko przekierowała rozmowę na interesujący ją temat.

– Mikołaju, jestem z ciebie dumna! – zawołała Julia i poklepała męża po dłoni.

– Nie jestem nawet w połowie tak przemyślny, jak sugeruje pani Agata. Gdyby wyniki badań wskazywały, że pani Nina czy obecna tu pani Agata mogą mieć cokolwiek wspólnego ze zwłokami w domu, obcęgami by ze mnie tego nie wyciągnęła. Ale nawet Straszewicz będzie musiał przyznać, że to dosłownie nie jest możliwe – dodał, wzruszając ramionami.

– O, a to dlaczego? – Agata pochyliła się delikatnie w stronę technika.

– To proste. Pani Nina ma ile, dwadzieścia parę lat? Może trzydzieści?

Agata przytaknęła. Mikołaj z zaangażowaniem kontynuował:

– Zbadałem ślady krwi na tkaninie, poszewkach i ręczniku spod schodów. Nie mam cienia wątpliwości, że jest starsza, oceniam wiek na plus minus czterdzieści lat. Czyli pani Niny nie było na świecie, kiedy tego człowieka zabito, a pani, jeśli nawet była, to w pieluchach. Niewykluczone, że podpowieź co do daty zgonu dostarczył sam zebrany materiał. Poza tkaninami w schowku było sporo gazet, na wielu są ślady krwi. Najnowsza pochodziła z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego. To się mieści w ramach czasowych, na jakie wskazują wyniki badań.

– Mówi pan o zabójstwie. Może ten człowiek był po prostu ranny, a Uklej albo ktoś inny z jakiegoś powodu schował zakrwawione materiały do schowka? – podsunęła Agata.

– Krwi było bardzo dużo, oceniamy, że ponad litr – odparł technik.

– Poza tym ślady szarej materii i odłamki kości sugerują, że

mężczyzna został poważnie ranny w głowę. Do jej owinięcia użyto ręcznika i poszewki.

- Nie w charakterze opatrunku, ale by nie narobić bałaganu - domyśliła się Agata.

Mikołaj przytaknął. Przerwał na chwilę, bo kelnerka przyniosła właśnie napoje i koszyczek ze sztućcami.

- Wiadomo coś więcej o ofierze? - zapytała pisarka.

- Mężczyzna, grupa krwi A Rh+. Niestety nic więcej. Zdołałem wyodrębnić DNA, ale nie bardzo jest z czym je porównać. To nie CSI, że wrzucimy w bazę danych, a ta wypłuje nam jedno nazwisko. Zresztą nie udałoby się to, nawet gdyby to była świeża sprawa, a co dopiero taka sprzed czterdziestu lat. - Mikołaj sapnął z frustracją.

- No tak, musielibyśmy znać tożsamość zmarłego, odnaleźć kogoś z jego krewnych i przeprowadzić badanie porównawcze - powiedziała Agata w zamyśleniu.

- No niestety. Może gdyby zwłoki były na miejscu, to dałoby się cokolwiek wywnioskować. Gdyby na przykład miał stare złamanie, na tyle charakterystyczne, że ktoś z miejscowych pamiętałby chłopaka, który zaginął w osiemdziesiątym drugim i miał dokładnie tak połamaną lewą nogę... Cokolwiek.

- Data zgonu też jest nieszczęśliwie fortunna - dodała Julia, słodząc herbatę jedną saszetką cukru. Drugą bez słowa podała Mikołajowi, który natychmiast dosypał ją do swojej herbaty i uśmiechnął się z wdzięcznością.

- To prawda - przyznała Agata. - Stan wojenny lub tuż po, mężczyzna znika, jedni pomyślą, że jest internowany, inni, że uciekł na Zachód, jeszcze inni, że z sobie tylko znanych powodów gdzieś się przyczaił. Zaufanie do milicji nikłe lub żadne, niewykluczone, że nigdy nie zgłoszono zaginięcia. Prowadziłam kwerendę w archiwach

i rozmawiałam z ludźmi o sprawie z podobnego okresu. Ciężko było wydobyć jakiegokolwiek konkrety, z jednych i drugich.

- *Zagadka grudniowa!* - zgadła Julia. - Jedna z moich ulubionych książek z serii o porucznik Zywert. Byłoby fantastycznie, gdyby kiedyś wrócił jeszcze sierżant Szewczyk, kocham cały ten jego peerelowski koloryt! I to, że w jego oczach Zywert ciągle jest początkującą policjantką, choć dawno go już przerosła stopniem i doświadczeniem. Fantastyczna relacja.

Agata uśmiechnęła się szeroko. Nie mogła nie docenić entuzjazmu, zwłaszcza że wedle jej wydawcy *Zagadka grudniowa* znalazła się niebezpiecznie blisko klapy sprzedażowej. Pierwszy nakład schodził prawie dwa lata. Podobno zagadka była zbyt zawikłana, a kontekst historyczny zupełnie niezrozumiały dla współczesnych młodych odbiorców. Cóż, być może dla nich owszem, ale Agata doskonale wiedziała, że wbrew natarczywym opiniom marketingu jej grupa docelowa jest dużo szersza niż nastolatki na TikToku. Może nie każdemu ta akurat powieść przypadła do gustu, pisarka w większym stopniu winiła jednak potknięcie Zywert na ścieżce abstynencji i rozpieprzenie rozkwitającego przez poprzednie trzy tomy związku z prokuratorem Kwiatkowskim... który to związek zaczynał Agacie jako autorce dramatycznie ograniczać pole fabularne, więc musiała go skończyć.

- Cieszę się, że się pani podobało. Mój wydawca od razu by podkreślił, że jest pani w mniejszości, i ostrzegłby mnie, że nie powinnam wracać do zbrodni z czasów PRL-u - powiedziała tylko.

- Kto wie, może to właśnie tajemnica domu Uklejów będzie inspiracją? - podsunęła Julia.

- Brzmi trochę jak „zagłada domu Usherów”, podoba mi się. Kto wie. - Uśmiechnęła się łagodnie.

Wkrótce przyniesiono im dania. Jedli, prowadząc niespieszną konwersację o książkach, urokach Ustki, zaletach miasteczka poza sezonem i pracy Mikołaja jako technika oraz Julii jako archiwistki w słujskim oddziale Archiwum Państwowego w Koszalinie. Agata odruchowo zapytała, czy zgadzają się, by umieściła ich dane w swoim czarnym notesiku z nazwiskami potencjalnych informatorów. Oboje zgodzili się z dumą, jakby powiedziała im najmiłszy komplement.

Już pod koniec posiłku Agata zagadnęła:

– Myśli pan, że Straszewicz będzie szukał tego trupa?

– Nie nastawiałbym się. O wiele bardziej koncentruje się na współczesnych przestępstwach, na przykład na włamaniach do pani Niny.

– Jedna z naszych hipotez zakładała, że pierwszy włamywacz przyszedł właśnie po trupa, by nie odkryła go nowa lokatorka – przyznała. – Ale pana rewelacje zupełnie wykluczają tę wersję wydarzeń.

– No tak, włamywacz był niewiele starszy od pani Niny, więc odpada jako sprawca, który wraca na miejsce zbrodni, by zatrzeć ślady po czterdziestu latach – przyznał.

– W skandynawskim kryminale to mogłaby być zbrodnia popełniona przez jego ojca – podsunęła Julia.

– Włamywacz został zidentyfikowany, był Litwinem, więc podejrzewam, że ślady zbrodni popełnionej przez jego ojca mogą być raczej w okolicach Kowna – odpowiedziała Agata. – Nie da się określić, kiedy przeniesiono zwłoki, prawda?

– Precyzyjnie? Nie bardzo. Ale na tkaninie są ślady chemiczne, na podstawie których mogę wnioskować, że doszło do rozkładu i przynajmniej częściowej mumifikacji. Naprawdę chętnie bym zobaczył te szczątki – przyznał technik, a potem zerknął niepewnie

na Agatę, by sprawdzić, czy jego entuzjazm nie wydał jej się odrażający.

– Spokojnie, panie Mikołaju, sami swoi. Normals może nie zrozumie, pisarka zrozumie prawie wszystko – zapewniła.

Julia parsknęła cicho.

– Prosiłam go wiele razy przed spotkaniami z ludźmi spoza branży, by nie przesadzał, nie wyciągał zbyt drastycznych szczegółów, ale widzę, że nie zawsze muszę się obawiać reakcji – stwierdziła rozbawiona.

– Och, pisarze dzielają to przekleństwo. Nie zliczę, ile razy dałam się ponieść na imprezie i zbyt dosadnie opowiedziałam, nad czym akurat pracuję. Zgorszenie i konsternacja na twarzach słuchaczy: bezcenne.

Reszta spotkania upłynęła na przyjemnej rozmowie. Agata podpisała trzy „absolutnie ulubione części przygód Zywert”, które Julia przez cały wieczór trzymała w papierowej torbie pod stolikiem, niepewna, kiedy – i czy w ogóle – wypada podsunąć je autorce. Jedną z książek faktycznie była *Zagadka grudniowa*, co kompletnie rozczuliło Agatę. Zanotowała sobie w komórce adres Julii, żeby wysłać jej przedpremierowo egzemplarz nowej książki. Dopisała też do notatki „żonę Straszewicza”, by jej nie umknęło.

Pozwoliła się odprowadzić do pensjonatu. A gdy na pożegnanie powiedziała: „Musimy to powtórzyć”, naprawdę to właśnie miała na myśli, choć nie zdarzało jej się wychodzić z inicjatywą podtrzymania tego rodzaju znajomości.

Agata nauczyła się radzić sobie w sytuacjach publicznych, brylować, gdy marketing tego wymagał, i nawet maskować to, że w gruncie rzeczy jako introwertyczka nie czuła się komfortowo, poznając nowych ludzi w nie zawsze kontrolowanych okolicznościach. Ale z Julią i Mikołajem spędziła czas naprawdę

miło. I produktywnie. A to, czego się dowiedziała, rozdzielało tajemnice domu Uklejów na dwie osie czasu i dwa wątki fabularne. To rzeczywiście był całkiem dobry tytuł... i zanim zdołała się powstrzymać, jej mózg już rączo galopował w kierunku wymyślania całkiem nowych przygód porucznik Zywert, tym razem w uroczym nadmorskim miasteczku. Z domem w środku lasu, który krył więcej niż jedną tajemnicę.

ACH, TEN POTENCJAŁ MIEJSCA ZBRODNI!

O pewnych kwestiach Gracje nie musiały głośno mówić, rozumiały się one same przez się. Na przykład to, że Agata i Zuza nie zostawiają Niny samej z bałaganem.

Przez kolejne dni nie miały wiele czasu na śledztwo. Nawet Straszewicz dopytywał Marka Garstkę, czy wszystko z nimi w porządku, bo na żadną nie natknął się w mieście, żadna też nie zawracała mu służbowego odwłoka. Czy aby na pewno są całe i zdrowe?

Szybko wypracowały sobie rytm, który uwzględniał mnóstwo sprzątania, wynoszenia śmieci, poznawania dostępnej części domu i okolic. Już pierwszego dnia Agata rzuciła się na kuchnię niczym furia uzbrojona w zapas detergentów, szmatek i worków na śmieci. Nieustannie próbowała wykoncypować, czego właściwie mógł szukać drugi włamywacz, skoro spodziewał się to znaleźć w puszcze na cukier czy pudełku płatków kukurydzianych. A może niczego nie szukał, a jedynie czysta frustracja napędzała jego wolę zniszczenia. Tylko jeśli tak, czemu nie wytlukł talerzy, kieliszków i literatek? Ich zniszczenie na pewno byłoby łatwiejsze niż rozrywanie na strzępy pudełek z kaszą, prawda? Chyba że facet naprawdę nienawidził zbóż. Agata nie była pewna, czy nauka znała taką jednostkę medyczną jak zbożofobia, ale niewykluczone. Dziwactwa ludzkości nie przestawały jej zdumiewać, a jednocześnie wiedziała dość, by niczemu się przesadnie nie dziwić.

Nina razem z Robertem oczyszczali korytarz: pieczołowicie odkładali na bok wszystko, co było jeszcze do wykorzystania, a do kontenera ładowali resztę – kawałki płyt pilśniowych, karton-gipsów i spróchniałych czy połamanych belek i tralek. Zajęcie okazało się wyczerpujące i czasochłonne, ale Nina nie narzekała – im szybciej oczyszczą przestrzeń, tym szybciej Robert będzie mógł się zabrać do prac remontowych. Poza tym sporo gawędzili, a dziewczyna, gdy fachowiec nie widział, przyglądała mu się ukradkiem. Bo na Roberta patrzyło się po prostu przyjemnie.

Fąfel witał ją radośnie za każdym razem, kiedy wychodziła na zewnątrz. Również wydawał się zadowolony z obrotu spraw. Wylegiwał się na przywiezionym przez swego opiekuna pośłaniu i miał na wszystko oko. Czasami przynosił piłeczkę do rzucania i kładł ją przy stopie Niny, jakby mówił: „Nic nie sugeruję, ale szkoda, żeby się taka piłeczka marnowała”. A potem gonił ją z entuzjazmem szczeniaka, który nie całkiem jeszcze rozumie, na czym polega sztuka aportowania, bo nie oddawał zdobyczy Ninie, tylko chował ją pod pośłaniem, jakby zakopywał skarb.

Zuza zajęła się gabinetem. Pozbierała porozrzucane książki, poukładała je na kupki i tylko orientacyjnie postanowiła zajrzeć pod tę czy inną okładkę. Klasyczny błąd. Z miejsca wciągnął ją wir chaotycznego księgozbioru, w którym można było znaleźć dziewiętnastowieczne opowieści wielorybników, opis wyprawy Kon Tiki, powieści Waltera Scotta, poradniki na temat hodowli trzody chlewnej i buraka cukrowego, historię Hanzy, Pomorza i Kaszub, podręcznik wiązania węzłów i konserwacji lin, almanachy astrologiczne, książki kucharskie sprzed stu sześćdziesięciu lat oraz zaskakująco eklektyczne teksty religijne, od kazań protestanckich, przez żywoty świętych, po szkic na temat procesów arian.

Poważne i suche opracowania mieszały się na półkach z powieściami awanturnicznymi o piratach, romantycznymi tekstami polskimi i niemieckimi czy pozycjami w rodzaju katalogu z wystawy byków rozplodowych z lat dwudziestych minionego wieku.

Przez wiele godzin Zuza siedziała na podłodze, umoszczona na aksamitnej, obszytej frędzlami poduszce, i zaglądała do kolejnych tomów. Pośród tanich, rozpadających się broszurek i publikacji z wczesnego PRL-u znalazła sporo wiekowych, oprawionych w płótno czy skórę, które niegdyś musiały kosztować majątek. Kilka nawet współcześnie przedstawiało większą wartość – jak psalterz z drugiej połowy osiemnastego wieku czy pierwsze wydania tomów poezji Wierzyńskiego i Słonimskiego. Te odkładała na bok. Niewiele było natomiast nowszych pozycji, nic z ostatnich dwudziestu lat, choć sporo książek z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych – romansów Mniszkówny, Rodziewiczówny, Dołęgi-Mostowicza, czy kryminałów – od czarnych zeszytików z serii „Ewa wzywa 07”, przez miniaturową serię „Tygrysów” historycznych po zaczytane egzemplarze Chmielewskiej. Zuza domyśliła się, że te ostatnie pewnie gromadziła Lula Uklej.

– Znalazłaś coś? – zapytała Agata, zaglądając do gabinetu.

– Zapytaj raczej, czego nie znalazłam! Otóż nie znalazłam nic, dla czego warto byłoby się tu włamać. Pozrzucił książki na podłogę, jakby szukał czegoś, co za nimi schowano, ale nawet nie ruszył biurka. Wszystkie szuflady są zamknięte, choć klucz leży na blacie. Nie próbował nawet zajrzeć do sejfu...

– Jest tu sejf?! – Agata nie kryła zaskoczenia.

– No jest, sama zobacz. – Zuza wskazała niewielkie drzwiczki wbudowane w drewnianą podłogę w samym rogu gabinetu.

– Nina! Chodź tu zaraz! – zawołała Agata i ukłękła przed sejfem.

Był zamknięty na cztery spusty, żeliwny, z przekręcaną gałką, starszy od cyferblatów czy zamków elektronicznych o dobre stulecie.

- Nawet nie chcę wiedzieć, ile jest możliwych kombinacji szyfru - jęknęła Agata. - Nie znasz czasem jakiegoś kasiarza? - zapytała Zużę.

- Mogę popytać, ale chyba nie.

Nina wkroczyła do gabinetu, umorusana i z pajęczyną we włosach.

- Wiedziałaś, że masz sejf? - zapytała Agata.

- Ha, nie wiem nawet, czy mój prawnik wiedział! - I już klęczała koło Agaty, przyglądając się zamkowi. - Spróbujmy go otworzyć - zarządziła.

- Tośmy posprzątały! Teraz do przyszłej wiosny będziemy wpisywać kolejne wariacje - rzuciła Zuza.

Nina w skupieniu kręciła gałką, testując pewną hipotezę. Pierwsza kombinacja nie przyniosła rezultatów.

- Jeden-dwa-trzy-cztery, to byłoby za proste - wymruczała. Wybrała kolejną.

Przy trzeciej usłyszała kliknięcie, gdy zapadki wskoczyły na swoje miejsce. Przekręciła gałkę i sejf stanął przed nimi otworem.

- Jak?! - zdołała wykrztusić Agata.

- Nie rok urodzenia Luli, ale jej urodziny - powiedziała rozbawiona Nina. - Założyłam, że ojciec użyłby tej daty jako szyfru, by zdołała otworzyć sejf po jego śmierci.

- Ma to sens - przyznała Zuza. - Jest w środku coś, dla czego warto byłoby się tu włamywać?

Nina wyciągnęła garść papierów.

- Metryki urodzenia trzy pokolenia wstecz, jakieś papiery kredytowe, obligacje państwowe, listy, jakieś kajeciki z ledwie czytelnymi notatkami, nie wiem, czy dziś jest to cokolwiek warte... Żadnej mapy do skarbu, jeśli na to miałaś nadzieję.

- A przydałaby się - westchnęła Agata.

- I to jak... Sprzątam i cały czas myślę, czy jest tu gdzieś ukryty nieboszczyk. Zamurowany w ścianie albo pod podłogą, w kominie, pod gankiem... Nagle patrzę na dom w kategoriach „w ilu miejscach dałoby się schować trupa”.

- John Wayne Gacy dowodem na to, że w jednym, dużo mniejszym domu można ich ukryć ponad dwadzieścia – zauważyła Agata.

Nina aż się wzdrygnęła.

- Nie wiem, czy chciałam to wiedzieć.

- Spokojnie, wszystko wskazuje na to, że mamy tu tylko jednego – powiedziała Zuza.

- O jednego za dużo. – Nina przeczesła palcami włosy i znów się wzdrygnęła, kiedy natrafiła na pajęczynę.

- Znajdziemy go i wyekspedujemy. Albo każemy płacić czynsz. Albo zbudujemy wokół niego legendę o bardzo nawiedzonym domu – podsuwała kolejne pomysły Zuza.

- Nie rozpędzaj się, my tu będziemy spać! A potem wyjedziemy, a Nina zostanie sama – powściągnęła ją Agata.

Nina wepchnęła papiery z powrotem do sejfu i zamknęła drzwiczki. Przejrzy wszystkie te szpargały, gdy skończą remont.

Usiadła na podłodze i powiedziała:

- Myślałam nad tym dziś w nocy, po tym, jak Agata nam przekazała, co odkrył Mikołaj. Musimy go znaleźć. Tego trupa. Nie będę umiała dzielić przestrzeni z nieboszczykiem, to zbyt upiorne. No i jest jeszcze jedno... – zawahała się i spojrzała na przyjaciółki z niepokojem w oczach.

- Lula – domyśliła się Agata. Nie mówiła o tym głośno, ale tak, też to sobie policzyła.

Nina skinęła głową.

- Jeśli trup leży tu ponad czterdzieści lat, to najpewniej pochodzi z czasów, kiedy Lula jeszcze mieszkała w Zapadłem. Czy to możliwe,

że o nim wiedziała? – Jej głos drżał z emocji.

– Myślę, że by ci powiedziała, ostrzegła... – pocieszyła Agata, choć bez przekonania.

– Nawet gdyby wiedziała o trupie, mogła uznać, że nie ma go już w domu. Przecież jej ojciec mógł go wynieść do lasu i tam zakopać.

Nina nie była przekonana. W nocy przez wiele godzin analizowała to, czego się dowiedziała od Agaty.

– Gdyby taki miał plan, po co trzymałby go w domu tak długo, aż zacząłby się mumifikować?

– Był starszym facetem. Może czekał na wiosnę, aż łatwiej będzie kopać? – podsunęła Zuza.

– Czy starszym? Lula wyjechała zaraz po maturze, więc musiał być mniej więcej w wieku Agaty. Dałby sobie radę z kopaniem grobu nawet w lutym – zauważyła Nina.

– Zależy od mrozu. Ale masz rację, mógłby rozpaść ognisko, żeby rozgrzać ziemię, a w tych lasach nikt by niczego nie zauważył. Mógłby sobie kopać po kawałeczku przez kilka dni – przyznała Agata.

Nina skinęła głową.

– Z tego co wiem, nigdy nie miał kutra, a znajomemu rybakowi nie wpakowałby się przecież na pokład z trupem. Nie sądzę, by mógł komukolwiek na tyle zaufać, miał reputację odludka i zrzędy. Tak więc opcja z pogrzebem na morzu raczej odpada.

Zuza przytaknęła.

– Żeby taki morski pochówek zadziałał, musiałyby wypłynąć spory kawał w morze. Inaczej prądy zaraz zwróciłyby zwłoki na ląd.

– Z jakiegoś powodu chciał mieć trupa w domu – powiedziała Nina. – To co najmniej dziwne, nie wydaje się wam?

– Może się bał, że ktoś go znajdzie? Zakopiesz zimą, przyjdą roztopy i jakiś pies zacznie kopać? A tak, nie ma ciała, nie ma

zbrodni – zauważyła logicznie najstarsza z Gracji.

– Myślę, że będę musiała zadzwonić do synów Luli. Może dlatego tak chętnie zgodzili się zrezygnować ze spadku? Bo wiedzieli, że ten dom jest nadziewany trupem. – Nina czuła, że jej mózg się zagalopował, ale godziła się z tym, że taki już jest i wąskie ramki racjonalności rzadko kiedy potrafią utrzymać go w ryzach.

– Zadzwoń też do prawnika – podsunęła Agata. – Znał przecież Ukleja i Lulę, a nuż coś pamięta.

– Tylko z rozpytywaniem miejscowych na razie bym się wstrzymała – stwierdziła Zuza. – Już i tak zaliczyłam wejście z przytupem.

– Zwaliliby mi na konto trupa sprzed moich narodzin? – powątpiewała Nina.

– Może i nie, ale wiesz, reputacja ciągnie się za człowiekiem całym latami.

*

Były tak zajęte rozmową, że nie usłyszały podjeżdżającego samochodu, trzaśnięcia drzwi ani kroków na ganku. Do tego rozprawiały o trupach, domach nadziewanych nieboszczykami i kopaniu grobów w środku zimy na tyle głośno, że spora część tej konwersacji dotarła do Roberta i jego brata, który właśnie wszedł do domu.

Mateusz uniósł brew i wskazał palcem w stronę gabinetu.

– Czy ty to słyszysz? – zapytał z niedowierzaniem.

– To normalne – zapewnił go Robert.

– W więzieniu być może, ale czy tak po prostu normalne, to nie jestem pewien.

– One są pisarkami, cała trójka – wyjaśnił starszy z braci.

Mateusz gwizdnął przez zęby.

- Zawsze lubiłeś takie nieco dziwne, ale teraz to już naprawdę jedziesz po bandzie. Przynajmniej nie będziesz się nudził.

- Nie wiem, o czym mówisz. To tylko robota - powiedział sucho. Nie wspomniał bratu o rozczarowaniu, które poczuł, gdy usłyszał, że Nina kogoś ma. Kogoś, z kim zamieszka po remoncie. Nadal trawił tę informację. I trochę wypierał.

Mateusz przewrócił oczami tak wymownie, że Robert zamierzał trzepnąć go w tył głowy, jak wtedy, gdy byli szczeniakami i młody gadał głupoty, ale brat zgrabnie uchylił się przed ciosem.

- Jasne, tylko robota. Właśnie dlatego postawiłeś na głowie grafik, odwołując nasz super zasłużony urlop. Czekałem na niego jak na zbawienie. Jeszcze kilka dni temu ty też czekałeś.

Robert nie odpowiedział od razu, podrapał się tylko po nosie i westchnął. Czuł się nieco skrępowany i po prawdzie nie był pewien, jak to wyjaśnić bratu, by się nie skompromitować.

- To fajny dom, ciekawa robota, a Nina jest nową sąsiadką, więc to w sumie kwestia gościnności - wydukał wreszcie, ale nawet Fąfel zasłoniłby oczy łapą, gdyby usłyszał tę wymówkę.

- Wiadomo, altruistyczna złota rączka to twoje superbohaterskie alter ego. Żadnemu remontowi w sąsiedztwie nie przepuścisz. Dlatego mnie przekupiłeś większym udziałem. I dlatego gadałeś przy śniadaniu do Fąfla, że spotka swojego drugiego ulubionego człowieka. Którym jestem ja, przypominam ci. Nina może być trzecia, jeśli dobrze rozegra partię z twoim psem, ale mnie nie zdetronizuje, za dobry jestem w sztuce smaczkowania.

- Nie widziałeś, jak Dolly się na nią rzuciła. One wiedzą - upierał się Robert.

- Że jesteś zakochanym głupcem? Niewykluczone. Przyznaj, trzepnęło cię już wtedy, kiedy musiałeś ją ratować w środku nocy.

Robert teatralnie przewrócił oczami.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Jasne, wy, strażacy, i ten wasz kompleks zbawcy. - Mateusz się zaśmiał. - Ja tylko zastrzegam prawo do powiedzenia „a nie mówiłem”, jeśli okaże się wariatką, która twoim trupem nadzieje ścianę w tym domu.

- Nawet jej nie znasz. I komu powiesz to „a nie mówiłem?”, jeśli będę w ścianie?

- Fąflowi. On zrozumie dramat bycia tym mądrzejszym, bardziej doświadczonym, u boku romantycznego idioty - odpowiedział Mateusz.

Ale gdy kilka minut później z gabinetu wyłoniła się sarnioka blondynka w dżinsowym kombinezonie, pomyślał, że wcale się bratu nie dziwi. Zerknął na Roberta, ten jednak uśmiechnął się do młodej kobiety całkiem zwyczajnie. Potem pojawiła się wysoka, postawna szatynka, której twarz, był absolutnie pewien, skądś kojarzył.

Dopiero widok trzeciej z kobiet - wysokiej, smukłej szatynki z włosami oblepionymi pajęczynami i smugą brudu na policzku - sprawił, że oczy Roberta zalśniły.

No to skończyły się wspólne urlopy, pomyślał Mateusz.

- To właśnie Mati - przedstawił go Robert.

Nina spojrzała na Mateusza czujnie, a potem się uśmiechnęła, jakby przejrzała go na wylot i uznała, że nie stanowi zagrożenia.

- Cześć! - Podeszła i wyciągnęła rękę na powitanie. Miała mocny, energiczny uścisk.

- Cześć. Żeby była jasność, gdyby zniknął, szukałbym go.

- Kto miałby zniknąć? - zapytała. Ale zanim zdążył wyjaśnić, pacnęła się wolną ręką w czoło. - Ach, słyszeliście, no tak. To w sumie żadna tajemnica, pół miasta już chyba wie...

- Co dokładnie? - zapytał Mateusz podejrzliwie.

- Gdzieś tu mamy trupa. Starego, starszego niż ja czy ty. I bardzo chciałabym go znaleźć, zanim się tu wprowadzę, więc miej oczy szeroko otwarte.

Robert tylko kiwnął głową i powiedział:

- Jeśli wciąż tu jest, znajdziemy go.

Mateusz zerknął na pozostałe kobiety, a one szybko przedstawiły się jako Zuza i Agata.

Fąfel wbiegł nagle i przypadł do Niny z piłeczką w zębach.

- Ty też chcesz go znaleźć, prawda? Jesteś dzielny pieskiem! Najdzielniejszym! - powiedziała i wyrzuciła piłeczkę przez otwarte drzwi.

Na pewno nie będzie nudno, pomyślał Mateusz. Nie, żeby po całym dniu pracy z licealistami potrzebował wielu rozrywek, ale najwyraźniej spędzi ferie świąteczne, budując schody dla niekoniecznie poczytalnej kobiety. Jeśli jego brat skończy jako opętana żona na poddaszu, sam sobie będzie winien.

STUKOT MŁOTKÓW I KLAWISZY

Zaskakujące, jak szybko wytwarza się rytm. Jak niewiele trzeba, by coś, co jeszcze przedwczoraj stanowiło kompletną nowość, dziś zmieniło się w utartą ścieżkę, przyjemną, kojącą rutynę.

Gracje i bracia Janta zaczęli działać niczym dobrze naoliwiona maszyna. Robert i Mateusz skuwali tynk i wywozili z domu mnóstwo gruzu, a gdy nie został już po nim ślad, naprawiali uszkodzenia i przygotowywali ścianę pod nową warstwę tynku i gładzi. Dziewczyny wstawały o siódmej, jadły śniadanie i ruszały do domu w lesie, skąd wracały do Wielkiej Niedźwiedzicy dopiero na późny obiad.

Przez pierwsze dwa dni Zuza zostawała w pensjonacie i próbowała skupić się na pisaniu, ale dopadł ją poważny kryzys koncentracji. Stale myślała o tym, co dzieje się w Zapadłem i co porabiają przyjaciółki. Napisała w tym czasie mniej niż przez cały poprzedni dzień, kiedy Agata i Nina stale kręciły się wokół, więc uznała, że są jej do pisania po prostu niezbędne. Dlatego trzeciego dnia po śniadaniu oświadczyła, że jedzie z nimi. Spakowała laptop, segregatory, notesy, litrowy kubek termiczny oraz świecę o zapachu soli morskiej i szaławii. Była gotowa. W domu w lesie było za zimno, by siedzieć w zwiewnym szlafrocжку czy jedwabnym kombinezonie, Liliana i Regina musiały się więc zadowolić ciepłą oversize'ową bluzą, termicznymi legginsami i grubymi skarpetami. Zuza zajęła gabinet dawnego pana domu, z gigantycznym biurkiem i

kapitańskim krzesłem, i stukała w klawisze w rytm uderzeń młotków.

Nina i Agata intensywnie przygotowywały dom do zamieszkania. Sprzątały, pucowały, gruntowały ściany na parterze. Starannie ostukiwały każdą powierzchnię.

– Tak na wszelki wypadek – powtarzała Nina. – Lepiej znaleźć go teraz, niż gdy już będzie po remoncie.

I było to nawet logiczne. A przynajmniej zgodne z logiką wyznawaną przez całą ich wesołą kompanię.

Zuza zdała sobie sprawę, że pisanie idzie jej nawet lepiej niż w pensjonacie. Jakby odgłosy krzątania uruchomiły w niej dodatkowe pokłady produktywności. Znaków w pliku sukcesywnie przybywało, czasami wpadała w dwugodzinne ciągi, w czasie których tylko stukała w klawisze, zapominając o regularnym rozciąganiu kręgosłupa i nadgarstków. Zamierała z palcami nad klawiaturą dopiero wtedy, gdy kończyły się jej słowa. Wówczas nagle docierało do niej, że jest zeszywniała i zdrętwiała, jej pęcherz osiągnął maksymalną pojemność, a ona potrzebuje nowego kubka herbaty.

Fąfel szybko się zorientował, że o ile reszta ludzi stale się rusza, o tyle ta miła pani z gabinetu siedzi jak posąg i można się ułożyć na drzemkę na jej stopach, odzianych w mięciutkie wełniane skarpetki. Robert zapytał Zuzy, czy nie wabi aby Fąfla smaczkami, ale zaprzeczyła. Jedyne smaczki, jakie miała ze sobą, były przeznaczone dla niej i zawierały czekoladę, więc na pewno nie podzieliłaby się nimi z psem, nawet tak przyjaznym i uroczym jak Fąfel.

– Zuza! Jedziemy do marketu budowlanego, okej? – usłyszała głos Niny.

– Wszyscy? – zapytała głośno.

Nina wsunęła głowę do gabinetu.

– Mati i Agata są za domem. Będziemy za godzinę, może dwie, ale przywieziemy coś do żarcia. Jakies życzenia?

Zuza zastanowiła się przez chwilę.

– Zupa – zdecydowała. – Może być nawet ramen sojowy z Vifona, ale koniecznie potrzebuję zupy.

– O, dobry pomysł.

Fąfel znów ułożył się jej na stopach, jakby wyczuł, że nadciąga kolejna fala stukania. Zuza wróciła do sceny, w której bohaterka, by uniknąć skrajnie żenującej sytuacji, ukrywa się za ogromnym fikusem czy inną palmą, podczas gdy mężczyzna, w którym potajemnie się kocha, podważa jej atrakcyjność jako potencjalnej żony w rozmowie ze swoim najlepszym przyjacielem. Zuza nawet nie ukrywała inspiracji *Dumą i uprzedzeniem*, jedną ze swoich najukochańszych książek. Jeśli kraść, to od najlepszych.

Nagle Fąfel uniósł głowę i zaczął nasłuchiwać, aż drgały mu uszy. Rozszczękał się, głośno i zawzięcie, próbując zwrócić uwagę Zuzy na coś, czego jeszcze nie była świadoma.

– Co jest, piesełku? – zapytała, wciąż lekko rozproszona, zastanawiając się mimochodem nad synonimem słowa „temperamentny”.

Fąfel wstał, warczał, jeżył się cały, wyraźnie poruszony.

Zuza zapisała postępy w pliku i podniosła się od biurka. Kręgosłup zaprotestował na taką nagłą zmianę, ale nie zwróciła na to uwagi. Bo teraz i ona coś słyszała.

Skrzypienie podłogi pod naciskiem czyichś butów. Gdyby to była Nina czy Robert, zawołałiby ją.

Włamywacz!

Zuza rozejrzała się po gabinecie, szukając czegoś, czym mogłaby zdzielić gada przez głowę, i zgarnęła z haczyka przy kominku duży pogrzebacz. Bezszelestnie rozsunęła drzwi kieszeniowe między

gabinetem a salonem. Jak dobrze, że Nina naoliwiła prowadnice! Meble, wciąż przykryte prześcieradłami, zostały przesunięte na środek pomieszczenia, więc Zuza musiała je ominąć.

Szelesty i skrzypienia stały się głośniejsze. Intruz musiał być w korytarzu, między drzwiami wejściowymi a wciąż zdekonstruowaną klatką schodową.

Cholera, zostawiła telefon na biurku! Zacisnęła palce na pogrzebaczku i uniosła go wyżej, niczym kij baseballowy tuż przed uderzeniem za trzy punkty.

Wyszła z salonu na korytarz i zobaczyła obcego mężczyznę. Był duży, przypakowany i straszny. Zuza nie była pewna, czy zdoła uderzyć pogrzebaczem wystarczająco mocno, by znokautować intruza. Kucał, tyłem do niej dokładnie w miejscu, w którym jeszcze nie tak dawno leżał pierwszy włamywacz. Robert usunął już rumowisko, ale wciąż widać było ślady krwi na podłodze, choć Nina próbowała je zmyć.

– Kim pan jest i co pan tu robi?! – wykrzyknęła wkurzona Zuza.

Zerwał się, jakby zaskoczony, że w domu jest ktoś poza nim. Odwrócił się w jej stronę z fałszywym uśmiechem.

– Och, przestraszyłem panią? Przepraszam – znów się wyszczerzył, ale jego lisie oczka mówiły Zuzie wszystko. – Może pani opuścić ten pogrzebacz.

Ani myślała go słuchać.

– Nie przestraszył mnie pan, za to wkurzył na pewno. Dzwonek przy drzwiach działa, warto z niego korzystać, jeśli się nie chce skończyć z rozwaloną czaszką – powiedziała twardo.

Fąfel u jej boku warczał, z sierścią zjeżoną na karku.

– Pani Nina? Mieszkam w sąsiedztwie, słyszałem, że remontuje pani ten dom. Pomyślałem: zajrzę i zapytam, bo może możemy sobie pomóc. Pani potrzebuje fachowców, ja potrzebuję roboty.

Zuza postanowiła nie wyprowadzać go z błędu.

– Mam już fachowców. Proszę wyjść albo zadzwonię po policję – powiedziała twardo.

– Ale po co na policję! – Mężczyzna zrobił krok w jej stronę. – Przecież sobie tylko rozmawiamy.

– Nie rozmawiamy. Wynoś się z mojego domu, natychmiast! – Walczyła z odruchem cofnięcia się. Jej intuicja wrzeszczała, że facet nie jest tym, za kogo się podaje. I że jest niebezpieczny. Poruszyła nadgarstkami i zamachnęła się pogrzebaczem. – Wynoś się, póki możesz. Albo rozwalę ci łeb, jak poprzedniemu włamywaczowi – podniosła głos.

Fąfel zaszczekał, głośno i agresywnie. Nie odstępował Zuzy, ale ostrzegawczo kłapał zębami, obnażając dziąsła.

– Zuza?! Wszystko w porządku? – usłyszała głos Agaty z tyłów domu.

– Mamy nieproszonego gościa! Weź siekierę! – wrzasnęła.

To wystarczyło, facet zerwał się do ucieczki. Ruszył na Zuzę i pchnął ją, zanim zdążyła go dosięgnąć pogrzebaczem. Uderzyła plecami o ścianę, a on dobiegł do drzwi wejściowych i wypadł na zewnątrz. Fąfel ruszył za nim, ale Zuza zawołała go do siebie. Bała się, że intruz mógłby zrobić psu krzywdę.

Jej serce biło jak szalone i wciąż ścisnęła pogrzebacz.

– Zuza, co się dzieje? Kto to był? – Agata już była przy niej.

– Myślę, że to mógł być drugi włamywacz. – Głos Zuzy lekko zadrżał. – Trzeba zadzwonić do Straszewicza, może odciski okażą się zgodne. – Wskazała jedną ze skrzynek narzędziowych Roberta. – Facet przecież dotykał tamtych rzeczy.

– Coś ci zrobił? – dopytywała z troską Agata.

– Nie miałam komórki, nie zrobiłam mu zdjęcia... – mówiła Zuzka. Nawet nie zauważyła, że się trzęsie.

Agata próbowała wyłuskać pogrzebacz spomiędzy jej zaciśniętych palców.

- Znajdziemy go, kochanie, już dobrze, już go nie ma - uspokajała przyjaciółkę.

Zuza spojrzała na nią i dopiero po sekundzie zaczął jej się wyostriąć wzrok.

- Jestem w szoku, prawda? - zapytała cicho.

- Tak myślę. Przestraszył cię, nic dziwnego.

Zuza kiwnęła głową i wzięła głęboki oddech. Ucisk w piersi powoli puszczał. Odłożyła pogrzebacz. Pogłaskała Fąfla po głowie.

- Potrzebuję herbaty. I mam nadzieję, że Nina poza zupą kupi czekoladę - dodała już spokojniej.

Agata wybrała numer sierżanta sztabowego.

A potem zadzwoniła do Niny. Lepiej, by była na miejscu, nim dotrze tu policja.

STRASZEWICZ MÓWI LUDZKIM GŁOSEM

Powiedzieć, że Straszewicz był wkurzony, to nic nie powiedzieć. Zjawił się w niespełna pół godziny od telefonu i przywłókł ze sobą technika, by pobrał odbitki palców.

Wysłuchał sprawozdania Zuzanny i Agaty, pogłaskał psa, który z całej tej historii wyłaniał się jako cichy, a właściwie hałaśliwy bohater. I z każdą chwilą wkurzał się bardziej.

Działo się tu coś przedziwnego i dopóki nie będzie potrafił tego wytłumaczyć, dopóty nie zdoła zapewnić trzem kobietom bezpieczeństwa.

Zerknął na Ninę, która siedziała na skrzynce narzędziowej, milcząca i zacięta. Jakby niebezpieczeństwo, które groziło Zuzie, dotykało ją bardziej, niż to, które wisiało nad jej własną głową.

- Wolałbym, żebyście panie jeszcze chwilę pomieszkały w pensjonacie – powiedział.

- Spokojnie, na razie nie ma tu warunków do nocowania. Pojutrze fachowcy skończą schody, wtedy zaczniemy sprzątać i odświeżać górę, więc pewnie zostaniemy w pensjonacie jeszcze kilka dni – wyjaśniła Agata.

Stała między nim a Zuzą, lekko opierając się o ścianę, ale nie miał cienia wątpliwości, że gdyby w jakikolwiek sposób naraził się

młodszej z kobiet, Agata rzuciłaby mu się do gardła. Intruz mądrze zrobił, że uciekł, zanim znalazła się na tyle blisko, by go dopaść.

Straszewicz wyciągnął komórkę i wyszukał w galerii zdjęcie. Pokazał je Zuzie. Przez chwilę przyglądała się fotografii.

- Tu jest wyraźnie młodszy. I nosi długie włosy, a intruz miał góra trzymilimetrowego języka. Włosy dużo zmieniają. Ale tak, jeśli to stare zdjęcie, to mógł być on - orzekła po chwili.

Straszewicz kiwnął głową z zadowoleniem.

- Kto to jest? - zapytała Nina, podchodząc, by zerknąć na fotografię.

- Aleksander „Olek” Wojaczek. Faktycznie pochodzi z sąsiedniej wsi, ale od piętnastu lat albo siedzi, albo zbiera punkty lojalnościowe na kolejny wyrok. Recydywista, choć śliski, nigdy nie udało się go zamknąć na dłużej - wyjaśnił.

- Chwila, Wojaczek? - Nina nadstawiła uszu.

- Tak, syn tego Wojaczka, który miał klucze do domu - przyznał Straszewicz.

- To wyjaśnia pewne rzeczy - powiedziała Nina, splatając ramiona na piersi.

- A innych wciąż nie - skwitował sierżant sztabowy.

- Za co siedział? Ostatnio, jaki wyrok i za co? - zapytała Agata.

- Przemyt papierosów bez akcyzy.

- Po papierosy raczej się nie włamują. Musieliby mieć tu schowany wielki transport, żeby im się opłacało tak ryzykować - zauważyła.

- Musiał awansować i teraz szmugluje coś bardziej intratnego niż fajki - skwitowała Nina, wpatrując się podejrzliwie w Straszewicza.

Zakłuło go to. Ale na swój sposób ją rozumiał. I musiał to z nią wyjaśnić. Tylko na osobności. Cała trójka razem nadal trochę go przerażała.

– Niewykluczone. Podczas ostatniego aresztowania nie znaleziono przy nim niczego podejrzanego. Przeszukaliśmy dom jego ojca bardzo skrupulatnie – zapewnił.

– Czego się pewnie spodziewał, zresztą i tak musi ukrywać fanty zupełnie gdzie indziej. W miejscu, którego nikt by z nim nie łączył. I na które nie dostalibyście tak łatwo nakazu przeszukania. – Agacie wszystko układało się w logiczną całość.

– Na to wygląda. – Straszewicz westchnął. – Szukamy go. Zanim jeszcze wpakował się pani do domu, byliśmy u jego ojca i w innych miejscach, o których wiedzieliśmy, że tam bywa. Na razie bez rezultatu, ale puścimy za nim list gończy, na pewno nie zdoła uciec za granicę.

– Dobrze i to. Jeśli podpalicie mu ogień pod tyłkiem, może będzie wystarczająco rozsądny, by się trzymać od nas z daleka – powiedziała cicho Nina. Nie mogła się pogodzić z tym, że drań wtargnął do domu i mógł zrobić krzywdę Zuzie. Teraz przynajmniej znali jego tożsamość.

Straszewicz wstał od stołu i skierował się do wyjścia.

– Pani Nino, możemy chwilę porozmawiać? Na osobności – dodał, wyraźnie skrępowany.

Usztywniła się i znów popatrzyła na niego z nieufnością, z którą było mu tak niewygodnie.

Pożegnał się, wyszedł przed dom i przystanął na schodach. Nina ruszyła za nim. Przyjrzał jej się: splecione na piersi ramiona, lekko zgarbiona sylwetka. Poczucie winy ukłuło go jeszcze mocniej.

– Pani Nino, chciałbym panią przeprosić – powiedział cicho. – Za dużo założeń zwiódło mnie na manowce. I źle zaczęliśmy tę znajomość. Jest mi głupio. Bo nie powinienem w ten sposób potraktować ofiary przestępstwa. Proszę przyjąć moje przeprosiny.

Patrzyła na niego dłuższą chwilę. Milczała. Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji, jakby wszystkie uległy zamrożeniu. Wreszcie westchnęła.

– Przyjmuję. Ale nie przeproszę za to, co o panu myślałam, kiedy zachowywał się pan jak dupek i gbur – zastrzegła.

I zamilkła na dłuższą chwilę, jakby zastanawiała się, czy powiedzieć coś więcej. Nie ponaglał jej.

– Przez większość mojego życia nie miałam powodu, by ufać policji – podjęła ostrożnie. – Nie kojarzyła mi się najlepiej. Zwykle pojawienie się mundurowych oznaczało, że rodzice w środku nocy zwiną się z wynajmowanego mieszkania, tradycyjnie zostawiając za sobą bałagan. Albo że ten czerwony rower, który ojciec podarował mi na urodziny, ma już właściciela... Można powiedzieć, że mam uraz. Może nawet traumę. Jednocześnie rozumiem, że w tamtej sytuacji to nie policja była problemem. – Starła się powściągnąć emocje, ale głos jej drżał, a oczy się zaszkliły. – Chodzi mi o to, że zanim jeszcze się pan odezwał, nie byłam szczególnie przyjaźnie nastawiona.

– A gdy się odezwałem, było tylko gorzej – zauważył.

– Nie zaprzeczę.

Poruszył wąsem.

– Chciałbym, żeby czuła się pani bezpiecznie w naszej okolicy. I żeby nie miała pani oporów, by zadzwonić po policję, w tym po mnie, gdyby działo się cokolwiek złego.

Nina popatrzyła na niego i odniósł wrażenie, że jej spojrzenie złagodniało.

– Myśli pan, że to Agata zadzwoniła, a nie ja, bo panu nie ufałam?

– A tak nie było? – upewnił się.

– Agata była w domu, kiedy to się stało. Ja przyjechałam razem z Robertem Jantą może piętnaście minut przed panem. I tak się

zastanawiam... Agata zaparkowała dziś na tyłach, więc przez większość dnia przed domem stała tylko furgonetka Roberta. A gdy tylko zniknęła, ten cały Wojacek wszedł jak do siebie.

- Myśli pani, że obserwował dom od frontu?

- Niewykluczone. Mógł nie wiedzieć, że Mateusz i Agata pracują na tyłach, a Zuza siedzi w gabinecie. Jeśli mam rację, widział głównie mnie i Roberta, kręcących się w tę i w tę, a potem wsiadających do furgonetki.

Straszewicz mruknął coś do siebie. Podobało mu się, jak ta mała kombinuje.

- Przegonię technika po krzakach, może włamywacz coś po sobie zostawił - powiedział. A po chwili dodał: - Czyli zadzwoni pani, gdyby pojawił się kolejny problem?

- Choćby to było w środku nocy, zadzwonię - zapewniła. - Agata już nam dopisała do listy kontaktów numery do pana, do Marka Garstki i do dzielnicowego Boberka.

- Pani Agata ma piękny umysł, trochę przerażający, ale piękny - przyznał Straszewicz z podziwem. Ta kobieta zawsze wydawała się być krok przed wszystkimi.

- Nie wie pan nawet połowy.

- Za to panie już pewnie wiecie całkiem sporo z rzeczy, których nie przekazano nigdy oficjalnymi kanałami? - rzucił, siląc się na lekki ton.

- Mówi pan o kartotece Litwina czy o czterdziestoletnich zwłokach ukrytych w moim domu? - zapytała pogodnie.

Westchnął ciężko.

- Będziemy w kontakcie w obu kwestiach. W obustronnym kontakcie, mam nadzieję.

- Poinformujemy pana, kiedy go znajdziemy.

- Włamywacza czy trupa?

- Obu, co będę panu trupów żałować.
- Hola, hola, niepokojąco brzmi ta liczba mnoga!
- Co poradzę, że włamywacze tu mają kiepskie statystyki przeżywalności? – zapytała złośliwie i zachichotała.

A kiedy pół godziny później odjechał razem z technikiem, znów wyszła przed dom i stała tam przez dłuższą chwilę, zbierając się do czegoś, co odwlekała już od kilku dni.

Powinna zadzwonić do Olgierda, powiedzieć mu o niedawnych odkryciach – może podsunie jej jakiś trop. Przez kilka minut patrzyła na imię syna Luli na swoim ekranie, ale nie mogła się zdobyć na wykonanie połączenia. Bała się. Nie tylko tego, że go rozczaruje i dowiedzie ostatecznie, że na podarowany jej dom po prostu nie zasługuje.

Przez te lata z Lulą pozwoliła sobie na tkanie złudzenia, że jest kimś więcej niż pomocą domową, opłaconą opiekunką. Synowie Luli cenili jej pracę i poświęcenie, więc zawsze byli dla niej mili. Nawet po pogrzebie. Ale przecież nawet najgęściej tkane złudzenie wciąż jest tylko złudzeniem. Które rozwieje się w okamgnieniu, gdy Weissbergowie przestaną kojarzyć ją z pomocą dla matki, a zaczną – z kłopotami dla siebie.

Nina schowała telefon. Poradzi sobie sama. Nic nowego. Zwłaszcza że teraz ma u boku Gracje.

WIELKIE OTWARCIE SCHODÓW

Zuza wróciła do pisania. Zaledwie kilkanaście minut po wyjściu Straszewicza z gabinetu dobiegało znów głośnie stukanie i pomrukiwanie Fąfla. Pies uznał, że może się już zrelaksować, bo obcy mężczyźni zniknęli. Doskonale rozumiał, że skład jego stada uległ zmianie. Dotąd miał obok siebie tylko Roberta i Matiego, oraz Dolly, która choć głośna i czasami nieznośnie nabuzowana energią, była jego młodszą siostrą. Potem poznał Ninę i doszedł do wniosku, że również pasuje mu do stada. A skoro Agata i Zuza były częścią stada Niny, Fąfel gładko zaakceptował obie kobiety. Zwłaszcza Zuze, bo miała cudowny zwyczaj siedzenia przez dłuższy czas w jednym miejscu, a gdy się bardzo mocno skupiała na pracy, automatycznie miziała grzbiet Fąfla stopami w mięciutkich skarpetkach. Robert i Mati nie mieli tak miękkich skarpet, co z psiej perspektywy stanowiło jawne niedopatrzenie.

Za progiem gabinetu nie było już tak cicho i spokojnie, więc Fąfel, jeśli mógł, trzymał się blisko Zuzy.

Tymczasem na korytarzu bracia Janta budowali schody. Nowe belki i stemple były już docięte, pomalowane i przykręcone we właściwych miejscach i teraz fachowcy mozolnie stawiali konstrukcję nowej ramy. Czy jakkolwiek się to nazywało. Nina była kompletnie zielona w zakresie nazewnictwa, a kiedy Robert używał jakiegoś terminu, ten wlatywał jej jednym uchem i znikał, zanim zdołał wylecieć drugim. Zaraz znów wskazywała coś palcem i

nazywała to „wichajstrem do tentegowania”. Podejrzała, że cierpi na jakąś nieznaną dotąd formę remontowej dysleksji. Ale z innymi rzeczami radziła sobie bardzo dobrze. Razem z Agatą wyszorowały ściany w salonie i jadalni, a gdy te wyschły, zagruntowały je na biało. Pomieszczenia były naprawdę wielkie, więc zanim kończyły drugą ścianę, pierwsza okazała się już właściwie sucha; gdy przenosiły się do drugiego pomieszczenia, pierwsze miało czas na doschnięcie przed kolejnym malowaniem.

Nina nigdy wcześniej nie wybierała kolorów ścian. Mieszkania wynajmowane z rodzicami zwykle były pomalowane na rozsądne biele, kremowe żółcie czy nieśmiertelną brzoskwinkę. Dlatego kiedy pojechała do marketu budowlanego, zakładała, że kupi kilka kubłów kremowej farby, mającej w nazwie „skorupki jajka”, „śmietankę” czy „mgłę” i będącej możliwie blisko bieli. A potem stanęła przed regałami pełnymi puszek, wiaderk i kubłów, przed niezliczonymi ekspozyturami kolorów, i stwierdziła, że właściwie nie chce mieć jasnych ścian. Że kojarzą się jej z sierocińcem albo szpitalem. Poza tym przypomniawszy sobie berliński dom Luli, który mienił się kolorami – nie jaskrawymi, bo Lula kochała pastele, tak czy owak, barwa ścian w każdym pomieszczeniu znakomicie podkreślała jego unikalny charakter. Dlatego Nina uwolniła wodze fantazji i kupiła kilkanaście próbek – saszetek z miniwałeczkami i buteleczek z niewielkimi pędzlami w zakrętce.

Agata przyklasnęła jej pomysłowi i teraz malowały kwadraty dwadzieścia na dwadzieścia centymetrów w różnych barwach, by zobaczyć, jak każda współgra z pomieszczeniem i obecnym w nim światłem.

Nina usiadła na wciąż przykrytym prześcieradłem fotelu i patrzyła na upstrzoną kolorami ścianę, nie mogąc się zdecydować. Nagle konieczność podjęcia decyzji wydała się jej przytłaczająca.

Przyjaciółka przysunęła sobie drugi fotel i ulokowała się zaraz obok niej, jakby wyczuła w powietrzu zapach nadciągającej paniki. Przez chwilę przyglądała się uważnie ścianie i plamom koloru. A potem zapytała:

– Co sądzisz o tym pierwszym żółtym, po lewej?

– Zbyt jaskrawy, udaje światło, zamiast je odbijać – odpowiedziała odruchowo Nina.

Agata pokiwała głową i niespiesznie zagadywała o kolejne plamy koloru. Nagle Nina uświadomiła sobie, że choć nie potrafi wybrać od razu, ma opinię na temat każdej próbki.

Ostatecznie na polu bitwy zostały trzy kolory. Fiolet przypominający jej o lilaku, który uwielbiała, delikatny, kobiecy, podszyty dyskretnym różem. Szałwia, nobliwa i retro zarazem, która pięknie współgrała z kolorem podłóg i stolarki okiennej. Oraz delikatny błękit, niczym bezchmurne skandynawskie niebo w chłodny poranek.

– Szałwia – zdecydowała. – Za to lilak będzie bosko wyglądał w jadalni. A sypialnię pomaluję na błękitno.

– No tak, jeszcze góra! Przecież tam też na pewno trzeba odświeżyć.

– Mówiłaś, że kochasz malować. Zobaczymy, czy nie zmienisz zdania po pokryciu farbą tylu metrów kwadratowych.

– Góra jest w podobnym stanie? – zapytała Agata, bo mycie ścian i szpachlowanie ubytków było nie mniej czasochłonne niż gruntowanie i malowanie.

– Nie wiem, właściwie nic tam nie widziałam. Byłam dziko zmęczona, wywaliło korki, a potem wydarzyła się cała ta rozpierducha z włamywaczem, więc nie mam pojęcia, czego się spodziewać na piętrze.

Znów poczuła, że nie może oddychać. Przytłaczały ją ta niepewność i ten strach. Czego się boisz?, pytała się w duchu, bo sama nie rozumiała do końca, dlaczego jej ciało odbiera całą tę sytuację jak źródło stresu. Boisz się uwierzyć, że to twoje, bo potem może się okazać, że wcale nie, odpowiedział cichutki głos Niny cynicznej, której trudno było przyswoić, że ma w kartach cokolwiek dobrego.

– Poradzimy sobie ze wszystkim, Nino. – Agata poklepała ją po ręce. – Nie mierzysz się z tym sama, masz całą ekipę. Włamywacz czy remont, to bez znaczenia. Jesteśmy tu dla ciebie.

Ucisk w piersi powolutku puszczał. Może jej życie rzeczywiście się odmieniło? Bała się powiedzieć to na głos. Nie była aż tak szalona, żeby w ten sposób prowokować los.

*

Następnego dnia Robert zawołał Gracje na korytarz. Z nożycami do cięcia kabli w dłoni stał przed istniejącymi, realnymi, najprawdziwszymi schodami. Między ścianą a pierwszą tralką balustrady przeciągnięty był pas papierowej taśmy malarskiej, niczym wstęga czekająca na przecięcie.

Mateusz opierał się o ścianę, patrząc na wynik ich pracy. Oto przewaga stolarki nad nauczaniem, pomyślał. Naprawdę szybko widać wyniki. A gdy człowiek jest sfrustrowany, może walnąć w problem młotkiem.

– O ranyśku! Mamy schody! – Zuza aż podskoczyła i zaklaskała.

– Do nieba! – Nina wystawiła piątki do przybicia i po chwili cała trójka płaśała, wykonując osobliwy taniec zwycięstwa.

– Gdyby postawić między nimi kociołek albo rozpalić ognisko, wszystko nabrałoby sensu – powiedział szeptem Mateusz, a Robert musiał się powstrzymać od bardzo nieprofesjonalnego śmiechu.

– Która pełni honory i przecina wstęgę? – zapytał.

– Ni-na! Ni-na! Ni-na! – skandowały Agata i Zuza, wymachując wyimaginowanymi pomponami.

Robert podał jej nożyce, ale ona pokręciła głową. Podeszła do improwizowanej wstęgi i rozszarpała ją na strzępy, jak przepełniony emocjami szop.

– Na górę, drogie Gracje! Na górę! – zawołała.

I już wchodziły po schodach, tanecznym krokiem, w jakiejś dziwnej synchronizacji, jakby słyszały muzykę dostępną tylko dla siebie. Mateusz poklepał brata po plecach i podpowiedział:

– *Sok z żuka*, dokładnie tego skojarzenia szuka twoja głowa. Chciałeś dziwną, to masz. Przynajmniej nie będzie nam nudno.

Faktycznie, teraz Robert też słyszał tę melodię. Nie sprostował słów Mateusza. Spychał informację o tym, że nie będzie tu mieszkać sama, w najdalszy kącik podświadomości.

PIĘTRO ZAMROŻONE W CZASIE

Dostęp do piętra otworzył przed Gracjami całkiem nowe możliwości. Natychmiast zapomniały o włamywaczu i tajemnicach. Dom był niczym kapsuła czasu. Meble, tkaniny, zasłony i materace z końskiego włosia aż krzyczały: „Mamy sto lat, prosimy o emeryturę, a przynajmniej solidne odkurzenie!”. Kobiety nie znalazły właściwie żadnych śladów bytności poprzedniego pana domu. Jakby faktycznie przez ostatnie trzydzieści lat swojego życia nie wchodził po schodach i spał na parterze, na wygniezionej kanapie w gabinecie.

Pokój, w którym w noc przyjazdu ulokowała się Nina, należał bez wątpienia do Luli i nie zmienił się od czasów, gdy jako nastolatka mieszkała tam i słuchała Niemena czy Rolling Stonesów (na ścianie wciąż wisiał, przyczepiony szpilkami do filcowej tablicy, plakat, wyburzały tak bardzo, że ledwie można było rozpoznać twarze Jaggera i reszty). Na szafce nocnej stał magnetofon szpulowy, obok piętrzył się stosik zaczytanych książek, a na oparciu krzesła spoczywała kwiecista koszula non-iron, jakby nastoletnia Lula rzuciła ją po szkole i nigdy nie wróciła, by ją uprać i schować do szafy. Było w tym coś niepokojącego, jakby wszystko zamarło w jednej chwili i nie zdołało znów ruszyć z miejsca. Jakby nagły wyjazd Luli zakończył coś bezpowrotnie w życiu Leopolda Ukleja. Czy możliwe, że nawet gdy odwiedzała ojca (bo chyba to robiła, prawda? Pilch wspominał o odwiedzinach), nie zatrzymywała się w tym domu? Byłoby to co najmniej dziwne.

Wyobraźnia Gracji galopowała, podkarmiana osobliwościami zajmowanej przestrzeni, która wydawała się kryć całe mnóstwo tajemnic – nie mniej niepokojących niż lokalizacja nieboszczyka sprzed lat.

– To naprawdę jest materiał na książkę – powiedziała Zuza. – Sage rodu Uklejów, taką biegnącą przez co najmniej stulecie i opisującą wszystkie historyczne perturbacje, a ostatecznie znajdującą finał w historii upartego ojca i córki, która wyjeżdża, by zacząć nowe życie z dala od rodzinnych stron. Jest w tym coś symbolicznego.

– Uważaj, Zuzka, zanim się obejrzysz, trzeci deadline będzie dyszał ci w kark – zażartowała Agata, ale musiała przyznać, że jej pisarski instynkt również został podkarmiony. Miała w głowie pomysły na co najmniej kilka fabuł.

Nina milczała. Ścisnęła ją w żołądku od emocji, których nie potrafiła nazwać. Tęskniła za Lulą, której ślady znajdowała w pokoju, wybranym po ciemku w tamtą feralną noc. Jakby wyczuła tu ducha przyjaciółki.

Reszta piętra także wydawała się zatrzymana w czasie. Mieszkaniowy odpowiednik komara uwięzionego w żywicy, który wraz z upływem milionów lat zmienia się w bursztyn. Ktoś mógłby w tym domu kręcić filmy osadzone w trzech czy nawet czterech (licząc kuchnię ze schyłku PRL-u) epokach.

Po lewej, nad salonem i gabinetem, mieściły się trzy zgrabne sypialnie umeblowane tak, jakby miały tu mieszkać młode dziewczyny. Pastelowe zasłony i kapy w delikatne wzory, wykończone falbankami i koronkami, ramy łóżek udekorowane romantycznymi płaskorzeźbami kwiatów i ptaszków... Tyle że gdy Nina zajrzała pod narzuty, odkryła ślady pleśni. No i kurz – warstwy kurzu narastające latami były imponujące!

Zaraz przy schodach mieściła się przestronna łazienka z wanną na lwich łapach i okrągłym oknem wychodzącym na las za domem. Wymagała porządnego sprzątania, ale kafelki były tak stare, że wydawały się znów całkiem modne. Urządzenia okazały się sprawne, choć woda stojąca w rurach potrzebowała czasu, by stracić mętnobrazowy kolor.

Po prawej stronie schodów Nina znalazła główną sypialnię z prywatną łazienką. Między drzwiami a łóżkiem stało mnóstwo kartonów i worków z ubraniami, przez co ledwo dało się wejść do pokoju. Sądząc po wystroju i kolorach, ostatnią osobą, która cokolwiek tu zmieniała, była matka Luli, która zmarła, gdy ta była malutką dziewczynką. Czy możliwe, że to wtedy Poldek przeniósł się na dół, na kanapę w gabinecie? Najdziwniejsze, że po tylu latach pokój wciąż wydawał się pachnieć męską wodą kolońską. Roboty, sprzątania i wynoszenia betów było tu najwięcej, Gracje zostawiły więc sobie ten pokój na sam koniec.

Ostatnim pomieszczeniem na piętrze był duży pokój, który natychmiast skojarzył się Ninie z dziecięcą bawialnią. Jakby jeszcze chwilę temu siedziała tu guwernantka, odpytująca dziewczęta ze znajomości łaciny. Stół otaczały rzeźbione krzeselka, a na ścianie wisiała czarna tablica. Na podstawce leżały skamieniałe kawałki kredy, podłogę zakrywał natomiast wielki, okrągły, turecki dywan. Na kilku niskich regałach ustawiono kilka książek (na pierwszy rzut oka żadna nie pochodziła z ostatnich siedemdziesięciu lat), globus, na którym Imperium Brytyjskie wciąż było całością, zestaw małego chemika z czasów, gdy radioaktywność stanowiła naukową nowinkę, oraz kolekcję skał i minerałów.

Z bawialni wydzielono niewielki kąt, mieszczący wąziutkie łóżko i szafę jednodrzwiową. Zapewne rezydowała tu służąca lub guwernantka.

Uderzyło Ninę, jak bardzo historia Uklejów odbija się na domu, niczym słoje w drewnie, znaczące upływ czasu. Na początku dwudziestego wieku rodzina była liczna i bogata, stać ją było na utrzymanie dużej posiadłości i zatrudnienie służby. Lula, przedstawicielka ostatniego pokolenia Uklejów, pracowała od czternastego roku życia, bo jej ojciec – już nie dziedzic, tylko zwykły rzemieślnik – nie był w stanie utrzymać ich dwojga. Dopiero ślub z niemieckim fabrykantem Fredrickiem Weissbergiem sprawił, że nie musiała się już martwić o pieniądze. Co prawda Poldek Uklej mógł sprzedać posiadłość i tym samym pozbyć się problemów finansowych, ale zdaniem Luli był zbyt dumny, by wyrzec się ojcowizny. Cenił pozory i tradycję i upierał się, że dom powinien zostać w rodzinie.

Nagle coś Ninę tknęło: czy to możliwe, że miał inne powody, by unikać sprzedaży? Przypomniała sobie, co mówił prawnik – trzy lata przed śmiercią Poldka wymieniono dach i okna, ale staruszek nie pozwolił tknąć schodów, choć te były w kiepskim stanie. A zatem całkiem prawdopodobne, że trup wciąż był wówczas w skrytce! Potem gospodarz gdzieś go przeniósł. Tylko gdzie?

*

Agata po raz kolejny pogratulowała sobie pomysłu przyjazdu do Ustki. Jak dobrze, że nie zostawiły Niny z tym samej! Ewidentnie coś się z nią działo. Krążyła po domu niczym obłąkana pani Havisham, dotykała przedmiotów w pokoju Luli i w bawialni, raz po raz zamierała na dłuższą chwilę, pochłonięta jakąś dziwną melancholią. Początkowo myślały z Zuzą, że to echo traumy tej pierwszej nocy, przerażenia, które musiała czuć, kiedy w ciemności spotkała włamywacza, ale to było coś więcej. Coś, co przygasiło ją kompletnie.

Nagle odwróciła się w ich stronę i wyrzuciła z siebie:

– Słuchajcie, jeśli Poldek zwlekał latami, by go przenieść, to jako starzec nie mógł raczej wykopać grobu w lesie. Bo chyba założenie, że trup wciąż był pod schodami, gdy wymieniali tu dach i okna, jest uzasadnione, skoro nie pozwolił się do nich zbliżyć robotnikom. To oznacza, że trup nie tylko gdzieś tu jest, ale też że raczej nie został zamurowany w ścianie. Nie widać śladu murowania, tych pokoi nie malowano od czterdziestu lat. To są konkretne wskazówki!

Ani Agata, ani Zuza nie nadały. Domyśliły się, że Nina przez dłuższą chwilę odbywała tę rozmowę sama ze sobą, zanim postanowiła je do niej włączyć. Mimo to odetchnęły. Bo z trupem i tajemnicą domu Uklejów mogły poradzić sobie łatwiej niż z demonami przyjaciółki.

– Poza tym koniecznie trzeba poszukać tego, czego szukali włamywacze. Litwin wchodził po schodach, czyli pewnie to coś jest tu, nie na parterze. Przecież nie wdrapywałby się po ciemku na piętro tylko po to, by skorzystać z toalety, prawda? – dodała Agata.

– Cokolwiek tu schowano, znajdziemy to. To teraz moje terytorium i jeśli mają się tu kryć jakieś trupy, to moje, a nie przeleżałe i czterdziestoletnie – podsumowała twardo Nina.

*

Szukały. Przetrzały kolejno sypialnie dziewczęce i łazienkę, zaglądały w każdy kąt, pod łóżka, do szuflad w komodach, do panińskich sekretarzyków i toaletek. Znajdowały mnóstwo rzeczy, ale nic, po co trzeba by się włamywać w nocy. Nic, co byłoby warte przemytu.

Godziny poszukiwań nie poszły jednak na marne. Gracje dokonały selekcji znalezisk, rozdzieliły też między sobą pokoje, ustaliły, co trzeba wymienić i co dokupić. Zorganizowana niczym generał Agata

sporządziła na komórcie odpowiedni dokument z listą zakupów i rzeczy do zrobienia, i udostępniła go dziewczynom, by mogły dopisywać swoje punkty.

Im dokładniej oglądały dziewczęce sypialnie, tym więcej rzeczy do wywalenia znajdowały – wilgoć z ciekącego przed wymianą dachu i lata bez ogrzewania zrobiły swoje. O ile solidne drewniane meble i podłoga miały się nieźle, o tyle pościel, materace, zasłony i dywany pochłaniała pleśń. Podeszły do niej z należytych respektem – uzbrojone w maski i rękawice. Mimo wszystko Nina starała się pamiętać, że dom ma „zdrowe kości”, jak powiedział Robert i jak powtarzała jej Agata.

– Nie ma tu nic, z czym sobie nie poradzimy – najstarsza z Gracji mówiła to tak często, że dziewczyna w końcu w to uwierzyła i przestała się zamartwiać. Czekają jej mnóstwo szorowania przy użyciu kilku litrów środków czyszczących i dziesiątki kursów do kontenera na parterze. Za to późniejsze malowanie i urządzenie pokoi to będzie już czysta przyjemność.

– Nina! Mogę cię na chwilę prosić?! – usłyszała wołanie Roberta.

– Już schodzę!

Zbiegła po schodach, a Agata i Zuza wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

POSZUKIWANIA I PRZYDASIE

W garażu było ciemnawo. Okna, wąskie i położone pod samym sufitem, pokrywał tłustawy nalot spalin i smarów, więc promienie słoneczne nawet w najjaśniejszy dzień przebijały się przez nie z trudem.

Nina nie była pewna, czy słowo „garaż” pasuje do tego pomieszczenia. Była to właściwie graciarnia z funkcją przechowywania samochodu – wiekowego poloneza, który stał na jego środku. Wszystko porastała warstwa tłustego kurzu, a ciężki zapach chemikaliów wiercił w nosie. Każdy wolny metr kwadratowy podłogi zasłaniały pojemniki, skrzynie, druciane kosze, kartony. Do tego trzy z czterech ścian pomieszczenia zajmowały regały i blaty robocze, na których piętrzyły się kolejne pojemniki, narzędzia, słoiki śrubek i gwoździ. Kolekcje przydasiów gromadzone od pokoleń w obfitości, od której Ninie kręciło się w głowie. Zwłaszcza gdy sobie uświadomiła, że kiedyś i tu będzie musiała zaprowadzić porządek.

– Miałabym większe szanse na znalezienie tego, czego szukamy, gdybym wiedziała, co to dokładnie jest. – Potrzebowała wyartykułować tę oczywistość, gdy kolejny kwadrans przeglądała niezliczone pudełka, plastikowe koszyczki i skrzyneczki pełne rzeczy, których nazw nie знаła, a których przeznaczenie pozostawało dla niej tajemnicą. Warsztat był dla niej kompletnie obcym terytorium i czuła się tu odrobinę nieswojo.

Robert przetrząsał metalowe szufladki regału. Nina miała rację co do jednego – szanse na to, że w zbiorach Poldka znajdzie klucz nasadowy w potrzebnym mu rozmiarze, były naprawdę spore. W garażu mieściło się wszystko i jeszcze więcej, Uklej chyba nigdy nie wyrzucił choćby jednej śrubki czy nakładki. Nad przepelnionymi szufladkami unosiły się obłoczki rdzy i ciężka nuta smaru oraz benzyny.

– Mówiłem ci, klucz nasadowy sześciokątny – powtórzył.

– I może frytki do tego – mruknęła pod nosem – i pyłek wrózkowy, nie inaczej – dodała, krzywiąc się, bo z koszyka, który podniosła, pociekło coś cuchnącego, terpentyna albo rozpuszczalnik.

Robert parsknął. Wyciągnął z kieszeni spodni komórkę, wpisał w wyszukiwarkę hasło i pokazał Ninie zdjęcie.

– Aaaa, takie coś jak do wymiany koła w samochodzie – powiedziała.

– Mniej więcej, tylko mniejsze. Rozmiar jest nietypowy i nie mam w zestawie takiej nasadki. Ale podejrzewam, że Uklej mógł mieć, bo najpewniej to on montował uchwyty do rur. Żaden fachowiec nie odwaliłby mu takiej maniany.

– A nie możesz ich przeciąć czy przewiercić? – zapytała.

– Wolałbym nie. Ciasno tam i łatwo o wypadek.

Wysunęła spod blatu pordzewiały popielnik, z którego sterczało sporo metalu.

– Hej, chyba coś mam! – zawołała, bo zauważyła na ręczce pojemnika napisane mazakiem słowo „stolarka”.

Po kolei odkładała na tłusty i brudny od smaru blat narzędzia stolarskie, aż wyciągnęła dwa, które wyglądały jak fajka, i jeden z podobnym końcem, ale zakończony jak litera T. Uniosła je i pokazała Robertowi.

- Mamy to! Oby rozmiar się zgadzał - powiedział Robert, idąc w jej stronę i omijając rozkraczanego poloneza.

Cofnął się natychmiast, gdy pod jego stopą rozległ się charakterystyczny trzask. Przyklęknął i obejrzał dokładniej drewniane deski rozciągnięte na podłodze niczym pułapka - wystarczyłby jeden nieostrożny krok, by spaść do głębokiego kanału.

- Ale wilczy dół! Drewno całkowicie spróchniało i raczej nie utrzymałoby ciężaru nawet tak niewielkiego jak twój. A do dna kanału jest metr jak nic. Będzie to trzeba koniecznie zabezpieczyć - dodał.

Docisnął deskę śrubokrętem. Zmurszałe drewno rzeczywiście trzymało się na słowo honoru.

- Może bym się nie zabił, ale prawdopodobnie poharatałbym nogę. Zrobię ci nową klapę, gdy skończymy większe rzeczy, a do tego czasu uważajcie, okej? - poprosił.

- Jasne. Wiesz, to nie tak, że ja i polonez mamy plany na weekend - rzuciła lekko.

- Nie kładź na nim kreski. Znam kogoś, kto może go postawić na nogi, czy raczej kółka.

- Myślisz, że warto? Naprawa nie puści mnie z torbami?

- Pojęcia nie mam, ale Paweł może wpaść, obejrzeć i wycenić robotę. Poza tym ten rower w kącie też nie jest stracony do użytku: wymienisz koła i linki hamulcowe, przesmarujesz i możesz jeździć. Zanim zaczniesz się rozbijać po okolicy polonezem, rower będzie w sam raz, bo do sklepu daleko.

Nina z rozbawieniem przypatrywała się Robertowi, który jeszcze nie skończył planować naprawy roweru, a już pochylał się nad farelką z poplątanym kablem i przyrdzewiałą osłoną.

- Zawsze tak masz? Rozglądasz się i widzisz rzeczy, które są zepsute, ale nadające się do naprawy? - zapytała.

Robert prychnął.

- Być może. Jestem co najmniej trzecim pokoleniem Jantów wyznającym kult przydasiów. Powinnaś zobaczyć garaż mojego ojca. Już nawet nie może w nim zaparkować auta, bo ma tam tyle wszystkiego, od narzędzi po materiały, które na pewno kiedyś się do czegoś jeszcze przydadzą. Jeśli dobrze poszukasz, znajdziesz tam nawet boczne kółka z naszych dziecięcych rowerków. O ile nie przykręcił ich do kosiarki albo do maminego wózka na zakupy.

- To musi być fajne - przyznała.

- Co? Mieszkanie w graciarni?

- Posiadanie rzeczy z przeszłości. Wiesz, takich, które budzą wspomnienia. Które są jak małe kapsuły czasu.

Przez chwilę jej się przyglądał, niepewny, czy mówi poważnie.

- Chyba każdy ma takie rzeczy.

- Boczne kółka od roweru? Nie, nie każdy. Byłam prawie dorosła, gdy pierwszy raz wsiadłam na rower, a do górali nie robią bocznych kółek. Choć by się przydały, miałam strasznie poobijane łokcie i kolana, zanim nauczyłam się balansować swoją wagą.

- Nie mówisz tylko o kółkach, prawda?

Zamiast odpowiedzieć, uśmiechnęła się blado.

- Naprawdę nie mam za wiele rzeczy - odezwała się po chwili. - Przyjechałam z jedną walizką i plecakiem, nie wiem, czy mam tam cokolwiek starszego niż dziesięć lat. Moja rodzina nie była zbyt... sentymentalna. Dużo się przeprowadzaliśmy - dodała wymijająco.

- No, to jeśli marzyło ci się kolekcjonowanie przydasiów i wspomnień, to teraz masz doskonałe warunki - powiedział łagodnie.

- Nadal nie mogę uwierzyć, że ten dom należy do mnie. Jest jak obietnica życia kompletnie innego niż wszystko, co znałam do tej pory. Muszę się nauczyć zapuszczać korzenie. Ale szczerze? Cieszę

się, że Gracje ze mną trochę pomieszkają, zanim się z tym wszystkim oswoję.

- Gracje? - zapytał, gwałtownie odwracając się w jej stronę.

- No Agata i Zuza, trzy Gracje, ze mną do kompletu. To pomysł Zuzy, uznała, że musimy mieć nazwę. Proponowała Muszkieterki, ale przegłosowałyśmy ją z Agatą, wybierając Gracje - wyjaśniła.

- Och, myślałem... - urwał, wyraźnie speszony. Patrzyła wyczekująco, więc westchnął i przyznał: - Kiedy powiedziałaś, że nie będziesz mieszkała tu sama, założyłem, że... no wiesz, masz kogoś.

Nina nie mogła powstrzymać śmiechu.

- No co! To było logiczne założenie! - tłumaczył się. - Młoda, atrakcyjna kobieta wprowadza się do domu w lesie, ale nie obawia się samotności, bo nie będzie mieszkać tu sama. Co byś pomyślała?

- Dzięki za komplement. Nie mam nikogo. Żaden przyszły pan Rawicz nie dojedzie. Jestem ja. I Gracje. Czy to coś zmienia? - zapytała, wciąż rozbawiona.

- Może. Jaki masz stosunek do umawiania się z pracownikami? - zapytał.

- Nigdy nie miałam pracownika, więc nie opracowałam reguł postępowania w takich sytuacjach - przyznała.

- Przemyśl to i daj mi znać.

- Nie omieszkam - zapewniła rozbawiona.

Ominął klapę nad kanałem i wziął od Niny wszystkie klucze nasadowe, jakie znalazła.

Przeszli do kuchni. Od razu zrobiło się jaśniej i zniknął wierzący w nosie zapach chemikaliów.

Dzwonek do drzwi wyrwał Ninę z rozważań o tym, czy Robert właściwie zaprosił ją na randkę. Bo chyba mówił o sobie, a nie sondował dla Mateusza czy jeszcze kogoś innego, prawda?

Kręcąc głową nad własnym nieogarnięciem, przeszła przez dom do drzwi wejściowych.

Na progu stał dzielnicowy Boberek z bardzo nieszczęśliwą miną.

FRUSTRACJE I OBJAWIENIA DZIELNICOWEGO BOBERKA

Dzielnicowy Boberek był zarówno człowiekiem czynu, jak i optymistą. Kochał pracę w policji głównie dlatego, że naprawdę lubił swoją społeczność, a służenie sąsiadom i dbanie o ich bezpieczeństwo uważał za powołanie, którego zew poczuł jako młody chłopak i które po prawie dwunastu latach służby pozostawało tak samo silne jak na początku.

Właśnie dlatego spokoju nie dawało mu to, że ktoś na jego terenie, do tego młoda kobieta, nie może czuć się bezpiecznie we własnym domu. To się po prostu nie mieściło w systemie wartości dzielnicowego Boberka. Było mu solą na rany i drzazgą w oku.

Gdy się dowiedział, że Gracje rozpoznały intruza, a laboratorium potwierdziło, że odciski palców zgadzają się z tymi znalezionymi po drugim włamaniu, jego frustracja wzrosła. Bo z Olkiem Wojaczkiem miał długą historię, która zaczęła się jeszcze w podstawówce. Nie miałby nic przeciwko, gdyby skończyła się raz a dobrze – gdyby Olek nawywijał na tyle poważnie, by go zamknęli na lata, lub by na dobre wyjechał i stał się cudzym problemem. Niestety, łajdak zawsze wracał, jakby coś go ciągnęło do Zapadłego. Coś, czy raczej ktoś. Stary Wojaczek i jego syn mieli burzliwą relację, nienawidzili się, żarli jak wściekłe psy, a jednocześnie Olek nie potrafił się od

rodzinnego domu trzymać z daleka i wcześniej czy później wracał niczym niedoleczona opryszczka.

Zaraz potem zaczynały się awantury, okolica robiła się mniej spokojna. Tu włamanie czy pijacka burda, tam jakieś zniszczenie mienia. Aż ojciec tracił cierpliwość i sam dzwonił po policję, dawał zielone światło do przeszukania domu, licząc, że coś znajdą i zabiorą syna choć na jakiś czas. Tym razem twierdził, że nawet gówniarza nie widział, ale dzielnicowy nie całkiem mu dowierzał. Bo równie często bywało, że krył syna niesiony falą rodzicielskich uczuć.

Dlatego Szymon Boberek odwiedził starego Wojaczka, gdy tylko miał potwierdzenie, że to Olek naprzykrza się Ninie Rawicz. Wyłożył mu dokładnie, co grozi za ukrywanie podejrzanego. A że puścili za nim list gończy, Olek miał oficjalny status zbiega. Zresztą, gdy poszperali, okazało się, że podlega nakazowi aresztowania wydanemu przez prokuraturę we Wrocławiu, gdzie ostro nawywijał i został oskarżony o rozbój i wymuszenie. Stary nie miał o tym pojęcia.

– Przysięgam, nie wiem, gdzie ta łajza siedzi. Na pewno nie pod moim dachem. Nie jest tu mile widziany – wyburczał stary.

– Gdyby się pojawił, da mi pan znać. Zamkniemy go grzecznie, zanim napyta sobie biedy – poradził dzielnicowy i postukał w swoją wizytówkę, którą kilka lat temu wsunął pod magnes z mewą na lodówce Wojaczka. Nadruk zbladł, a kartonik był wymiętolony i brudny, ale numer telefonu wciąż pozostawał czytelny.

– Jakby nie miał dość rozumu, by się ode mnie trzymać z daleka – burknął stary.

– Panie Wojaczek, w ciągu kilku dni włamał się do domu młodej kobiety i go zdemolował, a potem przylazł tam znowu. Jemu się już klepki całkiem obluzowały i teraz posiedzi dłużej – tłumaczył cierpliwie dzielnicowy.

- A co to za kobieta? Przecież on za babami się nigdy nie oglądał. Na co mu jeszcze babskie kłopoty? - Wojaczek wątpiaco pokręcił głową.

- Dziewczyna odziedziczyła dom Uklejów. Ktoś jej tam wlaźł pierwszej nocy. O dziwo, miał klucz. Można by się zastanawiać skąd.

Stary zbladł. Słyszał to i owo, ale widać nie wszystko.

- Nic jej nie zrobił? - zapytał cicho.

- Nie zdążył. Nie żyje. Los sprzyjał dziewczynie i tylko patrzeć, jak i Olkowi powinie się noga, jeśli nie da jej spokoju.

- Ech, idiota - westchnął Wojaczek. - Zadzwońię po pana, jakby... no wie pan.

Dzielnicowy wiedział, że nic więcej nie wskóra, więc wsiadł na rower i pojechał do domu Uklejów. Zadzwoił do drzwi, by dać znać Ninie, że jej sprawa jest dla niego ważna, list gończy hula i to tylko kwestia czasu, kiedy złapią Wojaczka. Do tego czasu z ulgą przyjmował to, że młoda kobieta nie przebywa w domu sama. Rozpoznał auto Jantów oraz drugie, należące do Agaty Bunc.

Starał się, by jego słowa brzmiały rzeczowo i pocieszająco, ale wiedział, że zmartwienie wyziera mu z oczu. Nina zaprosiła go do kuchni na herbatę. Wyminęli całkiem nowe schody i klnącego pod nosem Roberta, który zmagiał się z jakimiś śrubami. Z gabinetu naprzeciwko kuchni dobiegało stukanie klawiszy i mamrotanie. Dom, jeszcze nie tak dawno cichy, teraz rozbrzmiewał własną melodią. Dzielnicowemu bardzo się to podobało.

Gdy usiadł za stołem, Nina zapytała:

- Naprawdę myśli pan, że on wróci, prawda?

- Wolałbym, żeby pojechał w cholere i uprzykrzał życie komuś innemu - odparł wymijająco.

- Ale coś go trzyma w tych stronach - zauważyła.

- Na to wygląda. Kilka osób go widziało. Wbrew rozsądkowi jeszcze nie zwiął z podwiniętym ogonem, choć musi wiedzieć, że go szukamy.

- Coś go trzyma - powtórzyła - i to coś pewnie jest w tym domu, skoro szuka pretekstu, by się tu pokręcić.

- Kiedy się wprowadzacie? - zapytał Boberek.

- W weekend już będę tu spać. Nie przepędzi mnie z tego domu, niedoczekanie!

Dzielnicowemu Boberkowi wcale się to nie podobało, ale miał dość rozumu, by o tym nie wspominać. Będzie musiał podwoić wysiłki i znaleźć gada, zanim ten znajdzie Ninę. Albo ona jego. Nie był pewien, na kogo postawiłby w tym starciu. Owszem, Olek był recydywistą i kawałem gnoja. Ale Nina była zdeterminowana. A dom i los zdawały się jej sprzyjać.

Kiedy był dzieciakiem, mówiono, że posiadłość Uklejów jest nawiedzona, że ma niepokojącą energię. Stary Poldek był trochę przerażającym starcem, a dom wydawał się przedłużeniem jego osoby.

Ale teraz... Dzielnicowy od razu zauważył, że panująca tu atmosfera uległa zmianie. Tak jakby wcześniej posiadłość synchronizowała się z upartym i gniewnym Uklejem, a teraz... Nie umiał tego nazwać, ale dom się zmieniał dla Niny. I nie chodziło tylko o remont. Było tak, jakby dostał więcej światła i uczucia, niż stary Poldek mógł z siebie wykrzesać po wyjeździe córki.

Może babka dzielnicowego, która miała reputację miejscowej szeptuchy, umiałaby to nazwać jakoś lepiej. Kiedyś przyszła do Szymkowego mieszkanka, rozejrzała się i powiedziała:

- Masz cegły, chłopcze, ale ciągle nie masz ducha domu.

Dzielnicowy odparł, że to w sumie dobrze, bo z duchami nie ma żadnego doświadczenia i nikt go w tym zakresie nie szkolił, ale

babcia Marychna pokręciła głową, wymamrotała coś o głupiutkich chłopcach i pobłogosławiła próg oraz drzwi wejściowe. Dzielnicowy oczywiście był człowiekiem racjonalnym i w sprawy nadprzyrodzone nie wierzył. Raczej. Bo tu, w ponadstuletnim domiszczu Uklejów w środku lasu, przekonania babci Marychny wydawały się bardzo na miejscu.

Domu Niny Rawicz, poprawił się. To już nie był dom Uklejów. I wcale nie chodziło tu o zapis w księgach wieczystych.

FURIE SPRZĄTAJĄCE

Robert czuł się nieco niezręcznie, balansując na drabinie z wiaderkiem szpachli w jednej ręce i metalową packą w drugiej. Zamierzał na spokojnie uzupełnić dziś wszelkie ubytki, dziury po śrubach i ślady po zalaniu sprzed lat, żeby przygotować ściany do malowania. Sęk w tym, że wykonując tę kosmetyczną i niekoniecznie wyczerpującą fizycznie robotę, czuł się prawie jak obibok.

Wszystkiemu winne były Gracje. Wparowały do domu z samego rana, każda niczym tornado energii i determinacji. W roboczych ubraniach, uzbrojone w rękawice i maski, baterię środków czyszczących i rolki worków na śmieci, pracowały, aż furczało. Jakby całe to zaniedbanie, w jakie popadł dom przez ostatnie dwadzieścia lat, stanowiło dla nich osobisty dyshonor, który wyzwolił w każdej nieodpartą potrzebę porządków i zadomowienia przestrzeni. Jeszcze kilka dni wcześniej Robert łapał się na myśli, że Nina traktuje ten dom niczym jeża. Nie postawiłby dychy na to, że zostanie tu na dłużej. Ale coś się zmieniło. Może nowe schody otworzyły jakąś dodatkową furtkę w jej głowie, a może dzielnicowy miał rację, dziewczyna szykowała się na ostateczne starcie z intruzami i to szuranie meblami, pucowanie i wynoszenie śmieci było mentalnym odpowiednikiem kopania okopów oraz rozwijania zasieków.

Obserwował tę krzątanię z lekkim niepokojem, niepewny, czy owładnięte amokiem porządków, na pewno przez cały czas mają na

uwadze jego obecność na drabinie. Czy aby go nie przewrócą albo z rozpędu nie zgarną do kontenera. W trzydziestej trzeciej wiośnie życia wolał o sobie myśleć, że zaczyna się łąpać na etykietkę *vintage*, ale to kwestia optyki. Poza tym jego męskie ego czuło się odrobinę poobijane tym, jak nieoczekiwanie silne okazały się Gracje. On tu szura packą, a one łąpały za rogi starego sprężynowego materaca w rozmiarze królewskim i targały go po schodach z dziką energią. Żadna nie wyglądała na siłaczkę, ale pozory myliły. Rzucili się z Mateuszem na pomoc, gdy utknęły na zakręcie schodów i we dwóch ledwie dali sobie radę z kolubryną cuchnącą myszami i pleśnią.

Agata była jak generał i walkiria w jednym. Wszystko miała zaplanowane i przemyślane, i dokładnie wiedziała, co i w jaki sposób powinno zostać zrobione. Nina, gdy napotykała na przeszkodę, marszczyła brwi, zaciskała zęby tak mocno, że rozlegało się zgrzytnięcie, a potem atakowała ową przeszkodę tak długo, aż ta przestawała nią być. Zuza wydawała się najbardziej wyluzowana. W dżinsowych ogrodniczkach i z jasnymi włosami splecionymi w dwa francuskie warkocze, zakasała rękawy czerwonej bluzy i mamrotała:

– Łatwizna, dasz radę! Mogłabyś teraz pisać scenę erotyczną! – I atakowała kolejne wyzwania niczym dzielny piechur.

Wywlekły trzy materace do kontenera, wypełniając go po brzegi.

– Cholera, potrzebujemy nowego – powiedziała Nina. – Dywany pod łózkami są całkowicie przegniłe.

– Bierzemy się za nie! Możemy przy okazji sprawdzić, czy w tym filmowym zawijaniu trupa w dywan jest choć odrobina sensu – zaproponowała Zuza z niepokojącym entuzjazmem.

– Zgłaszasz się? – podłapała Agata.

– Wolę obserwację uczestniczącą – stwierdziła Zuza i rozejrzała się czujnie za potencjalną ofiarą.

Robert na wszelki wypadek wycofał się w głąb korytarza. Mateusz dusił się ze śmiechu, ale był dość cwany, by robić to w absolutnej ciszy. Wzrok Zuzy zawisł na chwilę na Faflu, który wylegiwał się na werandzie w pierwszych wiosennych promieniach słońca, ale pokręciła głową, odpuszczając pomysł.

– Gdzie ci włamywacze, kiedy mogliby się na coś przydać? – rzuciła Nina.

– Nawet Straszewicz by się nadał – przyznała Zuza z rezygnacją.

Po czym cała trójka, tupiąc donośnie na nowych stopniach, pomaszerowała na górę i po chwili po domu znów rozchodziło się szuranie, przeklinanie, sapanie i wybuchy śmiechu.

– Stary, one są... – Mateusz zamilkł, szukając odpowiedniego słowa. Wszystkie, które przychodziły mu do głowy, wydawały się nieco zbyt... oceniające.

– Jedyne w swoim rodzaju? – podrzucił Robert.

– Przynajmniej taką mam nadzieję. Nie wiem, co bym zrobił z informacją, że gdzieś tam jest ich więcej.

Robert wrócił na drabinę i dalej metodycznie wypełniał ubytki w tynku, a w głowie kołatała mu się myśl, że jeszcze dwa tygodnie temu nie wiedział o istnieniu tych kobiet. A teraz? Robiło mu się smutno na myśl, że miałyby zniknąć.

Jak Nina zniesie ich wyjazd?

HARÓWKA, WINO I ZWODNICZY BLASK KSIĘŻYCA

Trzy Gracje siedziały na pustej i starannie umytej podłodze sypialni, którą po cichu zaczęły nazywać sypialnią Agaty. Obok, również opróżniona z gratów i wypucowana, była sypialnia Zuzy. Od sypialni Niny zaczęły, a potem rozpędziły się na dobre.

- Kiedy kupię materace i pościel, naprawdę będą się nadawały do zamieszkania - powiedziała wzruszona Nina.

- Odwaliliśmy kawał solidnego zapierdolu - przyznała Agata z satysfakcją.

- W porównaniu z pisanem książek sprzątanie jest niemal euforycznie przyjemne. I wystarczy zakasać rękawy, by zobaczyć rezultaty - powiedziała Zuza, opierając się o świeżo pomalowaną, ale suchą już ścianę w kolorze blad różowym. - Zjadłabym teraz konia z kopytami. Albo lepiej pizzę. Cztery sery. I sałatkę Cezara z chrupkim bekonem. I coś na deser. Może jabłecznik? Albo cydr? Cydr z jabłecznikiem?

- O rany, Zuzka, to jest dręczenie! - jęknęła Nina. - Gdybyś to napisała na kartce, już bym ją przeżuwała.

- Dobra, dziewczęta, czas twardych decyzji. Był zapierdolu, musi być nagroda! Nie można cały czas karmić tylko jednego wilka - oświadczyła Agata, zbierając się z podłogi.

- Znowu o jedzeniu! - Nina pacnęła się w czoło.

- Żołądek dyktuje mi metafory. Co tylko świadczy o tym, że trzeba się zająć potrzebami ciała. Zbierajmy się, moje panny. Odstawimy się, doszorujemy i będziemy balować. Jeść, pić i śpiewać do księżyca. - Agata wyciągnęła ręce do Zuzy, by pomóc jej wstać, i razem postawiły na nogi Ninę.

- Przypomnijcie mi, co właściwie świętujemy? - zapytała Nina, kiedy zbiegały po schodach, uskrzydłone nową energią.

- Mnóstwo rzeczy! Wybitne osiągnięcia! - zakrzyknęła Zuza.

- Pozbyłyśmy się spleśniałych materacy, wyeksmitowałyśmy dwa gniazda martwych myszy, wywaliliśmy jakieś trzy kilometry przegniłych dywanów... To więcej sukcesów, niż osiągnęłam w tym miesiącu pisaniem. - Agata się zaśmiała.

- Powoli zbliżamy się do momentu, gdy będzie można ruszyć na zakupy. To najlepsza część remontu! Może nie dla portfela, ale na pewno dla głowy - zauważyła Zuza.

Nina aż zaklaskała z entuzjazmu.

- Gdybyśmy miały materace i pościel, naprawdę mogłybyśmy się wprowadzić w ten weekend!

- No brzmi jak plan. Sama przyznaj, że zasługuje na butelkę wina... albo dwie - skwitowała Agata.

- Nie mogę się kłócić z tą logiką - odparła Nina.

Zuza poczochnęła się po głowie.

- Tylko najpierw prysznic. Jestem pewna, że w moje włosy przeprowadziła się kolonia eksmitowanych pajaków. Czuję, jak mi tuptają po skalpie.

Gdy mijały Roberta na drabinie, Nina zawołała:

- Masz jakieś plany na sobotę?!

- Mam? - zapytał rozbawiony.

- No więc masz: zakupy meblowe. Zwrócę ci za paliwo i używanie mięśni.

Parsknął.

– Możemy jechać – zgodził się. Jedyne plany, jakie miał na sobotę, to malowanie ścian w salonie Niny. Wypadała też jego kolej na gotowanie, ale jeśli wyprawa się przedłuży, Mateusz zmięknie i sam coś przyrządzi.

Chwilę potem Gracje wpakowały się do auta i odjechały, trąbiąc klaksonem. Fąfel szczekał za nimi z werandy.

– Najwyraźniej my zamykamy i gasimy światło – powiedział rozbawiony Robert.

– Może nie są całkiem normalne, ale na pewno są rozrywkowe – stwierdził Mateusz.

Nie umknął mu maślany wzrok, jakim jego brat wodził za Niną Rawicz. Cóż, mógł trafić gorzej. Na przykład na Agatę. Ona była trochę przerażająca. Mateusz nie potrafiłby wyjaśnić, czemu tak właśnie uważa, ale wiedział, że woli żyć z nią w zgodzie. Tak na wszelki wypadek.

*

Gracje powiedziałyby zapewne, że cały wieczór intensywnie zbierały doświadczenia i celebrowały zakończenie porządków, prawda była jednak nieco bardziej brutalna. Bo owszem, bawiły się znakomicie – serwując sobie idealną mieszankę znakomitego jedzenia, świetnego towarzystwa i doskonałych okoliczności przyrody (po kolacji poszły na plażę, uzbrojone w pledy z pensjonatu, czapki i szaliki, bo wiatr był sztormowy) – ale zdradliwe ilości wina sprawiły, że końcówka wieczoru zamazywała się w ich pamięci, nieostra i oparta bardziej na przypuszczeniach niżli pewności.

Na przykład – musiały wrócić do Wielkiej Niedźwiedzicy, bo tam się właśnie obudziły.

- Nie mogło być naprawdę źle, skoro przebrałyśmy się w pizamy - zauważyła Agata, kiedy spotkały się rano w jadalni.

- Odruchy bezwarunkowe i pamięć mięśniowa uratowały nas przed spaniem w dżinsach, co należy docenić. - Zuza pocierała skronie.

Miała kaca. Czy powinna słyszeć szum własnej krwi w uszach i dudnienie serca rozchodzące się echem w klatce piersiowej?

- Jezu, czemu, czemu, kupiłyśmy trzy butelki? Czy ostatnia akcja z dwiema niczego nas nie nauczyła? - jęknęła Nina.

Zwykle nie piła, albo piła bardzo niewiele, za to wczoraj, cóż, odbiła sobie czasy młodości, zbyt spokojnej i nie dość szumnej.

- A to akurat pamiętam. Była promocja. Sprzedawczyni nas tak ładnie podeszła, że głupio byłoby nie skorzystać. Ta ostatnia butelka była za pół darmo - przypomniała sobie Agata.

- Na pewno? To, że nie płaciłyśmy forsa, nie znaczy, że nie płacimy w inny sposób - zauważyła Zuza.

Talerze ze śniadaniem stały przed nimi nietknięte, jakoś żadna nie obudziła się z apetytem. W szklance Agaty musowały elektrolity i aspiryna, bo podchodziła do problemu fachowo.

Zuza wlewała w siebie kawę, mocną i słodką. Jej organizm był przyzwyczajony do kawy, traktował ją jak podstawowe paliwo, więc liczyła, że teraz omami go rutynową dawką kofeiny, a on grzecznie zapomni wczorajsze ekscesy.

Nina wypila już litr soku pomarańczowego, bo ciągle ją suszyło, ale jedyne, co osiągnęła, to symptomy nadchodzącej zgagi.

Gdy rozległ się głośny (nieznośnie głośny!) sygnał komórki, każda popatrzyła po przyjaciółkach z wyrzutem.

- O kurczę, to mój - uświadomiła sobie Zuza, gdy kieszeń jej swetra zaczęła wibrować. Jęknęła, widząc nazwisko na ekranie. - Cześć, Julitko, co tam? - przywitała się dziarsko, jakby wcale nie

pękała jej czaszka. Przez chwilę słuchała tego, co miała do powiedzenia znajoma dziennikarka, a potem powiedziała: – Oczywiście, że pamiętam! I widzimy się jutro. Tak, Agata jest ze mną i razem stawimy się zgodnie z planem.

Wsunęła komórkę do kieszeni i spojrzała na przyjaciółki z lekką paniką w oczach.

– Agata... Czy ty wiesz, co jest jutro? – zapytała spokojnie.

– Jutro jest... sobota? – próbowała zgadnąć najstarsza z Gracji.

– Nie byle jaka sobota, moja droga. Jutro są Targi Książki w Bydgoszczy, te, na które zaproszenie obie przyjęłyśmy. Julita właśnie pytała, czy możemy przyjść pół godziny przed spotkaniem, to nagrałaby seteczkę do radia.

– O cholera! To już? Nie za tydzień? – Agata wyciągnęła komórkę i otworzyła aplikację kalendarza. – Oż cholera jasna, jak byk stoi, czemu mi się nie włączyła przypominajka? Ach, bo jej nie ustawiłam. Przypomniałoby mi jutro, pięć minut przed spotkaniem. Mistrzyni organizacji to ja.

– Musimy jechać...

– No musimy. Ale najpierw zajrzemy do komisariatu i dmuchnę w balonik, chcę mieć pewność, że wszystko mi już wywietrzało z głowy.

Nina zgarbiła się mocno, jakby coś przygniotło ją jeszcze mocniej niż kac, który dudnił jej w głowie i ścisnął żołądek.

– Co z pensjonatem? – zapytała przytomniej Zuza. Z tym, czemu nie podołała kofeina, poradził sobie telefon od Julity.

– A co ma być?

– Zwalniamy pokoje czy przedłużamy rezerwację? Bo w sumie mamy ją chyba do jutra, nie?

Agata opuściła powieki i liczyła w pamięci.

- Tak, dzisiejsza noc miała być ostatnia... Tylko czy jest sens przedłużyć? - zapytała.

- Też myślę, że niekoniecznie - zgodziła się Zuza.

Nina milczała. Podparła brodę na dłoniach i starała się nie rozplakać. Wiedziała, że życie prędzej czy później przerwie obecną idyllę i dziewczyny wyjadą, ale sądziła, że ma więcej czasu. Że tak jak się umawiały, pomieszkają chwilę wszystkie razem w domu w lesie.

- Musimy przewieźć rzeczy do Zapadłego, zanim pojedziemy do Bydgoszczy... I trzeba zdecydować, co z Niną, przecież ona się tam bez samochodu nie dostanie - zauważyła Agata.

- Chyba że wolisz, żebyśmy wszystkie trzy spędziły tam pierwszą noc? W takim wypadku zostawimy bagaże, ale ty posiedzisz tu do niedzieli i gdy wrócimy, razem ogarniemy wykańczanie sypialni, zakupy i resztę - zaproponowała Zuza.

- Chwila, wróćcie? - zapytała cicho Nina.

- No oczywiście! Pewnie w niedzielę wieczorem, przed południem mamy jeszcze jakiś panel, a potem dobre cztery godziny jazdy...

Nina patrzyła na Agatę wielkimi oczami.

- Chyba nie myślałaś, że cię tu zostawimy na dłużej niż trzy dni? - zapytała przyjaciółka.

- Ja nawet książki jeszcze nie skończyłam. - Zuza się zaśmiała.

- A ja zbieram materiały do konkretnej rozmowy o naszej wspólnej przyszłości - dodała enigmatycznie Agata.

- Nie bój żaby, nie pozbędziesz się nas tak łatwo. Chyba że powiesz stanowczo, że mamy się wynosić. Wtedy wiadomo: gdy gość zaczyna gospodyni pośmierduwać, czas się zwijać.

Nina głośno przełknęła ślinę.

- Nic mi nie pośmierduje - zapewniła.

- No to doskonale. A teraz chodźmy pozawracać głowę mundurowym.

*

Gracje wyjechały po jedenastej, pobłogosławione zerowym odczytem alkomatu i kiwnięciem głowy Marka Garstki, którego dyżurny wydzwonił, ledwie je zobaczył, wkraczające do komisariatu.

Wymeldowały się z Białej Niedźwiedzicy, odwiozły Ninę i sporą część bagaży do domu w Zapadłem (w tym najważniejsze: laptopy. „Widzisz sama, że na pewno wrócimy”, rzuciła Zuza, zostawiając w pustym pokoju swoją torbę z elektroniką), po czym ruszyły w drogę do Bydgoszczy, przeklinając zdradliwość terminów, które nieoczekiwanie przypuszczają atak na człowieka, oraz zobowiązania, które przyjęło się na siebie wiele miesięcy wcześniej.

Nawet po tym, jak ruszyły, odmachując Ninie, która zęgnęła je ze stopni ganku, jakby ruszały na wojnę z Bolszewikami (czy inną, wcale nie mniej groźną), nie przestały się zamartwiać. Bo wciąż gdzieś tam czaił się drań, który zagrażał ich przyjaciółce.

- Nie wiem, czy to był taki dobry pomysł - mruzczała Zuza, wierząc się na fotelu pasażera.

Agata podzielała niepokój przyjaciółki. W domu wciąż był ukryty przedmiot, na którym zależało niebezpiecznemu typowi. O zwłokach nie wspominając. Znakomite okoliczności dla pisarki, by puściła wodze wyobraźni, pozwalając jej podsuwać sobie wszystkie możliwe warianty fabularne (serwowanie czytelnikom nagłych zwrotów akcji było wręcz obowiązkiem autorskim!). Znacznie mniej przyjemne, gdy dotyczyły przyjaciółki, żywej osoby, której mogła się stać realna krzywda.

- Masz może numer do naszego fachowca? - zapytała po chwili milczenia.

- A wiesz, że mam! Doskonały pomysł - skwitowała Zuza.
Niewykluczone, że jej mózg wygenerował już podobny scenariusz.

A MOŻE JESZCZE KLOPSIKI?

Nina nie spodziewała się, że pustka będzie tak dotkliwa. Zapomniała, że Robert i Mateusz mają tego dnia wolne i ciszy nie rozbiją uderzenia młotka ani warczenie wiertarki. Ani szczekanie. Im dłużej siedziała sama, tym bardziej przekonywała się do pomysłu adopcji psa. Albo dwóch. Zawsze wołała koty, ale nigdy wcześniej nie mieszkała sama w wielkim domu w lesie. Psy dużo aktywniej wypełniały przestrzeń i dodawały otuchy. Nawet jeśli były zbyt przyjazne, by dowierzać ich funkcji wartowniczej.

Dom właściwie nie był cichy. Chyba wołałaby ciszę. Bo tu stale coś skrzypiało, tam coś dudniło w kominie czy stukalo w szybę... A przez to, że z trzech pokoiów na piętrze usunęły materace, dywany i większość miękkich tkanin, echo kroków niosło się niepokojąco czy wręcz złowieszczo.

Musiła się czymś zająć, wyciągnęła więc notatnik i laptop, usadowiła się za rozłożystym biurkiem Poldka Ukleja i zabrała do jedynej roboty, do jakiej jej mózg był w tym momencie skory. Nie umiała skupić się na pisaniu (plik otworzyła i zamknęła już po kilku minutach jałowego wpatrywania się w migający kursor), ale to nie znaczyło, że nie mogła wykorzystać udostępnionego z komórki wi-fi do celów zbożnych. Mniej więcej.

Odpaliła stronę Ikei. Wprawdzie do Trójmiasta miała spory kawałek, ale uznała, że jeśli sporządzi listę zakupów online, zyska masę czasu na miejscu. Poza tym zwyczajnie lubiła tę sieć. Przed

laty była tam z Lulą i miała z tej wyprawy same dobre wspomnienia. Bo po raz pierwszy w życiu kupiła sobie nowe ręczniki i poszewki. Zwykle zadowalała się tym, co udało jej się wyszukać w ciucholandzie, ale wtedy Lula nie chciała o tym słyszeć.

Przez kolejną godzinę wybierała na stronie internetowej wszystko, czego potrzebowała, i kilka rzeczy, bez których może i mogłaby się obejść, ale wcale nie chciała. Pobrała aplikację na komórkę i dodała wszystkie wybrane produkty do listy życzeń, by mieć pod ręką informacje o sygnaturach i lokalizacji w magazynie, a dodatkowo zanotowała wszystkie dane na kartce. Na wszelki wypadek.

Lula ją nauczyła, że poleganie na wi-fi nie zawsze jest rozsądne, zwłaszcza w wielkim magazynie wypełnionym metalowymi regałami, które mogą tłumić sygnał. Jej pracodawczyni miała czarny pas w zakupach, poruszała się po sklepie z wprawą przewodnika po tureckich bazarach – wiedziała, gdzie znajduje się skrót, jaki dział trzeba minąć, by znaleźć żarówki, a menu restauracji znała na pamięć.

Teraz, planując wyprawę, Nina uśmiechała się pod nosem na samo wspomnienie Luli. Bogowie, ależ miałyby doskonałą zabawę, gdyby pojechały tam razem! Lula potrafiła każdą, nawet błahą sytuację przekształcić w przygodę, którą się potem wspomina z rozrzewnieniem i nierzadko z humorem. Ale gdyby Lula tu była, nie byłby to dom Niny, prawda?

Ta myśl przebiła balonik entuzjazmu. Dziewczyna musiała wstać od biurka, przejść do łazienki i umyć twarz, bo nagle zaczęła niekontrolowanie płakać. Zimna woda pomagała – na spuchnięte powieki i na rozbuchane emocje. Nina wiedziała, że Lula nie chciała być opłakiwana. Trzepnęłaby ją w ucho za roztkliwianie się nad sobą i rzuciłaby jakąś energiczną frazę motywacyjną. „Masz jedno życie,

wykorzystaj je, zamiast płakać za starą kobietą, która przeżyła swoje najlepiej, jak mogła”. Prawie słyszała jej głos.

Wróciła do gabinetu i dalej przeglądała stronę, dodając do listy kolejne pozycje. Ten dom potrzebował jej nie mniej, niż ona potrzebowała domu. Zasłużyli na siebie nawzajem i na najlepszy możliwy los. Była wdzięczna sobie z przeszłości, że przez wszystkie lata pracy u Luli nie wydawała prawie nic z otrzymywanej pensji. Do tego Lula zabezpieczyła środki na pierwszy okres pobytu pracownicy w Ustce. Teraz Nina nie musiała się więc zamartwiać, czy stać ją na dobry materac lub zasłony. To nie potrwa wiecznie, będzie musiała względnie szybko znaleźć źródło dochodów, ale nie zamierzała się szczypać w kwestii wyposażenia. Żadnych półśrodków, zasłużyły – ona i Gracje – na wygodne łóżka. Nie powiedziała im tego, ale czuła, że są związane z tym domem wcale nie mniej niż ona. Jakby były wpisane w przyszłość tego miejsca. I miała wrażenie, że dom też to wie.

Lista zrobiła się całkiem długa. Nina optymistycznie zakładała, że wszystkie zakupy zmieszczą się do furgonetki Roberta. Jeśli nie, zamówi dostawę do domu i będzie czekać na rozstaju dróg w Zapadłem, na wypadek gdyby kierowca miał nie trafić. Marzyła, by załatwić to wszystko dziś, tak by po powrocie z Bydgoszczy Gracje zastały w pełni funkcjonalne sypialnie.

Już miała dzwonić do Roberta, by dopytać, o której jutro mogą ruszać, ale rozległ się gong – tak głośny, że łatwo go było pomylić z wystrzałem. Gdyby mieszkała w gotyckim zamczysku, dźwięk dzwonka u drzwi dotarłby do najbardziej oddalonej wieży.

Przeszła przez dom zaniepokojona. Nie spodziewała się gości. Nie sądziła, by włamywacz dzwonił, mimo to odruchowo złapała pogrzebacz, który Zuza zostawiła w korytarzu. Czemu te drzwi nie

mają judasza? – zastanawiała się, a potem przemknęła do salonu i wyjrzała przez okno, próbując dojrzeć kto stoi na progu.

Zaraz potem odblokowała zamek.

– Robert? Coś się stało? Przecież masz klucz – powiedziała zaskoczona.

– No mam, ale nie przyszedłem do pracy i nie byłem pewien, czy wypada, żebym sam sobie otworzył, zwłaszcza że już mieszkasz. – Uśmiechnął się rozbrajająco. Policzki wyraźnie mu poczerwieniały.

– Mogłam biegać nago po korytarzach? – zapytała domyślnie.

Prychnął.

– Na przykład – przyznał.

– A skąd wiedziałeś, że już mieszkam? – zapytała, podejrzliwie mrużąc oczy.

Znów uśmiechnął się szeroko.

– Ptaszki mi wyśpiewały.

– Gracje – jęknęła. Nadopiekuńcze wariatki. – Uznały, że musisz mnie trzymać za rękę pod ich nieobecność?

– Niekoniecznie. Ale zasugerowały, że to, co mamy zaplanowane na jutro, można by zrobić już dziś. A skoro mamy się mierzyć z molochem, to im szybciej, tym lepiej – powiedział.

– Chyba nie boisz się Ikei? – zapytała rozbawiona.

– Strach to duże słowo. Żywię przed nią naturalny respekt, ale jako strażak potrafię przewyciężyć odruch ucieczki – zapewnił.

– Doskonale! Jestem gotowa, więc możemy jechać choćby od razu.

– Tylko jest jeden mały problem – dodał i wskazał w stronę furgonetki. Za przednią szybą Nina zobaczyła Fąfla, który oblizywał właśnie kierownicę. – On nie potrafi się zachować w towarzystwie kanap, które nie należą do mnie. Tarza się po wszystkich, zwłaszcza tych ciemnych, by pozostawiona sierść pięknie kontrastowała z tkaniną. A jak widzisz, w samochodzie nie może zostać, bo zje

kierownicę. Teraz jeszcze ją liże, ale szybko przejdzie do podgryzania.

- Koneser - zauważyła. - Może zostać u mnie czy będzie mi smutno samemu?

- Byłoby świetnie. Dolly miała dziś mały zabieg chirurgiczny, schodzi z niej znieczulenie i jeśli zniesie je tak jak poprzednie, będzie drażliwa. Nienawidzi kołnierza, a bodziak, który ma chronić szyję, uznaje za osobistą obrazę. Fąfel jest zbyt głupi, by rozumieć jej sygnały ostrzegawcze, i próbuje ją lizać pocieszająco.

- Dobra, zostanie u mnie. Każdy zamek potrzebuje rycerza.

- Na pewno to doceni - zapewnił i poszedł po psa. - Zachowuj się, kundlu! Żadnego brojenia. Nie rób nam złego PR-u, bo Nina nie będzie chciała więcej nas widzieć - mruzczał, odpinając psa.

Fąfel zawył, jakby przyjmował wszystko do wiadomości, ale niczego nie mógł obiecać.

*

Gdyby nie był nią zainteresowany wcześniej, teraz zacząłby się w nią wpatrywać jak urzeczony. Była... imponująca. Cała jego siła woli szła w to, by gryźć się w język, zanim powie coś nieodwracalnego. Na przykład: „wyjdiesz za mnie?” albo „kocham cię, kobieto!”.

Dotychczas Robert sądził, że niekwestionowanym mistrzem zakupów jest jego brat. Mateusz ustawił poprzeczkę naprawdę wysoko, ale jego technika znacząco różniła się od tej, z którą do zagadnienia podeszła Nina.

Kiedy zabrali się do meblowania nowego domu, Mateusz miał w głowie kolory, faktury i oczekiwania względem tego, jak chce się czuć w nowej przestrzeni. W sklepie brał poszczególne rzeczy do ręki i mówił: „tak, to jest to” albo „w żadnym wypadku, po prostu

nie!”. Robert niewiele z tego rozumiał, a w koszyku widział głównie przedmioty i sprzęty, o których nie miał pojęcia, że są mu potrzebne.

Zakupy z bratem zajęły wieczność, spędzili w królestwie mebli cały dzień, ale Robert odnosił wrażenie, że minął tydzień. Co jakiś czas błagał brata o przerwę. Szli do restauracji na kawę czy po ciastko, by po paru minutach wrócić „w trzewia bestii”, wyłożone miękkimi dywanikami i poduszkami. Miewał gorsze doświadczenia w życiu, ale raczej nie tęsknił za wnętrzarskim rajem. Kiedy Nina zapytała go o plany na sobotę, skorzystał z okazji, bo też nie miał nic przeciwko spędzeniu paru godzin w jej towarzystwie, ale nie zakładał, że zapłaci za tę przyjemność męczarnią w postaci wielogodzinnego snucia się po hali wypełnionej meblami i drobiazgami. Jakże się mylił.

Nina była niczym mały generał. Doskonale wiedziała, czego chce. Miała listę, a na niej sygnatury i dokładne informacje, gdzie znajdzie konkretny artykuł. Miała swój system pakowania koszyka. Miała wydajność inwentury wojskowej i sprawność działania matki trojaczków, która potrafi całą kompanię wyszykować do przedszkola w dwadzieścia jeden minut. Brała przedmioty do ręki, ugniatała ręczniki, a potem odliczała dokładnie tyle sztuk, ile widniało na liście, i pakowała do kosza. Czasami decydowała się na małe odstępstwo, ale nadal pozostawała efektywna i zdecydowana. Żadnego: „Jak myślisz, to czy to, czy może całkiem coś innego?”. Po prostu pakowała do kosza roletę zaciemniająca, bo choć nie miała jej na liście, to wiedziała, że jej się przyda, by odsypiać noce zarwane na pisaniu. Nie obchodziło jej, czy krzesło ma taki czy inny design. Usiadła na nim i sprawdziła, czy jest wygodne, czy kółka przesuwają się gładko, czy podłokietniki są na dobrej wysokości. A kiedy podjęła decyzję, że jej pasuje, zdecydowała się na zakup, nie patrząc na

cenę. Po prostu było jej potrzebne, a nie ma co oszczędzać, jeśli w grę wchodzi zdrowy kręgosłup.

Po godzinie, gdy kosz i wielka brezentowa torba były pełne, uznała, że czas odwiedzić magazyn, by zabrać między innymi materace. Robert uśmiechał się pod nosem, bardzo z tego faktu zadowolony.

– Gdybym nie wiedziała, pomyślałabym, że masz tu prowizję od moich zakupów – zażartowała, widząc jego uśmiech.

– Gdyby tak było, mógłbym ci dać rabat, ale nie ma tak dobrze – odpowiedział.

– Spokojnie, mam kartę lojalnościową, rabacik w zestawie. Zawsze jesteś taki radosny w markecie meblowym?

– W sumie to mój drugi raz. Poprzednio byłem nieco bardziej markotny. Mateusz musiał mnie przekupywać słodyczami i klopsikami.

– Klopsiki mogłabym odpuścić, ale nie torcik kajmakowy.

– Nikt nie odpuszcza klopsików. Chyba że dla łososia... Ale w sumie ciasto i kawa też byłyby niezłe.

– Stawiam. Byłeś bardzo dobrym kompanem, zero marudzenia czy pytań w stylu: „Po co ci trzy narzuty na łóżko? Nie wystarczy ci jedna?”.

– To oczywiste: niebieska jest dla ciebie, różowa dla Zuzy, a ta w kolorze wina dla Agaty – zgadł bez pudła.

– Imponujące – przyznała.

– Jesteś rozsądną kobietą, prawda? – zapytał nieoczekiwanie.

– Lubię tak o sobie myśleć.

– I to mnie cieszy. Nikt rozsądny nie kupiłby wszystkich tych rzeczy, gdyby zamierzał zaraz sprzedać ten dom czy się wynieść z miasta.

Parsknęła.

- Mówiłam ci, że tu zostaję.
- Mówiłaś. A ja ci wierzę. Dziś bardziej niż wczoraj.
- To dobrze? – upewniła się.
- Znakomicie wręcz – oświadczył z bardzo zadowoloną miną i nie powiedział już nic więcej.

Dopiero po tym, jak wtaszczyli materace na wózek służący do przewożenia artykułów wielkogabarytowych, Robert, z wyraźnym namysłem, powiedział:

- Nino, czy ty jadasz?

Nina zamarła w połowie gestu i spojrzała na niego zaskoczona.

- Jasne, jak każda żywa istota. Nie przeżyję na powietrzu i komplementach – dodała wesoło.

Robert potargał sobie rozwichrzone włosy.

- W mojej głowie to brzmiało dużo logiczniej – przyznał. – Źle się wyraziłem. Czy chciałabyś coś zjeść?

- No przecież mówiłam. Postawię ci obiad i ciastko w ramach podziękowania za pomoc – zapewniła, pchając wózek w stronę kas.

Po chwili zauważyła, że idzie sama. Obejrzała się. Robert stał za nią, wpatrując się w sufit, jakby czekał na objawienie.

- Coś się stało?! – zawołała.
 - Zastanawiam się – przyznał spokojnie.
 - Nad czymś konkretnym czy tak egzystencjalnie?
 - W sumie jedno i drugie. Zastanawiam się, skąd u mnie to nagłe załamanie zdolności komunikacyjnych.
 - Jak dla mnie radzisz sobie całkiem dobrze.
 - Nie na tyle, byś zrozumiała, że proponuję ci randkę. Na przykład kolację. I to w sumie nie pierwszy raz, ale jakoś tak... nieskutecznie.
 - Ach...
 - Ach tak, czy ach nie?
- Parsknęła śmiechem.

– Ach tak, czemu nie.

Uśmiechnął się tak promiennie, że cały jej dzień w jednej chwili stał się znacznie lepszy.

*

Wracali w doskonałych humorach. Całą drogę rozmawiali, żartowali, śmiali się, jakby się znali od lat. Jednego była pewna: na kolacji nie groziła im nagła, krępująca cisza.

Gdy podjechali pod dom, z daleka było słychać szczekanie Fąfla. Nina otworzyła drzwi, a Robert próbował złapać psa, ale ten wyslizgnął się z jego uchwytu i wybiegł na zewnątrz, ujadając donośnie. Obwąchiwał schody i ziemię, łapał trop, po chwili gubił go jednak w kałużach.

– Co jest, piesku? – zapytała Nina.

Fąfel rozszczekał się jeszcze bardziej, jakby ze wszystkich sił próbował zakomunikować jej, co go tak zaniepokoiło. Ułomność ludzi bywała kłopotliwa, Fąfel zawsze rozumiał, co do niego mówią, ale nie mógł liczyć, że zadziała to również w drugą stronę.

W końcu sapnął i wrócił do Roberta, ocierając się o jego nogawkę.

– Dobra, dobra, Fąflu, wracamy do siebie – zarządził mężczyzna. – Mam nadzieję, że nie spożytkował tego nadmiaru energii, pastwiąc się nad twoimi meblami.

– Nie sądzę, miałby na pysku okruchy gąbki. Po prostu się stęsknił.

– Dobra, zabiorę go do domu, pewnie jest głodny. Tylko wnieśmy te materace i resztę na górę.

Fąfel bezradnie patrzył, jak kręcą się między furgonetką a domem i wnoszą po schodach kolejne pakunki. Położył się w progu, na znak, że nigdzie się nie wybiera. Wolałby zostać i ugryźć w łydkę tego faceta, który był tu wcześniej i grzebał przy zamku. Uciekł, bo Fąfel

zrobił swoją robotę i go nastraszył. Ale wróci. Fąfel znał jego zapach. I obiecał sobie, że gdy poczuje go kolejny raz, wgryzie się intruzowi w łydkę, jakby ten był najsoczystsza kością.

BŁYSKAWICE I OBJAWIENIA

Nina szybko odkryła, że jeśli nie znajdzie sobie zajęcia, atmosfera pustego domu zacznie ją podgryzać. Zwłaszcza że pogoda nie ułatwiała zadania, bo aura – z pociemniałym od burzowych chmur niebem, wyjąłym wiatrem i wiszącą w powietrzu ulewą – z każdą chwilą bardziej przywodziła na myśl gotycki horror.

Kobieta przez kilka godzin uwijała się na piętrze. Rozpakowała materace, oblekła nowe kołdry i poduszki w świeżą pościel, rozwinęła dywaniki, zamieniając puste pokoje w przytulne sypialnie, które tylko czekały na powrót Gracji. Zamontowała rolety, zawiesiła zasłony, balansując na drabinie jak linoskoczka, i porozstawiała lampki nocne. Zmordowana, ale bardzo z siebie zadowolona, przechadzała się po przytulnych, zapraszających wnętrzach.

Szykowała sobie kolację, kiedy nad lasem przetoczył się pierwszy grzmot. Kilka sekund później ciemne niebo przeszła jaskrawa błyskawica. Nina zadrżała. Normalnie nie bała się burzy, ekstremalne zjawiska pogodowe nie były nawet w topce jej powodów do strachu. Ale tu, w wielkim, pustym domu, niedługo po dramatycznych przejściach, jej serce wpadło w galopadę.

Potrafiła sobie ten lęk racjonalnie wytłumaczyć. Przecież pierwszej nocy, którą tu spędziła, także rozpętała się burza. Wtedy wszystko skończyło się aferą z trupem i policją, ale taka sytuacja nie mogła się powtórzyć. Prawda?

Zresztą wtedy było gorzej. Dom był ciemny, zimny i nieoswojony. Dziś miała światło, choć po kolejnym grzmocie żarówka na ułamek sekundy ostrzegawczo zamigotała. Poza tym siedziała w ciepłe, była bezpieczna. A przynajmniej taką miała nadzieję.

Obeszła parter, upewniając się, że drzwi i okna są dokładnie pozamykane, a potem z kubkiem herbaty wdrapała się po schodach do swojej sypialni. Stopnie skrzypiały cichutko, ale raczej przyjaźnie niż złowrogo.

Skoro odhaczyła dziś z listy rzeczy do zrobienia mnóstwo pozycji, mogłaby sobie zrobić wolny wieczór. Czyli właściwie popracować nad powieścią. Przez kilka ostatnich dni nie posunęła się w projekcie nawet o akapit, zbyt zmęczona po całych dniach sprzątania i prac remontowych, ale teraz nic nie stało na przeszkodzie, by wrócić do pisania.

Zapaliła świeczkę o zapachu korzennych ciasteczek, uruchomiła laptop i włączyła specjalną playlistę. Umościła się w łóżku z laptopem na kolanach, podparła plecy dwiema poduszkami i była gotowa do pracy.

Przez dwa kwadransy czytała ostatnie z napisanych rozdziałów i przeglądała notatki. Próbowwała złapać trop kolejnych słów, tyle że te nie przychodziły. Jej myśli były rozbiegane i chaotyczne. Nie umiała się skupić. Podskakiwała nerwowo przy każdym grzmocie i stale łapała się na tym, że nasłuchuje kroków na schodach.

Nic z tego dzisiaj nie będzie, pomyślała. Z westchnieniem odłożyła laptop na panińskie biurczko Luli.

Musiała sobie znaleźć coś do roboty, inaczej zwariuje. W końcu wyjdzie w burzową noc, szukając kłopotów, bo to napięcie, powstałe wskutek okoliczności i wspomnień, stawało się nie do wytrzymania!

Nagle podskoczyła, gdy po kolejnym grzmocie deszcz huknął o dach i szyby z gwałtownością, która zmusiłaby Noego do

wprowadzania zwierząt na arkę odrobinę szybciej. Podeszła do okna. Strugi wody szumiały w rynnie biegnącej tuż poniżej parapetu. Ciemności na zewnątrz nie rozpraszało najmniejsze nawet światło.

Przez chwilę Ninie wydawało się, że kątem oka wyłapała ruch między drzewami, ale musiało jej się przywidzieć. Może to jakiś upiór czy inne stworzenie z folkloru, które chciało dopaść naiwne dziewczę i ściągnąć je na bagna? Była pewna, że Agata albo dzielnicowy Boberek wspominali coś o nieodległych bagnach czy trzęsawiskach. Do gotyckiego horroru pasowałyby jak ulał.

– Sama siebie wpędzisz w histerię – przywołała się do porządku.

Tyle że rozum sobie, a serce sobie – uderzało jej w piersi tak głośno, że słyszała je niepokojąco wyraźnie.

Naprawdę potrzebowała zajęcia. Czegoś, co choć trochę przystopuje jej wyobraźnię. Sprzątanie, pomyślała, muszę się zająć sprzątaniem.

Zaletą starego domu w trakcie remontu jest to, że ciągle ma się tonę rzeczy do zrobienia. Wciąż nie ruszyły na przykład największej sypialni z łazienką. Żadnej z Gracji nie kusiło, by ją wybrać, więc nie była na szczycie listy priorytetów. Wydawała się też najbardziej zaniedbana i przygnębiająca, do tego stała się składowiskiem wszelkich nieużywanych sprzętów. Nina wyobrażała sobie, że proces zmiany pokoju w graciarnię zaczął się po śmierci mamy Luli. Poldek Uklej opuścił sypialnię, przenosząc się ze spaniem do gabinetu na parterze, a pokój zarastał pajęczyną zaniedbania i bolesnych wspomnień.

Ledwie dało się otworzyć drzwi. Zaraz za progiem stała piramida spiętrzonych kartonów i stos czarnych worków na śmieci, wypchanych zapewne ubraniami. Na szczycie tej sterty stał drewniany konik na biegunach ze złamanym karkiem. Wszystko tu pachniało kurzem i tanią wodą kolońską. Nina zabrała się do

opróżniania pokoju z worów i pudeł. Jeden po drugim znosiła je na parter i ustawiała na korytarzu między drzwiami wejściowymi a salonem. Planowała zajrzeć do nich rano i ocenić, co nadaje się do przekazania potrzebującym, a co już tylko na śmieci.

Gdy usunęła zawalidrogi, pokój wydał się jej jeszcze większy, ale wciąż był niemożebnie zagracony. Wszystkiego wydawało się być w nadmiarze. Motywem przewodnim podczas urządzania tego pokoju były najwyraźniej lata sześćdziesiąte na bogato. Meble i tekstylia były w jednym z kilkunastu nie zawsze do siebie pasujących odcieni beżu i brązu. Narzuta na łóżko w gęsty, nieco psychodeliczny kwiatowy wzór udekorowana była metalicznymi frędzlami wzdłuż lamówki i chwościkami na rogach.

Nina pociągnęła nosem, spodziewając się, jak w pozostałych pokojach, woni pleśni przebijającej przez zapach stęchlizny, ale zamiast tego wyłapała woń taniej wody kolońskiej. Jakby dawno temu ktoś rozlał na dywan butelkę brutalą czy innego flagowego produktu z asortymentu kioskowych płynów po goleniu i dywan wciąż doskonale to pamiętał.

Nie musiała się nawet zastanawiać, czy którąkolwiek z rzeczy zalegających w tym pokoju, nie licząc ciężkich drewnianych mebli, chciałaby zatrzymać. Coś w tym zapachu wyciągało z jej pamięci złe wspomnienia, choć nie mogła sobie przypomnieć jakie. Może z dzieciństwa?

Złapała za róg pikowanej narzuty i szarpnęła. Materiał był ciężki, szeleścił w sposób, który, gdyby miała pod nim spać, doprowadziłby ją do szału. Była pewna, że pod spodem zastanie pościel, ale o dziwo, bezpośrednio na materacu leżał płasko rozłożony śpiwór. Lekki, nylonowy, z logo popularnego sklepu ze sprzętem sportowym, który działał w Polsce najwyżej od kilkunastu lat. Rozsunęła suwak. W nos

uderzył ją zapach spoconych stóp. Kto tu spał? Przecież nie ojciec Luli.

Nagle wszystkie elementy zaczęły wskakiwać na swoje miejsca przy akompaniamencie grzmotów.

Czy schody właśnie skrzyknęły, czy to jej wyobraźnia?

Rozejrzała się za jakąś bronią, ale znalazła tylko ciężką, mosiężną podstawę lampki. Odłączyła ją od prądu i zdjęła abażur, by móc jej użyć jak pałki. I zauważyła żarówkę. Nowiutką, energooszczędną, z logo popularnego marketu budowlanego.

Zapomniała o skrzypieniu, nawet kolejny grzmot nie wyrwał jej ze stuporu, w jaki wpędził ją widok tej cholernej żarówki. A gdy się poruszyła, jej myśli stały się klarowne i zdecydowane. Z każdą chwilą znajdowała kolejne dowody na stałą bytność w tym miejscu tajemniczego intruza. Lekarstwo na alergię w szufladzie szafki nocnej z datą produkcji sprzed jedenastu miesięcy. Skarpetki z merynosa pod łóżkiem. Zajrzała do szafy. Wszystkie starsze ubrania leżały skłębione na dnie, a na pojedynczych wieszakach wisiały szare dżinsy, bluza polarowa, kilka T-shirtów, worek z bielizną i skarpetkami. Wymagającymi prania, bez dwóch zdań.

Weszła do łazienki. W szafce nad umywalką Nina odkryła nowoczesną elektryczną maszynkę do golenia, szampon rzekomo zapobiegający łysieniu, tubkę maści z antybiotykiem i pęczek opatrunków, szczoteczkę elektryczną i porządną pastę do zębów. I wodę toaletową. Powąchała wewnątrz zakrętki.

Ten sam zapach, który czuła w sypialni. Jakby ktoś chciał przykryć nim smrodek stęchlizny i kurzu, którego nie zamierzał się pozbyć. Przecież byłby idiotą, sprzątając, bo tym samym zdradziłby się ze swoją obecnością. Nagle Nina lepiej zrozumiała zaskoczenie włamywacza tamtej pierwszej nocy. Nie spodziewał się jej. Wrócił jak do siebie.

Nina spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Jej oczy wyglądały jak czarne dziury w białej jak prześcieradło twarzy.

Maras Stankevičius się tu ukrywał. Był inteligentny i ostrożny. Wszystkie ślady jego obecności ograniczały się do tego pokoju i łazienki. Mecenas Pilch zaglądał do domu co jakiś czas, a po śmierci Luli był tu, by przygotować miejsce na przyjazd Niny. Niczego nie zauważył, nie znalazł nic, co by go zaalarmowało.

Teraz Nina miała już pewność: cokolwiek zostało ukryte w posiadłości Uklejów, znajdowało się w tym pokoju. Dlatego pudła i worki ułożono w sposób mający zniechęcić potencjalnego intruza do wejścia.

Zacząła metodycznie przeszukiwać sypialnię i wykladać na łóżko wszystkie rzeczy, które, jak podejrzewała, należały do Litwina. Było tego całkiem sporo. Oprócz dotychczasowych znalezisk pod poduszką odkryła thriller sądowy wydany już po śmierci Ukleja, a za szafką nocną, wciąż tkwiącą w gniazdku ładowarkę do telefonu firmy Samsung.

Zajrzała pod łóżko, pod meble, do każdej szuflady i szafki, ale nic nowego nie dołączyło już do rzeczy na łóżku. Rozejrzała się podejrzliwie. Nikt nie włamuje się po powieść Grishama, nawet dobrą. Lekarstwo na alergię też nie mogło być wabikiem na gangsterów... Co tu nie pasowało?

I nagle, tak po prostu, już wiedziała. Fotel, rozłożysty beżowy uszak, stał w najdziwniejszym dla takiego mebla możliwym miejscu: zwrócony frontem do pokoju, oparty o dekoracyjne obramowanie kominka, całkowicie zasłaniał palenisko.

Odsunęła go i kucnęła. Było schludnie uprzątnięte, bez śladu popiołu, ale w głębi stała turystyczna farelka zasilana butlą gazową. Na zimne noce jak znalazł. Wyciągnęła grzejnik z ukrycia. Nieźle, ale czy to wszystko?

Kiedyś przeczytała, że ludzie są stworzeniami przewidywalnymi. Rzeczy, z których jesteśmy dumni, ustawiamy na półce na wysokości oczu. Te, które chcemy ukryć, chowamy w dołku, a potem przykrywamy go gałęziami i liśćmi, dopóki nie powstanie kopczyk, z daleka rzucający się w oczy. Ponieważ wiemy, że w danym miejscu coś zostało ukryte, wydaje się nam, że każdy to zobaczy, więc trzeba to zakryć jeszcze troszkę. I jeszcze troszkę. Nikomu nie zależałoby na ukryciu grzejnika. A przynajmniej nie bardziej niż szczoteczki do zębów czy ładowarki.

Właśnie dlatego Nina uznała, że musi tu być coś jeszcze. Obmacywała po omacku wnętrze kominka, szukając schowka, luźnej cegły czy zapadki. A gdy coś załaskotało ją w kark, odgarnęła to niecierpliwie i zamarła z dłonią w powietrzu.

– Proszę, błagam, niech to nie będzie sznur – wymamrotała, odwracając się.

Dostrzegła sznurek. Z wnętrza komina zwisało gładkie czarne sznurowadło z supełkiem na końcu. Pociągnęła za nie. Stawiało opór, jakby po drugiej stronie było coś ciężkiego. Albo wielkiego.

– Tylko nie trup, proszę, tylko nie trup – mruzczała i przesunęła się tak, żeby ukryty przedmiot nie spadł na nią, kiedy pociągnie znowu.

Szarpnęła mocno i po krótkiej szamotaninie okraszonej szuraniem coś łupnęło o dno kominka. Duży czarny worek marynarski, ściągany sznurowadłem, z szerokim paskiem pozwalającym go nosić przewieszonym na ukos przez tors. Wyciągnęła go z kominka i przez chwilę patrzyła jak na jadowitego węża.

– Spokojnie, za mały, by zmieścić ciało – powiedziała pewnym tonem, próbując dodać sobie otuchy.

No dobrze, rozczłonkowane zwłoki od biedy by się tu zmieściły. Może tam w głębi była kolejna torba?

- Opanuj się, zanim się wpędzisz w atak paniki – ofuknęła się i ostrożnie powąchała materiał. Żadnego smrodku rozkładu. Nic też nie przesiąkało. Jeśli w domu wciąż znajdował się trup, raczej nie było go w tej torbie.

Zajrzała do środka. Po prostu musiała. Jeśli miała na ramieniu anioła, który powinien powiedzieć jej, że lepiej niczego nie ruszać i zadzwonić po policję, to milczał jak zaklęty, za to koleś z drugiego ramienia nie próżnował i zagrzewał ją do boju.

Wnętrze torby było ciemne, więc z lekkim ociąganiem wsadziła rękę do środka i wymacała... o cholera!

Nie miała żadnych wątpliwości. Wyjęła ciasno wypakowane torebki strunowe i ułożyła je na dywanie przed sobą. Jedna bardzo duża. Druga mniejsza. Wreszcie trzecia, najmniejsza, ale przez folię widziała wyraźnie, że najcenniejsza. W worku było coś jeszcze. Grzechotało. Zajrzała i tam, głośno przełknęła ślinę. Szybko wpakowała wszystkie paczki do torby i zerwała się na równe nogi.

Nie zastanawiała się, czemu instynkt podpowiada jej, że musi to schować, że nie chce tego dotykać, nie chce trzymać tego w swoim domu. Gdyby nie burza, wyniosłaby worek na dwór. Może zakopała w lesie? Nie, nie mogła! Przecież musiała przekazać go policji. Sprawdziła komórkę. Dochodziła dwudziesta trzecia. Dzielnicowy pewnie już spał. Ludzie na wsiach podobno chodzą spać z kurami. Nina nie była pewna, jak wcześnie to jest, bo nigdy nie miała kur, ale przecież nie mówi się tak dlatego, że ktoś lubi sobie posiedzieć przed telewizorem do północy, prawda?

Po chwili wahania napisała SMS do dzielnicowego Boberka: „Proszę przyjechać najszybciej, jak to możliwe. Przed poniedziałkiem. Znalazłam coś”.

O tak, rozsądnie, bez paniki. Zadowolona wysłała wiadomość.

A teraz musiała zdecydować, gdzie schować to cholerstwo! Chciała czym prędzej opuścić sypialnię. Zawartość worka sprawiła, że wszystko w tym miejscu nagle wydało się jej bardziej złowrogie. Bo to już nie był pokój, w którym domniemany przestępca waletował pod nieobecność właścicieli. To było gangsterska nora! Och, będzie musiała tu wszystko wypucować, gdy już policja zakończy czynności!

Wyszła na korytarz i zamknęła za sobą drzwi. Gdyby nie zniosła już tobołów i pudeł na dół, teraz zatarasowałyby nimi próg.

Ściskając worek marynarski, rozglądała się i gorączkowo myślała, co z nim zrobić. Nie, nie mogła go zanieść do jednej z odnowionych sypialni. Nie mogła skazać tej oswojonej części domu. Bawialnia? Odpada, to wciąż za blisko. Nie zaśnie, wiedząc, co leży po drugiej stronie korytarza.

Zeszła na parter. Grzmot przetoczył się, gdy była w połowie schodów. Wyobraźnia zabawiała się zmysłami Niny, nagle wydawało się jej, że widzi włamywacza z pierwszej nocy. Wiedział, że znalazła jego skarby, przyszedł po nie!

Pisnęła i zbiegła na sam dół. Musiała to ukryć!

Tylko gdzie? Krążyła od pokoju do pokoju, ale wszystkie miejsca wydawały się jej nieodpowiednie. Nie chciała skazać domu – swojego własnego domu! – tym, co przyniósł pod ten dach gangster.

Była o krok od wyjścia na zewnątrz i zakopania tego cholernego worka pod drzewem, pal licha, jak wytłumaczy to potem Straszewiczowi. Ale błyskawica, która przeszła niebo, była jak ostry wykrzyknik. Przed domem nie było bezpiecznie. Ale tu, w środku, również nie było bezpiecznie.

– Jesteś w szoku – wyszeptała. Czemu jej głos był tak wysoki? Nigdy nie był taki piskliwy!

Wtedy uczynna wyobraźnia podsunęła jej rozwiązanie.

Wróciła do kuchni, a stamtąd udała się do garażu. Po ciemku, bo nie pamiętała, gdzie jest włącznik światła, weszła w głąb pomieszczenia. Przyświecała sobie komórką, ostrożnie stawiając kroki. Rozglądała się po półkach i blatach, ale każde miejsce wydawało się za bardzo wyeksponowane. Musiała schować znalezisko, głęboko, by nie skaziło jej domu, by nie wślizgnęło się w jej sny...

I nagle ją oświeciło. Lepszej kryjówki nie znajdzie. Nikt go tu nie będzie szukać. Upchnęła torbę w schowku i z ulgą wycofała się do kuchni, po czym zamknęła za sobą drzwi. Oparła się o nie plecami i oddychała ciężko, jakby właśnie przebiegła maraton.

W jej mózgu kołatała się jedna myśl.

Gracje będą rozżalone, że nie było ich przy dokonaniu tego odkrycia. Nina też żałowała, że akurat musiały wyjechać. Może wtedy aż tak by się nie przeraziła. Nie bała się samego worka, ale tego, kto mógłby po niego przyjść. Bo teraz już wiedziała, że koleś nie zrezygnuje. Za nic w świecie.

NIE JESTEŚ TU SAMA. NIESTETY

Myśli Niny galopowały w mrok jak stadko walkirii. Nie wiedzieć czemu, kiedy to sobie wizualizowała, walkirie były młode i galopując, wykrzykiwały bardzo mało skandynawskie „yeee-haw!”. Wiedziała, że nie zaśnie do rana, nie da się spać z hałasującymi w głowie walkiriami. Nawet nie przebrała się w piżamę. Włożyła parę czystych dresów i ciepłą bluzę z kapturem. Położyła się na łóżku, otuliła kołdrą (nie była pewna, czy w domu faktycznie zrobiło się zimniej, czy to nerwy schładzały jej stopy tak, że w puchatych skarpetkach miała teraz sople lodu). Leżała w ciemności, którą przeszywały raz po raz pioruny za oknem. Deszcz rozbijał się z głuchym łoskotem o dach i huczał w rynnach jak Niagara.

Mimo tych hałasów usłyszała dźwięk, który nie pasował do pozostałych. Wstała z łóżka i na palcach wyszła na korytarz. Wychyliła się przez balustradę schodów, nasłuchując.

Ktoś był przed jej domem. Usłyszała ciężkie kroki, a po chwili mrozące krew w żyłach szarpnięcie za klamkę. Wstrzymała oddech.

– Spokojnie – szepnęła do siebie – drzwi są zamknięte, masz nowe zamki. Jesteś bezpieczna – dodała, choć nie czuła się przekonana. Odruchowo wyciągnęła komórkę z kieszeni bluzy i wybrała numer dzielnicowego. Przeprosi go, jeśli to fałszywy alarm, zaprosi na obiad czy kupi czekoladki.

Nie odbierał. Wysłała kolejną wiadomość: „Intruz, próbuje się włamać. Proszę przyjechać!”. Komórka zawibrowała, gdy wiadomość

dotarła do odbiorcy. Ale to nie rozwiązywało jej problemów. Bo na dole ktoś znów szarpnął za klamkę, ale szarpnięciu towarzyszyło głośne stuknięcie – uderzenie metalu o metal – a po chwili drzwi stały otworem! Hałasy burzy nagle zrobiły się głośniejsze. Rozległy się kroki, a potem trzaśnięcie drzwi.

Była w domu sam na sam z włamywaczem. Do cholery, czemu to musiała być akurat ta noc, kiedy jest tu sama?! Cóż, odpowiedziała racjonalna część jej mózgu, ponieważ taką noc wybrał, prawda? Doskonale wie, że jesteś tu sama. Pewnie obserwował dom.

Nina wybrała numer alarmowy, nasłuchując kroków. Intruz szedł w głąb domu, ale nie wzdłuż korytarza, który prowadził do schodów, tylko do salonu i gabinetu pana domu. Nadal nie widziała go z góry, co znaczyło, że i on jej nie widzi. Jeszcze.

Cofnęła się pod ścianę i czekała na połączenie. Czemu w słuchawce nie było żadnego sygnału? Nie było zajęte, ale też nie słyszała odgłosu łączenia! Zerknęła na ekran. Cholera! Wybrała 1122. Skasowała jedną cyfrę i znów nacisnęła ikonkę.

Z dołu dobiegł ją huk, coś upadło albo zostało rzucone. Usłyszała brzdęk tłuczonego szkła. Więcej kroków i znów rumor. I nagle kroki stały się głośniejsze, włamywacz wyraźnie się zbliżał, a zaraz potem po pustym domu poniósł się jego głos:

– Masz tylko jedną szansę na przeżycie tej nocy, gówniario! Oddasz mi to, co do ciebie nie należy, albo rozwalę ci łeb!

Nina siedziała cicho, płytko oddychając, nawet nie usłyszała kliknięcia odebranego połączenia. Odruchowo wsunęła komórkę do kieszeni i zasłoniła dłonią usta, jakby w obawie, że intruz usłyszy jej oddech.

– Jesteś sama, nikt cię nie znajdzie, nikt nie uratuje! Oddaj mi to, co zabrałaś, a może cię nie zatłukę za ten zmarnowany czas i nerwy!

Chodził po korytarzu, jakby z jakiegoś powodu zakładał, że jest tam, na dole. Światło! Dotarło do niej, że na piętrze jest ciemno, ale zostawiła zapalone światło w kuchni i gabinecie. Wychyliła się bezszelestnie przez balustradę, by zobaczyć, z kim ma do czynienia.

Facet był duży. Grubo ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, szeroki kark, kurtka opięta na plecach i wypchane bicepsami rękawy nie wróżyły niczego dobrego. Nina nie widziała jego twarzy, tylko tył głowy w wełnianej czapce, ale była prawie pewna, że patrzy na Olka Wojaczka. Zostawił za sobą mokre ślady butów i wymachiwał pogrzebaczem, który zostawiła niedaleko drzwi. Pięknie, Nino, właśnie dostarczyłaś mu broń, zganiała się w myślach. Powinna zabrać pogrzebacz ze sobą na górę. Choć nie łudziła się – intruz był wyższy, cięższy, silniejszy i wkurwiony. W bezpośrednim starciu nie miałyby szans. Musiała go przechytryć. A najlepiej uciec.

Kilka lat wcześniej była z Lulą na kursie samoobrony dla seniorów. Instruktor, emerytowany komandos, pokazał uczestniczkom kilka chwytów, a potem powiedział:

– Niezależnie od tego, czy sprawca ma broń palną, czy nóż, najlepszą obroną jest ucieczka. Po prostu biec nogi za pas.

Lula się roześmiała, inne panie podobnie.

– Z moim biodrem do wymiany? Lepiej pan pokaże, gdzie mogę napastnika walnąć, żeby naprawdę zabolalo, bo przegonić go na pewno nie przegonię. Musiałby się poruszać z balkonikiem – powiedziała siedemdziesięcioletnia Astrid.

Instruktor zarumienił się jak uczeń, po czym zaprezentował sposoby, by dać się napastnikowi we znaki. Następnie spojrzał na Ninę.

– To ostateczność, rozumie pani? Póki biodra pozwalają, proszę wiać.

Nina wzięła sobie jego słowa do serca i teraz nie marzyła o niczym innym, jak tylko o ucieczce. Nie miała szans przeżyć upadku z wysokiego okna na piętrze. Musiała się przedostać na parter. I potrzebowała butów! Nawet jeśli dobiegnie do drzwi w skarpetkach, na zewnątrz nie ucieknie w nich daleko. Wycofała się bezszelestnie do sypialni. Na szczęście walizka leżała na wierzchu, otwarta i lekko rozbebeszona. A w niej buty do biegania. Nie zmieściły się na grube skarpetki, więc wsunęła je na gołe stopy; nie miała czasu szukać skarpet, które akurat, jak na złość, zdążyła już wypakować i umieścić w komodzie po drugiej stronie łóżka.

Kroki na dole ucichły. Dywan w gabinecie, domyśliła się Nina. To mogła być jej jedyna szansa. Jeśli dobrze kombinowała, włamywacz był w części domu położonej najdalej od drzwi wejściowych. Usłyszała kolejne tąpnięcie i brzdęk tłuczonego szkła. Lampa na biurku! Prawie widziała zielony abażur roztrzaskujący się na milion okruchów.

Ostrożnie zaczęła schodzić po schodach, przyklejona plecami do ściany, jak najdalej od balustrady – tym razem dlatego, by pozostać niezauważoną. Na szczęście drań nie zapalił światła w korytarzu.

– Z każdą chwilą wkurwiasz mnie bardziej. Może zamiast cię zabijać, zabiorę cię ze sobą. Są tacy, co dobrze zapłacą za taką młodą, gładką zabaweczkę. Szybko przestaniesz być taka gładka i śliczniutka, ale to już nie mój problem. – Zaśmiał się gardłowo.

Ma stanowczo zawyżoną opinię na temat swojego poczucia humoru, pomyślała, przemykając po kolejnych stopniach. Zaczęła wierzyć, że może jej się udać – tylko jedno przesło schodów i może piętnaście metrów korytarza dzieliło ją od drzwi. Gdy dotknęła stopą podłogi, ruszyła sprintem, nie martwiąc się już o to, czy intruz ją usłyszy. Miała jedną szansę i bardzo dobrze o tym wiedziała.

Już prawie! Wyciągnęła dłoń w stronę klamki. Jeszcze metr...

Ogłuszający huk sprawił, że skuliła się i odruchowo ukryła głowę w ramionach, jakby była w samolocie, który właśnie zaczął spadać. Nigdy wcześniej nie słyszała na żywo wystrzału z broni palnej.

– Jeszcze krok i zarobisz kulkę między łopatki, a ja i tak wezmę to, czego szukam – powiedział facet z drugiego końca korytarza.

Nina bała się odwrócić, więc nadal nie widziała jego twarzy, ale doskonale pamiętała zdjęcie, które pokazali jej policjanci. Nie chciała, by to była ostatnia twarz, jaką zobaczy w życiu.

Więc odruchowo zrobiła jedyną rzecz, jaką uznała za sensowną. Klepnęła włącznik światła przy drzwiach. Ten sam, przy którym kilka dni wcześniej przykleiła karteczkę z napisem „pod żadnym pozorem nie naciskać, grozi zaciemnieniem!”.

Żarówka nad drzwiami zamigotała, a potem syknęła i zgasła. A wraz z nią wszystkie żarówki w domu. Zapanowała absolutna ciemność.

– Nadal cię trafię – usłyszała za sobą. Był wkurzony, ale opanowany.

Walczyła z pokusą, by spróbować szczęścia, ale potem przypomniała sobie, że jedynym szczęściem, jakie ją w życiu spotkało, było odziedziczenie tego domu, a i to wiązało się ze sporą listą rzeczy nadających się do księgi skarg i zażaleń.

– Odwróć się i podejdź do mnie – rozkazał. A gdy nie wykonała polecenia, strzelił. Kula rozbiła się o ścianę tuż nad jej głową.

– Może po prostu dam ci to, czego szukasz? – zapytała drżącym głosem.

– A co to dokładnie jest? – rzucił zaczepnie.

– Gdybym miała zgadywać, forsa, piguły i lewe paszporty, ale kto wie, może tęsknisz za śpiworem? Któryś z T-shirtów był twój ulubiony?

- Gdzie one, kurwa, są?! - ryknął Wojaczek i ruszył w jej stronę, głośno uderzając podszwami wojskowych traperów o klepki parkietu.

- Śpiwór na górze. T-shirty w szafie. A resztę, cóż, ukryłam. Więc lepiej schowaj grzecznie broń i się dogadajmy.

- Dogadajmy, dobre. Mogę cię zastrzelić i wziąć, co moje.

- Nigdy tego nie znajdziesz. Nie zamierzałam ryzykować, że fachowcy natkną się na ten twój worek i zadzwonią po policję - powiedziała pewnym tonem.

- Zabiję cię i w spokoju przeszukam dom.

Wyłapała nutę niepewności w jego głosie. Musiała wbić klin w to słabe miejsce!

- O północy pojawi się policja. Poprosiłam, by tu zajrzeli w czasie patrolu - zablefowała.

- Bzdura, wczoraj ich nie było.

A więc jednak, obserwował dom.

- Dzielnicowy Boberek przyszedł wczoraj nieoficjalnie, bez radiowozu. Ale dziś ma wolne, więc przyjedzie dwuosobowy patrol - improwizowała. - Zostało ci ile? Godzina? Nie masz szans znaleźć torby w tym czasie.

Brzmiała całkiem przekonująco, aż sama sobie pogratulowała.

- Dobra, bez głupich pomysłów. Pokaż mi, gdzie jest, a pozwolę ci żyć - powiedział stanowczo.

- Odłóż broń na schody, a zaprowadzę cię do twojej przepustki na wolność. Przecież bez paszportów nie zwiejesz. A wystawili już za tobą list gończy. Polskie więzienia są mniej przyjazne od szwedzkich. Tak słyszałam - dodała przekornie.

Westchnął z frustracją i przez chwilę musiał rozważać opcje. Podejrzewała, że naprawdę, naprawdę kusilo go, by ją zastrzelić i mieć to z głowy. Ale rozsądek wygrał.

Odłożył broń na stopień z głośnym stuknięciem.

– No widzisz, już. Pokaż. Zniknę i będziesz mogła zapomnieć, że kiedykolwiek tu byłem – powiedział tonem niemal pojednawczym.

Nie była aż tak naiwna, by się na to nabrać, ale teraz jej szanse na przeżycie nieznacznie wzrosły.

– Masz latarkę? – zapytała cicho. – Tam jest naprawdę ciemno.

NIE ZADZIERAJ Z NINĄ RAWICZ!

Nie miał już w dłoni pistoletu, ale pogrzebaczem też mógł wyrządzić jej krzywdę. Nina chciała zwiększyć dystans między nimi, lecz szybko złapał ją za kark i ścisnął jak kociaka.

– Nie kombinuj, bo nie dożyjesz świtu – ostrzegł.

Pchnął ją raz jeszcze, więc posłusznie zaprowadziła go do kuchni. Szła ciemnym korytarzem po omacku, dotykając dłońmi ścian. Znała już ten dom. Drogę między drzwiami wejściowymi a kuchnią pokonywała wiele razy. Miała tę malutką przewagę nad intruzem, który poruszał się nieco mniej pewnie. Trzymając Ninę, nie miał jak sięgnąć po telefon i włączyć aplikacji latarki.

Przeszła przez kuchnię, obmacując krzesła i kredens. Za oknem panowała ciemność, niebo wciąż było zachmurzone i deszcz padał z monotonną regularnością. Nina próbowała sobie przypomnieć, czy na stole lub blacie zostawiła cokolwiek, co nadałoby się do samoobrony (nie pogardziłaby nawet solniczką!), ale nie chciała prowokować intruza.

Drzwi do garażu zaskrzypiały, ustępując pod naciskiem jej dłoni. Jeśli w kuchni panowała ciemność, to tu, w pomieszczeniu z maciupkami i brudnymi okienkami, było po prostu jak na dnie studni. Mężczyzna odepchnął Ninę i wszedł pierwszy, jakby nie mógł się doczekać, kiedy dorwie się do swojego skarbu.

– Gdzie to jest? – zapytał.

- W samochodzie, w bagażniku konkretnie - odparła, przywierając plecami do regału zastawionego narzędziami i skrzynkami. Po omacku szukała czegoś twardego, czym mogłaby rzucić.

Wojaczek stęknął i przeklął, gdy uderzył w coś stopą. Zagrzechotało metalicznie.

- Daj światło - burknął.

- Widziałam świece gdzieś tu, na półce - zablefowała i zaczęła przesuwać kosze i skrzynki. - Może poświeć komórką? - zaproponowała cicho, wciąż robiąc rumor na regale. - Nie mogę ich wymacać.

- A gdzie twoja komórka? - zapytał.

- Na górze, w sypialni - skłamała.

Westchnął coś i wymamrotał słowa, których nie zrozumiała, ale gdy kolejny raz w coś wdepnął i coś potrącił, zniecierpliwiony wygrzebał z kieszeni kurtki telefon i włączył aplikację latarki. Omiótł snopem światła garaż, Ninę i zagracony regał, przy którym stała, a potem skupił się na bagażniku auta. Podszedł, z pogrzebaczem w jednej dłoni i telefonem w drugiej. Nie miał trzeciej, by złapać Ninę, która wycofała się jeszcze dalej poza jego zasięg.

- Nie jest zamknięty na klucz, wystarczy nacisnąć guzik - zapewniła.

Stanął przy aucie. Położył komórkę na dachu, by oświetlała bagażnik. Wymacał guzik otwierający klapę, wdusił go i szarpnął za uchwyt. Kłapa zaskrzypiała, ale jeszcze nie odkryła przed nim swoich tajemnic.

- Zatrzasnęłam mocno, bo się sama otwierała - skłamała Nina.

Zaparł się stopami i szarpnął za uchwyt. Stęknął głośno, ale odniósł sukces - kłapa drgnęła, a potem odskoczyła z głośnym zgrzytem starych sprężyn. Mężczyzna pochylił się nad ciemnym

wnętrzem bagażnika; snop latarki z komórki nie sięgał w jego trzewia, bo na drodze sterczała otwarta kłapa. Zanim zauważył, że w środku jest wszystko, tylko nie torba, której szukał, wydarzyły się dwie rzeczy.

Samochód ruszył do przodu, jakby nie miał zaciągniętego hamulca ręcznego i nagle poczuł zew wolności. A drewniana kłapa kanału zaskrzypiała i załamała się pod ciężarem mężczyzny. Wojacek wpadł w dziurę prawą nogą, głęboko aż po pachwinę. Lewą, zgiętą w kolanie, zarył o deski, ale i pod nią drewno ugięło się ze skrzypieniem. Próbował się wydostać z pułapki, kiedy tylko jednak pociągnął nogę w górę, zawył, gdy ostre kawałki głębiej wbiły mu się w ciało. Wyciągnął ręce, próbując złapać się zderzaka poloneza, ale ten odturlał się jeszcze pół metra, więc intruz zamłócił ramionami w powietrzu, wyjąc z bólu.

– Pomóż mi! – zawołał, odwracając się w stronę Niny.

– Chciałbyś – powiedziała mężczyźnie. – Ale gdy zadzwonię po policję, poproszę, by przysłali też karetkę – dodała wspaniałomyślnie.

Wyciągnęła komórkę z kieszeni i wybrała numer alarmowy. Podała dyspozytorce adres i poprosiła o przysłanie ambulansu i radiowozu.

– Jest pani ranna? – zapytała kobieta po drugiej stronie.

– Ja nie, ale facet, który się włamał do mojego domu, owszem – odparła Nina. – Być może właśnie się wykrwawia z tętnicy udowej.

– Czy jest przytomny? – zapytała kobieta.

– Jeszcze tak. Ale nie ręczę, czy taki pozostanie, jeśli znowu czegoś spróbuje.

Facet ciskał przekleństwami, ale nie próbował już wyszarpać nogi z dziury. Podpierał się dłońmi po obu stronach kanału, by nie zapadać się głębiej pod ciężarem własnego ciała.

– Czy chce pani zostać na linii? – zapytała dyspozytorka. – Mogę z panią poczekać, aż przyjedzie radiowóz.

– Nie trzeba, dziękuję. Muszę zadzwonić jeszcze do dzielnicowego Boberka. I sierżanta sztabowego Straszewicza. Nie wybaczą mi, jeśli ominie ich cała zabawa. To nie jest mój pierwszy raz. Ale ten włamywacz jeszcze żyje, może zdążycie go uratować, a przynajmniej przesłuchać.

Nina odniosła wrażenie, że dyspozytorka prychnęła cichutko, ale szybko znów przybrała ten profesjonalny i kojący ton:

– Pomoc jest w drodze. Może im pani za chwilę otworzyć?

– Dadzą sobie radę. Facet wyłamał zamek w drzwiach.

– Cieszę się, że jest pani cała. Już niedługo usłyszy pani syreny radiowozu i karetki.

– Dziękuję. Będę nasłuchiwać – zapewniła.

Rozłączyła się i wybrała numer do dzielnicowego. Przez dłuższą chwilę nie odpowiadał, więc już się miała rozłączyć, ale nagle coś kliknęło i usłyszała bardzo zaspane:

– Halo?

– Tu Nina, intruz wrócił. Złapałam go. Policja i karetka są już w drodze.

– Jesteś cała? Zrobił ci krzywdę? – Dzielnicowy brzmiał teraz na zupełnie rozbudzonego, dobiegły ją też odgłosy krzątania. Zwróciła uwagę, że przeszedł na ty, ale nie miała nic przeciwko.

– Jestem cała. On niekoniecznie. Ale może przeżyje. Jakby co, to był wypadek. Nie uwzględnił zużycia materiału i próchniejącego drewna.

– Ale chyba nie załatwiłaś kolejnego na schodach?

– O nie, schody są na to stanowczo za drogie! Powiadomisz Straszewicza? Nie chcę, by znów ktoś na mnie krzyczał, a jestem dziwnie pewna, że on akurat zacznie.

- Dam mu znać – zapewnił dzielnicowy – będę u ciebie do kwadransa.

- Dzięki, sąsiedzie – odparła łagodnie.

*

Pierwsi zjawili się ratownicy, zaraz po nich przyjechał radiowóz. Nina, przyświecając sobie komórką, znalazła do tego czasu skrzynkę z bezpiecznikami, więc w domu znów było światło.

Nadal nie mogła zlokalizować włącznika w garażu, musiał być schowany za którymś z regałów. Policjanci przyświecali ratownikom profesjonalnymi reflektorkami. Otworzyli też szeroko bramę do garażu i wypchnęli poloneza na zewnątrz, by ułatwić wyniesienie rannego na noszach. Olek Wojaczek był teraz nad wyraz potulny, może zbyt osłabiony, by się ciskać, a może zachował resztki zdrowego rozsądku i wykoncypował sobie, że wyłącznie tak zdoła wyjść z tego cało. Możliwe zresztą, że odłamki deski wbijały mu się nie tylko w nogę, ale i w miejsca wrażliwsze, co w pełni tłumaczyłoby tę nowo odkrytą spolegliwość i zwracanie się do policjantów per „panie władzo”, a do ratowników: „panowie, pomocy”.

Nina pozwoliła im działać. Sama zrobiła sobie herbaty i czekała na dzielnicowego. Przyjechał kilka minut po ratownikach, w strugach deszczu ściekających po funkcyjnej kurtce z kapturem. Oparł rower o ścianę na ganku i wszedł do środka, zostawiając kałuże na podłodze. Nina przyniosła mu ręcznik. Odczekała, aż się powyciera i zdejmie ociekającą kurtkę oraz przemoczone buty, po czym zaprowadziła go do schodów, gdzie na stopniu wciąż leżał pistolet intruza.

- Będę bardzo wdzięczna, jeśli to zabierzesz, zapakujesz w jakąś torebkę na dowody, cokolwiek – poprosiła.

- Najpierw muszę obfotografować – odparł i cyknął kilka zdjęć komórką. Dopiero wtedy uniósł broń, zabezpieczył ją i wyciągnął magazynek, po czym sprawdził komorę. – Strzelał do ciebie? – zapytał, gdy zauważył, że nie ma wszystkich naboii.

Nina machnęła dłonią w stronę ściany przy futrynie.

- Próbowałam zwać – przyznała.

- Łajdak – mruknął. – Nic dziwnego, że się teraz boisz broni palnej – dodał głośniej.

Nina spojrzała na niego zaskoczona.

- Nie boję się, po prostu jeśli jej nie zabierzesz, Agata może uznać, że się nam przyda. I jak znów nam się ktoś włamie, będę musiała się tłumaczyć.

- Z twoimi statystykami w zakresie przeżywalności włamywaczy nie wiem, czy znajdują się śmiałkowie.

- I bardzo dobrze. Jeśli chcesz, rozpuść wici, że wykańczamy każdego, kto spróbuje tu wejść bez zaproszenia. Może się będą trzymać z daleka – skwitowała i zaraz dodała szybko: – Tylko nie mów Straszewiczowi, że to powiedziałam. Nie podsuwajmy mu głupich pomysłów.

*

Czterdzieści minut później siedziała w kuchni z dzielnicowym Boberkiem, sierżantem sztabowym Straszewiczem i sierżantem Markiem Garstką. Agata będzie niepokieszona, że ominęło ją takie posiedzenie. Uznałaby je za idealną okazję do researchu i zadawania pytań, przez które mężczyźni siwieliby odrobinę szybciej.

Nina opowiedziała policjantom o wszystkim, co się wydarzyło od wtargnięcia intruza. Pozwalali jej mówić, z rzadka przerywali. Straszewicz milczał prawie cały czas, gładząc nastroszone wąsy. Marek Garstka pomrukiwał jak wzburzony niedźwiedź. A

dzielnicowy nagle dopuścił do głosu instynkt mamy niedźwiedzicy i dolewał Ninie miodu do herbaty, bo cukier krzepi, a miód nawet bardziej.

Nie dramatyzowała, nie upiększała, a oni patrzyli na nią z niedowierzaniem.

– Wiedziała pani, że ta deska się załamie? – zapytał nagle Straszewicz.

– Odmawiam odpowiedzi i powołuję się na piątą poprawkę – powiedziała stanowczo.

– Pani Nino, to poprawka konstytucji amerykańskiej. U nas nie ma zastosowania. – Sierżant sztabowy pokręcił głową i westchnął.

– To stary dom. Sporo rzeczy wymaga naprawy czy wymiany. Najwyraźniej kłapa w garażu też. Nie była na mojej liście priorytetów, za ważniejsze uznałam schody – powiedziała.

– Na których też ktoś zginął.

– Wojacek nie zginął. Jest ranny, ale to nie ja kazałam mu się tu włamywać, nie ja kazałam mu skakać po spróchniałej desce. Nie walnęłam go, gdy już tam ugrzązł, a mogłam. Miałam pod ręką sporo ciężkich narzędzi. To się musi liczyć na moją korzyść. – Nawet nie zauważyła, że podniosła głos.

Dzielnicowy znów dołał jej łyżeczkę miodu do herbaty.

– Czy w ogóle powiedział pani, czemu się tu pałętał? – zapytał Garstka.

– No tak, chciał worek – odparła i dotarło do niej, że w swojej opowieści pominęła ten szczegół. – Znalazłam go wcześniej. Wysłałam dzielnicowemu SMS w tej sprawie – dodała tonem usprawiedliwienia.

Dzielnicowy Boberek wyciągnął komórkę i odczytał wiadomość. Z jego miny Nina wywnioskowała, że widzi ją po raz pierwszy.

- Nie chciałam robić afery, do pana bym zadzwoniła rano, w poniedziałek - dodała, bo Straszewicz wbijał w nią to swoje jastrzębie spojrzenie. - No nie wiedziałam, że ta cholera przylezie! Wykorzystał to, że Gracje wyjechały na weekend. Myślał, że ze mną poradzi sobie łatwiej niż z naszą trójką. Cóż, niespodzianka - dodała mściwie.

- Tylko wyjątkowo mało rozgarnięty typ zakładałby, że można sobie z panią łatwo radzić - odparł Straszewicz i teraz to Nina obdarzyła go spojrzeniem spod zmarszczonych brwi. Uniósł ręce w obronnym geście i wyjaśnił: - To tylko luźna obserwacja!

- A gdzie ten worek? Naprawdę jest w polonezie? - zapytał Garstka, bo samochód stał na zewnątrz, a ulewa wcale nie osłabła.

Nikt nie zawracał sobie głowy wpychaniem go pod dach. Zatrzaśnięto tylko klapę i zamknięto drzwi do garażu, by deszcz nie lał się do środka. Nina podejrzewała, że za dnia przyjedzie tu któryś z techników i zrobi jakieś zdjęcia, bo pewnie będą potrzebne do raportu, ale na razie nikt o tym nie wspominał.

- No co pan? Musiałabym stanąć na tej spróchniałej desce, żeby go tam schować - powiedziała, a Straszewicz przewrócił oczami tak, jakby ogarnęła go nagła słabość charakteru. - Hipotetycznie - dodała, nie chcąc ukrecać sobie bicza na własny kark.

Podniosła się z miejsca.

- Pokażę panom, ale wołałabym już niczego nie dotykać. Tam też jest broń. I inne rzeczy...

Poprowadziła policjantów do garażu. Straszewicz z miejsca znalazł włącznik światła, jakby miał identyczny garaż albo jakby włączniki tradycyjnie umieszczano na wysokości metra osiemdziesiąt nad podłogą, za butelkami z rozpuszczalnikiem.

- Skąd pan wiedział, że to tam? - zapytała z niedowierzaniem.

- Przecież to logiczne, że po prawej. A Uklej był wysoki – odparł tylko i uśmiechnął się jak cwany kocur.

Westchnęła i spod blatu roboczego w rogu pomieszczenia wyciągnęła dużą stalową skrzynię z napisem „stolarka”. W środku, wciśnięty nieco na siłę, był czarny worek marynarski zawierający skarby, dla których warto było się tu włamywać choćby i pod nosem policji.

Nina cofnęła się, pozwalając policjantom napawać się znaleziskiem. Omiotła wzrokiem podłogę. Była tak brudna od smaru i kurzu, że prawie nie było widać śladów krwi Olka Wojaczka, ale Nina wiedziała, że tam jest. Ratownicy ściągnęli większość pokrywy kanału, połamane deski leżały w stercie koło dołu. Podeszła bliżej i zajrzała do środka.

I zeszywniała, gdy zrozumiała, co właściwie widzi. Żarówka kiwała się praktycznie dokładnie nad nią, wyraźnie oświetlając wnętrze dołu. A tam, pod warstwą pyłu, strzępów przegniłych kartonów i resztek drewna, widniała faktura tkaniny pościelowej, kiedyś białej w kwiatuszki, dziś pokrytej plamami, ciemnobrązowymi i całkiem świeżymi, o karmazynowej barwie.

Spod tkaniny wyłaniała się żółtawobrazowa kość.

- Myślę, że znalazłam właśnie zaginionego trupa – powiedziała głucho Nina.

- Na miłość boską! – ryknął Straszewicz. - Czy pani mogłaby, sam nie wiem, przestać?!

Spojrzała na niego chłodno.

- Co dokładnie miałabym przestać? Życ? Może to policja mogłaby złapać włamywacza, zanim trzeci raz wpakował mi się do domu? Może policja raczyłaby wyjaśnić zbrodnie starsze ode mnie, bym nie musiała we własnym garażu znajdować ludzkich szczątków! – wyrzuciła z siebie, a jej głos drżał ledwie tłumioną furiją.

– Może wrócimy do kuchni i dopijemy herbatę? – zaproponował dzielnicowy i opiekuńczym gestem objął ją, po czym poprowadził do wyjścia z garażu, obrzucając sierżanta sztabowego pełnym wyrzutem spojrzeniem.

Nina poszła posłusznie z Szymonem Boberkiem. Chciała zostawić za sobą ten cholerny garaż. Może powinna go w ogóle zburzyć? Usłyszała za sobą słowa Garstki:

– Stary, daj spokój, przecież nasi powinni to zauważyć, ale byli zaaferowani Wojaczkiem.

*

Nina odmówiła opuszczenia domu i nocowania w Wielkiej Niedźwiedzicy, choć Marek Garstka jej to proponował. Nie zamierzała się ruszać z Zapadłego. Poprosiła tylko, by policjanci zabezpieczyli jakoś drzwi wejściowe, zanim w poniedziałek Robert kolejny raz wymieni zamek. Jedyne sposoby, jakie znaleźli, to przybicie deski w poprzek. Zostawiła ich na parterze, a sama poszła na górę. Była zmęczona, tak cholernie zmęczona. Położyła się, tylko na chwileczkę. Musiała przymknąć oczy... i zanim zdążyła się przebrać w piżamę czy wejść pod kołdrę, już spała. Nie przeszkadzała jej obecność policjantów na dole, nie słyszała podjeżdżających pod dom radiowozów. Nie obudziła się aż do rana, niepomna, że dzielnicowy zajrzał do niej, by się upewnić, czy nie strzeliło ją jakieś opóźnione echo szoku pourazowego. Jeśli takowy stał się jej udziałem, objawił się pod postacią najlepiej od tygodni przespanej nocy.

O ile ranny włamywacz nie był przedmiotem zbyt intensywnego śledztwa, o tyle szczątki ludzkie już tak, więc rano w domu było pełno ludzi. Gdy zeszła do kuchni, szkielet leżał już na noszach, a kłęby poszewek i ręczników, zeszywniałe od starej krwi i kurzu,

zabezpieczone były w dużych papierowych torbach. Resztę śmieci z kanału też już posegregowano i rozłożono na rozciągniętej na podłodze plandecie.

– Miał przy sobie jakieś dokumenty? – zapytała technika.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Żadnych ubrań, żadnych papierów.

– Ale to te zwłoki sprzed czterdziestu lat, prawda? – upewniła się. – Ślady krwi ze schowka należały do tej samej osoby?

Technik już otworzył usta, by odpowiedzieć, ale w jego pole widzenia wszedł właśnie Straszewicz.

– Pani Nino, proszę się w to nie mieszać, nalegam – powiedział, zaskakująco łagodnie. Jakby gdzieś między ich nocną rozmową a chwilą obecną przeszedł małe nawrócenie, albo skonsultował się z kimś, kto faktycznie wie cokolwiek na temat młodych kobiet i ich automatycznych reakcji na despotyczne zakazy.

– Szczątki leżą u mnie domu. Na moje już jestem w to zamieszana – odpowiedziała i dodała po chwili: – Będę musiała powiadomić bliskich Luli Uklej. To jest też ich sprawa, ich rodzinny dom.

Straszewicz skinął głową.

– Czy żyje ktokolwiek, kto mógłby coś wiedzieć? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

– Może Albert Pilch, jest kuzynem Luli. Może jej synowie. Mnie nigdy o niczym nie wspomniała. Myślę, że nie wiedziała o trupie. W innym wypadku ostrzegłaby mnie w liście dołączonym do testamentu.

– Nie wydaje się pani, że mogłaby zataić informacje o morderstwie i szczątkach, nie chcąc pani przerazić? – zapytał z powątpiewaniem.

Nina pokręciła głową.

- Nie znał pan Luli. A ona znała mnie wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie byłabym przerażona. Nie, o niczym nie wiedziała. Ale chciałyby wiedzieć. To był jej dom. A to jest tajemnica jej rodziny.

- No ja bym tego nie zakładał tak pochopnie. Może zresztą sama była sprawczynią - rzucił mimochodem Straszewicz.

Nina zgromiła go wzrokiem.

- Pan to jednak nie lubi pokoju na świecie, prawda? Koniecznie musi mnie pan wkurzyć? - zapytała gniewnie. - Może pan rzucać oskarżenia pod moim adresem, odgryzę się i obronię. Ale imputowanie morderstwa niedawno zmarłej osobie, której nawet pan nie znał, jest naprawdę poniżej pasa!

- Sugeruje pani, że zrobił to jej ojciec? - zapytał Straszewicz z niewinną miną.

- Sugeruję, że powinien się pan zająć swoją robotą, a nie zgadywankami. Bo może być pan pewien, że ja i Gracje się tym zajmiemy i będzie panu głupio, gdy pierwsze odkryjemy tajemnicę tego domu, tego trupa i tej zbrodni - odparła stanowczo.

Straszewicz tylko jęknął i opuścił powieki.

- Za jakie grzechy... Tylko dwa lata do emerytury, czy oczekuję zbyt wiele? - wymruczał na tyle cicho, że Nina nie usłyszała.

Rozdzwonił się jej telefon. Spojrzała na wyświetlacz. Robert.

- Właśnie słyszę od znajomego ratownika, że w nocy miałaś grubą imprezę - powiedział bez powitania.

- Można tak powiedzieć. Poprawiny wciąż trwają.

- Chcesz, żebym przyjechał? - zapytał.

- A możesz?

- Zawsze. W końcu jesteśmy sąsiadami - odparł i słyszała uśmiech w jego głosie.

- Wpadaj, zanim zamorduję lokalnego przedstawiciela prawa - rzuciła do słuchawki i wychodząc z kuchni, obdarzyła Straszewicza kolejnym morderczym spojrzeniem.

Może na spotkanie z technikami i nieboszczykiem z garażu nie musiała się czesać czy przebierać z dresów, w których spała, ale nie zamierzała pokazywać się w takim stanie Robertowi. Miała zbyt daleko idące plany w związku ze swoim sąsiadem, by przeprowadzać ten eksperyment na tak wczesnym etapie ich znajomości.

*

Gracje wróciły w niedzielę wieczorem, całkiem dobrze poinformowane w kwestii niedawnych wydarzeń. Pewnie Agata wyciągnęła informacje od tego swojego technika, pomyślała Nina. Obie przyjaciółki miały do niej pretensje, że nie zadzwoniła.

- Przecież byliście na targach książki, w pracy! Miałam was wrywać rozochoconym tłumom czytelników? - zaprotestowała.

Ale racjonalne argumenty do nich nie trafiały. Dopiero gdy kolejny raz, z najdrobniejszymi szczegółami, opisała im przebieg wypadków, a one upewniły się, że nic jej nie jest (choć nie umknęły im siniaki na jej szyi pozostawione przez napastnika), nieznacznie się uspokoiły.

- Musimy się dowiedzieć, kim był nieboszczyk i co mu się stało - powiedziała Nina.

Zuza i Agata przytaknęły.

- Straszewicz zszarga reputację Luli, jeśli mu na to pozwolimy - dodała Zuza, w lot łapiąc, co w całej tej sytuacji gniecie Ninę najbardziej.

- Czy mamy jakikolwiek punkt zaczepienia? - zapytała Agata.

- Zadzwonię do jednego z synów Luli, może coś wie. Bywali w tym domu jako dzieci - powiedziała Nina, która już to sobie przemyślała.

Najstarsza z Gracji kiwnęła głową.

- Ja się dowiem, co ustalą po zbadaniu szkieletu. Nie mam pojęcia, jak daleko wstecz sięgają tu raporty o zaginionych, ale się dowiem.

Obie wraz z Zuzą przytuliły Ninę na znak, że nie jest z tym sama. Że z niczym nie jest już sama.

- Muszę z tobą porozmawiać jeszcze o czymś - odezwała się Agata, a Zuza poklepała Ninę po plecach, jakby chciała jej dodać otuchy.

- Jednak wyjeżdżacie? - zgađła Nina.

Obie parsknęły śmiechem.

- Przeciwnie. Wymyśliłam powód, dla którego mogłybyśmy tu zostać przez sporą część roku. Nie tylko w ramach urlopu. A ty miałabyś dodatkowe źródło dochodu i zastosowanie dla tak dużego metrażu.

- Gdzie minusy? - zapytała rozbawiona Nina.

- No więc, jeśli się zgodzisz, będziesz miała na głowie nie tylko nas, ale pewnie też masę innych pisarek i pisarzy. Sama wiesz, żadne z nas nie jest do końca normalne, więc lepiej dobrze się zastanów - rzuciła Zuza.

- Mam biznesplan - dodała Agata.

- Oczywiście, że masz - przytaknęła Nina.

Nie miała pojęcia, co dokładnie wymyśliły, ale czuła, że się zgodzi.

- Żadna z was nie ma alergii na psa? - zapytała po chwili.

Zgodnie pokręciły głowami.

- To świetnie, bo myślę, że jest nam potrzebny do szczęścia.

- Możesz od razu zaadoptować strażaka z psem. Będzie wydajniej - rzuciła Zuzka i uchyliła się, zanim łokieć Niny trafił w jej bok.

EPILOG

Odkładała ten telefon przez dwa dni. Tłumaczyła sobie, że ma mnóstwo zajęć, zwłaszcza że po domu wciąż kręciła się policja, rozemocjonowane Gracje dopracowywały każdy szczegół swojego misternego planu, a ona sama, siłą rzeczy, była we wszystko to zaangażowana, skoro jej dom miał być epicentrum całego przedsięwzięcia.

Prawda była jednak trochę bardziej skomplikowana. Telefon do Olgierda Weissberga stanowił test, a Nina wciąż nie była gotowa, by poznać jego wynik. Ale jeśli miała dowiedzieć się czegokolwiek na temat nieboszczyka i zbrodni dokonanej w posiadłości Uklejów, musiała się zdobyć na odwagę.

Wybrała numer. Serce biło jej w piersi tak głośno, że prawie zagłuszało sygnał w słuchawce. Wreszcie rozległo się kliknięcie i przy uchu Niny rozbrzmiał niski, łagodny głos Olgierda.

- Cześć, wszystko w porządku? - zapytał syn Luli i brzmiał przy tym, jakby naprawdę się niepokoił.

- Tak. I nie. To skomplikowane - przyznała, nie wiedząc, jak zacząć temat. Patrzyła na kartkę, na której nakreśliła kilka wersji zdania otwierającego rozmowę, ale teraz żadna nie wydawała się odpowiednia.

- Bałem się, że tak będzie. Opowiedz mi wszystko, na pewno znajdziemy rozwiązanie - odezwał się, gdy jej milczenie się przedłużało.

Powiedział to dokładnie tak samo, jak powiedziałyby to Lula, z tą samą intonacją, ale i odrobiną akcentu.

Więc zrelacjonowała mu całą historię. Od włamania i pierwszego trupa, przez odkrycie śladów po starszym trupie, kolejne włamania, aż do kulminacji sprzed kilku dni, kiedy zlokalizowała forszę, prochy, broń i paszporty. Opowiedziała o napaści i pułapce, którą zastawiła na intruza. I o znalezieniu miejsca, w którym spoczywały szczątki.

– Muszę się dowiedzieć, kto to jest i jak zginął, bo tutejszy szeryf z Nottingham będzie chciał zwalić zabójstwo na Lulę – wyrzuciła z siebie i wypuściła nadmiar powietrza z głośnym świstem.

Olgierd przez chwilę milczał, a potem westchnął.

– O cholera. Jest gorzej, niż myślałem. Zakładałem, że dom nie nadaje się do zamieszkania, a ty martwisz się tym zapisem, że musisz tam siedzieć przez rok, żeby zachować spadek. Ale to... nie wiem, co powiedzieć – przyznał.

– Wiesz, czyje to mogą być szczątki? – zapytała cicho.

– Nie mam pojęcia. Mama często mówiła o tym domu, ale ostatnio była tam... sam nie wiem, dwadzieścia pięć lat temu? Ona i dziadek ciągle się kłócili, ale wtedy poszło na noże. Nigdy więcej nie pojechaliśmy na wakacje do Ustki. Pogodzili się na tyle, by rozmawiać, a dziadek kilkanaście lat temu łaskawie zgodził się, by mama przeprowadziła remont dachu i wymianę okien, ale ich relacje nigdy nie były ciepłe czy choćby poprawne. Nawet gdy pojechała na pogrzeb, nocowała w pensjonacie.

– Wiesz, o co im poszło? – zapytała Nina.

– Nie wiem, czy to była jedna rzecz, czy raczej ostry konflikt charakterów. Dziadek Poldek był trudnym człowiekiem. Uważał, że wszystko wie najlepiej, a w mamie zawsze widział dziewczynkę, którą może postawić do kąta... Mama regularnie rozmawiała z ciocią Gertrudą, a ona miała oko na dom i dziadka. Znały się od dziecka. Może ona coś wie...

- Gertruda? Czy przedstawia się może jako Gerti, wygląda jak krasnolud i jeździ na rowerze bez hamulców? - zapytała Nina podejrzliwie.

Parsknął śmiechem.

- Nic nie wiem o hamulcach, ale reszta się zgadza - przyznał. Zawahał się i dodał: - Nino, może powinnaś się trzymać od tego z daleka? Nie chcę cię wpędzać w kłopoty.

- Sama doskonale potrafię się w nie wpakować, bez niczyjej pomocy, dziękuję bardzo - ucięła stanowczo.

Roześmiał się.

- To samo powiedziałaś, kiedy przyszedłem po was na tor gokartowy, kiedy ochrona chciała wzywać do was policję. Oboje wiemy, że misja staranowania każdego samochodu na torze to nie był twój pomysł.

- Mogłam odmówić! - broniła się Nina.

- Na tym właśnie polegał urok mojej mamy, że rzadko potrafiliśmy jej czegokolwiek odmówić - powiedział i nagle posmutniał.

Nina pociągnęła nosem. Zdała sobie sprawę, że jest na granicy płaczu.

- Też za nią tęsknię - dodał miękko. - Czasami zapominam, że już jej nie ma. Żałuję, że nigdy nie pojechaliśmy razem do Ustki. Tak często mówiła o tym domu. Zwłaszcza w ostatnich latach, gdy była już chora. Chciała się tam wybrać, ale wybiłem jej to z głowy. Źle zniosłaby taką podróż - powiedział tonem usprawiedliwienia.

Przez chwilę milczeli. Wreszcie Olgierd sapnął i przyznał:

- Prawda jest taka, że nie chciałem, by tam jechała. Bałem się, że to coś w rodzaju cmentarzyska słoni. Że wracając tam, dopełni w jakiś sposób swoją ścieżkę. Bałem się, że stracę ją jeszcze szybciej.

- Wszyscy chcieliśmy, by została z nami choć odrobinę dłużej - szepnęła Nina.

- To, że cię spotkała w tym szpitalu, to było najlepsze, co wynikło z tej choroby - powiedział nieoczekiwanie.

- Przestań, bo zaraz się rozplączę.

- To będziemy ryczeć razem. A jestem w miejscu publicznym. Moja sekretarka i tak zerka podejrzliwie, jak zawsze gdy słyszy, że mówię po polsku - parsknął cicho. - Dobrze, Nino, ustalmy kilka rzeczy. Nie musisz tam zostawać. Jeśli masz inny pomysł na życie, nie czuj się uwiązana tylko dlatego, że mama się porządziła i postawiła ci ultimatum. Jedynymi osobami, które mogłyby wyciągać konsekwencje z powodu niedotrzymania tego zapisu, jesteśmy my, Hans, Thomas i ja. Żaden z nas nie zamierza tego robić, nikt nie odbierze ci domu, nikt nie będzie cię ciągał po sądach.

- Nigdzie się stąd nie ruszę - zapewniła. - To jest mój dom. Największy remont już za mną, mam fachowców i plan dalszych prac. Mam pomysł, jak go utrzymać w szerszej perspektywie. Nie musisz się tym przejmować... Ale dziękuję - dodała.

Westchnął, jakby dokładnie to spodziewał się usłyszeć.

- No dobrze. Nie odwiode cię od pomysłu śledztwa?

- Na pewno nie. Nie sądzę, by policja zdołała się dokopać do prawdy. Nie będą mieli czasu ani zasobów. A ja mam czas.

- I masz ciocię Gertrudę. Poszukam jej adresu w notesie mamy i wyślę ci mailem, okej?

- Dziękuję, to mi bardzo pomoże - zapewniła.

- Być może mam coś jeszcze - powiedział po chwili. - Porządkujemy schowek w piwnicy. Mama miała tam mnóstwo pudeł z papierami. Znalazłem jej stare dzienniki, mnóstwo listów i pocztówek z różnych miejsc na świecie. - Zawahał się, ale kontynuował: - Nina, to są listy miłosne. Namiętne. I nie wysyłał ich jej mąż a mój tato. Myślę, że pochodzą z czasów, kiedy go nawet nie znała. Nie spodziewaliśmy się czegoś takiego.

- Czy kiedykolwiek wspominała o adresacie? - zapytała cicho.

- Najchętniej zapytałbym cię o to samo. Czy mama kiedykolwiek wspominała ci o Julianie Pliszowskim?

- Nigdy nie słyszałam tego nazwiska - odparła zaskoczona.

Olgierd milczał dłuższą chwilę, a Nina wyczuła rosnące napięcie.

- Hej, wszystko w porządku? To tylko stare listy, nawet jeśli była w kimś zakochana, to przecież waszego tatę poznała już potem - próbowała bronić Luli.

- Tak, wiem - westchnął ciężko. - Nie o to chodzi. W tych listach jest coś jeszcze... Dziecko. Oni pisali o dziecku. Ich dziecku.

Nina zamarła.

- Myślisz, że masz gdzieś rodzeństwo, o którym nie wiesz? - zapytała cicho.

- Nie wiem, Nina, nie wiem, co o tym myśleć. Ale chciałbym, żebyś przeczytała te listy. Może lepiej je zrozumiesz. Ja chciałbym wiedzieć. I chciałbym wiedzieć, czemu nigdy nam o tym nie wspomniała.

- Oczywiście - zapewniła - możesz na mnie liczyć.

- I wzajemnie, Nina, wzajemnie. Może przyjedziemy na wakacje z dziećmi w tamte strony? Tęsknię za tobą.

- Zawsze jesteście mile widziani. - Uśmiechnęła się, wypowiadając te słowa.

- Może to nie jest taki zły pomysł. Zobaczymy, jak się ułoży.

Przez chwilę milczał, a potem powiedział:

- Myślałem, że znam swoją matkę, a ona, jak ten dom, kryła w sobie tajemnice.

- Znałaś Lulę. Nawet jeśli miała sekrety, to przecież nie mogły być straszne.

- Nie tak straszne jak niezidentyfikowany trup w starym rodzinnym domu? - zapytał.

- To się w głowie nie mieści, prawda? Ale znajdziemy odpowiedzi na wszystkie pytania. I nie pozwolimy, by reputacja Luli ucierpiała – zapewniła Nina.

- Wyślę ci te papiery kurierem – powiedział Olgierd, a jego głos zadrżał.

- Dziękuję, Olgierdzie, naprawdę dziękuję. Przysięgam, że to rozgryzę.

Nie dziwiło jej, że jest wytrącony z równowagi. Śmierć mamy wciąż była świeża, a teraz doszła jeszcze ta dziwaczna tajemnica. Dziecko? Czy Lula mogła mieć dziecko, o którym nikt nie wiedział? Nagle przypomniała sobie plik metryk z sejfu w gabinecie. Może warto im się przyjrzeć dokładniej? Nie wspomniała o tym Olgierdowi. Najpierw sama chciała się z nimi zapoznać.

- Nie dziękuj, Nina. Mam wrażenie, że mama znów w coś cię wpakowała, tyle że teraz jesteś za daleko, bym zdołał cię wyciągnąć z kłopotów. Jesteście do siebie takie podobne, ty i Lula.

- Dziękuję za komplement.

Znów westchnął ciężko.

- Może ty zrozumiesz to, czego ja nie potrafię. Uważaj na siebie. I gdybyś potrzebowała czegokolwiek, dzwoń. Zawsze będę pamiętał, co zrobiłaś dla mamy.

- Ona zrobiła dla mnie jeszcze więcej.

- Tak to już chyba jest w rodzinie, prawda?

Koniec tomu 1

POSŁOWIE

Prawda jest taka, że zaczęłam tęsknić za Ustką. Wiedziałam, że trylogia Garstek z Ustki jest zamknięta, ale czy Ustka aby na pewno wyczerpała dla mnie swój potencjał? No raczej, że nie.

Miała to być pojedyncza historia, opowieść o Ninie i jej spadku, tajemniczym domu z ukrytym nieboszczykiem. Ot, mały skok w bok od innych projektów, okazja, by wrócić do Ustki choć na chwileczkę. A wyszło, cóż, jak zwykle. Skończy się trylogią *Gracji z Ustki*, bo Gracje miały swój pomysł na to, jak ta historia ma się rozwijać. I każda przyszła ze swoim kawałkiem fabuły. A ja bawię się z nimi za dobrze, by je popędzać.

W tym miejscu dziękuję Pani Agnieszce Klimaszewskiej-Kargul i jej mężowi, którzy bardzo mi pomogli, dostarczając profesjonalnych materiałów wizualnych z poświęceniem czasu i mięśni ud.

Ale to nie koniec podziękowań. Pod pewnymi względami ta książka na zawsze zapadnie mi w pamięć. Dwudziestego listopada skończyłam pisać pierwszy draft. Planowaliśmy z mężem małą celebrację po jego powrocie z pracy następnego dnia. Nigdy nie wrócił. Dwudziestego pierwszego listopada zmarł tragicznie w wypadku samochodowym na autostradzie A1. Wszystko się skończyło, a ja rozsypałam się kompletnie. Spędziliśmy razem większą część mojego i jego życia, nie wiedziałam, jak się odnaleźć w świecie bez niego.

Nie przetrwałabym tego, co nastąpiło po 21 listopada, gdyby nie gigantyczne wsparcie bliskich i przyjaciół. I to jedyny sposób, w jaki

mogę im podziękować na piśmie za to, że w ogóle jestem w stanie cokolwiek teraz pisać.

Dziękuję moim rodzicom, którzy przyjechali natychmiast, nie zważając na moje prośby, by tego nie robili.

Moim siostrom – Justynie i Małgorzacie, które niczym walkirie były wsparciem w żałobie, gotowe przenosić góry, bić się z policją, jeśli zajdzie taka potrzeba, i pomóc mi uhonorować wszystkie życzenia mojego męża w kwestii pochówku, a nie było to łatwe. Dziękuję Gosi, Łukaszowi i Julci, że mnie przygarnęli i dali namiastkę normalności, gdy nic nie było normalne. I Fadusiowi, który doskonale wiedział, że człowiek w takiej chwili potrzebuje mnóstwo przytulania. Justynie, która potrafi zaplanować nawet chaos. I Poli, która choć ma tylko trzynaście lat, jest tak mądra i kochana, by znaleźć słowa pocieszenia, gdzie ja nie potrafiłam ich znaleźć.

Dziękuję mojemu sabatowi – Marcie, Milenie i Magdzie, które są nieustannym wsparciem: czy online, czy w realnym świecie. Do tańca w ogrodzie i na pogrzeb, są po prostu najlepszym sabatem, jaki mogłam sobie wymyślić.

Dziękuję także Paulinie, która porzuciła narzeczonego i koty, by ze mną pomieszkać i pomóc mi w walce z urzędami, formalnościami i całą resztą, do której nie ma się głowy, gdy serce złamane, ale nikt poza bliskimi nie ma tego na względzie.

Magdzie, Sebastianowi i Myszce, którzy czuwali, pomagali i wyjaśniali rzeczy, które ciężko było zrozumieć.

Lidii Piwowarczyk, wspaniałej prawniczce, która pomaga mi nawigować pośród spraw jeszcze trudniejszych niż przeprawy z ZUS-em i NFZ-tem. Niczym święty Jerzy mierzy się z każdym smokiem i oby zawsze wychodziła z tych walk zwycięsko.

I tu specjalna odezwa do Was, drodzy Czytelnicy. Obiecałam Pani Lidii, że o tym wspomnę: piszcie, kochani, testamenty, nawet jeśli jesteście piękni, młodzi i nie wybieracie się na tamten świat. Bo w sumie mało kto się wybiera. Brak testamentu koszmarnie komplikuje sytuację tych, którzy zostają na miejscu. Nieważne, czy macie wielki majątek, czy kredyt na kawalerkę – piszcie testament. To nic trudnego. I koniecznie powiedzcie komuś bliskiemu, gdzie go znaleźć w razie nagłej potrzeby.

Dziękuję też Przemkowi Romańskiemu, który kolejny raz dowiódł, że jest nie tylko wydawcą, ale i przyjacielem, wsparciem i „prozakiem w człowieku”. SQN nie jest dla mnie przypadkowym wydawnictwem, ale drużyną, którą zawsze chcę mieć w swoim narożniku.

Dziękuję wreszcie moim Czytelnikom, Pelikanom kochanym, za morze wsparcia, otuchy, miłości i pocieszenia. Za ten mur serc, który otaczał mnie w najciemniejszym czasie. I za krówki, bo gdy dystans za duży, by przytulać, są jeszcze krówki.

Pod pewnymi względami uratowały mnie też *Gracje z Ustki*. Gdy nic nie miało sensu, siadałam do poprawek i zanurzałam się w ustecki świat razem z Niną, Agatą i Zuzą. Nie wiem, co by było, gdyby los uderzył podczas pisania innej książki. Nie tak lekkiej, radosnej, wypełnionej przyjaźnią, humorem i siłą kobiecego wsparcia. W chwili, gdy jeden z wilków był nieproporcjonalnie wykarmiony fatum, dobrze było choć odrobinę podkarmić drugiego.

Nadal nie jest dobrze. Może już nigdy nie będzie. Ale przetrwałam najgorszą noc, najgorszy tydzień, najgorszy miesiąc mojego życia. Więc może przetrwam jeszcze trochę. I nie byłoby to możliwe bez wspańiałych ludzi wokół, którzy byli dla mnie, gdy najbardziej tego potrzebowałam.

Człowiek może być samotną wyspą, ale gdy sztorm uderza z taką mocą, dobrze mieć silne korzenie, a wokół siebie mur serc.

KSIĄŻKI ANETY JADOWSKIEJ W WYDAWNICTWIE SQN

THORNVERSE

Heksalogia o Dorze Wilk

Złodziej dusz
Bogowie muszą być szaleni
Zwycięzca bierze wszystko
Wszystko zostaje w rodzinie
Egzorcyzmy Dory Wilk
Na wojnie nie ma niewinnych

Trylogia Szamańska

Szamański blues
Szamańskie tango
Szamański twist

Trylogia Nikity

Dziewczyna z Dzielnicy Cudów
Akuszer Bogów
Diabelski Młyn

Kroniki Sąsiedzkie

Afera na tuzin rysiów
Próby ognia i wody

Kroniki Thornu

Dziki dziecko miłości
Katia. Cmentarne love story

Zbiory opowiadań

Ropuszki. Opowiadania ze świata Thornu
Dyńka i Jemiola. Nietypowe historie świąteczne
Kurczaczek i Salamandra

Dla dzieci

Przygody małego duchołapa

SERIE POZA THORNVERSE

Klan Koźlaków

Cud, miód, Malina
Cuda wianki. Nowe przygody rodziny Koźlaków

Garstka z Ustki

Trup i inne sekrety rodzinne
Martwy sezon
Denat wieczorową porą

Gracje z Ustki

Tajemnica domu Ukłejów

MIŁOŚĆ, ŚMIERĆ I SPRAWIEDLIWOŚĆ W THORNIE

Katia jest nekromantką, odkąd tylko pamięta. Cmentarze, śmierć i zmarli to stałe elementy w jej życiu. Cała reszta, cóż, weszła w fazę chaosu. Jej bezpieczny i przytulny dom przestał być azylem. Pomysł, by startować w wyborach do Starszyny Thornu, zaczyna jej się odbijać czkawką. I wszystko wskazuje na to, że musi się przeprowadzić i postawić swoje dotychczasowe życie na głowie.



**TA HISTORIA JEST JAK KATIA – ŁĄCZY W SOBIE CIEPŁO
I ROMANTYCZNE PORYWY Z MAKABRĄ ŚMIERCI
I CMENTARNYCH TAJEMNIC**

Szukaj w dobrych księgarniach

SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

NIKITA. TO TYLKO JEDNO Z JEJ IMION, JEDNA Z JEJ TAJEMNIC

Są przyjazne i urocze miasta alternatywne. I jest Wars – szalony i brutalny – oraz Sawa – uzbrojona w kły i pazury. Pokochasz je i znienawidzisz, całkiem jak ich mieszkańcy. Tam też mieszka Nikita – członkini tajemniczego Zakonu Cieni. Jako córka zabójczynie i szaleńca chce od życia jednego – nie pójść ścieżką żadnego z rodziców. Choć na to może być już za późno.

Sprawy bardzo się komplikują, kiedy zostaje jej przydzielony nowy partner...



**BESTSELLEROWA SERIA OD KRÓLOWEJ POLSKIEGO
URBAN FANTASY**

Szukaj w dobrych księgarniach

sqn

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

NIEKTÓRZY NAWET ZZA GROBU POTRAFIĄ NAPSUĆ KRWI!

Anonimowe zaproszenie na Bal Tajemnic nie budzi w Marii Garstce entuzjazmu, za to w Anieli Grzebałko, jej najlepszej przyjaciółce – i owszem. A Maria, zdaniem Anieli, po prostu musi jej towarzyszyć. Wkrótce stary dom w usteckim lesie, w samym środku śnieżycy stulecia, staje się sceną przemyślanej intrygi i konfrontacji. A ledwie Maria pomyśli, że nie może być gorzej, pojawia się trup... żeby jeden!



JEDNA NOC ZMIENI ICH ŻYCIE NA ZAWSZE

Szukaj w dobrych księgarniach

SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

ODLEGŁE KRAINY. ODMIENNE EMOCJE. INNE NIEBA

Dwanaście utalentowanych polskich autorek SF i fantasy oraz ceniony współczesny artysta, autor niepokojących, sugestywnych obrazów.

Dwanaście opowieści, dwanaście poruszających prac.

Niezliczone emocje, trudne dylematy i fascynujący bohaterowie żyjący pod niebami innymi niż nasze.



Szukaj w dobrych księgarniach

SQN

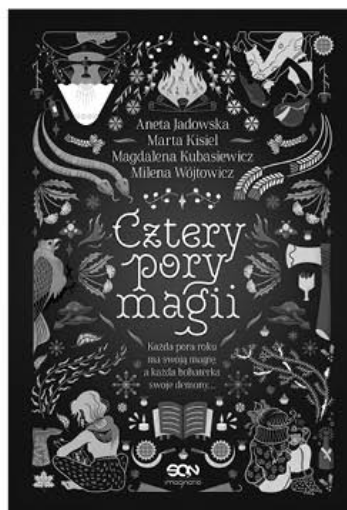
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

AUTORKI, KTÓRE TWORZĄ I FANTASTYKĘ, I KRYMINAŁY...

...zabierają Was na wycieczkę, w których granice gatunków literackich
i światów się zacierają.

Wymarzone i wyczekiwane połączenie jednych z najgorętszych nazwisk
polskiej fantastyki! Jadowska, Kisiel, Kubasiewicz, Wójtowicz –
to musi być magicznie wciągające!



**KAŻDA PORA ROKU MA SWOJĄ MAGIĘ,
A KAŻDA BOHATERKA SWOJE DEMONY...**

Szukaj w dobrych księgarniach

SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

ZAPRASZAMY DO COLLEGIUM MAGICAE UJ – NAJLEPSZEJ MAGICZNEJ UCZELNI W POLANII!

Czarodziejka Natasza, przez znajomych zwana „Lady”, właśnie zaczyna trzeci rok magii praktycznej i ma wielką nadzieję, że będzie lepszy niż poprzedni. Niestety, impreza inauguracyjna początek semestru kończy się dla niej rozczarowaniem, a na domiar złego – jej współlokatorka nie wraca po przyjęciu do akademika. Co spotkało młodą czarownicę? Dlaczego jeden z najbardziej niepozornych czarodziejów na uczelni nie wrócił na studia po wakacjach?



ODPOWIEDZI NA TE I INNE PYTANIA POZNACIE W POWIEŚCI ZE ŚWIATA POLANII

Szukaj w dobrych księgarniach

SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

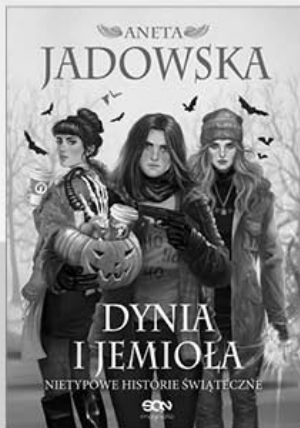
www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki.

Jesteście czytelnikami *sine qua non*, warunkiem koniecznym istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję, że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN



SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

SQNSTORE.PL

labotiga.pl